

Marcin Mortka

Miecz i kwiaty t 1

Upalnego dnia 4 lipca 1187 roku armia króla Gwidona de Lusignan, największa, jaką kiedykolwiek wystawiło Królestwo Jerozolimskie, została rozgromiona przez siły tureckie pod wodzą sultana Salah ad-Dina, a sam król wzięty do niewoli. W ręce muzułmanów dostała się wówczas najcenniejsza relikwia chrześcijaństwa - Krzyż Święty. Wkrótce padła Tyberiada, a po niej Toron, Akka, Nablus, Jaffa, Gaza oraz Askalon. 30 października, w dniu wstąpienia Mahometa do nieba, baron Balian z Ibelinu poddał Salah ad-Dinowi bronioną przez siebie Jerozolimę.

Po upadku Świętego Miasta frankijskie sztandary powiewały już tylko nad Tyrem, drobnym okruczem mocnego ongiś państwa. Nieugięty markiz Konrad z Montferratu, który zdecydował się bronić twierdzy przed Saracenami, odparł atak Salah ad-Dina i rozpoczął prace nad wzmocnieniem murów obronnych. Jednocześnie Europa po dramatycznych apelach arcybiskupa Tyru, Jozjasza, zaczęła szykować się do kolejnej, trzeciej już w dziejach krucjaty. Ku ostatniemu skrawkowi Królestwa Jerozolimskiego ruszyli pierwsi pielgrzymi-krzyżowcy.

Rozdział pierwszy

w którym dzielny gaston de baideaux najpierw długo błądzi, a potem dowiaduje się kilku rzeczy, ale bynajmniej nie tego, czego się spodziewał. podobnie jak templariusze Święty Leonardzie, a poraż tryprem tych łajdaków!

Coś ty rzekł, italski dusigroszu? Coś ty rzekł?! -wrzeszczał ktoś piskliwym głosem. Wtórował mu szmer oburzenia.

Obojętny na wszystko wokół siebie Gaston de Baide-aux przymknął oczy i zaraz je otworzył. Czar nie przysł.

Był dość urodziwym młodzieńcem o błękitnych, normańskich oczach i jasnych włosach, porywanych teraz przez ciepły śródziemnomorski wiatr. Wyglądał na człowieka z gatunku tych, co to zachwycają się każdym słonecznym dniem, każdym pięknym koniem i każdą mijaną pięknotką. Zdawał się to potwierdzać zarówno nieprzytomny uśmiech, jak i blask w oczach. Ale było w nim coś - może wąskie, mocno zaciśnięte wargi, może głęboka zmarszczka na czole, zbyt głęboka jak na tak młody wiek, może szczupła prawa dłoń bez przerwy ściskająca rękojeść miecza - co znamionowało upartość i zaciętość, zaciętość wprost bezgraniczną. Gdyby zaś

Marcin Mortka

głębiej wejrzeć w jego oczy, można byłoby natknąć się na bezbrzeżne pokłady smutku. Ale dziś, siódmego dnia rejsu na niewielkiej, zatłoczonej galerze genueńskiej, Ga-ston był wprost wniebowzięty.

Nie odrywał wzroku od morza. Drobne fale omywające burtę unosiły białe grzywy, lecz dalej, na horyzoncie, tam gdzie wyrastały wieże Tyru, biel była pochłonięta przez rdzawą czerwień zachodzącego słońca. Ta sama czerwień płonęła na wciąż ledwie widocznych dachach kościołów i pałaców, i rozlewała się wzdłuż masywnych murów obronnych. Opromieniony

Tyr przypominał mu krwawy diament wypchnięty spośród fal przez pogańskie bóstwa Fenicjan.

- Wreszcie... - szeptał do siebie. - Wreszcie.

- W życiu nie zapłacę ci ośmiu solidów, ty żydowski padalcu! Święty Krzysztofie, patronie...

Piskliwe wrzaski uciął głośny rozkaz szypra. Szczęknął oręż, czyjeś ciało uderzyło z łoskotem o deski pokładu, ktoś jęknął z przerażeniem. Gaston nadal się nie odwracał.

Stał na dziobie od świtu, gdy majtek na maszcie okrzyknął ład. Nie dbał o głód, zmęczenie i kłótnię między pielgrzymami a szyprem, która od południa, a więc od chwili, gdy ziemia stała się widoczna, przybierała na sile. Stał i wyteżał wzrok, a w myślach popędzał leniwy wiatr wypełniający spłowiałe żagle galery. Czasami odwracał się zniecierpliwiony, chcąc zaczepić któregoś z żeglarzy i zapytać, czy zdołają rzucić kotwicę przed nocą, ale za każdym razem rezygnował z zamysłu. Kłótnia na śródkręciu była coraz bardziej zajadła, lecz miny Genuńczyków mówiły, że nie mają zamiaru ustąpić.

Co więcej, od świtu każdy z nich nie rozstawał się z bronią.

Gaston wzdychał i znów wyteżał wzrok ku wciąż tajemniczemu, skrytym wśród rdzawych promieni zabudowaniom miasta, które niegdyś Pan pokarał najazdem króla Babilonu z jego rydwanami i końmi, a teraz znów poddawał srogiej próbie. Widok ów fascynował i pochłaniał Gastona tym bardziej, im bliżej się znajdowali, im więcej szczegółów widział. Patrzył, ocierając łzawiące oczy, a nadzieja, którą uparcie trzymał z dala od siebie, znów zaczynała ożywać.

Że kłótnia na galerze dotyczy również i jego, przypomniał sobie dopiero pod wieczór. Stało się to zaraz po tym, jak dostrzegł dwie masywne wieże strzegące wejścia do tyryjskiego portu, wieże, między którymi rozciągano ponoć monstrualnej grubości łańcuch zamykający port w nocy. U boku Gastona niespodziewanie wyrósł wtedy ojciec Adalbert, który przetrął tonsurę, przeżegnał się nabożnie i wybuchnął:

- Dobry Panie, że też nie ma na nich sprawiedliwości, takich synów! Do morza mnie cisnąć chcieli, mnie, sługę bożego... Że też nie pošlesz aniołów, Ojczy Niebieski, by ich biczami ognistymi wysmagali, pogańskich psubratów, nasienie...

- Co takiego? - zamrugał oczyma de Baideaux.

- Płacić znowu każą, łajdaki! - pozałił się duchowny. Tłuste policzki drgały, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. - Gadają, że w Genui nie dość żeśmy dali, że więcej się należy, bo onych greckich piratów prześcignęli i ponoć jakąś morską potworę zmylili... Jeśli to zaiste potwora jaka była, to ani chybi z rodu tych bydlaków! Jak żyję, takich krwio pijców... '

- Ile chcą? - zapytał Gaston. Rzeczywistość szybko przybierała wokół niego namacalne formy: pątnicy przeklinający z werwą i kunsztem przeczącymi ich świętemu celowi, żaloszny brzęk ostatnich monet wyluskiwanych ze szczupłych sakiewek, obleśny uśmiech genuńskiego żeglarza siedzącego nieopodal z kuszą na kolanach.

Uśmiechnął się z przekąsem.

- Święty Leonardzie z Limoges, broń nas ty przed italskimi rabusiami! Żądają jeszcze po osiem solidów?! Po osiem od osoby! - załamał ręce Adalbert. - Do morza chcieli mnie cisnąć! Mnie, sługę bożego! Mówią, że jeśli nie zapłacimy, to wszyscy tam trafimy! Do morza! My, pątnicy...

- No to im zapłać i już - wzruszył ramionami de Ba-ideaux i znów spojrział w stronę Tyru. Nie widział, jak twarz duchownego kraśnieje jeszcze bardziej.

- Jak to zapłać? - Ten, nagle poblądły, rozdziawił usta. - Przecież to niemal wszystko, co mamy! Wszystko z tego, co zostało po sprzedaniu koni!

- I co z tego? - Gaston uniósł brwi. - No i co z tego, Adalbercie? Czyż nie dopływamy do Ziemi Świętej, gdzie, jak sam opowiadałeś, złoto funta kłaków niewarte, bo aniołowie się

o ludzi troszczą? Gdzie jeno czystość serca i zbrojne ramię się liczy? Gdzie fortuna sama odnajduje mężnych a cnotliwych?

- Święty Grzegorzu cudotwórco, juści, że tak, ale...

- Nie frasuj się tedy - przerwał mu de Baideaux. - Zapłać Genuńczykom i pozdrów dobrym słowem. I za ową potworę podziękuj. Niech mnie, nic nie widziałem! Musiałem wtedy spać. Wstrząśnięty księżulo zamrugał oczyma, po czym odwrócił się i usiadł na pokładzie, przy sakwach pilnowanych przez ponurego Bernarda, jedynego człowieka na galerze, którego zuchwali Genuńczycy starali się omijać. W tłusciutkich palcach Adalberta zamigotały srebrne monety, a spoconą twarz ściągnął wyraz skupienia. Gaston przyglądał mu się beznamiętnie.

„A jeśli fortuna nas nie odnajdzie, w co raczej wątpię, to ty zrobisz wszystko, by ją odnaleźć - pomyślał bez śladu wesołości. - Wszystko. Bo jak na księdza przystało, znasz się głównie na przyzywaniu świętych i tropieniu pieniędzy. Reszta twych talentów niestety nijak do sukienki duchownej nie pasuje”.

Dla niego samego fortuna była bowiem całkiem obojętna. On zmierzał do Ziemi Świętej w zupełnie innym celu.

Ryczący wielbłąd targnął głową, niemalże przewracając trzymającego go za uzdę Syryjczyka, i cofnął się o krok. Deski, na których dwóch śniadoskórych uliczników ustawiło miski z parującym kuskusem, runęły, mieszając zapach posiłku z gryzącą wonią kurzu. Pełne oburzenia wrzaski wzbily się ponad płaczące prośby właściciela wielbłąda, zagłuszyły nawet porykiwania zwierzęcia i gwar ulicy. Gaston obejrzał się bezradnie na Adalberta.

- I gdzie teraz?! - krzyknął.

Duchowny rozłożył bezradnie ręce, a potem wskazał przed siebie. Poruszał szybko ustami, jakby coś pospiesznie tłumaczył, lecz poza imionami kilku świętych de Baideaux niczego nie usłyszał. Pewnie duchowny, nie wiedząc, co powiedzieć, swoim zwyczajem' płatał modlitwy z przekleństwami i narzekaniem, podobnie jak w Genui.

- Mówiłeś, że znasz Tyr! - krzyknął głośniejsz Gaston. - Że byłeś tu przed laty jako pątnik!

- Juści, ale... święty Krzysztof..

Wielbłąd plunął. Żołnierz w poszarpanej kolczudze, który chciał minąć wściekłe zwierzę przyciśnięty do ściany kamieniczki, teraz zatoczył się trafiony idealnie między oczy. Jedną ręką trąc oczy, drugą machnął na odlew i powalił na bruk sędziwego, siwobrodego Syryjczyka, który cierpliwie czekał na przejście. Ulicznicy wrzeszczeli jak potępieni. Poganiacz wielbłądów jęczał i błagał, zwierzę ryczało. Ktoś wołał straż, oczywiście na próżno.

- Tędy nie przejdziemy! - krzyknął de Baideaux i odwrócił się. Stał twarzą w twarz z zarumienionym, spoconym Adalbertem.

- Mówiłeś, że znasz Tyr! - wrzasnął.

- Znam, panie, znam! - bełkotał duchowny. - Wždy święty Paweł w Tyrze z uczniami swymi rozprawiał, a Stary Testament o królu Hiramie mówi, który...

- Tawerna jakaś nam potrzebna! Tawerna, nie opowieści o królu Hiramie!

- Ale...

Gaston już nie słuchał. Wyminął tłumaczącego coś pospiesznie Adalberta i ruszył z powrotem uliczką, którą przybyli z Portu Syjońskiego, jak nazywali go Ital-czycy - uliczką, którą przedzierali się prawie od godziny. Słońce nieomal już zaszło - na wysokich dachach, sięgających pięciu, sześciu pięter kamieniczek, pełgało wciąż rdzawe światło zachodu, ale na wąziutkich, ciasnych uliczkach między nimi robiło się coraz ciemniej, tym bardziej że nad głowami przybyszów rozciągały się kamienne rozpory oraz maty chroniące przed skwarem dnia. Mimo późniejsz pory gwar nie słabł, wręcz przeciwnie, wydawał się narastać. Wrzawa wielu języków, w której Gaston z rzadka wychwytywał jakieś słowo francuskie bądź

łacińskie, oszałamiała, a ludzie wokół niego, w większości odziani w strojne, bogate szaty, wydawali się obcy, mimo że rozpoznawał od czasu do czasu twarze rodaków. Z uchylonych drzwi kapliczek bił oszałamiający zapach kadzideł, znad ulicznych jadłodajni wznosił się ostry aromat przypraw, aż kręciło w nosie, nawet morze pachniało jakoś inaczej. Tak naprawdę jedynym swojskim akcentem był smród moczu z co ciemniejszych zakamarków.

Dzwony uderzyły na Anioł Pański, odpowiedziały im oburzone krzyki mew. Gaston parł przed siebie znużony, skołowany. Przedarł się przez grupkę podpitych jasnowłosych żołdaków, ani chybi Danów, wyminął zaprzężoną w muła dwukólkę strzeżoną przez trzech ponurych, uzbrojonych po zęby Ormian, stanowczym ruchem ręki odpędził gromadkę zebrzących dzieci i natychmiast wpadł w ramiona tłustego, rechoczącego zbrojnego z purpurowymi policzkami. Ten zagadał coś po grecku i chciał wycisnąć mu pocałunek na czole, ale Gaston wyślizgnął się z obrzydzeniem i przebiegł kilka kroków, Adalbert i Bernard za nim. Odwrócił się dopiero, gdy duchowny pochwycił go za ramię. Spocony księżu-lo znów poruszał ustami - tym razem chyba naprawdę coś mówił, ale jego słowa zagłuszył łomot kotlarzy z pobliskiego bazaru.

Gaston skrzywił się tylko i podjął wędrówkę. Znikł gdzieś z jego twarzy wyraz szczęśliwości i rozanielenia, którymi witał Tyr. Zastąpiła go posepna zaciętość, groźna, nieposkromiona. Adalbert dogonił go, gdy wyszli na sześciokątny, wyłożony mozaikowymi płytami plac, w którego centrum wznosiła się kamienna fontanna. Wokół niej tańczyło kilkunastu mężczyzn dzierzących kubki, którymi co rusz czerpali ze stojącej nieopodal baryłki. Było jeszcze dość widno, ale paru wymachiwało już pochodniami. Żarłoczny ogień ni to szumiał, ni skwierczał, w roztańczonych, lecz coraz głębszych cieniach zakamarków roily się niewyraźne postacie, ani chybi żebracy i ulicznicy.

- Panie! - wysapał ksiądz. - Nie tak szybko... Nie możemy się rozdzielać...

- Bernard sobie radzi - burknął Gaston. W istocie, olbrzymi sługa nie był nawet zasapany, pomimo że dźwigał na swych plecach ogromny toból. - A ty, Adalbercie... Cóż, ponoć znasz Tyr. Z poprzedniej pielgrzymki.

Tańczący śpiewali nierówno, ale za to głośno, w italskiej mowie. Podczas żeglugi na genueńskiej galerze de Baideaux podłapał wystarczająco wiele słów, by wiedzieć, że pieśń bynajmniej nie wychwala czci niewieściej, wręcz przeciwnie.

- Znam, ino... - Adalbert również zrozumiał przesłanie pieśni i na wszelki wypadek przeżegnał się pospiesznie. - Ino ostatnim razem nie było tu tylu Italczyków! - wybuchnął. - Panie, trza nam dalej, dalej! Wždy to te italskie wie...

Jeden z podrygujących żeglarzy, wysoki, barczysty człowiek z kręconymi włosami, zatrzymał się przy baryłce i z rozmachem nabrał wina, aż naokoło przysły krople. Spojrzał przy tym na trójkę przybyszów, co prawda przelotnie i nawet z zaciekawieniem, ale to starczyło, by Adalbert odwrócił wzrok. Bernard dostrzegł to i wyszczerzył zęby. Italczyk w jednej chwili uznał za stosowne powrócić do swych pływających kompanów.

- Pasowany! - zawołał ze zdumieniem Gaston, dostrzegając skrawek szerokiego pasa rycerskiego wystający spod przybrudzonej koszuli Italczyka. - Pasowany, a podryguje kiej opętany! Na litość boską!

- Z dała nam trza od tych wieprzy! - burknął mściwie Adalbert i zacisnął pulchne pięści. I nagle stracił rezon, bo z jednego zaułka wybiegło kilka syryjskich dziewcząt strojnych w powłóczyste szaty. Zaraz wmieszały się w korowód tancerzy, a ochota, z jaką podjęły pieśń, nieznacznie tylko kalecząc italski, jednoznacznie wskazywała na ich powołanie.

- Z dała - powtórzył bezwiednie Gaston i potrząsnął grzywą bujnych włosów. - Do portu zatem, jak mówiłem. Trza nam jakąś tawernę znaleźć, przespać gdzieś, gdziekolwiek, ale mylą mi się te uliczki...

- Dajcie temu pokój, dobry panie! - zawołał ktoś chrapliwie w langue d'oïl, języku używanym na północy Francji. Gaston odwrócił się na pięcie i ujrzał żebraka, który wstawał spod ściany kamieniczki i postukując laską, kusztykał w ich stronę.

- Dajcie pokój - powtórzył. W blasku skaczących pochodni ujrzeni jego twarz, zarośniętą i wynędzniałą, oraz oczy, ciemne, żarzące się niczym od gorączki. - Szkoda waszego czasu, dobry panie. Odkąd do Tyru zwalili wszyscy panowie Outremer, każdy z tyłoma zbrojnymi, ilu ich zdołał spod ostrzy Saracenów wyrwać, a po nich Sycylijczycy króla Wilhelma, londyńczycy, Dano-wie i Bóg jeden raczy wiedzieć, kto jeszcze - o ile w ogóle Mu zależy - w porcie nie ma gdzie szpilki wetknąć. Pałacyki pozajmowane, kamieniczki, piwnice, ba, ludzie po ogrodach i ulicach śpią! Jeno czekać dnia, jak się Tyr nam rozpęknie, he, he! Podszedł już tak blisko, że czuć było jego zapach, również całkiem swojski. Zakaszłał i zamachał dłonią owiniętą w brudną szmatę.

- Oto do czego nam przyszło! - splunął. - Gnieźdzymy się jak szczury w ostatnim mieście Outremer, bez wodzów, bez broni i bez nadziei. Pozostaje nam patrzeć na igrzyzki italskich pajaców, którzy lada dzień wleżą na swe galery i odpłyną, zostawiając nas wszystkich na pewną śmierć! Tfu!

- Tfu! - zawtórował mu Adalbert, nagle mężniejac. - Walczyłeś z Saracenami?

- A pewnie, ten tego. Na murach Jerozolimy stałem, ciąłem suchych synów, samemu Balianowi z Ibelinu kuszę podawałem!

- A prawda to, że aniołowie sfrunęli z jasnego nieba i otoczyli skrzydłami świętobliwego patriarchę He-rakliusza, coby krzywda mu się nie stała, gdy miasto opuszczał? - pytał z ożywieniem duchowny, znów po-kraśniały.

- A prawda, prawda, najświętsza prawda! - Żebrak pokiwał głową z niezdrowym entuzjazmem. - Sam Michał im przewodził, a Gabriel z góry zerkał, coby sobie szaty nie powalać, i chórami dyrygował. A Saraceny stały i słuchały, bo to piękne pieniądze było, piękne! Gęby przy tym rozdziawiały, aż im muchy do mord powłaziły i kał-duny wzdeły. Sam widziałem, jak jeden się rozpuknął, aż wąpiał na bazylikę poleciały. Mam nieco liści oliwkowych z Ogrójca i kamień z Góry Oliwnej, ojczulku, spójrzcie. Tanio oddam, parę miedziaków...

- Łże jak pies, nie słuchajcie go, ojczulku! - wychrypiał inny żebrak, kusztykając pospiesznie w ich kierunku. - Boga się nie boisz, Rudolf, kurwi synu? Kamień z Góry Oliwnej, co?! Dobrze widziałem, jak żeś z ziemi podniósł, ojczulka ujrzawszy! To kłamca, dobry ojcie! Ja mam prawdziwe liście palmowe znad Jordanu, w świętej rzece obmyte!

- A ja pióro anielskie mam! - wrzasnął jeszcze inny falsetem. - Saracen chciał mi zabrać, alem nie dał. Dziabnął mnie, dziabnął mnie o tutaj, alem nie dał! Jak lew walczyłem! Dobremu chrześcijaninowi oddam, pomyślałem sobie, i uciekłem mimo ran! Tanio oddam, dinara, bo szczerze wam...

- Pióro anielskie z kaczej dupy wyrwane! - Żebrak nazwany Rudolfem opanował oburzenie. - Liście palmowe z ogrodu Renalda z Sydonu! Wy zmije kłamliwe...

18 Marcin Mortka

Gaston zrobił krok w tył, a potem kolejny Żebracy krzyczeli coraz głośniej, wino chlustało na boki, barwiło lniane koszule, mieszało się z błotem pod bosymi stopami Italczyków. Do płaśających dołączyły kolejne dziewczęta, tym razem owładnięte dzikością bachantki o podmalowanych oczach - czarne kreski ciągnęły się aż na skronie. Skaczące blaski pochodni pobudzały do tańca nawet kamienne gargulce na fontannie. Gdzieś ktoś ochryple wrzeszczał.

- Tyr się rozpęknie - powtórzył bezwiednie za żebrakiem Gaston, zaciskając zęby.

Adalbert stał jak skamieniały, oczarowały go roztańczone nimfy. Nie zwracał już uwagi na ostatniego żebraka, który wciąż usiłował go przekonać do swej oferty - pozostałych dwóch tarzało się już po płytach dziedzińca, kwestionując autentyczność sprzedawanego towaru pięściami i zębami, okazjonalnie również kamieniem z Góry Oliwnej. Korowód tańczących

pękał - kilku Italczyków zatrzymało się i wpatrywało w uliczkę, z której dobiegały coraz głośniejsze wrzaski. Któryś już trzymał łagę w rękę.

I wtedy de Baideaux dostrzegł dla siebie ocalenie. Maskę zaciętości na jego twarzy nagle skruszała, wyrzała spod niej tęsknota, żal i hamowana z trudem rozpacz.

Niewielka, pokryta złuszczoną farbą kopuła świątyni wskazywała na pochodzenie bizantyjskie, a osadzony na jej szczycie krzyż - przynajmniej dla Gastona - był mocny i przekonujący jak nigdy. Resztki promieni słonecznych mieniły się zapraszająco na pozostałościach fresku. Bez namysłu de Baideaux ruszył ku wejściu, zapomnia-

Rozdział pierwszy 19

jąc o zmęczeniu, swych towarzyszach, pustym żołądku, a nawet o liściach z Ogrójca.

Dopiero gdy dotknął kolanami zimnej posadzki, gdy wciągnął w płuca przepojone kadzidłem powietrze i spojrzął na krzyż rozedrgany w blasku szeregu świec, poczuł, jak powraca do niego spokój. Przeżegnał się powoli drżącą dłonią, a potem cichym, ochrypłym szeptem rozpoczął modlitwę:

- Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum...

Jego głos odbijał się echem wśród ścian kościółka. Nie pamiętał już o rozczarowaniu, które usiłował zdusić w sobie od paru godzin. Nie pamiętał już, że zamiast do wyśnionej krainy Boga trafił do dziczającego Tyru, którego rozpasanie przerastało wszystko, co ujrzał w Genui. Po prostu cieszył się, że Bóg wita go w ten sam sposób, w jaki go pożegnał w dalekiej Pikardii, w cichej kapliczce w rodzinnym Baideaux. A witał go ciszą i spokojem, zsyłając nań ukojenie i pociechę.

- Ojciec miłościwy, wdzięcznym Ci, żeś pozwolił mnie, marnemu grzesznikowi, rozpocząć pokutę - szeptał, chyląc czoło przed obliczem umęczonego Jezusa. - Wdzięcznym Ci, żeś pozwolił mi przebyć morze i dotrzeć szczęśliwie tu, gdzie wreszcie mogę zacząć płacić za moje grzechy.

Miecz uniósł się w powietrze, zatrzymał na chwilę, a potem opadł niczym błyskawica w dół. Gaston wzdrygnął się.

- Nigdy tego nie odpokutuję, wiem - szeptał pospiesznie przerażony wspomnieniem. - Wiem. Ale nie spocznę po kres życia, Panie. Nie spocznę. Bo tylko

Twoja łaska, miłosierny Ojciec, uwolnić mnie może od... od...

Tego słowa nie mógł wymówić, wstyd mu nie pozwalał. Zacisnął mocno powieki, a mimo to po policzkach spłynęły dwie łzy, delikatne niczym sen o świcie.

I wtedy ktoś - lub coś - walnęło z całej siły w drzwi kościoła.

- Padre nostro! - wrzasnął jakiś przerażony głos, a potem rozległ się kolejny łomot. Spomiędzy desek drzwi wyrzało ostrze włóczni, poruszyło się, jakby ktoś na zewnątrz usiłował je wyszarpnąć, a potem de Baideaux usłyszał kolejny jęk ozdobiony wiązką italskich przekleństw.

Gaston oprzytomniał w jednej chwili.

„Adalbert i Bernard! - pomyślał. - Boże, tam walczą!

Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach, pchnął, wypadł na zewnątrz. Niemalże wpadł na skulonego człowieka, który jedną ręką trzymał się za genitalia, a drugą usiłował niemrawo wyrwać włócznię z drzwi kościoła. Na placu wokół fontanny roило się od zbrojnych, niektórzy nosili turbany i powiewające w biegu kufije.

„Saraceni!” - pomyślał zdjęty przerażeniem.

I wyszarpnął z pochwy miecz, zakręcił młyńca, aż zahuczało. Płomienie pochodni leżącej na mozaikowej płycie prześlizgnęły się po klindze.

- Saraceni! - wrzasnął. - Do broni! Bernard! Bernard!

Któryś z walczących wpadł na niego, uniósł do ciosu ciężką pałę. Gaston rozpaczliwie nachylił się, odruchowo ciął, lecz trafił w próżnię. W sekundę później leżał na

Rozdział pierwszy

plytach dziedzińca przygnieciony ciałem jakiegoś brodacza w turbanie. Szarpnął się, próbując go zrzucić, lecz ciężar w cudowny sposób sam wyparował. Gaston uniósł wzrok i ujrzał człowieka w turbanie wleczonego za nogi w kierunku fontanny. Dwóch ludzi, w których rozpoznał niedawnych tancerzy, kopało go wściekle i najwidoczniej dość celnie, bo jego wrzaski stawały się coraz wyższe.

Szybko popatrzył wokół siebie. Nigdzie nie widział Adalberta, a skupiony Bernard właśnie złapał jednego z przebiegających Saracenów za kufiję, szarpnął, grzmotnął nim o ziemię, a potem zmarszczył czoło, wybałuszył oczy i wyszczerzył zęby. Na ten widok biegnący na odsiecz zmaltretowanemu kompanowi Saracen przezornie uskoczył w bok.

- Bernardzie! - wykrzyknął de Baideaux, usiłując powstać.

Sługa targnął kudłatym łbem, ale nie usłyszał go, gdyż bosonogie Syryjki, które przytupywały na cembrowinie fontanny, uderzyły w kolejny pisk. Niektóre nadal usiłowały tańczyć, nie do końca świadome - lub właśnie doskonale świadome - że poodślaniały wiele ze swych wdzięków. W rzeczy samej jeden z napastników, śniady chudzielec z nieproporcjonalnie długą piką, zagapił się na chwilę, aż ocucił go cios łokciem któregoś z tancerzy. Chudzielcem zarzuciło, splunął krwią i zębami, zakreślił bezwładny łuk włócznią, potem padł na plecy. Wtedy przydepnął go Bernard, tak wykrzywiony, że niemalże uśmiechnięty.

- Bernardzie! - Gaston już klęczał, ale znów ktoś na niego wpadł, przeklinając z pasją po italsku. Razem przetoczyli się po bruku, świat zawirował i rozblęsnął tysiącem iskier, a kiedy na nowo znieruchomiał, nad nimi oboma wyrosła nowa postać, ciemna i masywna, z wyszczerzonym zębami i wzniesionym toporzyskiem. I nagle de Baideaux przypomniał sobie, że nie wypuścił z dłoni miecza.

- Za Grób Święty! - wychrypiał i pchnął na oślep, nie przymierzając.

O dziwo, trafił.

Topór upadł z głuchym stuknięciem, a człowiek zaryczał przeraźliwie, nakrywając dłońmi ranę na udzie. Kątem oka Gaston ujrzał, jak ten drugi, z którym przetoczył się po bruku, chyżo wstaje nadal zbrojny w słuszną lagę. Pałka z hukiem przecięła powietrze, czaszka przeciwnika trzasnęła, aż echo poszło. Trafiony zatoczył się i padł na ziemię, gdzie natychmiast przypadli doń właściciel kamienia z Góry Oliwnej i właściciel liści palmowych znad Jordanu, chwilowo pogodzeni. Właściciel pióra anielskiego, obojętny na dobra doczesne, zanurzał właśnie głowę w zapomnianej beczulce.

- Dzięki! - zawołał wesoło człowiek z lagą. Młodzieniec odwrócił głowę i ujrzał, że to ów pasowany Italczyk, którego dostrzegł wcześniej wśród tańczących. - Dziabnąłby mnie jak nic, gdyby nie wasza... Uważaj!

Pochwycił dłoń Gastona i jednym szarpnięciem postawił go na nogi. Końcem lagi wskazał czterech drabów, którzy pędzili w ich stronę z dzikim wrzaskiem, wymachując pałkami i pikami. Jednego z nich zgarnął wciąż przerażająco uśmiechnięty Bernard, inny zwolnił, by wbić właściciela pióra anielskiego w głąb beczki, ale pozostali dwaj wciąż szarżowali. Żebracy w panice przyskaki na boki, Syryjki tupąły i piszczały, ktoś daremnie wołał straż.

- Jestem Gaston de Baideaux! - wykrzyknął rycerz zgodnie z obyczajem, mocniej chwytając miecz. - Za Grób Święty! - dodał łamiącym się głosem.

- Za co? - spytał zdumiony Italczyk.

Pierwszy z nadbiegających, brodacz w brudnej koszuli i rozsypującym się turbanie, również stanął zdumiony. To uratowało mu życie, bo Gaston zdołał wyprowadzić rozpaczliwe cięcie, które teraz minęło brzuch napastnika o dobry łokieć. I to było jedyne, czego zdołał w tej walce dokonać. W jedno uderzenia serca później, gdy maczuga uderzyła w klingę miecza, jego ramię zdrewniało aż po bark, a nim zdążył chwycić za sztylet, świat rozblęsnął eksplozją światła i bólu.

Unosząc się maczugę de Baideaux widział jak przez mgłę. Odruchowo zasłonił się łokciem, a wtedy za plecami brodacza w turbanie wyrósł Bernard. Wciąż uśmiechnięty, z jeszcze większą maczugą. Chrupnęło, aż ciarki przeszły.

- Mierda... - jęknął olbrzym i padł na kolana. Nim Bernard ostatecznie rozciągnął go na płytach placyku, zdążył wybełkotać jeszcze kilka innych przekleństw. Co do jednego doskonale znanych Gastonowi dzięki żegludze przez Morze Śródziemne.

- Saraceni? - wyjąkał z niedowierzaniem.

- Gdzie? - rozejrzał się zasapany Italczyk i otarł pot z czoła. - Aaa, ci? Nie, to nie Saraceni, mój przyjacielu. Jeszcze gorzej. Pizańczycy, kurwa ich macierz. Strasznie się z nami, Genueńczykami, nie znoszą, gównojady zatracone. No, już, trzeba nam uchodzić.

- Uchodzić? - Gaston zacisnął powieki, próbując odpędzić łupiący ból czaszki. - Ale gdzie? Przed kim? Co tu się dzie...

- Przed strażą miejską! - uśmiechnął się Italczyk i pomasował pęczniejący guz na czole.

- Co jak co, ale na koniec bijatyki pojawić się lubią. Chodźcie za mną!

Pizańczycy i Genueńczycy prali się po gębach z coraz mniejszym zaangażowaniem, znudzone widowiskiem Syryjki, łopocząc szatami, zesekaliwały z cembrowiny i umykały w mrok, na ścianach kamieniczek pełgało wątle światło latarni nadbiegającego patrolu. Bernard chrząknął i zarzucił na ramię porzucony toból, znów przybrał ponurą i obojętną minę. Z ciemnego zakamarka wychynał zaczerwieniony Adalbert, jeśli przerażony, to tylko tym, że jego towarzysze dostrzegli błyszczące oczy roześmianej Syryjki, która skryła się tam wraz z nim. Gaston pokręcił głową.

- Zalibym tylko ja wziął ich za Saracenów? - wyszeptał z niedowierzaniem.

Ponad dachy Tyru wypłynął już księżyc, napęcznia-ły i ogromny.

- ...Quoniam tibi est regnum et potestas et gloria in saecula. Amen - wyrzekli chórem bracia zakonni i na znak dany przez wielkiego mistrza zasiedli z szelestem szat. Podobnie uczynili serwiensi i giermkowie stojący wokół sąsiedniego stołu. W refektarzu, pomimo obecności wielu ludzi, zapanowała całkowita cisza, jeśli nie liczyć plusku wina nalewanego do kielichów przez milczących służących. W tyryjskiej komandorii Fratres Militiae Templi, Pauperes Commilitones Christi Templique Salomonis - Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, zwanego potocznie templariuszami lub rycerzami Świątyni - rozpoczęła się wieczerza.

„Jakby nic się nie działo - myślał wielki mistrz Robert de Sablé, odrywając kawał chleba. - Jakbyśmy nadal byli tym, kim jesteśmy”.

Spojrzał wzdłuż długiego, krytego białym suknem stołu, zastawionego misami i kielichami, przy którym zasiadali bracia zakonni. Patrzył na ich poważne twarze i białe tuniki z czerwonymi krzyżami, niegdyś tak świętymi, patrzył na ich dłonie, jeszcze nie tak dawno dzierzące miecze w obronie Grobu Świętego. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, lecz natychmiast go stłumił.

Bo nie był to stosowny uśmiech.

Jeden z braci, siwobrody Vincent, człowiek o twarzy przeciętej blizną i weteran wielu bitew, wstał i zasiadł za pulpitem, po czym otworzył Pismo Święte.

„Brat Vincent - zadumał się wielki mistrz. - Mówią, że na wieść o klęsce pod Rogami Hittinu wpadł w rozpacz tak wielką, że trzeba było go osadzić w celi. Dzielny brat Vincent. Szkoda, że człek tak dzielny dożywa swych dni w przeczuciu porażki. Dobrze, że nie zna całej prawdy. Dobrze, że nie wie, że to nie Hittin był dla nas prawdziwą klęską. Zakon przegrał swą wojnę o wiele wcześniej”.

- „Lecz Bogu niech będą dzięki za to, że pozwala nam zawsze zwyciężać w Chrystusie i roznosić po wszystkich miejscach woń Jego poznania. Jesteśmy bowiem miłą Bogu wonnością Chrystusa zarówno dla tych, którzy dostępują zbawienia, jak i dla tych, którzy idą na zatracenie; dla jednych jest to zapach śmiercionośny - na śmierć, dla drugich zapach

ożywiający - na życie. A któż temu sprostą?" - czytał Vincent grobowym głosem. Bracia jedli i słuchali.

Mistrz włożył do ust kęs gotowanej baraniny i zapatrzył się w płomień świecy.

„To brzmi jak bluźnierstwo - pomyślał, przetykając z trudem. - Te słowa, tak święte, tak piękne, czytane w waszej przytomności, Ubodzy Rycerze Chrystusa, naprawdę brzmią jak bluźnierstwo”.

Robert de Sablé przyjął bowiem śluby zakonne jako człowiek dojrzały i żonaty, zdystansowany do świata i doskonale znający ludzkie przywary i ułomności. Twarze braci zakonnych były skupione i poważne, ale on czytał z nich niczym z otwartej książki.

„Chwała ci, bracie Gilberte - dumał z ironią, przyglądając się jednemu z zakonników, który jedną ręką ujął kielich wina, a drugą sięgał po chleb. - Choć na chwilę powstrzymałeś się od skrytego ściskania dłoni brata Reynalda. A ty, Guillaume? - przeniósł wzrok na zakonnika siedzącego po przeciwnej stronie, wysokiego mężczyznę o nieobecnej twarzy, który nawet nie tknął posiłku. - Przebolejesz kiedyś śmierć Armanda pod Rogami Hittinu?”

Przejrzał już wiele grzechów Ubogich Rycerzy Dobrze wiedział, którzy oddają się sodomii, a także z kim i jak często. Dobrze wiedział, którzy złamali przykazanie poszanowania życia chrześcijan, którzy w skrytości upijali się bądź wdychali saraceńskie narkotyki i którzy przesypiają nabożeństwa. Wiedział o wszystkim. Zresztą nawet gdyby nie potrafił przenikać ludzkich umysłów, i tak szybko domyśliłby się wielu tajemnic. Po tym, co zdradził mu komandor Tyru, Wilhelm du Triere, następnego dnia po wyświęceniu, pewne rzeczy szybko stałyby się oczywiste.

Choć nie, nie wiedział o wszystkim. Widok nadobnej, męskiej twarzy z ciemnymi lokami opadającymi na czoło, wyrysowanej węglem na ścianie celi brata Gotfryda tak starannie, że wydawała się wręcz żywa, wstrząsnął nim go głębi. Oszłomiły go zwłaszcza oczy, ciemne, niepokojące, wręcz hipnotyczne, i uśmiech, złowieszczy i lubieżny. Na próżno próbował sam siebie przekonać, że wrażenie to wywołała jedynie gra cieni ściganych chybocliwymi płomieniami pochodni.

Żałował, że nie udało mu się wypytać brata Gotfryda o inspirację. Gdy go odcięto, był już zimny.

- „Nie jesteśmy bowiem jak wielu, którzy kupczą słowem Bożym, lecz ze szczerości, jak od Boga mówimy w Chrystusie przed Bogiem” - czytał ponurym głosem brat Vincent. Bracia jedli i słuchali, co rusz zwracając twarze ku pulpitemu. Panowała cisza, dostojna, lecz fałszywa.

Wilhelm du Triere siedzący po prawicy wielkiego mistrza nagle drgnął i odwrócił głowę w kierunku drzwi. Skinął przyzwalająco głową i niemalże w tej samej chwili stanął przy nim młody templariusz, którego Robert jeszcze nie miał okazji poznać. Ani rozgryźć. Templariusz nachylił się i szepnął coś do ucha komandorowi.

Pałace słońce Ziemi Świętej nie było dla Wilhelma du Triere łaskawe. Gdy Robert de Sablé ujrzał go po raz pierwszy, zdumiał się, jak bardzo upał może wyssać z człowieczego ciała wszelkie soki i zamienić twarz w po-bruzdzoną, nieruchomą skałę pustynną. Jego rzadkie włosy zetlały, przybrały barwę wyschniętej trawy, na spękanych wargach nie było śladu wilgoci, nawet oczy mu zmatowiały. Ponoć nie płakał nawet na wieść o pogromie pod Rogami Hittinu. Teraz jednak, gdy skinieniem odprawił młodego templariusza i spojrzał na wielkiego mistrza, jego oczy rozbłysły po raz pierwszy, odkąd się znali.

Robert pokiwał głową i ujął kielich z winem. Starał się utrzymać spokój, ale serce biło mu gwałtownie. Młody zakonnik szeptał co prawda cicho, ale wielki mistrz i tak doskonale słyszał jego słowa:

„Gaston de Baideaux przybył do Tyru”.

Rozdział drugi

który traktuje głównie o opowieściach. wynika z niego, że do opowieści pięknych należy podchodzić z należyтым dystansem, te brutalne okazują się prawdziwe, a te o zaginionych członkach rodziny miewają nieoczekiwane zakończenia

Gaston otworzył oczy i usiadł raptownie. Zbyt raptownie. W jego głowie rozszalał się ból, jakby uderzyły w niej wszystkie dzwony Tyru, Jerozolimy i pozostałych miast Ziemi Świętej. Młodzieniec jęknął i objął dłońmi skronie, usiłując zdusić łomot. Minęła dłuższa chwila, zanim oprzytomniał na tyle, by rozejrzeć się dookoła.

Siedzący na zewnątrz namiotu Adalbert coś pospiesznie mówił, gestykulując przy tym żywo, italski rycerz zajrzał do środka i pokazał Gastonowi jakiś kubek. Bernard nakrył niską pozostałość jakiegoś muru, najwidoczniej szykując swemu panu siedzisko - na tyle wygodne, na ile to było możliwe. Gdzieś daleko grzmiały dzwony, prawdziwe, spizowe. Młodzieniec zacisnął powieki raz jeszcze.

Już przypominał sobie zdarzenia poprzedniej nocy. Już pamiętał pełne animuszu głosy żołnierzy ze straży miejskiej i szaleńczą ucieczkę wzdłuż wymarłych, pozamykanych kramów bazaru, i gwiazdy mrugające doń filuternie między rozwieszonymi wysoko matami, za dnia broniącymi handlarzy przed skwarem. Pamiętał radosny śmiech Italczyka, pełnie niepokoju pytania zasapanego Adalberta i gniewne pomruki taszczącego ciężki toból Bernarda. Przypominał sobie swą beztroskę.

- Gdzie my jesteśmy? - wymamrotał, mrużąc oczy. O ile mógł ocenić, pora była jeszcze wczesna, ale wrześnie słońce przygrzewało mocno, zamazując swym blaskiem kontury okolicznych budowli.

- Nadal w Tyrze. - Głos italskiego rycerza wydawał się dobiegać z daleka. Mówił w langue d'oïl bardzo płynnie, lecz z miękkim, śpiewnym akcentem. - Przykro mi niezmiernie, że tak niewiele mogę zaoferować moim nowym przyjaciółom, ale coś mi mówi, że to i tak więcej, niż byście zdziałali sami.

Ból głowy nareszcie zelżał na tyle, by Gaston mógł uklęknąć i wydostać się z namiotu, który rozbito, jak się okazało, na mozaikowych płytach wielce podobnych tym, o które w nocy wyrznął podbródkiem. Tyczki bez większego szacunku dla nieznanymi budowniczymi wbito w szczeliny między płytami. Daleko przed oczyma de Baideaux ciągnął się labirynt niskich, przypominających kopczyki budowli o bokach zdobionych płaskorzeźbami, a dalej dostrzegł dwa rzędy kolumn, między którymi przechodzili piesi i przejeżdżali jeźdźcy, czasami również wozy zaprzężone w woły. Gorący wiatr z nad morza kołysał zielonymi grzywami palm.

- To rzymska nekropolia, panie - odezwał się suchym głosem Adalbert i pospiesznie uczynił znak krzyża. - Wybaczcie, dopiero rano żem zauważył... Ten Ital-czyk...

- Wasz towarzysz doprawdy imponuje mi swą wiedzą o miejscowych demonach! - uśmiechnął się szeroko italski rycerz. - Od chwili, gdy oczy otworzyłem, ciągiem słyszę o ghulach i ifrytach. I o sobie, zwłaszcza o sobie.

- Przecież każdy pielgrzym, który do Francji powróci, zapewnia, że miejscowe cmentarzyska aż roją się od ghuli! Święty Patroklusie z Troyes, cud, że nas co nie zeżarło. Mówiłem, żebyśmy trzymali się z dala od Ital-czyków, a...

- Nie lękajcie się, dobry rycerzu! - Obiekt przerażenia ojca Adalberta wybuchnął szczerym śmiechem, po czym wznosił toast swoim kubkiem. - To bezpieczne miejsce. No, zdarza się, że po ciemku w coś przyrznę, o coś się wywalę, ale to wszystko. Przecież żadne szanujące się monstrum nie będzie obgryzać wyschniętych na wiór truposzy, kiedy na południu król Gwidon, uwolniony przez przełaskawego sułtana Salah ad-Dina, wciąż dostarcza nowych, świeżutkich. Zachodzę tu co noc i jakoś nigdy żadnego potwora nie widziałem, co oznacza, że one też mają swój rozum. Poza tym - zarechotał - żadna bestia nieczysta nie jest groźna, gdy kompanii towarzyszy zacny sługa boży, co ze świętymi za pan brat przestaje.

- Zachodzicie tu co noc - powtórzył Gaston. Podeszedł wolno do towarzyszy i usiadł na wyścielonych kocem kamieniach. Nawet nie zwrócił uwagi na stojące na ziemi miski, jedną wypełnioną daktylami i oliwkami, a drugą kawałkami chleba. Wskazał Bernardowi dzbanek, a służący posłusznie napełnił mu kubek. Młodzieniec ujął naczynie z winem, jak się okazało - cierpkim, i wychylił je do dna.

- Mnie też nalej - powiedział ich przygodny gospodarz, wyciągając swój kubek. Bernard zmarszczył brwi tak mocno, że przez moment wyglądały jak zrośnięte. Chrząknął groźnie, ale Gaston przyzwalająco skinął głową. Ogromny sługa napełnił kubek Italczyka i podał mu niechętnie. Krople wina prysnęły na jego nogawice.

- Wasz pachoł zawsze taki rozmowny? - zapytał rycerz. Minę miał nadal zaczepną, ale wolał już nie drażnić nią Bernarda.

- Od urodzenia - burknął Gaston.

- Widywałem berberyjskich ludojadów, co więcej uroku w sobie mieli. Mam wrażenie, że od tych jego grymasów wino nam kwaśniej.

- Wierzcie mi, panie, ma on przymioty, które to równoważą. Wybaczcie, ale o czym innym wolałbym pogadać, nie o starym wiernym Bernardzie. Dopiero co z okrętu wczoraj zeszedliśmy i obyczaj tujejsze nam obce. Doprawdy, inaczej sobie Tyr przedstawiałem i...

- Chodzi o to, że aniołów jakoś nie widać, wbrew temu, co pielgrzymi plotą? - podchwycił Italczyk. - Mnie to też, zaraza, gnębi.

- Nie, z tym się już zdążyłem pogodzić. - Gaston obrzucił kusym spojrzeniem ponownie zaczerwienionego Adalberta. - Bardziej mnie zastanawia, co pasowany rycerz porabia wśród hulających żeglarzy. I czemu wdaje się w uliczne bijatyki. I czemu sypia w nekropolii, zamiast...

- Dość! - przerwał mu szorstko Italczyk. Na jego policzkach pojawił się niezdrowy rumieniec. - Dość tego. Bo zaraz mnie oskarżysz, że ukradłem pas rycerski, a wierz mi, nie chcesz mi tego powiedzieć. Oj, nie chcesz! Nazywam się Vittorio Scozzi, z tych Scozzich.

- Nie chciałem was urazić, panie Scozzi, jeno...

- Dość, rzekłem! Udzieliłem wam schronienia, fakt, że skromnego, kierując się jednak współczuciem i dobrocią. Nietęgi z was szermierz, dobry panie Gastonie, ale żywot żeście mi uratowali, co tu dużo mówić. Byłby mnie kropnął ten Pizańczyk, jucha jedna! - Rumieniec Vittoria jeszcze się pogłębił na to wspomnienie. - Coś mi jednak mówi, że czas będzie się rozstać, bo...

Z tymi słowami zaczął sprzątać naczynia.

- Zaczekajcie, dobry panie Scozzi! - zawołał de Ba-ideaux. - Nie chowajcie urazy, jam niezwykajny...

- Juści, żeście niezwykajni. Pizańczyków wziąć za Saracenów, dobre sobie! W sumie jedni i drudzy potrzebni temu światu jak wrzód na krowim cycu, ale Saraceni przynajmniej bić się potrafią.

- ...a pomocy mi trzeba! Do orszaku rycerskiego jakiegoś trza mi się zaciągnąć! Śluby poczyniłem! - dokończył pospiesznie Gaston.

- Śluby? - W oczach Italczyka znów błysnęła ironia. -Jakie śluby? Coś nowego! Słyszałem już o wielu, ho, ho... Byli tacy, co ślubowali nigdy do ojczyzny nie wracać, ale to nic trudnego, bo jak cię Syryjki nie usidla, to Saraceny powalą. A jak nie Saraceny, to syfilis. Byli tacy, co od chę-dożenia powstrzymać się ślubowali. Najtwardszy tydzień wytrzymał. Tydzień albo sześć dni, nie pomnę już teraz. A wy, panie de Baideaux? No, cóżeście ślubowali?

Nagle świat znów pociemniał w oczach młodzieńca.

- Boże, nie - jęknął Gaston. - Nie...

Znikły gdzieś wszystkie kolory, jakby na oczy nasunięto mu szarą błonę. Wszelkie dźwięki poczęły cichnąć, czas zwolnił. Vittorio poderwał się blady, przerażony, Bernard zacisnął swe

ogromnie dłonie na jego ramionach, świat zakryła puciołowata, zaniepokojona twarz Adalberta, jego mięsiste wargi poruszały się, zapewne szepcząc jakąś niesłyszalną modlitwę. „Powiedz mu - zachęcił Diabeł. - No, opowiedz mu o swym ślubie, Gastonie. I wspomnij o tym, dlaczego go uczyniłeś”.

- Nie waż się używać mego imienia! - wysyczał de Baideaux, zaciskając pięści do bólu. „Och, wybac, wciąż zapominam! Wybac również, że nadal mączę twój spokój. Niestety, samo przybycie do Ziemi Świętej niczego nie załatwi, Gastonie. Nie pomoże nawet modlitwa w tutejszym kościele, choćby i najświętszym. Nie odpędzisz mnie, chłopcze, a w każdym razie nie przyjdzie ci to łatwo. Hmm... Znam cię jednak doskonale i wiem, że tak łatwo nie odpuścisz, prawda?”.

- Nie - wycedził Gaston.

„Cóż, czeka nas więc wiele wspólnych przygód. Przyznam szczerze, że nie mogę się doczekać. Jest przecież tyle rzeczy, których musisz się nauczyć”.

Po chwili znów poczuł na swej twarzy pałący blask słońca. Ostrożnie otworzył oczy. Zaniepokojony, śmiertelnie poważny Adalbert nie puszczał jego dłoni. Młodzieniec spróbował się uśmiechnąć, pokręcił głową, udając, że wszystko jest w porządku, ale nie zmylił mnicha, który delikatnie, z drżącą czułością pogładził go po nieogolonym policzku.

- Ho, ho, zaraza... - mruknął z wahaniem Vittorio. - A ja, durny, żyję w przeświadczeniu, że jeśli w nekropolii nic nie kusi, to już nigdzie nic nie kusi.

- To epilepsja - oznajmił pewnym głosem Adalbert, tak pewnym, że bez wątpienia tuszującym nieprawdę. - Oddaliśmy się w opiekę świętemu Witowi, dobry panie, i zmierzamy do Jerozolimy, do Grobu Świętego, by o uzdrowienie prosić.

- Aha. A o tym, że Jerozolima wzięta przez Salah ad-Dina, słyszeliście? Że z całego królestwa jedynie Tyr ostał w naszych rękach, a pozostałe państwa frankijskie, Hrabstwo Trypolis i Księstwo Antiochii siedzą cicho jak mysz pod miotłą?

- Jest jeszcze kraj księdza Jana - oświadczył z godnością Adalbert. - Listy przesłał na dwór świętej pamięci cesarza Manuela.

- Juści, byłbym zapomniał! - zadrwił Italczyk. - Jest i ksiądz Jan, który pewno aż się rwie, by nam pomóc! Podczas drugiej krucjaty jakoś się nie pojawił, może więc teraz przybędzie?

- Dość już tych kpin! - wykrztusił Gaston, siadając. - Krucjata z Francji rusza. Z Francji, z Anglii, z Cesarstwa Niemieckiego. Królowie Filip i Ryszard wielkie hufce ściągają, być może już są w drodze. Nie zdierży Salah ad-Din przeciw takiej cizmie, panie Scozzi. Odbijemy Jerozolimę. Ale ja... Ale ja nie chcę czasu marnować. Chcę walczyć już teraz, chcę się Bogu przypodobać, grzechy odpokutować. Wyście człek bywały, Tyr znacie. Zaprowadźcie mnie do jakiegoś możnego pana, przedstawcie. Będę o miejsce w orszaku błagał.

Vittorio przyglądał mu-się zaintrygowany.

- W sumie, czemu nie - rzekł w końcu. - Sądziłem, że udzielając wam gościny, spłacę w całości swój dług tak niebacznie zaciągnięty wczoraj, ale co mi tam. Oprowadzę was po Tyrze, przedstawię też kilku ludziom, o ile ich znajdę w tym rejwachu. My, Genuńczycy, zwykliśmy mawiać, że czas to pieniądz, a coś mi mówi, że czas, który wam oddam, zwróci mi się w brzęczącej monecie.

- Od kiedy dobry rycerz zajmuje się zarabianiem pieniędzy?

- A od kiedy epilepsja jest grzechem, za który trzeba pokutować? - zmrużył oczy Vittorio.

W południe Tyr przytłaczał jeszcze bardziej niż wieczorem.

Wąskie, ciasne uliczki miasta były wprawdzie kryte markizami, ale i tak nic nie rozpędziłyby panującej w nich duchoty. Powietrze wydawało się gęste niczym ciecz, w której zastygły ciężkie zapachy. Mieszkańcom to jednak nie przeszkadzało - z nieustającą werwą zajmowali

się swoimi codziennymi obowiązkami. Tyr huczał, krzyczał, targował się, śmiał, kłócił i przeklinał, poszczę-kiwał orężem, grzechotał kośćmi i świstał batem obojętny na to, że stał się jedynym miastem ostatniego strzępu ongiś wielkiego królestwa.

Rycerz Vittorio, nieodrodne dziecko Tyru, nie przestawał mówić ani na chwilę.

- Widzicie owe sztandary? - zapytał, gdy wymięli wóz drabiniasty, na którym kilku pacholków ustawiało beczki. Sądząc po ich uzbrojeniu i srogich, podejrzliwych minach, w beczkach z pewnością było wino.

- Gdzie? - zapytał zasapany Gaston i otarł pot z czoła.

- Tam! - Palec Vittoria wskazał masywne blanki cytadeli miejskiej, wzdłuż których spływały srebrne chorągwie z czerwonym pasem u góry, tu i ówdzie przetkane innymi, złotymi z czerwonym krzyżem. - Te złote to sztandary barona Baliana z Ibelinu, a srebrne markiza Konrada z Montferratu. Można ci to pan i doprawdy dzielny wojownik. Gdyby nie on, wasza krucjata skończyłaby się w Genui.

- Prawdę rzeczenie. - Gaston przez chwilę patrzył na skąpane w blasku słońca ściany cytadeli. Na tle jasno-błękitnego nieba unosiły się chmury ptaactwa morskiego. - Wasi pobratymcy na galerze gadali, że Salah ad-Dina sprzed murów Tyru przegnał.

- Przegnał, przegnał! - Italczyk wybuchnął wesołym śmiechem i minął nosiwodę przeciskającego się środkiem uliczki. - Choć trza przyznać poganinowi, że wszelkich sposobów się imał, by markiza pogrążyć. Posłał nawet po ojca Konradowego, hrabiego Wilhelma, który pod Hit-tinem dostał się do niewoli i w Damaszku był trzymany. Liczył, skubaniec, że gdy zagrozi staruszkowi śmiercią, Konrad zmięknie i bramy miasta otworzy. No i się przeliczył, bo Konrad oznajmił, że ojciec jego zdążył się już życiem nacieszyć i sam za kuszę porwał, by go przebić.

- Na świętego Krzysztofa! - wykrzyknął ojciec Adalbert zdyszany i spocony, ale przejęty beztrząsco wygłoszonymi słowami Vittoria. - Własnego ojca?!

- No, nie strzelił w końcu. Ale Salah ad-Din i tak starego hrabiego w końcu wypuścił z niewoli.

- Czyżby litość go ogarnęła? - burknął Gaston i sięgnął po bukłaczek z wodą.

- Gdzie tam litość! - prychnął Vittorio. Na moment zatrzymał się przy zadaszonym kramie, przy którym szczerbaty staruszek z werwą zachwalał piętrzące się przed nim stopy kostek chałwy, kawałków masy migdałowej i wafli miodowych. - Rachatłukum, mniam! Nie, żadna litość. Zdrowy rozsądek. Po cóż miał starego hrabiego dalej trzymać, skoro nie mógł mu się na nic już przydać? Poza tym trzymanie chrześcijańskich jeńców, zwłaszcza dobrze urodzonych, zwyczajnie kosztuje. Wiecie, dobry rycerzu Gastonie, ile taki nobil zeżreć potrafi? Jenó z duchownymi nijak im się w obżarstwie mierzyć.

Vittorio wymownie zerknął na wydatny brzuszec Adalberta, który obrzucił właśnie tęsknym spojrzeniem obwieszony latarniami barwny kram ze słojami powideł i syropu oraz garncami z sorbetem. Italczyk chciał pociągnąć wątek obżarstwa różnych stanów, ale jego słowa zagłuszyło wściekle porykiwanie osła, na którym jechał dostojny ormiański kupiec, kołysząc się nad głowami przechodniów niczym statek nad falami. Gdzieś z tyłu tłum roztrąciło kilku żołnierzy ze znakiem Montferra-tów na przesywanicach, z przodu ktoś w łamanym dialekcie francuskim wrzeszczał o fałszywych odważnikach. Śmierdziało moczem i osłą sierścią.

Marcin Mortka

- Na świętego Krzysztofa! - wykrzyknął ojciec Adalbert zdyszany i spocony, ale przejęty beztrząsco wygłoszonymi słowami Vittoria. - Własnego ojca?!

- No, nie strzelił w końcu. Ale Salah ad-Din i tak starego hrabiego w końcu wypuścił z niewoli.

- Czyżby litość go ogarnęła? - burknął Gaston i sięgnął po bukłaczek z wodą.

- Gdzie tam litość! - prychnął Vittorio. Na moment zatrzymał się przy zadaszonym kramie, przy którym szczerbaty staruszek z werwą zachwalał piętrzące się przed nim stopy

kostek chałwy, kawałków masy migdałowej i wafli miodowych. - Rachatłukum, mniam! Nie, żadna litość. Zdrowy rozsądek. Po cóż miał starego hrabiego dalej trzymać, skoro nie mógł mu się na nic już przydać? Poza tym trzymanie chrześcijańskich jeńców, zwłaszcza dobrze urodzonych, zwyczajnie kosztuje. Wiecie, dobry rycerzu Gastonie, ile taki nobil zeżreć potrafi? Jenó z duchownymi nijak im się w obżarstwie mierzyć.

Vittorio wymownie zerknął na wydatny brzusek Adalberta, który obrzucił właśnie tęsknym spojrzeniem obwieszony latarniami barwny kram ze słojami powideł i syropu oraz garnkami z sorbetem. Italczyk chciał pociągnąć wątek obżarstwa różnych stanów, ale jego słowa zagłuszyło wściekle porykiwanie osła, na którym jechał dostojny ormiański kupiec, kołysząc się nad głowami przechodniów niczym statek nad falami. Gdzieś z tyłu tłum roztrąciło kilku żołnierzy ze znakiem Montferra-tów na przesywanicach, z przodu ktoś w łamanym dialekcie francuskim wrzeszczał o fałszywych odważnikach. Śmierdziało moczem i osłą sierścią.

- Ponoć wypuścił również króla Gwidona, którego pod Hittinem w niewolę pojmał - stwierdził kwaśno Ga-ston. - To też zdrowym rozsądkiem nazwiecie?

- Jak najbardziej - odparł Vittorio i pomachał do kogoś w tłumie.

Niespodziewanie wśród spieszącej ulicami ciszy błysnęły tuniki ze znakiem Konrada z Montferratu, tym razem o wiele bliżej niż poprzednio. Vittorio natychmiast skrzył w boczną uliczkę i skrył się w cieniu rzucanym przez drewniane rusztowanie kramu z belami atlasu. Trójka pielgrzymów, chcąc nie chcąc, podażyła za nim.

- Można to pan - mruknął. - A mściwy, skurwysyn... A co do waszego pytania, dobry panie Gastonie, to pozwolę sobie powtórzyć: jak najbardziej. Założę się, że wielu doradców odsądziło sułtana od czci i wiary, i po cichu medyków pytało, czy pan ich najjaśniejszy aby za dużo czasu na słońcu nie spędził. Bo cóż to niby za pomysł? Wypuścić na wolność króla gjaurów li tylko na słowo honoru, że nie będzie przeciwko synom Mahometa więcej stawał? Bzdura, prawda? Mało kto jednak zauważył, że uwalniając Gwidona, sułtan za jednym zamachem skłócił obóz Franków oraz pozbył się kolejnej, tym razem koronowanej gęby do wyżywienia. Wiecie, ile taki król zeżreć potrafi? Zwłaszcza pognębiony król, któremu nic poza jedzeniem w życiu nie zostało?

- Jak to skłócił Franków?

- A tak to. Gwidon dwukrotnie przybył do Tyru, żądając uznania go władcą wszystkich Franków, a Konrad dwukrotnie zatrząskiwał przed nim bramy - z humorem stwierdził Italczyk, spoglądając ponad ramieniem Bernarda, czy strażnicy przeszli dalej. - Stwierdził, że Marcin Mortka

nie uzna króla, który najpierw stał się igraszką templariuszy, potem wygubił armię królestwa i utracił Krzyż Prawdziwy, a na dodatek dostał się do niewoli. Dodał, że poczeka w Tyrze na cesarza niemieckiego i króla Francji, niech oni rozsądzą kwestię objęcia tronu.

Zastałym, cuchnącym powietrzem uliczki targnął na moment chłodny morski wiatr, słaby niczym wyrzut sumienia. Dwóch siedzących na dywanie w cieniu kramu z atlasem syryjskich kupców napiło się zgodnie sorbetu, nabierając sił przed drugą turą wściekłych negocjacji.

Jasnowłosa mężczyzna o bladej, zaróżowionej od słońca skórze, bez wątpienia najemny strażnik, oparty na mieczu odprowadził przybyszów ciężkim wzrokiem.

Wzrok Gastona zatrzymał się na jego broni.

Błysnął miecz de Souhait, za późno. Szarpnięty z wielką siłą jeździec wylądował w błocie, usiłował się poderwać, nie mógł. Wypuszczony z dłoni oręż pochłonęła kałuża.

Potrząsnął głową i odezwał się, usiłując mocnym tonem odpędzić wspomnienie:

- Mówicie, że część chrześcijan pociągnęła za Gwidonem pod Akkę. A zatem Konrad, którego nazywacie dzielnym, moźnym i mściwym, siedzi sobie za bezpiecznymi murami miasta, a Gwidon, którego spod nich przepędziliście, walczy z Salah ad-Dinem. Kto naprawdę jest tu dzielny?

- Lepiej zadać sobie pytanie, kto tu jest mądry. - Vittorio wzruszył ramionami. - Hufiec, z którym król Gwidon ruszył pod Akkę, jest ponoć dwakroć mniej liczny od załogi miasta, a trza wam wiedzieć, że lepiej bronionej fortecy na całym wybrzeżu ze świecą szukać. Co więcej, Salah ad-Din z kolejnymi oddziałami już następuje mu na pięty i tak oblegający stał się obleganym. No, ruszajmy!

Gaston westchnął ze znużeniem. Do wczoraj, a konkretnie do chwili zejścia na tyryjskie nabrzeże gotów był uwierzyć we wszystkie, choćby najbarwniejsze opowieści Adalberta o Ziemi Świętej. Gotów był naprawdę uwierzyć w anioły unoszące się nad głowami zbrojnych chrześcijan, uzdrowienia w Bazylice Grobu Świętego, kościoły pełne boskich relikwii i kwiaty oplatające miecze wojowników walczących o chwałę Pana. Starał się podchodzić do swych wyobrażeń z dystansem, do czego skłaniała go wrodzona ostrożność, ale nigdy, przenigdy nie spodziewał się, że Ziemia Święta będzie tak dalece wyprana ze wszelkiej świętości.

„Przybyłem tu, by odpokutować - pomyślał z niedowierzaniem. - Ale czy to w ogóle możliwe? A może... Może ten głos, który odzywa się w mej głowie, może on ma rację? Może nigdy się go nie pozbędę?”

Zacisnął powieki, z całej siły odpychając ponure wspomnienie kasztelu Baideaux i otaczających go borów. Jeśli istniało na świecie coś gorszego od Tyru, z pewnością był to kraj jego lat dziecińczych.

Osowiały powlókł się więc za Vittorioem, który ani na chwilę nie przestawał gadać. Obrzucał obojętnym spojrzeniem jasnowłosych Normanów o zaróżowionych policzkach, miejscowych Franków o lekko zbrązowiałej skórze, brodatych Ormian i Syryjczyków o ciemnych twarzach i oczach, a także całkiem czarne oblicza Nubijczyków. Wyruszając w podróż, sądził, że widok przybyszów z najdalszych krain zaciekał go, odgoni złe myśli, tymczasem ich twarze, jednak obce, wprawiały go tylko w coraz większe otepienie. Z niechęcią spoglądał na swych osiadłych tu rodaków, którzy nadal mówili jego mową, ale nosili się po miejscowemu, wystrojeni w bogate szaty i z turbanami na głowach. Z niedowierzaniem wodził wzrokiem za frankijskimi żołnierzami, który nosili okrągłe tarcze, kryli karki arabskimi kufi-jami i ze swadą perorowali coś syryjskim towarzyszom w ich mowie. Jedynym elementem opowieści Adalberta, który zgadzał się co do joty, było bogactwo mieszkańców, co -znając upodobania kapelana barona de Baideaux - w zasadzie nie powinno dziwić młodzieńca. Nic jednak nie mogło przygotować go na zauważalny wszędzie przepych. Nawykły do surowych murów rodzinnego kasztelu i zgrzebnej, rzadko kiedy pranej odzieży, co rusz odwracał głowę za kolejnym burnusem wyszywanym złotą nicią, za kolejnym turbanem połyskującym brylantami czy nabijaną klejnotami pochwą miecza. Z trudem powstrzymywał się, by nie przystanąć obok kramu złotnika, by nie pomacać kąpiącej od złota upręży śmigłego konia, lecz powstrzymywały go wymowne spojrzenia uzbrojonych po zęby strażników. Tyr kipiał od bogactwa, ale jednocześnie pokazywał, że potrafi go obronić.

„Ale po co komu złoto? - odezwała się trzeźwiejsza myśl. - Po co, skoro Jerozolima wpadła w ręce wroga? Po co, skoro Salah ad-Din trzyma w szachu resztki Outremer?”

I nagle wielojęzyczny, żywy gwar miasta wydał mu się wrzaskiem rozpacz, ścianą dźwięku, za pomocą której tyryjczycy, bez względu na narodowość i wyzwanie, odgradzili się od prawdziwego zagrożenia, od zadania, które powinno stanowić treść ich życia. Pokręcił głową i spojrzał na bruk pod swymi stopami, brudny i zdeptany.

„Ten piach to jedyne, co łączy Tyr z Królestwem Jerozolimskim - zrozumiał nagle. -

Tyryjczycy nie dbają już o sprawy wielkie, skupili się na własnych. Próbuja zapomnieć”.

Niespodziewanie wśród tłumu mignął żywy błękit. Zaciekawiony, na moment wyrwany z apatii, Gaston zerknął w tamtym kierunku, a wtedy smagnęło go ciekawskie, gorące spojrzenie umalowanych czernią oczu. Strojna w błękit dziewczyna, ani chybi wysokiego rodu, stojąca w towarzystwie skromniej odzianej czarnowłosej damy i mameluka z

jastrzębiem na ramieniu, odsłoniła woalkę i uśmiechnęła się szeroko. Białe zęby błysnęły pośród krytych barwiczką ust, rudy lok opadł na policzek, lecz natychmiast odgarnęła go drobna dłoń migocząca pierścieniami. Zapłoniony młodzieniec pochylił głowę.

„Dobry Panie! - pomyślał ze zgrozą. - Nigdy dotąd kobieta tak na mnie nie spojrzała... Co się dzieje z ludźmi w Twym kraju, Chryste? Dlaczego stali się odmieńcami niczym porwani przez elfy?”

Nagle wpadł prosto na plecy perorującego głośno Vittoria.

- ...pokarał, razem z tymi pizańskimi wieprzami! No i z Wenecjanami, rzecz jasna. Ejże, co to? Jakaś podwika wpadła wam w oko, dobry rycerzu?! - zawołał Italczyk i odwrócił się. - O, i to nie byle jaka! Sama Vivienne de Grenier, dopiero co oswobodzona - znaczy się wykupiona - przez wuja z niewoli saraceńskiej, w chwili obecnej, jeśli wierzyć plotkom, szczególnie rozmiłowana w pielgrzymach szlachetnego rodu. Twierdzi ponoć, że tacy kochają z prawdziwie bożym uniesieniem, a ponadto piasek nie zgrzyta im między zębami...

- Niechajcie! - warknął Gaston.

- Dobrze, już dobrze. Widzę przecież, że świątobliwy ojculek zapłoniony aż po czubek tonsury. Cóż, Ziemia Święta nie taka święta, he, he! O, ci zbroje wiedzą o tym najlepiej.

Głos przewodnika niespodziewanie ochłódł i de Ba-ideaux, ze wszystkich sił próbując wyprzeć z umysłu twarz nieznaną, spojrzał w tym samym kierunku co on.

Przecinany skośnymi snopami światła półmrok ulicy niespodziewanie rozjaśniła biel. Oczom młodego pielgrzyma ukazał się zbrojny jeździec w białej tunice narzuconej na kolczugę, a za nim kolejny i jeszcze jeden. Ich twarze były dumne i ściągnięte, patrzyli ponad uszami końskimi, jakby nie dostrzegali rozstępujących się przed nimi przechodniów. Dosiadane przez nich potężne de-striery rodem z południa Francji mierzyły ciżbę niespokojnymi spojrzeniami, ale szły spokojnie, posłuszne mocnym dłoniom w kolczych rękawicach. Przechodnie zresztą nie napierali zbyt - na widok jeźdźców cichły wszelkie rozmowy, a ludzie usuwali się pod ściany i w kąty, na wszelkie wypadek próbując nie zwracać na siebie uwagi. Czerwone krzyże ostro odcinające się od bieli ich tunik otaczała bowiem złowroga sława, której zatrzeć nie zdołały nawet wieści o masakrze pod Rogami Hittinu.

- Templariusze - syknął Vittorio, gdy tłum na powrót zasłonił rycerzy zakonnych oraz jadących za nimi serwiensów, posępnych, uzbrojonych po zęby mężczyzn w brunatnych tunikach, a na ulicy na powrót zawrzały rozmowy. - Jak świat światem, nikt jeszcze nie widział tak zakłamaną bandę szubrawców. Nawet przy naj-uczciwszym z nich Judasz Iskariota to człek prawy i szlachetny! Idealne wprost połączenie zachłanności kleru z rycerską pychą i zdradliwością najemników.

- O, tuście mnie, panie, ugodzili do żywego.

Głos, który rozległ się za ich plecami, był pozornie żartobliwy, ale miał w sobie coś chłodnego niczym klinga. Coś, co sprawiło, że odwrócili się niemalże na pięcie. I wstrzymali oddech.

Przed nimi stał niemłody już człowiek o siwej, krótko przyciętej brodzie i równie siwych włosach. Jego twarzą, ogorzałą od gorących wiatrów pustyni, wstrząsał tik nerwowy, trudno powiedzieć, wrodzony czy obudzony gniewem. Maślane oczy przybysza patrzyły niemalże obojętnie, a silną dłoń, demonstracyjnie wygładzająca teraz czerwony krzyż na białej tunice, nawet nie zadrżała.

- Dobrze wiedzieć, co myślą na nasz temat Genuńczycy - powiedział powoli templariusz. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu pozbawionym wesołości.

- Dobrze wiecie, co myślą na wasz temat Genuńczycy! - Vittorio błyskawicznie odzyskał rezon. - Trzeba być ślepy i głuchy, by tego nie wiedzieć, bracie. Po cóż więc ta ironia?

- Mylisz ironię z czymś innym, Italczyku. - Oczy templariusza nadal pozostawały maślane, bez wyrazu. -

Marcin Mortka

Kiedyś być może ci to wyjaśnię, w zupełnie innych okolicznościach, ale na ten przywilej będziesz musiał poczekać.

Nieznajomy zakonnik zwrócił oczy w stronę młodzieńca, a wtedy na jego ustach pojawił się nieoczekiwany uśmiech.

- Witajcie w Tyrze, Gastonie de Baideaux - powiedział z lekkim ukłonem. - Zważ mnie bratem Hubertem, a przypadł mi zaszczyt przyprowadzenia was przed oblicze komandora Tyru Wilhelma du Triere oraz mistrza Roberta de Sabie.

- Mnie? - Zdumienie Gastona nie miało granic. Zaskoczony zerknął na Adalberta i Vittoria, lecz zarówno kapelan, jak i italski rycerz jedynie wytrzeszczyli oczy jednako zaskoczeni.

- Was, panie, was. Zawsze będziemy z otwartymi sercami witać rycerzy z zacnego rodu de Baideaux. Nikt, kto w Chrystusa wierzy, nigdy nie zapomni dokonań waszego brata, Rogera de Baideaux.

Ułożone na srebrnych misach jedzenie parowało, napełniając komnatę komandorii tysiącem ostrych, kuszących zapachów. Gaston pomyślał, że uczta, którą go podejmowano, przypomina sam Tyr - wystawna, bogata, oszałamiająca, a przez to pusta, pozbawiona znaczenia. Pomny swoich wcześniejszych rozważań, umknął wzrokiem ku kamiennej ścianie, gdzie wisiał prosty krzyż.

W tej samej chwili jego łożędek zaburczało żałośnie.

- Żyjemy wedle surowych reguł. - Mistrz dostrzegł spojrzenie Gastona i skinął na giermka. Ten podszedł i napełnił puchar gościa winem. - Wiemy jednak, że ci, którym przyjdzie walczyć o wiarę, muszą mieć siłę, by unieść miecz. Tych karmimy suto. Na nic Bogu wygłodniały wojownik. Jedzcie, dobry rycerzu.

Z tymi słowami oderwał kawałek przyrumienionego pieczystego i włożył sobie do ust. Ośmielony młodzieniec skinął głową i poszedł w jego ślady, pilnie uważając, by nie jeść zbyt łapczywie. Nie było to łatwe - od nader skromnego śniadania, którym podjął ich Vittorio w rzymskiej nekropolii, minęło już sporo czasu, a mięso było doskonałe, przyprawione wprost wybornie. Stary baron de Baideaux nie należał do nazbyt zamożnych i obiady w kasztelu rodzimym doprawiano jedynie solą, a zapijano miejscowym cienkuszem bądź kwaśnym winem. Oszołomiony bogactwem smaku Gaston jadł więc i jadł za dwóch, popijając równie doskonałym winem. Dopiero po dłuższej chwili opamiętał się na tyle, by unieść wzrok i zerknąć na obu zakonników.

Komandor Tyru, Wilhelm du Triere, wychudły, posiwiały człowiek o pobrużdżonej, ogorzałej twarzy, nie budził jego sympatii. Jadł niewiele, nie odzywał się, a jego oblicze nie zdradzało żadnych zgoła emocji, spojrzenie zresztą również. Inaczej było z wielkim mistrzem. Robert de Sabie okazał się być mężczyzną postarzałym, lecz wciąż krzepkim i barczystym, z pozoru surowym i nieprzystępnym, ale w jego bładoniebieskich oczach migotały żywe iskierki. Młodzieniec nie umiał stwierdzić, czy wielki mistrz jest rozbawiony, czy tylko zaintrygowany,

ale na wszelki wypadek obiecał sobie, że nie będzie przyglądał mu się zbyt natarczywie.

„Chyba nie co dzień wielki mistrz zaprasza pielgrzymy - pomyślał. - Muszę się zachowywać przystojnie, najlepiej jak umiem”.

Przyprawy paliły żywym ogniem. Gaston jadł i popijał winem.

- Brat Hubert mówił - odezwał się z pełnymi ustami - że mój brat zasłużył się dla zakonu.,

Komandor Tyru nagle drgnął i spojrzał na gościa z niedowierzaniem. Iskierki w oczach Roberta rozbłysły ze zdwojoną mocą.

„Psia mać! - pomyślał przestraszony de Baideaux i odstawił puchar z winem gwałtownie, jakby nagle odkrył, że dolano do niego truciznę. - Powiedziałem coś nie tak”.

- To prawda. - Sam wielki mistrz skinął głową. -Mógłbym prawić o jego zasługach do rana, a nie wymieniłbym wszystkich. Z tego, co słyszałem, również miał zwyczaj przerywać ciszę podczas posiłku.

Reprimenda templariusza, choć utrzymana w żartobliwym tonie, z pewnością zawstydziłby Gastona, gdyby nie zaskoczenie, jakie wzbudziły w nim te słowa.

- Roger był zakonnikiem?! - zawołał. - Myślałem, że...

Nie wiedział, co tak naprawdę myślał. O najstarszym z trójki synów barona de Baideaux w rodzinnym kasztelu prawie nie mówiono. Stary baron wspominał go jedynie kilkakrotnie przy Gastonie, za każdym razem ze wzgardą i niechęcią. Adalbert, który znalazł się na dworze po kilku latach od zniknięcia Rogera, twierdził, że ten zbałamucił córkę jakiegoś notabla, a potem przystał do grasantów. Żołnierze na służbie ojca utrzymywali z kolei, że okradł barona po jakiejś straszliwej kłótni i uciekł do Anglii. Gaston nie miał żadnych wspomnień związanych z bratem - miał niecałe trzy lata, gdy Roger znikł - i wyrastał w przekonaniu, że nie warto o niego w ogóle pytać. Zrobił to jedynie raz, gdy miał lat bodajże siedem, i gorzko tego pożałował. Błyskawicznie przywykł więc do myśli, że jego jedynym bratem jest leniwy, niechętny mu Ludwik, oczko w głowie starego barona, i dla własnego spokoju i bezpieczeństwa nigdy nie zaprzętał sobie Rogerem głowy.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że został rycerzem zakonnym.

Robert de Sabie pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Rozumiem waszą konfuzję, drogi panie de Baide-aux - oznajmił. - Gdy młody człowiek wstępuje w szeregi Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa, przyjmuje zakonne imię i wyrzeka się swego dotychczasowego życia. Bywa, że ucina wówczas wszystkie kontakty ze swą rodziną. Mówiono mi, że Roger de Baideaux nigdy nie wspominał ani słowem miejsca, z którego pochodził.

- Czy... Czy był dzielnym rycerzem? - spytał z zakłopotaniem Gaston, wciąż obawiając się spojrzeć na wielkiego mistrza. Czuł, że zadaje to pytanie z obowiązku, by nie okazać braku szacunku nieznanym gospodarzom, którzy tak godnie go ugościli. Imię dawno zaginionego brata nie obudziło w nim żadnych emocji poza zdumieniem i zmieszaniem. Miał bowiem wrażenie, że jego świat, dość już wstrząśnięty rozczarowaniami, których doznawał od chwili zejścia na ląd, zafalował na nowo, gdy usłyszał niemal zapomniane imię brata. Wreszcie uniósł wzrok i spojrzał na wielkiego mistrza, gdy też ten parsknął głośno i plasnął dłonią o kolano.

- Na rany Chrystusa! - zawołał. - Wasz brat, panie, stawał w pierwszej linii pod Montgisardem! Walczył, jakby go sam święty Jerzy prowadził! Stawał również pod Rogami Hittinu i jako jeden z nielicznych przebił się przez Saracenów, z rozkazu wielkiego mistrza Gerarda de Ridefort unosząc naszą świętą chorągiew. Zaiste, niewielu mieliśmy w zakonie równie sprawnych szermierzy, niewielu mieliśmy tak zaciekłych wojowników.

- Rzekliście, mieliśmy - zauważył Gaston, dziwiąc się własnej śmiałości. <- Czyżby przyszło mu się rozstać z życiem?

- Nie wiemy tego, dobry rycerzu de Baideaux - westchnął wielki mistrz i upił łyk wina. Przez moment przyglądał się płomieniom świec, zapalonych, choć przez okno komnaty wpadało skosem ostre światło słoneczne. - Nie wiemy. Wasz brat Roger wyjechał z Tyru pod koniec lipca z ważną misją i zaginął bez śladu.

Gaston pokiwał głową, zawstydzony ulgą, którą poczuł w głębi ducha. Przez krótką chwilę obawiał się bowiem, że zostanie Rogerowi przedstawiony, a zupełnie nie wyobrażał sobie rozmowy z obcym człowiekiem utrzymującym, iż jest jego najstarszym bratem. Jednocześnie obudził się w nim niepokój innego rodzaju. Ostrożność, jego druga skóra, owa siła, która pozwoliła mu przeżyć tyle lat u boku ojca okrutnika i nienawidzącego go brata, znów dała o sobie znać.

„Skoro Roger zaginął, to po co templariusze chcą ze mną rozmawiać?” - zapytał sam siebie. Zerknął na komandora Tyru. Stary, ogorzały od słońca rycerz wpatrywał się weń nieruchomymi oczyma pustynnej żmii.

- Zapewne chciałbyś wiedzieć, dlaczego chcemy z tobą rozmawiać - powiedział cichym, szeleszczącym głosem.

Krew w żyłach Gastona skuł lód.

- Po pierwsze, czynimy to z szacunku dla członka tak ważnego dla nas rodu - odezwał się wielki mistrz, unosząc przy tym dłoń, jakby chciał załagodzić szorstką wypowiedź swego towarzysza. - Po drugie, kieruje nami lęk o jego los. Wasze przybycie do Tyru, dobry rycerzu, wielce nas zaskoczyło. Czy brat Roger kontaktował się z wami przez ostatnich kilka tygodni? Czy wysyłał jakiegokolwiek listy do ojca?

Młodzieniec pokręcił głową.

„A więc nie chodzi o to, że tak po prostu zaginął - stwierdził w duchu. - Wprzód napsuł wam krwi, co?”

Komandor Tyru uśmiechnął się leciutko, ukazując poźółkłe zęby. Zupełnie jakby w odpowiedzi na myśl Gastona.

- Brat Roger był zwykłym rycerzem zakonnym, ale jego waleczność i cnotliwość przyniosły mu nasze wielkie uznanie - ciągnął wielki mistrz. - Cóż, z pewnością wiecie, że wielu spośród naszych najdzielniejszych rycerzy poległo pod Rogami Hittinu.

Niespodziewanie zabrakło nam zacnych mężów, którzy mogliby zastąpić tych, którzy odeszli do Królestwa Niebieskiego.

- Zakon nadal jest potężny - odezwał się komandor du Triere. - Przez cały czas przybywają do nas bracia z Poitou, Owernii, Prowansji i innych krain, i nasze hufce rosą w siłę, ale nie możemy oddać najwyższych stanowisk przybyszom. Ich dzielność i umiłowanie Boga nie budzą wątpliwości, ale nie znają Ziemi Świętej. Doprawdy, gotowi są szarżować na pierwszego lepszego człowieka w turbanie, wrzeszcząc: „Saraceni! Do broni!”.

Nieruchomy wzrok komandora Tyru był coraz bardziej nie do zniesienia. Gaston uciekł wzrokiem w bok, ale zmusił się do przybrania uśmiechu i spojrzenia na Roberta de Sabie.

- Przewidzieliśmy dla Rogera de Baideuax funkcję marszałka zakonu - oznajmił krótko wielki mistrz.

- Jest mi przykro - wykrztusił młodzieniec. - Jest mi bardzo przykro, że nie mogę pomóc. Roger nigdy nie wysyłał wieści do domu, a jeśli tak było, to nic o tym nie wiem. Naprawdę...

Robert de Sabie uniósł dłoń, przecinając wywód swego gościa, i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Wybaczone nam te pytania, panie de Baideaux - powiedział. - Wiedzcie bowiem, że nie chodzi nam tylko i wyłącznie o stanowisko zakonne, albowiem prędzej czy później znajdziemy godnych jego piastowania. Chodzi nam o inną rzecz. Musicie wiedzieć, że wasz brat dostąpił łaski pańskiej. Wedle słów innych braci, pewnej sierpniowej nocy ujrzał we śnie Szymona Cyrenejczyka, który zdradził mu miejsce, gdzie została ukryta relikwia Krzyża Prawdziwego. Otóż ponoć Salah ad-Din wcale nie zawiózł naszej świętości do Damaszku. Nakazał ją w tajemnicy pozostawić gdzieś w Outremer, lecz nie wiemy gdzie. Brat Roger osiodłał konia następnego dnia o świcie i łamiąc dyscyplinę, wyjechał samojeden traktem na Sydon. A potem nikt już go nie widział.

Przez moment w komnacie panowało milczenie. Promyki świateł drgały targane odległymi powiewami, przez okno napływał gwar ulicy. Gaston przygryzł wargę.

„Łaska pańska - pomyślał wytracony z równowagi słowami templariusza. - Szymon Cyrenejczyk. Ojciec litościwy, czyżbyś jednak miał sposób, by przebić się do serc i dusz tych ludzi?”.

- Po co przybyliście do Ziemi Świętej, panie de Ba-ideaux? - zapytał komandor du Triere. - Służyć Bogu czy szukać bogactw?

- Służyć Bogu - wyszeptał młodzieniec, spuszczać głowę. - Za nic mam bogactwa, za nic sławę wojenną. Chcę walczyć o Grób Święty, chcę...

Na końcu języka miał słowo „odpokutować”, ale powstrzymał się w porę. Wolał, by templariusze nie zaczęli go wypytywać o przyczynę owej pokuty. Trudno byłoby mu skłamać, zwłaszcza przed du Triere.

- ...odnaleźć brata? - zapytał tenże.

- Tttak - bąknął Gaston.

„Boże, co ja wygaduję?”

- Skoro serce wasze czyste, panie de Baideaux, tedy z otwartymi ramionami powitamy was w Zakonie Ubogich Rycerzy Chrystusa - oznajmił wielki mistrz z uśmiechem. - Czego jak czego, ale walki o Grób Święty ci u nas nie zbraknie.

Młodzieniec poczuł, że świat wokół niego zaczyna wirować coraz szybciej. Najpierw bijatyka z Pizańczykami, potem włóczęga ulicami Tyru i opowieść o zaginionym bracie, wreszcie nieoczekiwana propozycja samego wielkiego mistrza zakonu templariuszy - obrazy, słowa, myśli śmigają, wpadały na siebie, pogłębiały chaos. Przymknął oczy, usiłując narzucić sobie spokój, ale nie był w stanie. Ostrożność umknęła niczym pies zapędzony kopniakiem do ciemnego kąta.

Oczyrna wyobraźnia ujrział znów trzech braci zakonnych na okazałych destrierach jadących uliczkami Tyru. Widział ich proste sylwetki, poważne, surowe twarze oraz czerwone krzyże na tunikach, smakował atmosferę nabożnego szacunku i niechętnego podziwu, która przepoiła wówczas tłum.

„Miałbym zostać ubogim rycerzem Chrystusa? - zapytał sam siebie z niedowierzaniem. - Chrystusie, czy to prawda? Czy ja śnię?”

„Nie - odpowiedział Diabeł. - Niestety nie śnisz, Ga-stonie. Niestety to realna groźba. Dlatego też trzeba działać”.

Przerażony otworzył oczy. Postacie wielkiego mistrza i komandora Tyru były mniej wyraźne, zamazane, a świat utracił kolory. Dostrzegł, jak Robert de Sabie podrywa się, a Wilhelm du Triere odstawia gwałtownie kielich, aż naokoło tryskają krople wina czarne niczym rozpacz. A wtedy usłyszał własne słowa, wyrzeszczane ochryplym głosem:

- Bądź przeklęty, marny psie bezsilnego Boga! Za nic mam twe słowa i plwam na krzyż, który nosisz! Przeklinam cię w imię Księcia Ciemności i demonów pustyni! Bądź przeklęty w imię Baala-Merkarta, w imię...

Świat pociemniał i znikł.

Rozdział trzeci

w którym rozprawia się o sprawach wielkiej wagi, a uwięziony Gaston uświadamia sobie znaczenie picia trunków w niektórych szczególnych okolicznościach.

Zbliżał się wieczór.

Rozkołysany dzwon katedry Świętego Krzyża wybijał Angelus, dając przykład pozostałym dzwonom Tyru, a klęczący przed ołtarzem mnisi zaintonowali Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum... Tętniące życiem miasto umilkło zgromione na moment mocą melodii, lecz zaraz poderwało się z tym większą energią. Fale morza znów zalała czerwień zachodzącego słońca, co od wieków wyznaczało początek nocnych hulanek.

W gwarze wielojęzycznych pokrzykiwań, śpiewów i śmiechów, zazwyczaj tak głośnych, tak radosnych i gwałtownych, tym razem pobrzmiwał jakiś niespre-cyzowany niepokój, zupełnie jakby starożytne fenickie miasto wyczuwało nadchodzące zagrożenie i usiłowało podzielić się nim ze swymi nowymi panami. Znać go było wszędzie - w cytadeli, w pałacu Konrada z Montfer-ratu, w portach, na ulicach, w tawernach. Znać go było również - a może przede wszystkim - w podziemiach tyryjskiej komandorii templariuszy.

Mistrz Robert de Sabie westchnął głęboko.

Mocny zapach żywicy drzewa mastyksowego, którym okadzono łaźnię, zawsze przywracał mu choć część sił, ale tym razem było inaczej. Czuł się znużony, wręcz przygnębiony, a świadomość, że zaraz będzie musiał udawać człowieka zdecydowanego i panującego nad sytuacją, przygnębiała go jeszcze bardziej. Usiadł na marmurowej ławce, zdjął koszulę i ułożył ją z przesadną starannością. Przez moment siedział nieruchomo, po czym westchnął raz jeszcze, wstał i wzuwszy drewniane chodaki, ruszył w kierunku sali, z której dobiegały przytłumione odgłosy rozmowy.

Przed drzwiami przystanął. Uśmiechnął się smutno i palcem wskazującym nakreślił krzyż na zaparowanej bizantyjskiej mozaice. Zawsze dodawało mu to siły przed poważniejszymi momentami w życiu, ale wątpił, by wsparcie Boskie mogło sięgnąć niewielkiej łaźni - hammam - skrytej w podziemiach komandorii tyryjskiej.

Czasem wątpił, czy docierało w ogóle do Outremer.

Zamazał krzyż i pchnął drzwi. Ze środka buchnęły kłęby pary i ostatnie słowa toczonej gwałtownymi głosami rozmowy.

- Niech Bóg wspomaga Grób Święty - rzekł w ciszy.

- Amen - odpowiedzieli obecni niemrawo, jakby ze zdziwieniem.

„Czyżbym był ostatnim, który dba tu o pozory?” - zdumiał się wielki mistrz, schodząc po marmurowych schodkach do niewielkiego baseniku, w którym siedzieli pozostali dostojnicy zakonu. W blasku kilku lamp oliwnych widział ich twarze, wilgotne, czerwone od gorąca i emocji.

Najbliżej rozsiadł się brat Fulko piastujący urząd seneszala zakonu, człowiek potężny i otyły, o złych, błyszczących oczach. Brutalna, nalana twarz sugerowała prostą, nieskomplikowaną naturę, ale Robert już dobrze wiedział, że to pozory, że Fulko dysponuje nadnaturalnym wprost talentem do robienia interesów. Bez ustanku znajdował nowe sposoby na pomnożenie bogactwa zakonu, a swe plany przeprowadzał z bezwzględnością i żelazną konsekwencją. Wielki mistrz wolał nie myśleć, ile ludzi zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie życzyło mu co noc śmierci.

Na widok swego przełożonego seneszal rozprostował zaciśnięte mocno mięsiste pięści i zmusił się do nieszczerzego uśmiechu, ale zaczerwienione oblicze zdradzało, że to właśnie on toczył przed chwilą kłótnię. Robert zerknął w stronę przeciwległego rogu baseniku, gdzie siedział marszałek zakonu, Victor de Mouisse, człowiek zaskakująco młody jak na swe stanowisko. Jego nadobną, gładką twarz wykrzywiał teraz tik nerwowy, a niezdrowe rumieńce na policzkach dopowiadały resztę.

„No, jeszcze tego brakowało, by Fulko ściał się z Vic-torem” - pomyślał wielki mistrz, siadając.

Nie znał reputacji Victora, ale wystarczyło mu to, że nowo obrany marszałek zakonu dotarł do Tyru zaledwie przed kilkoma tygodniami prosto z Prowansji.

Dla rodowitych mieszkańców Outremer przybysze nierzadko stanowili problem o wiele poważniejszy aniżeli sami Saraceni. Nie mieli pojęcia, że byt państw frankijskich zależy w znacznej mierze od układów z państwami muzułmańskimi, a przeświadczeni o swym świętym obowiązku walki z niewiernymi niejednokrotnie wywoływali konflikty, które przeradzały się w krwawe, nikomu niepotrzebne wojny. Robert przeczuwał, że jeśli Outremer upadnie kiedyś całkowicie, stanie się to właśnie za sprawą zbrojnych pielgrzymów pokrywających brak rozumu świętym zapalem.

Woda była przyjemnie gorąca. Zapach mastyksu mieszał się z aromatem płonącego oleju.

Templariusze milczeli, patrząc na swego mistrza.

- Landgraf Turynii gości u markiza Montferratu -oznajmił Robert de Sabié.

Bracia zakonnicy pokiwali głowami. Nie było w Tyrze człowieka, który nie widziałby dumnych niemieckich hufców, co zeszły wczoraj na ląd z italskich galer, bądź nie wiedział, po co ich

przywódca, lennik cesarza Fryderyka Barbarossy, zdecydował się złożyć wizytę Konradowi z Montferratu. Słowa wielkiego mistrza nie były więc zwiastunem nowiny, a raczej sygnałem, o czym sobie życzy rozmawiać.

- Dyskutują, ma się rozumieć, o ruszeniu z odsieczą królowi Gwidonowi - ciągnął - co wydaje się rzeczą niemalże przesądzoną.

- Tak sądzicie, mistrzu? - zapytał kwaśno Fulko i ułożył tłuste, parujące od gorącej wody ramiona na krawędzi baseniku. - Po tym, jak dwakroć przepędził Gwidona spod bram Tyru, teraz pójdzie mu na pomoc? Bo mu jakiś Niemiec mądrości do łba nakładzie?

- W Bogu nadzieja, że nakładzie - odezwał się brat Rupert, sukienny zakonu, surowy starzec o wiecznie przymrużonych oczach i bujnej siwej brodzie, teraz po-zlepianej w wilgotne kosmyki. - Markiz Montferratu -niemalże wypluł te słowa - zapomniał o celu, jaki przyświeca nam wszystkim. Zapomniał o upokorzeniu, jakie sprawił nam Salah ad-Din! Surowy głos starca poniósł się wysoko pod sufit hammam, a jego drżący, ociekający wodą palec zastygł w powietrzu, jakby groził karą boską każdemu, kto sądził inaczej.

„No, powiedz to - zachęcił go w myślach Robert. -No, oskarż i mnie o gnuśność. Wyrzuć mi, że siedzę sobie w wygodnym Tyrze, a nie wrzeszczę: Deus le volt! pod murami Akki". Brat Rupert nie odezwał się jednak, tylko jego grdyka na długiej, wąskiej szyi podniosła się kilkukrotnie i opadła, jakby dławiąc buntownicze słowa.

- Wieści głoszą, że cesarz Fryderyk ze znacznym wojskiem idzie już przez Rum, a Kilidż Arslan kłania mu się w pas - powiedział de Sabie. - Królowie Francji i Anglii także szykują swe hufce, może nawet już wypłynęli. Jak Bóg da, za parę tygodni ujrzymy tu najpotężniejsze armie Zachodu wiedzione przez trzech najświetniejszych monarchów Europy. Sądzicie, bracie Fulko, że markiz Konrad będzie czekał w Tyrze na ich przybycie? Bez wątpienia z królem Filipem i cesarzem Fryderykiem łączą go więzy krwi, ale to za mało, by poparli jego kandydaturę do tronu Królestwa Jerozolimskiego. Zwłaszcza dla cesarza niemieckiego.

Znów pokiwali głowami. Sędziwy Fryderyk Barbarossa, choć bezwzględny polityk, wielce sobie cenił honor i męstwo. Nigdy nie poparłby człowieka niezdecydowanego bądź stroniącego od walki.

- Markiz Konrad musi zaznaczyć swą obecność -mówił wielki mistrz. - Czas w Outremer płynie szybko, bracia. Gdy przybędą krzyżowcy z Zachodu, ludzie nie będą już pamiętać o obronie Tyru. Będą przyglądać się bieżącym wydarzeniom, a tych nastąpi wiele. Doprawdy, cesarz Fryderyk i król Ryszard rychło przegnają nudę i bezczynność.

- Chwała im za to - burknął brat Rupert, spoglądając w nieokreślonym kierunku.

- A zatem obstawiacie, mistrzu, że Konrad ruszy swe hufce na Saint-Jean dAcre - odezwał się marszałek de Mouisse, konsekwentnie jak każdy przybysz obstając przy używaniu frankijskiej nazwy miasta.

- To tylko kwestia czasu. Być może już wznosi toast za zdobycie twierdzy, a landgraf Turynгии przewraca oczyma z zachwytu, spodziewając się stosownego wyniesienia przez cesarza Fryderyka. A jeśli w istocie tak się stanie, to musimy być przygotowani, bracia. Dobrze wiecie, na co.

Wzrok wielkiego mistrza spoczął na młodym jeszcze, czarnobrodym mężczyźnie, który siedział między marszałkiem a komandorem Tyru. Jedyiny popijał z wysadzanego brylantami kielicha, jedyny nie przestawał się też uśmiechać, choć nie był to miły uśmiech. Czując na sobie wzrok Roberta de Sabie, powiedział z jeszcze szerszym uśmiechem:

- Szpitalnicy od wczoraj kują konie. Szykują się do wyruszenia z Tyru.

- Czyżby, Joscelinie de Royes? - wykrzyknął Fulko, czerwieniąc.

- Czyżby - odparł tamten i znów pociągnął z kielicha. Naczynie na moment zakryło jego twarz, ale nie oczy, czarne, penetrujące, złośliwe. Na chwilę pochwyciły spojrzenie Roberta de Sabie, ale zaraz umknęły, jakby wystraszone jego mocą.

„Nieszczęsny sodomito! - pomyślał z obrzydzeniem wielki mistrz. - Nigdy dotąd nie byłeś nam tak potrzebny jak teraz, ale gdyby nie to, kazałbym cię udusić, poćwiartować i rzucić świniom”.

Tylko niezwykle okoliczności sprawiły bowiem, że Joscelin de Royes zasiadał między członkami kapituły zakonnej. Pominąwszy upodobanie do przedstawicieli własnej płci, co do którego lubił czynić wyraźne aluzje, był jedynie świeckim rycerzem-gościem, a zatem z definicji kimś nieuprawnionym do poznawania tajemnic zakonu. Został jednakowoż obdarzony szczególnymi przywilejami przez poprzedniego mistrza, Gerarda de Rideforta, i za jego przyzwoleniem zabrał się za reorganizację służby wywiadowczej zakonu. Była to bodaj jedyna słuszna decyzja w całym życiu de Rideforta, człowieka w znacznym stopniu odpowiedzialnego za klęskę pod Hittinem, gdyż Joscelin wykazał się w tym dziele wyjątkową skutecznością. Robert niewiele wiedział o jego metodach, ale przypuszczał, że Joscelin nie cofa się przed niczym, nawet jeśli miałyby to być najbardziej niehumanitarne metody. Zresztą niekiedy miał nawet wrażenie, że wśród pachnideł, którymi de Royes zwykł się polewać, czasem czuć zapach zwierzęcia.

- Szpitalnicy! - wykrzyknął ostatni z braci, Christian, nowo mianowany komandor ziem Królestwa Jerozolimskiego. Ten dumnie obnosił się ze swym tytułem, pomimo że jego komandoria praktycznie nie istniała. Szerokie, włochate ramiona Christiana przecinała kilkanaście ciemnych pręg. Choć reguła nakazywała rycerzom zakonnym dbać o kondycję, by zawsze być gotowym do walki w obronie Ziemi Świętej, a tym samym zabraniała ascezy i samobiczowania, brat Christian ignorował ów ustęp w całej rozciągłości. Wielki mistrz powątpiewał jednakże, by czynił to z miłości do Boga bądź w ramach pokuty. Skłonny był twierdzić, że zadawanie sobie bólu sprawia mu zwykłą, ludzką przyjemność.

- Szpitalnicy - powtórzył Fulko, znów zaczerwieniony - Kurewskie nasienie... Pozostali bracia, z wyjątkiem ciągle milczącego komandora Tyru, mówili przez chwilę z oburzeniem i zgrzytali zębami. Choć podzieleni w sympatiach politycznych, zakonu szpitalników świętego Jana serdecznie nie cierpieli i nic nie mogło ich niechęci załagodzić, nawet rozejm między zakonami narzucony przez papieża Aleksandra III, ani nawet ciężka sytuacja, w której znalazły się państwa frankijskie za sprawą Salah ad-Dina.

„Ani nawet to, że we wszystkich naszych sporach to szpitalnicy z reguły mieli rację - myślał Robert de Sabie, patrząc na swoich wzburzonych współbraci. - Protestowali, gdy Sybilla nałożyła koronę na skronie słabeusza Gwidona z Lusignan, ośmieszając go ostatecznie, odmówili wydania kluczy do skarbcza, gdzie trzymano insygnia koronne, próbowali powstrzymać de Rideforta przed samobójczym atakiem na Saracenów pod źródłami Cresson”.

- A zatem szpitalnicy wiedzą już, na co się zanosi - stwierdził stary brat Rupert, znów unosząc swój groźny palec parujący od gorącej wody. - Od początku przeciwni byli królowi Gwidonowi, nie dziwota więc, że się z przybłądą z Montferrat zważali. Barany! Ślepcy! Popierać awanturnika, który uciekł z Konstantynopola po morderstwie? Bezbożnika, żonatego z dwiema kobietami? Zaraz mnie żółć zaleje... A swoją drogą ciekawym, bracie mistrzu, cóż nam uczynić w tej sytuacji wypada? Widzi mi się, że czego byśmy nie postanowili i tak okryjemy się niesławą. Nie wolno nam w Tyrze pozostać, bo Gwidona przecież zawsze popieraliśmy przeciwko tym sodomitom. A kiedy w pole wyruszemy, tedy ludzie powiedzą, żeśmy się zlekli i za szpitalnikami pobieżyli, by z gry nie wypaść.

W sali zapadła cisza. Robert de Sabie pochylił nieco głowę i przez dłuższą chwilę patrzył w kłęby pary unoszącej się nad powierzchnią wody. Potem nagle usłyszał swój głos:

- Mówcie wyraźniej, bracie Rupercie. Bo chyba nie pojąłem waszych intencji.

- Bratu Rupertowi rozchodzi się o to, że główna siła zakonu świątyni nadal stoi w Tyrze - niespodziewanie rzekł Wilhelm du Triere. Jego nieruchoma, jakby martwa twarz zwróciła się w stronę wielkiego mistrza i ten odniósł wrażenie, że nie ma na niej śladów wilgoci. - Że u boku Gwidona pod Akką walczy jeno kilkudziesięciu zakonników.

- Dziękuję za objaśnienia - wysyczał Robert de Sabie i uśmiechnął się paskudnie. „Chętnie odgryzłbym ci ten paluch” - pomyślał, a głośno oznajmił: - Wolałbym jednak usłyszeć je z ust brata Ruperta. Bo miałem przez chwilę wrażenie, bracie, że macie do mnie jakiś zarzut. Że wy na moim miejscu postąpilibyście inaczej. Być może tak jak mój wielki poprzednik, Gerard de Ri-defort, który uwielbiał samobójcze szarże, głęboko wierząc w to, że niewierni pierzchną na widok jego zmarszczonych brwi! Cóż nam dało Cresson? Co dał nam Hittin?

- Walczyliśmy o honor! - spurpurowiał sukienny.

- A ja walczę o zakon, bracie Rupercie! - Robert plas-nął dłonią o powierzchnię wody. - Na Zbawiciela, nie stać nas na kolejny samobójczy atak! Gwidon pociągnął na Akkę z garstką jeno wojska, a ja przydałem mu tylu rycerzy, ilu jeszcze ewentualnie mógłbym stracić bez uszczerbku dla zakonu! Bo nawet gdybyśmy wsparli go wszystkim, co posiadamy, nadal nie miałby szans zdobyć tej przeklętej fortecy! Nasz hufiec nie przeważałby losów samotnej krucjaty zapomnianego króla, bracie Rupercie. Zresztą Salah ad-Din już wyszedł na tyły jego wojsk i oblegający stał się obleganym. Cóżemy stracili, czekając te parę tygodni? Nie wiem. A co zyskaliśmy? Z komandorii na Zachodzie przybyło wielu nowych braci, jesteśmy liczniejsi i mocniejsi niż w chwili, gdy Gwidon ruszał na Akkę. Co więcej, przyjdzie nam walczyć wraz z orszakami Konrada z Montferratu, Baliana z Ibelinu, Renalda z Sydonu i wielu innych, a niebawem wesprą nas Niemcy, Anglicy i Francuzi. Zadaniem ubogich rycerzy Chrystusa nie jest ginać, ale zwyciężać!

Seneszał Fulko uśmiechnął się krzywo. Przez moment wyglądał, jakby chciał coś dorzucić, ale w porę zmilczał. Marszałek, komandor Królestwa Jerozolimskiego i komandor Tyru pokiwali lekko głowami, lecz w ich oczach zamiast świętego uniesienia błysnęła ekscytacja oraz ciekawość.

„Ciesz się, że na powrót stanęliśmy na nogi, prawda? - pomyślał gorzko mistrz, przyglądając się pobladłemu Rupertowi, który nerwowo gładził mokre kosmyki brody. - Niebawem znów będziemy mogli kopać dołki pod szpitalnikami, intrygować w kwestii obsadzenia tronu, paraliżować decyzje i plany wodzów naczelnych... Znów będziemy zachowywać się tak, jak przed Hittinem, jakby do tej nieszczęsnej tragedii nigdy nie doszło”.

- A zatem wyruszamy - bardziej oznajmił, niż spytał marszałek Victor de Mouisse, usiłując opanować tik nerwowy. - Pod Saint-Jean dAcre!

- Ano właśnie, ruszamy - potwierdził de Sabie z roztargnieniem. - Jutro z rana, nie czekając na wieści z pałacu Konrada. Bracie Victorze, zbierzecie tylu braci, ilu się da, weźmiecie też odpowiednią ilość serwiensów oraz niewielki oddział turkopoli. Reszta oddziałów zakonnych wyruszy wraz z markizem Montferratu.

- I szpitalnikami - splunął siarczyście Rupert.

- Możecie zostać w Tyrze, bracie, jeśli towarzystwo wam nie odpowiada - stwierdził uprzejmie wielki mistrz. - Nie będę za wami tęsknił, skoro za każdym otwarciem gęby leje się wam z niej żółć.

Sędziwy zakonnik uciekł wzrokiem w bok. Za chwilę już otwierał usta, chcąc odciąć się ripostą, gdy przemówił komandor Królestwa Jerozolimskiego:

- Coście rzekli, mistrzu? Zalibyście chcieli stanąć na czele wyprawy?

-Tak.

Stanowcza odpowiedź Roberta była jak nagle smagnięcie klingą miecza. Fulko poruszył się, aż woda zachlu-potała, i zapytał ochrypłym głosem:

- A skąd wasza decyzja, mistrzu? Przecież kapituła ustaliła, że wielki mistrz nie będzie już wiodł oddziałów do boju. Po tym jak Gerard de Ridefort dał głowę pod Hittinem...

- Kapituła nie przewidziała jednakże, że losy Królestwa rozstrzygną się pod Akką i ci, co nie wezmą udziału w oblężeniu, nie mają co liczyć na dalszą grę o Outre-mer - wyprostował się de Sabie i spojrzał wyzywająco na seneszała. - Jadę pod Akkę, Fulko.

„Bynajmniej nie dlatego, że o tym marzę - powiedział w myślach. - Jadę tam, by uchronić was wszystkich przed waszą dumą i popędliwością, która tak łatwo przeradza się w głupotę. Pojadę, by przypominać, że naszymi wrogami są Saraceni a nie szpitalnicy czy stronictwo markiza Montferratu. By przypominać, że naszym celem jest walka, a nie nurzanie się w grzechu. A poza tym oddałbym rok życia, by móc jeszcze dzisiaj wyrwać się z tej przeklętej twierdzy...”

Mistrz dostrzegł, że matowe oczy Wilhelma du Triere rozbłysły niespodziewanie, a sam komandor ledwie dostrzegalnie pokiwał głową. Nie miał jednak okazji przyjrzeć się mu lepiej, gdyż brat Rupert znów otworzył usta.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Roger de Baideaux -rzekł szybko de Sabie, chcąc ubiec sędziwego pyszałka.

Na to Joscelin de Royes z chrobotem postawił kielich na mozaikowej posadzce i stłumił beknięcie smukłą dłonią z długimi, wypielęgnowanymi paznokciami.

- Ani widu, ani słyhu - oznajmił. - Ślad urywa się na kilka mil przed Nablusem. Moi ludzie nadal przeszukują coraz dalszą okolicę, ale nikt nie widział - albo nie pamięta, że widział - samotnego Franka z jasnymi włosami.

- A Gaston?

Joscelin pokręcił głową.

- Nic. Nadal nic. Ale ja nie wierzę w przypadek, mistrzu. W Ziemi Świętej nic się nie dzieje przez przypadek.

„Nie? - pomyślał Robert. - Kiepska sprawa. Bo cuda ostatnio zdarzają się raczej rzadko”.

- Dobrze więc. - Kiwnął głową. - Wierzę w waszą intuicję, Joscelinie. Skoro nie udało się wyciągnąć niczego z młodego de Baideaux tą drogą, trzeba spróbować innej. Musimy wykorzystać każdą, nawet najmniej prawdopodobną szansę na... Na wydostanie zakonu z problemu, o którym wszyscy doskonale wiecie.

Bracia przytaknęli - wszyscy z wyjątkiem Ruper-ta, który ze ściągniętą twarzą wpatrywał się w promyk najbliższej lampy oliwnej. Mistrz wstał, dając tym samym znak, że narada kapituły dobiegła końca. Wyszedł powoli z basenu i wytarł swe parujące ciało ręcznikiem. Jego umysł zaprzątnięty był jutrzejszą wyprawą, stąd też dopiero gdy nakładał szatę w sąsiedniej sali, uświadomił sobie, że we wzroku Joscelina, który przytaknął mu najgorliwiej, pojawił się fałszywy błysk. Podobny dostrzegł u kogoś innego, lecz nie mógł sobie teraz przypomnieć u kogo.

Zresztą coś mu przeszkodziło w rozmyślaniach, coś ledwie zauważalnego, pozornie wyraźnego, ale nieuchwytnego. Gdy szedł korytarzykiem, plamy skroplonej wody po jego prawej stronie nagle uformowały się na kształt męskiej twarzy, nadobnej, okolonej lokami, ale złowieszczej, szyderczo uśmiechniętej. Robert de Sabie skłonny byłby uznać to za zwykłe złudzenie, gdyby nie uczucie przemożnego niepokoju, który przeniknęło go na wskroś.

Podobnie jak całe miasto nad jego głową.

Zamyślony wyszedł z hammam.

Minęła dłuższa chwila, zanim Gaston de Baideaux uświadomił sobie, że rozciera palcami wilgotne źdźbło słomy. Minęła kolejna, zanim zrozumiał, co to oznacza.

- Mój Boże... - wyszeptał, przyglądając się twarzom, niewyraźnym, rozmazanym w półmroku.

- Podaruj sobie inwokacje - powiedział ktoś ochryple. Młodzieniec uniósł głowę w stronę źródła głosu i z trudem wyodrębnił kontury barczystego mężczyzny, który przyklęknął tuż przy nim. Nie widział jego oblicza, ale nie spodobało mu się rozgrzane, złe spojrzenie nieznanego.

- Podaruj sobie inwokacje - powtórzył ten. - W tym miejscu żadne nie działają, być może z wyjątkiem jednej jedynej. A brzmi ona „litościwy bracie Henryku”.

Gaston wolno dźwignął się na kolana i potrząsnął głową, usiłując odpędzić tępy, pulsujący ból w głębi czaszki. Jego przymglony wzrok przesunął się po zasłanej słomą podłodze, ledwie wyraźnych ścianach, aż wreszcie pomknął ku górze, ku nieskończeniu odległemu okrągłemu otworowi, przez który do środka wpadało blade światło.

- Zostałem uwięziony? - wyszeptał.

- Zwykliśmy nazywać to nie uwięzieniem, lecz pokutą - wyjaśnił obcy. - Nie musisz na razie mówić za jakie grzechy. Wiele wskazuje na to, że spędzimy tu sporo czasu, drogi przybyszu. Większość tu obecnych zdążyła już swe historie opowiedzieć i szczerze mówiąc, jestem już nimi nieco znużony. Tym bardziej, że wiele z nich się z czasem rozrasta.

Uwierzyłbyś, że siedzący tam brat Benedykt ledwie tydzień temu pokonał dziesięciu Saracenów pod Hittinem, a wczoraj już dwakroć tyle? Inna rzecz, że trafił tu za dezercję, tak więc mało kogo ta gadanina jeszCze bawi.

Młodzieniec spojrział we wskazanym kierunku, ale brat Benedykt, jeśli to w istocie był on, wstydliwie odwrócił głowę i nakrył twarz kapturem. W przeciwieństwie do niego tłusty szczur, który właśnie dreptał obok bosych stóp zakonnika, przystanął i z zainteresowaniem łypnął okiem ku Gastonowi. Ten wzdrygnął się i czym prędzej dźwignął na kolana.

Jego wzrok z wolna przywykał się do ciemności, rozróżniał już coraz więcej szczegółów.

Młodzieniec pożałował tego jednakże gorzko, gdy tylko przyjrzał się „litościwemu bratu Henrykowi”. Zającza warga odsłaniająca wąskie, pożółkłe zęby, krzywy, wielokrotnie złamany

nos i gromada brodawek na obu policzkach nie byłyby takie straszne, gdyby nie spojrzenie, w którym szyderstwo walczyło o lepsze z lubieżnością. Gaston cofnął się, a wtedy zniekształcone usta obcego wykrzywiła parodia uśmiechu.

- Uff, ostatnio ciężko jest zrobić dobre pierwsze wrażenie - szepnął ochryple. Jego oddech cuchnął winem. - Nie martw się, przywykniesz do mnie. Polubisz mnie.

Jego brudna dłoń dotknęła twarzy młodego de Ba-ideaux, palce przebiegły pieszczotliwie po nieogolonym policzku. Gaston poderwał się, ciężko dysząc.

- Weź te łapy! - Jego głos się załamał.

- Ho, ho, czupurnyś, rycerzyku! - Henryk zarechotał. Stał teraz naprzeciwko niego przygarbiony, kołyszący się lekko niczym koszmar wiszący pośród mroków snu. - Ale polubisz mnie, zapewniam cię. Może i miłować zaczniesz?

Przerażony młodzieniec potoczył wzrokiem naokoło, szukając pomocy, ale blade, mało wyraźne twarze współwięźniów odwracały się natychmiast, gdy na nie spoglądał. Zrobił krok do tyłu i dotknął plecami ściany, wilgotnej i chropowatej. Potylicą natrafił na coś wystającego, drewnianego.

Spojrzał w górę. Na ścianie wisiał ogromny krzyż.

- Zdziwiony? - zaśmiał się brat Henryk. - Przecież mówiłem, że odbywamy tu pokutę. Szczęściem za minione grzechy, nie za obecne. Na nowy rachunek póki co możemy grzeszyć do woli.

I ruszył ku niemu.

Gaston spał się, pochylił głowę, zwarł pięści. Zaatakował. W pierwszy cios swój włożył wszystkie siły, ale Henryk był sprytny - pięść przecięła powietrze, Młodzieniec stracił równowagę. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy ciemności rozdarł nagły błysk bólu. Uderzony w żebra, a potem w twarz, zatoczył się, uderzył o ścianę, po chwili upadł na posadzkę, kaszląc i plując.

- Ale nie grzeszmy za dużo, zgoda? - zapytał cuchnący winem głos tuż nad jego uchem.

- Starczy nam nieco miłości cielesnej, przemoc wobec bliźniego to dla mnie zbyt wiele. Jak będzie, młody gościu? Iloma grzechami obciążysz sumienie starego brata Henryka?

Dłoń napastnika prześlizgnęła się po żebrach Gasto-na, w parodii czułości masując miejsce, które przed momentem uderzyła, a potem ruszyła w dół, ku biodrom. Kaszlący de Baideaux

skulił się, jęknął. Naraz lubieżną dłoń coś powstrzymało, choć z pewnością nie wyrzut sumienia. Młodzieniec usłyszał serię gwałtownych stęknięć zakończoną głuchym łoskotem i pojedynczym stuknięciem.

„Taki dźwięk wydaje głowa, uderzając o coś twardego” - przemknęło mu przez myśl. Próbował się podnieść, ale nie zdołał, mięśnie ramion drżały z wysiłku.

- Wstawaj - szepnął ktoś obok jego ucha, już nie tamten. Czyjeś dłonie - inne dłonie - wsunęły się pod ramiona Gastona i pomogły mu wstać. - Nie martw się, brat Henryk powrócił do odbywania pokuty. No, wstawaj, chłopie.

Niebo nad Tyrem przybierało granatowy odcień, tu i ówdzie przekłuty srebrnym promykiem pierwszej gwiazdy.

Brat Christian, wyzuty ze swej prebendy komandor Królestwa Jerozolimskiego, nie zwracał jednakże na to uwagi, podobnie jak ignorował wonny, wilgotny wiatr wpadający przez okna celi, objuczony tysiącami zapachów. Jego świat skupiał się teraz na niewielkim, mosiężnym krzyżu zawieszonym na ścianie. Usta, grube i spierzchłe, recytowały w litanii imiona świętych, a okrwawione ramię co rusz wykonywało gwałtowny zamach. Rzemień bicia śmigał, ciało wzdrygało się ukąszone bólem.

Obojętne były dlań imiona świętych, przywoływał je z pamięci, bez namysłu, wyznaczając sobie w ten sposób rytm. Nie dbał o znaczenie krzyża, nie dbał o znaczenie męki człowieka, który na nim zawisł, liczył się dla niego jedynie jako punkt, na którym mógł zawiesić wzrok. Nie dedykował mu swego bólu, wręcz przeciwnie, zatrzymywał go tylko sobie, rozkoszował się jego smakiem. Każde smgnięcie wyzwalalo bowiem falę nieprzebranej ekstazy.

Bił i bił coraz mocniej, imiona świętych zagubiły się wśród spazmatycznych jęków. Wtedy ktoś stojący za bratem Christianem delikatnie wyjął bicz z jego dłoni.

Chciał się odwrócić i zaprotestować lub choć zobaczyć, kto bez pozwolenia wszedł do jego celi, ale nie zdążył. Kolejne uderzenie przeszło go bowiem rozkoszą tak przejmującą, że zgięty wpół zleżł na zimnej posadzce, oczekując bezwolnie na kolejne, modląc się, by było równie celne, równie oszalamiające.

Jego modły zostały wysłuchane.

Dobrze wymierzone razy spadały na zakrwawione plecy w dokładnie odmierzonych odstępach, z aptekarską wprost precyzją. Brat Christian de Fitlegard wił się i jęczał, to zaciskając, to rozwierając pięści. Jednak nie odwrócił głowy, jakby przejęty lękiem, że nawet pojedyncze spojrzenie za siebie przegna błogosławionego dręczyciela.

Nagle rozkoszna kaźń ustała.

- Co...? - wyjęczał, usiłując się podnieść. - Co...?

- Wiem, co twoi bracia planują zrobić z Gastonem de Baideaux - szepnął czyjś głos, męski, miękki i aksamitny, ale mimo to zły, na wskroś zły. - I wiem, że nikomu nie wyjdzie to na dobre. Dla twego własnego dobra, de Fitlegard, i dla dobra zakonu de Baideaux musi zginąć. Musi, rozumiesz?

- Ale ja... Ja nie mogę... - wyjąkał Christian, lecz przerwał mu krótki, chrapliwy śmiech.

- Rozumiem - odpowiedział wciąż niewidoczny nieznajomy. - Ale nie lódź się, że odwiedzę cię jeszcze kiedyś. I zrobię to, co zrobiłem.

Bicz, teraz miękki i bezwolny, prześlizgnął się po poranionych plecach komandora i opadł bezgłośnie na posadzkę. Gdyby brat de Fitlegard odwrócił wzrok, ujrzałby szczupłego, czarnowłosego mężczyznę o smagłej skórze i ciemnobrązowych, wręcz czarnych oczach, który patrzy nań z pogardą, a potem wyciera dłoń o rąbek szaty i wychodzi z celi.

Nie otwierając drzwi.

Nocny wicher szalał wśród wierzb, które próbowały go powstrzymać swymi cienkimi, nagimi gałązkami. Nie czuł zimna, nie czuł nieprzyjemnej wilgoci, która wnikała przez jego źle

zszyte ciżmy, gdy przez błoto szedł ku drodze. Czuł jedynie chropowatą rękojeść miecza - środek jego świata.

Był silny. Jak nigdy dotąd.

Wściekle ciął nagi krzak dzikiej róży, który pochwycił go za ubranie. Gałęzie odskoczyły. Przewrócił się, padł w błoto, zaklął wściekle - tak wściekle, że ciemne chmury zasłoniły przerażony księżyc. Gdzieś przemknęła sowa, cicha niczym myśl o morderstwie.

Z każdym krokiem był silniejszy.

Gaston poderwał się, ciężko dysząc i potoczył dookoła dzikim spojrzeniem. Nadal otaczał go wilgotny półmrok przybrudzony niewyraźnym światłem niczym dymem. Nadal widział nieruchome, milczące twarze i wiszący na ścianie krzyż, ale to i tak było o wiele lepsze od snu, z którego się wyrwał. Do chwili, gdy napotkał wzrok brata Henryka siedzącego po przeciwległej stronie celi z okrwawioną, brudną twarzą.

- Nie przejmuj się - mruknął do młodzieńca jego wybawca, niewysoki, lecz barczysty człowiek z, o dziwo, tonsurą pośrodku głowy. - To nędzny tchórz. Zawsze próbuje zastraszyć nowych pokutników i trzeba potem walić go po głbie. A podniesienie ręki na bliźniego jest grzechem, czyż nie?

- Nie sądzę, by Pan miał nam to za złe - mruknął Gaston i przetarł spotniałe czoło.

- Problem z Ziemią Świętą polega na tym, że bez paru grzechów najczęściej nie da się nic dobrego zrobić - rzekł mnich.

- To dlatego wszyscy zostaliście tu uwięzieni? - odgadł młodzieniec.

- Mniej więcej. Ale nie nazywaj nas więźniami.

Brudna dłoń nowego towarzysza wskazała wiszący

na ścianie ogromny krzyż, który de Baideaux dotknął głową tuż przed bójką z Henrykiem. Światło wpadające przez wąski otwór w suficie opromieniało ramiona krucyfiksu, przez co zdawał się jeszcze większy, górujący nad lochem, czyniący z niego nie więzienie, lecz jakąś zapomnianą przez ludzi kaplicę. Jednak niewyraźne postacie skulone pod ścianami zaraz przypomniały Gastonowi, gdzie jest.

- Jesteśmy pokutnikami - wyjaśnił mnich. - Nasza reguła przewiduje wiele kar za odstępstwo od wiary, a najsurowszą z nich jest wykluczenie z zakonu. Ale czy wielki mistrz może sobie pozwolić na to, by dawni templariusze rozpowiadali przy piwie o swoich przewinach? Gdyby któryś zdradził za dużo, księżęta mogliby się wstrzymać z kolejnymi darowiznami. Albo co gorsza, zwrócić sympatię w stronę szpitalników. Tak, zwłaszcza to ostatnie byłoby czymś strasznym. Tak więc poprzedni mistrz zakonu, Gerard de Ridefort, w swym geniuszu wymyślił takie właśnie cele, w których grzeszni bracia mieliby przebywać aż do uzyskania przebaczenia.

- Ile... - zawahał się Gaston. - Ile potrwa nasza pokuta?

- Bóg jeden raczy wiedzieć. Choć wielki mistrz też ma w tej sprawie, niestety, sporo do powiedzenia. Zakładam więc, że raczej długo.

„Nie martw się - rzekł Diabeł. - To wcale nie jest najgorsze miejsce. Nawiasem mówiąc, zwróciłeś może uwagę na fakt, że ten Henryk pewnie utłukłby cię jak psa, gdyby nie miał wobec ciebie innych planów? Wiesz, na czym polega problem z tobą, Gastonie? Wciąż sądzisz, że Ziemia Święta potrzebuje żarliwych serc i czystych sumień. Tymczasem tutaj przydają się mocne ramiona, zdadne trzymać zarówno miecz, jak i tarczę”.

- Zostaw mnie - wyjęczał de Baideaux, łapiąc się za głowę. - Ostaw...

„Dlaczego? Czyżbym kłamał? A może czymś cię uraziłem, co?”

- Zostaw... Za twoją sprawą tu trafiłem, nie dość wycierpiałem? Jeszcze ci mało?

Diabeł, ku ogromnemu zdziwieniu Gastona, usłuchał i ucichł. Młodzieniec otarł załzawione oczy. Pomimo półmroku w celi na twarzy nieznanego mnicha dostrzegł powagę i skupienie.

- Chyba już wiem, za co tutaj trafiłeś - powiedział ten nad wyraz spokojnym głosem. - Nie martw się, twój sekret będzie u mnie bezpieczny. Zresztą zaraz otrzymasz pomoc.

- Pomoc?
- Słysząc tu dzwony z katedry Świętego Krzyża. To znak dla nas, byśmy rozpoczęli modlitwy, w końcu jesteśmy pokutnikami. Przyłącz się do nas i nie szczędź głosu.
- Wątpię, czy to pomoże.
- Odrobina żarliwości na pewno nie zaszkodzi -mnich uśmiechnął się lekko. - Tym bardziej, że jeśli nie modlimy się wystarczająco głośno, komandor du Triere urzęduje nam dwudniowy post. A mnie już kiszki marsza grają.

Mnich miał na imię François i był jednym z fratres ca-pellani - kapelanów zakonu. Mówił dużo, ale starannie omijał temat własnych przewin, za które trafił do celi pokutnej. Kolejne gorzkie uwagi na temat poprzedniego mistrza, Gerarda de Ridefort, wypowiedziały Gastonowi, że musiał popaść w niełaskę najwyższych władz zakonu. Uświadomiły mu również, że bracia pokutnicy niekoniecznie zgrzeszyli wobec reguły czy przykazań wiary, niektórych zgubiła zbytnia dociekliwość.

Doszedł także do wniosku, że przed uwięzieniem François musiał być w zakonie figurą znaczącą i najwyraźniej niepopularną, gdyż pozostali pokutnicy błyskawicznie ustępowali mu z drogi i cichli za każdym razem, gdy powstał lub przeszedł blisko. Tylko Henryk odważał się mierzyć go płonącym spojrzeniem i wykonywać z daleka obsceniczne gesty.

Zignorował słowa swego towarzysza i nie dołączył do modlitw, milczał, nawet gdy bracia zaintonowali Te Deum laudamus. Miast tego podciągnął kolana, oparł na nich brodę i pogrążył się w gorzkich rozmyślaniach. Usiłował wytłumaczyć sobie wszystkie zdarzenia, które nastąpiły od chwili wylądowania w Tyrze, ale te układały się w chaotyczny ciąg bez żadnego związku. Bójka z Pi-zańczykami, ten Italczyk Vittorio Scozzi, nieoczekiwane zaproszenie templariuszy, historia o zaginionym bracie Rogerze, wreszcie atak szaleństwa w najmniej sprzyjającej chwili - o ile jakkolwiek chwila może być na to sprzyjająca - i pokuta w głębokiej celi w podziemiach komandorii... Gaston napał dłońmi na skronie.

„Nie - pomyślał z rozpaczą. - Nie, nie... Dałbym wszystko, by stać się szarym pielgrzymem, jak to sobie wymarzyłem. Oddałbym wszystko, by móc służyć Bogu w zamian za najwątleszą nadzieję, że kiedyś mój los się odmieni". Był niemal pewien, że znów odezwie się diabeł, ale ten milczał, jakby uznał, że powiedział już dosyć. Myśli Gastona pomknęły więc ku Adalbertowi, który zapewne szalał z niepokoju pod komandorią rycerzy świątyni. „Ile to godzin minęło od chwili mojego zniknięcia? -pytał sam siebie młodzieniec. - Jak długo na mnie czeka? Biedaczyna! Oby tylko nie wyrządzili mi żadnej krzyw-dy..."

Wiedział już, że Adalbert okłamał go, że nigdy w życiu nie był w Ziemi Świętej, a całą swą wiedzę na jej temat zaczerpnął z opowieści innych pielgrzymów bądź swej przebogatej wyobraźni. Wiedział wszystko o słabostkach kapelana, spośród których na czoło wybijały się niezmiernie pazerność i równie uzależniający pociąg do płci pięknej. Lecz mimo wszystko ten człowiek zawsze będzie mu bliski - choćby za to, co zrobił tej strasznej nocy, gdy słaniający się na nogach Gaston stanął z okrwawionym mieczem u bram rodowego kasztelu. To Adalbert zaciągnął go do pustej szopy na łodzie, gdzie mógł szlochać i łkać do woli, nie zwracając niczyjej uwagi. To on zmylił czujność strażników starego barona i potajemnie wyprowadził konie ze stajni, to on obudził Bernarda i nakłonił go do zabrania nieco spyży z zamkowej kuchni. To on wreszcie wyspowiadał Gastona następnego dnia, gdy znaleźli się już daleko od Baideaux, a gdy poznał całą prawdę o wydarzeniach na rozdrożu, nie wahał się ani chwili.

„Tylko pielgrzymka do Ziemi Świętej w czymkolwiek wam pomoże, paniczu - oznajmił wówczas dobitnie. - Tylko walka dla większej chwały Pana pomoże zdjąć przekleństwo".

- Jak na razie gównu mi ta pielgrzymka dała - mruknął zasepiony Gaston. - Ale i tak się o ciebie martwię, ty przeklęty klecho.

I umilkł, bo właśnie ktoś podszedł. Młodzieniec otworzył oczy - to był François.

- Przyniosłem ci coś do jedzenia - powiedział, kucając. Stuknęło stawiane naczynie. W drewnianej miseczce znajdowała się kromka chleba i garść daktyli.

- Zjedzcie sami, ojcze - szepnął Gaston. - Ja nie mam apetytu.

Nie kłamał. W gardle go paliło - ani chybi przez ostre potrawy, jakimi podjął go wielki mistrz - ale żołądek nadal miał pełny. François wzruszył ramionami i nabrał pełną garść daktyli.

- Kiedy przybyłeś do Tyru? - zapytał, żując.

- Niedawno. Wczoraj. Chyba wczoraj.

- Po co?

Ostrożność poderwała się niczym przebudzony kociak i miauknęła ostrzegawczo, ale Gaston wydał jedynie wargi.

- A po co przybywają ludzie do Ziemi Świętej, ojcze?

- Różnie bywa. Jedni marzą o odkupieniu win, inni wierzą w konieczność walki z islamem, zdarza się też sporo szaleńców i fanatyków najróżniejszej maści. Większość jednakże chce się głównie nachapać.

- No więc ja nie chcę się nachapać.

- Wierzę ci. - François skinął głową i włożył sobie do ust ostatnią garść daktyli. - Nie tak wygląda człowiek, który przybywa do Ziemi Świętej w pogoni za sławą i majątkiem. Nie tak mówi, nie tak się zachowuje. Ty przybyłeś tu walczyć, prawda?

Gaston nie odpowiedział. Tępo patrzył w krzyż opromieniony nędznymi resztkami blasku słońca.

- Przybyłeś tu walczyć o wiarę i doznałeś rozczarowania - ciągnął mnich. - Tak, rozumiem to. Każdy z przybyszów dziwuje się na widok Franków noszących turbany czy Saracenów handlujących na naszych bazarach. Każdy gorszy się zachowaniem i ubiorem miejscowych niewiast, każdy spodziewa się jak najszybciej pochwycić za miecz i ruszyć w pole bić niewiernych. Każdy doznaje zawodu, a ci nieliczni, którzy wciąż trwają przy swej nadziei szerzenia Boskiej chwały, z reguły doprowadzają do katastrof. Wiesz, dlaczego utraciliśmy Edes-sę? Bo Ludwikowi francuskiemu i Konradowi, królowi Niemiec, zamarzyło się zdobyć Damaszek. No i się Nur ad-Din rozsierdził, a po tym, jak zadał nam klęskę pod Damaszkiem, świat islamu zaczął wierzyć, że krzyżowców można pokonać. Ideę od czynu, jak sam widzisz, nie dzieli wiele.

François chwilę żuł w milczeniu, po czym podjął:

- Tak, odrzuć swe złudzenia. Outremer powstało w Ziemi Świętej, ale powstało jako zwykłe państwo, a nie marchia Regnum Dei wymarzona przez Gotfryda de Bouillon. Tak, to zwykłe, niegościnnie, suche i malaryczne państwo, gdzie wiele obcych sobie narodów musiało nauczyć się żyć wspólnie, nierzadko spychając wiarę na bok.

Czy wiesz, że przed upadkiem Jerozolimy młodzi rycerze umawiali się ze swymi bogdankami w Ogrójcu? Outremer nie jest świętsze od Langwedocji czy Piemontu, młodzieńcze. Przykro mi.

- Nie tylko mnie to powiedziałaś, prawda? - Gaston poderwał głowę. - Dlatego wyznaczono ci pokutę-

- Poniekąd. - François prawie się uśmiechnął. - Podobnie jak wszędzie indziej zdrowy rozsądek nie jest tu najmilej widzianą cechą. Tylko w pieśniach trubadurów Outremer to dzielne państwo szlachetnych, pobożnych rycerzy, których miecze oplatają kwiaty na znak łaski pańskiej i którzy poszukiwania Graala przerywają tylko po to, by znów pognać Saracenów. W rzeczywistości każdy dba tu o swój tyłek, odwaga uważana jest za szaleństwo, a szlachetność za naiwniactwo bądź głupotę. Nie masz ci tu wielkich wojowników za sprawę, jakich ponoć przybyły całe tysiące wraz z Gotfrydem de Bouillon i innymi przywódcami pierwszej krucjaty. Tak, poza Balianem z Ibelinu i Rogerem de Baideaux nie masz ci nikogo, kogo porównać by można z rycerzami Rajmunda z Tuluzy czy króla Baldwina I.

- Rogerem... - zawahał się Gaston. Ostrożność stro-szyła sierść. - Jakim Rogerem?

- De Baideaux. - François wyjadał ostatnie daktyle. -Pierwszy szermierz królestwa, człowiek prawdziwej wiary i zwierciadło rycerstwa.

- Mało... - Młodzieniec przełknął ślinę. W gardle nadal czuł nieprzyjemny, kwaśny posmak. - Mało com słyszał o tym Rogerze. O Balianie owszem, ale Roger... Jak rzekliście? Marcin Mortka

- De Baideaux. Nic dziwnego, żeś nic nie słyszał, młodzieńcze, bo to był rycerz naszego zakonu, a ci nie dbają o sławę jak świeccy Lecz cóż, Bóg postanowił odebrać nam również i tę nadzieję - westchnął kapelan. -Roger zniknął, a Balian przystał do obozu przybłądy z Montferrat, razem z nim knuje przeciwko królowi. Nie masz ci już wielkich rycerzy w Ziemi Świętej.

- Zniknął?

- Zniknął - potaknął duchowny i odstawił miskę. -Ludzie mówią, że wiary się wyparł. Że do Saracenów przystał, niesławą całe rycerstwo zakonne okrywając.

- Dajecie temu wiarę? - Gaston przyłożył dłonie do policzków i odkrył, że pałają gorącem. - Bo inni mówią, że święte rzeczy widział.

- Nie, nie daję wiary. Ale ktoś rozpusza plotki i to całkiem wiarygodne. Wielki mistrz ponoć już rozważa obłożenie brata Rogera ekskomuniką - ciągnął François. Wpatrywał się teraz prosto w młodzieńca, lecz ten, poruszony, nawet nie zauważył spojrzenia pokutnika.

- Wielki mistrz chce wykląć Rogera? - wyjąkał. -Przecież nie to... Nie to mi mówił.

- Nie wiem, co wam wielki mistrz powiedział, ale wyklęcie brata Rogera byłoby wielką hańbą, wielką.

- A pomyślał ktoś, że ten Roger może ma już dość tego wszystkiego, o czym, ojcze, opowiadaliście? - zapytał Gaston i oparł się o ścianę. Jego wzrok omiótł ramiona krzyża, w opromieniającym go świetle przemykały rdzawe płomyki. - Skoro jest tak dzielnym rycerzem, może po prostu ma dosyć tego, jak tu pojmuję się odwagę i szlachetność, może po prostu zrzucił kolczugę i tunikę z krzyżem, a teraz orze ziemię gdzieś w hrabstwie Antiochii i chodzi w swaty do córki miejscowego bogacza?

- Zakon dałby wiele, by go odnaleźć.

- Nie wątpię. Skoro poza baronem z Ibelinu jest ostatnim prawym rycerzem Outremer... - mruknął młodzieniec i ułożył podbródek na kolanach, a potem przywołał opary snu. Błysnął miecz de Souhait, za późno. Szarpnięty z wielką siłą jeździec wylądował w błocie, usiłował się poderwać, nie mógł. Wypuszczony z dłoni oręż pochłonęła kałuża.

- De Baideuax! - wrzasnął. - Co ty wyczyniasz, na litość boską!

Stał przez moment i patrzył w jego przerażone oczy, a potem nadepnął na dłoń, która pełzała po błocie w poszukiwaniu upuszczonej broni. Wtedy uśmiechnął się po raz pierwszy. Otworzył oczy, odruchowo nakrywając dłonią bijące szybko, przerażone serce. W celi panowały niemalże całkowite ciemności, światło opromieniające ramiona krzyża prawie zgasło, ale gęstniejący mrok obudził w sercach pokutników śmiałość. Niewidoczni bracia, nieruchomi, obumarli w świetle dnia, teraz szepotali do siebie, chodzili z szelestem szat, nawet śmiali się.

Gaston przełknął ślinę, a jego gardło na nowo odpowiedziało kwaśnym bólem,, potężniejszym niż dotychczas.

- Wina - wychrypiał. - Wina, błagam.

- Wina ci tu, przyjacielu, nie wynajdę - odezwał się tuż obok znajomy głos François. - To pokuta, niech ci przypomnę. Ale może zostało coś wody. Poczekaj tutaj. Zaszurały stopy po posadzce. I wtedy w ledwie rozbudzoną świadomość młodzieńca znów wdarł się brutalnie Diabeł.

„Wina! - zarechotał szyderczo. - I czego jeszcze zapragniesz, zbłąkany pielgrzymie? Rydwanu, który zawiezie cię do Jerozolimy, do Bazyliki Grobu Świętego, byś mógł się

modlić o uwolnienie od demona? Może błogosławionego miecza króla Artura, który będzie walczyć za ciebie, niezdarco? Wina... Twoja głupota, twoja naiwność wprost nie mają kresu!"

- Hej! Hej, obudź się! - szepnął ktoś z oddali.

Wciąż drżąc, Gaston odwrócił głowę. Dopiero po chwili dotarło do niego, że patrzy nie na François, ale na zupełnie obcego pokutnika, drobnego człowieka o rozbieganych oczach i łysiejącej czaszce.

- Nie wiem, kim jesteś ani za co tu trafiłeś - szeptał gorączkowo nieznamy, zerkając nerwowo w kierunku, dokąd udał się kapelan. - Niezbyt mnie to zresztą interesuje, ale wiem coś, co może cię zaciekawić. Tych dwóch -François i Henryka - wrzucono tu razem z tobą. A właściwie to nie wrzucono, ale pozwolono zejść po drabinie. Niech cię Bóg strzeże, młodzieńcze.

Nieznamy pokutnik musnął dłonią ramię Gastona i zniknął w mroku, nim ten zdołał zadać jakiegokolwiek pytanie. Teraz de Baideaux był już całkiem opuszczony. Rozejrzał się wokół siebie - bracia szepotali, szczury chrobotaly, serce biło szybko.

- Nie żałujesz? - zaszeptał z ciemności Henryk. -Nie? Pewnie nie. Cóż, pamiętaj jednak, że wina François jest mniejsza od mojej. Któregoś dnia uznają, że już zadośćuczynił swym grzechom. Wyjdzie, zostawi cię, a wtedy pożałujesz...

Tuż obok ze stęknieniem opadł na ziemię brat François.

- Masz - powiedział, wręczając młodzieńcowi kubek. - Jesteś winien pół racji wody bratu Eustachemu. Dobrej nocy.

Gaston upił łyk ciepławe, niesmacznej cieczy i ostrożnie przeplukał rozpalone gardło. Odkaszlnął.

„Woda - pomyślał. - Henrykowi z ust cuchnęło winem".

- Bracie François - odezwał się cicho, kaszląc raz jeszcze.

- Cóż tam znowu?

- Znaliście Rogera de Baideaux osobiście? - zapytał nieśmiało.

-Tak.

- A czy... - udał wahanie. Ostrożność tłuła ogonem o boki. - A czy mówił kiedykolwiek coś o swej rodzinie? Rodzinie w Europie?

- Ponoć ma dwóch młodszych braci, ale nie pamiętam ich imion. - W zaspanym głosie François pojawiła się nowa, ledwie słyszalna nuta. Zaintrygowanie?

- Bo... Bo ja muszę wam coś wyznać.

Ostrożność wygięła grzbiet i wypuściła pazury.

François usiadł z szelestem szat. Potarł od niechcenia

szorstki policzek i ziewnął szeroko, ale Gaston dostrzegł błysk zaciekawienia w jego oczach.

- Bo... - znów udał, że się waha. Kapelan ledwie dostrzegalnie przysunął się bliżej. - Bo ja też pochodzę z rodu de Baideaux. Nazywam się Gaston de Baideaux. Nie znałem Rogera, jestem od niego dużo młodszy, ledwie osiemnaście wiosen na karku, ale w naszej rodzinie wszyscy podobni... Czy myślicie, że...

- Że ciebie wzięto za Rogera i zmuszono do odpokutowania za jego grzechy? - zapytał François z ironią i wyraźnym, choć desperacko tłumionym rozczarowaniem. - Wybacz, młodzieńcze, ale każdy rozpoznałby Rogera. Idźże już spać!

Szmary rozmów unosiły się wokół niczym bezcielesne kształty przemykające w mroku.

Szczury pięły się na krzyż, co rusz któryś spadał z piskiem.

„Im wszystkim chodzi o Rogera - zrozumiał nagle Gaston. - O mego starszego brata, którego nigdy nie widziałem na oczy. Stąd zaproszenie na wieczerzę u wielkiego mistrza, stąd pokuta w towarzystwie wścibskiego opiekuna. Templariusze chcą, bym ich doprowadził do Rogera. Ale po co? Czyżby rzeczywiście miał święte wizje? Ha, dobrze żeśmy się dobrali! Mistyk i opętany".

Dalsze rozważania przerwało pojawienie się światełek pełgających po ścianach celi. W otworze nad ich głowami załopotał płomień pochodni, a potem zgrzytnęła otwierana krata.

- De Baideaux! - zawołał ktoś po francusku, lecz z twardym syryjskim akcentem. - Wyłaż.

Rozdział czwarty

w którym Vittorio, jak na italczyka przystało, niespodziewane zaczyna mówić o pieniądzach, gaston, jak na dobrego (choć nadal niepasowanego) rycerza przystało, spada z konia, dlabel kusi, jak przystało na diabła

Po wilgotnym zaduchu celi pokutnej nocne powietrze wręcz odurzało. Popchnięty Gaston zatoczył się, niemal upadł, lecz wtedy złapało go czyjeś silne ramię.

- Możesz jechać konno? - zapytał stojący za nim żołnierz.

Młodzieniec skinął głową i złapał za łęk siodła, a potem wsunął nogę w strzemień. Z trudem dosiadł wierzchowca, a potem zerknął w dół na człowieka, który go podtrzymał. Ulica przed zabudowaniami komandorii tonęła wśród nocnych cieni, ale Gaston dostrzegł, że obcy żołnierz wygląda bardziej na Syryjczyka niż Franka. Miał smagłą cerę, krótką czarną brodę i ciemne oczy, które teraz słały bardzo nieprzyjazne spojrzenie.

Podobnie przyglądało się Gastonowi dwóch jego towarzyszy, brodatych mężczyzn w stożkowych hełmach i połyskujących pancerzykach lamelkowych. Ci byli już w siodłach - jeden trzymał załadowaną kuszę, drugi, który lewą ręką ścigał nerwowego, drobiącego w miejscu konia, prawą gładził rękojeść miecza. Obaj mieli okrągłe kałkany na plecach i łuki przy siodłach.

Młodzieniec zrozumiał, że ma przed sobą słynnych turkopoli, lekkich jeźdźców werbowanych przez templariuszy spośród miejscowej ludności, służących im do zadań zwiadowczych i Bóg jeden wie do czego jeszcze. I nagle poczuł, że dławi go strach, czarny i lepki strach, całkowicie pochłaniając jego wrodzoną zaciętość.

- Dokąd mnie zabieracie? - wychrypiał.

Wzrok pierwszego z turkopoli stwardniał.

- Kazano nam związać ci ręce - oznajmił, wspinając się na siodło. - Jak widzisz, tak się nie stało. Żywię bowiem ogromną nadzieję, że rzucisz się do ucieczki, a ja będę mógł rozłupać ci głowę. W imię prawa.

Jego pięty dotknęły boków konia, który natychmiast wystrzelił naprzód jak dźgnięty rozpalonym prętem. Któryś z turkopoli smagnął Gastonowego wierzchowca po zadzie, a wtedy cienie ulicy zawirowały, a wraz z nimi ściany, drzewa i posrebrzone przez księżyc dachy kamienic. Ścigane echem własnego tętentu cztery drobne konie popędziły uliczkami Tyru.

Rumak, który niósł młodzieńca, choć drobny, w niczym nie przypominał chabet, na których zdarzało mu się jeździć w rodzinnej Pikardii. Gnał z nieposkromioną energią, co rusz niespokojnie potrząsając łbem, jakby wyrażał w ten sposób skargę na jeźdźcę, obcego, nieprzyzwyczajonego do szalonego pędu Lewantu. Gaston klepnął go po karku raz i drugi, lecz ten gest zdawał się konia bardziej irytować niż uspokajać, więc pochylił się jedynie nad rozwianą grzywą i przymknął oczy.

Pędzili. Pijani rozpierzchali się, złorzecząc, kamieniczki migotały, rozpory i markizy przecinały rozgwieżdżone niebo. Pędzili, a czas, na ogół złośliwa i nieubłagana materia, wydawał się wręcz stać w miejscu. Tak było przynajmniej do chwili, gdy koń prowadzącego turkopola niespodziewanie uskoczył w bok, jakby omijając zauważoną w ostatniej chwili przeszkodę, a spod jego kopyt wyprysnęła drobna, chuderława postać. Wtedy to młodzieniec odniósł wrażenie, że czas płynie bardzo, kapryśnie wręcz powoli.

Wyraźnie widział, jak wymachujący rozpaczliwie ramionami człowieczek - najwyraźniej Żyd - cudem przesadza rynsztok i odbija się od ściany kamieniczki. Przez chwilę Gaston patrzył mu prosto w przestraszone, okolone morzem zmarszczek oczy i widział, jak jego usta układają się w trzy nieme słowa:

„Roger de Baideaux”.

„I on też?” - zdążył pomyśleć młodzieniec.

Potem czas skoczył naprzód jak cięty biczem. Gaston usiłował się odwrócić i lepiej przyjrzeć nieznanemu, ale wtedy konie skoczyły w bok i wyrósł przed nimi ogromny masyw muru obronnego z ciemniejszą jamą bramy. Przywódca turkopoli bez słowa podjechał do strażników i błysnął sygnetem na palcu. Ci bez ociągania się otworzyli boczną bramę. Droga na wybudowaną jeszcze przez Aleksandra Wielkiego groblę prowadzącą na stały ląd była otwarta.

Turkopole znów popędzili konie, Gaston, chcąc nie chcąc, zrobił to samo. Cwałowali, pijani zimnym morskim wiatrem, ścigając się z posrebrzonymi falami. Równie srebrne zabudowania na brzegu były coraz bliższe.

„Dokąd mnie wiodą? - myślał rozgorączkowany Gaston. - Gdyby chcieli zabić, mogli to uczynić równie dobrze w którejś z ciemnych uliczek Tyru. Jedziemy na stały ląd, a tam przecież panują Saraceni... Po co? Dlaczego?”

Mijali opuszczone, zalane cieniami ruiny jakichś budowli, być może punktu kontroli celnej. Młodzieniec odważył się zerknąć przez ramię. Bliższy z jadących za nim turkopoli zarzucił już kuszę na ramię, ale pochwyciwszy wylężnione spojrzenie Gastona, wyszczerzył białe zęby i pokazał palcem sejmitar.

A potem wyleciał z siodła.

Przeraźliwe rzenie konia, wrzask jeźdźcy, łoskot walących się ciał. I wszystko w tej jednej chwili, kiedy młodzieniec zerknął do tyłu. W następnej świat zadygotał, stopy zgubiły strzemiona, uzda wyrwała się dłoniom i de Baideaux przeleciał nad grzbietem walącego się konia. Przetoczył się kilkakrotnie po bruku, za każdym obrotem przeszywany spazmem bólu, aż znieruchomiał, zderzywszy się z ciałem krytym lamelkami. Ciałem, które poruszyło się, zakłęło szpetnie po francusku, a potem wpiło palce w obolałe ramię Gastona.

Młodzieniec syknął i szarpnął się, lecz wtedy światło księżyca przesłoniła jakaś postać, brodata, kudłata i barczysta, zbrojna w coś nieprzyjemnie długiego.

Gaston zacisnął powieki.

Łupnęło, ale gdzieś obok. Człowiek, z którym się zderzył, próbował wstać, ale wtedy łupnęło po raz drugi. I trzeci.

Na bruku zagrzechotał strącony hełm.

- No, no! - zawołał wesoły, dobrze znany głos, cokolwiek zdyszany - Nie chciałbym od ciebie w pysk zarobić, Bernardzie, nawet ścierką!

Resztę słów pochłonęło rzenie uspokajanego konia. Młodzieniec zamrugał i wsparł się na łokciu, a wtedy ktoś ujął go pod pachy i z sapnięciem dźwignął w górę.

- Dalej, paniczu! - pisał Adalbert. - Wstawajcie, póki czas! Święty Krzysztofie, trza nam w drogę, w drogę!

Posykując z bólu, Gaston stanął chwiejnie na nogach i rozejrzał się dookoła. Bernard, który właśnie trzymał nieprzytomnego turkopola za kostki i ściągał go z drogi w cień zrujnowanej komory celnej, wykrzywił szpetnie twarz, co u niego oznaczało szczerą radość. Usiłujący opanować przestraszonego konia Vittorio roześmiał się bardziej po ludzku.

- Kto by pomyślał! - zawołał, kryjąc dłonią chrapy wierzchowca. - Elita lekkiej jazdy Outremer, a dali się nabrać na prostą sztuczkę z liną! To, że w Ziemi Świętej nie ma wielu drzew, między którymi można by takową rozciągnąć, wcale ich nie tłumaczy.

Usłyszawszy jego słowa, Adalbert porzucił Gastona i natychmiast przypadł do liny odrzuconej przez pęciny turkopolskich rumaków kilkanaście kroków dalej. Zwiął ją

nerwowo, zerkając przy tym na boki - trudno byłoby rzec, czy bardziej z obawy, że podstęp się wyda, czy z chciwości szkoda mu było zostawić sznur. Młodzieniec zaś wbił wzrok w Italczyka.

- Doskonale znam Adalberta i Bernarda - wychrypiał cicho, na powrót uparty. Ostrożność przeżyła grzbiet i prychnęła. - Pierwszy z nich mówi dużo, ale zazwyczaj bez większego sensu, drugi nie mówi wcale. Stąd wiem, że to ty stoisz za tym cudownym ocaleniem. Zanim więc przejdę do pewnego zasadniczego pytania, chciałbym ci przypomnieć, że ci ludzie to najemnicy templariuszy. Zadarłeś z zakonem.

- Wiem - oczy Vittoria zalśniły dziko - i to doskonale. Wiem również, jak zabrzmiał twoje pytanie i z chęcią na nie odpowiem. Otóż nie mam powodów, by kochać templariuszy, mam natomiast powody, by się na nich mścić w miarę moich skromnych możliwości. ,

- Nie pozwolę, byś wykorzystywał moją osobę do swych własnych rozgrywek - warknął Gaston.

- To usiądź sobie na kamieniu i poczekaj, aż ci tur-kopole się ockną - poradził mu Italczyk, wsuwając stopę w strzemień. - Przepraszam ich w moim imieniu i pozwól, by cię zabrali tam, gdzie kazali cię zabrać ci sodomici z krzyżami. Ja zaś, z Bożą pomocą, będę już wtedy daleko. Niechybnie pod Akką.

- Całe miasto huczy od wieści! - wysapał ojciec Adalbert, który najprawdopodobniej usłyszał jedynie ostatnie zdanie i omylnie pojął temat. - Ponoć Konrad z Montfer-ratu, oby anieli czuwali nad jego zdrowiem, uległ namowom szlachetnego landgraфа Turynгии i szykuje się do wymarszu pod Akkę! A wraz z nim wszyscy chrześcijańscy rycerze!

Morski wiatr targał włosami, ciemne fale przystrojone srebrnym blaskiem księżycyca z szumem szturmowały brzegi grobli. Niezdecydowany Gaston przygryzł wargę i zerknął na Bernarda, który z głośnym sapnięciem pochylał się, by złapać za kostki ostatniego z trójki turkopoli. Ściągał ich na bok z namaszczeniem dobrego gospodarza, który poświęca tyle samo czasu i miłości każdemu zwiezionemu z pola workowi fasoli.

„Korci, prawda? - zapytał Diabeł. - Chciałoby się pochwycić pałę i przyłożyć leżącemu, no nie? Przecież przewaga, obojętnie skąd się bierze, daje wiele siły, a tej ci tak rozpaczliwie brakuje. Co, już zapomniałeś błotnisty gościniec nieopodal ojcowego kasztelu? Już zapomniałeś smak potęgi, którą daje zwycięstwo?”.

Młodzieniec wypuścił powietrze z płuc i powoli, po-sykując za każdym krokiem, podszedł do wierzchowca, który stał nieopodal. Z trudem wspiął się na siodło.

- A zatem zemsta, tak? - zapytał. Sam przed sobą udawał cynizm, chcąc się nim odgradzić od wzburzenia wywołanego mrocznym wspomnieniem. - Uwolniłeś mnie, by zemścić się na templariuszach. Na rany Chrystusa, nie spodziewasz się chyba, że ci uwierzę.

- Paniczu, czy nie najważniejsze, że jesteście wolni? -jęknął Adalbert uczepiony uzdy niespokojnego konia.

- To prawda, nie ma wolności lepszej czy gorszej -skrzywił się Gaston. - Ale kiedyś dojdę do tego, co tobą powoduje, Vittorio. Obiecuję.

- A ja, naiwniak, spodziewałem się jakiegoś „dziękuję” czy czegoś w tym guście - burknął Italczyk, ale błysk w jego oczach wskazywał na rozbawienie.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Żarty sobie stroję. To przecież i tak inwestycja.

- Co takiego?

- Inwestycja. Cóż, pomogłem ci już dwukrotnie, zaraz pomogę po raz trzeci. W swoim czasie zażądam spłaty

Marcin Mortka

długu. Z bardzo niskim oprocentowaniem. Wybacz, ale Genuieńczycy tak mają.

- Pomożesz mi po raz trzeci? - ujął się pod boki de Baideaux. - A skąd wiesz, że cię o to poproszę?

- A trafisz sam do Akki?

I znów cztery drobne, lecz śmigłe konie pomknęły wzdłuż grobli ku coraz bliższym zabudowaniom lądowej części miasta. Okrągły, nabrzmiały, z lekką purpurowy księżyc przyglądał im się obojętnie, jak miał to w zwyczaju.

Ten sam księżyc przetykał srebrem płótno żagli sześciu galer, które sunęły na południe rozrzucone szeroko po morzu. Mistrz przez chwilę cieszył oczy tym niezwykłym widokiem, a potem, gdy okrągła, z lekka purpurowa tarcza księżycy skryła się wśród podartych wiatrem chmur, zwrócił wzrok ku lądowi. Z trudem wyodrębnił cieniutką czarną smugę ledwie widoczną nad białymi grzbietami fal. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

„Skąd kapitan wie, w którym miejscu przybić do brzegu?” - zadał sobie w duchu niedorzeczne, dziecinne pytanie. I zaśmiał się sam do siebie. Potrzebował niedorzecznych, dziecinnych pytań, bo tylko one pozwalały mu się jeszcze uśmiechać.

Któryś z braci serwiensów nałożył mu na barki cieplejszy płaszcz. Robert de Sabie podziękował skinieniem głowy. Nocny wiatr był rzeczywiście ostry i przenikliwy Tu, na otwartym morzu, szybko się zapominało o spiekocie dnia na lądzie.

Gdzieś załopotał żagiel, któryś z marynarzy zawołał, odpowiedzieli mu inni. Wiatr pogwizdywał wśród takielunku, fale pluskały wzdłuż burt. Wzrok wielkiego mistrza umykał ku gwiazdom widocznym pośród strzępów chmur, a jego myśli ku kwestiom bynajmniej nie niedorzecznym.

„Ciekawe, czy gdybym zastąpił de Rideforta wcześniej, jeszcze zanim ten rozpętał całe zło, też darzyłbym szpitalników taką nienawiścią? - zapytał sam siebie. - Czy wówczas również ekscytowałbym się konfliktem między Konradem a Gwidonem? Czy naprawdę pociągałyby mnie gierki polityczne Outremer?”

- Zapewne nie - odpowiedział jakiś głos tuż za jego plecami.

Robert de Sabie zmartwiał. Przez krótką chwilę miał rozpaczliwą nadzieję, że stoi za nim Wilhelm du Trie-re, którego czasem podejrzewał o umiejętność czytania w myślach, ale potem przypomniał sobie, że komandor Tyru ma głos suchy niczym osypujący się piasek, a nie głęboki, melodyjny jak ów nieznany mężczyzna. Co więcej, Wilhelm du Triere płynął na innym okręcie.

- Czyżby? - zapytał pozornie swobodnym tonem, choć jego serce biło jak szalone.

- Tak, Robercie. Jesteś człowiekiem z zewnątrz, ale potrafisz zachować swoistą rezerwę wobec wydarzeń w Outremer, a przy tym masz sporo zdrowego rozsądku i unikasz pochopnych decyzji. I właśnie na tym polega problem z tobą.

- Nie sądzę, by to akurat było dla zakonu problemem.

- Nie mam na myśli zakonu.

Gdzieś załopotał żagiel, któryś z marynarzy zawołał, odpowiedzieli mu inni. Wiatr pogwizdywał wśród takielunku, fale pluskały wzdłuż burt. Wzrok wielkiego mistrza umykał ku gwiazdom widocznym pośród strzępów chmur, a jego myśli ku kwestiom bynajmniej nie niedorzecznym.

„Ciekawe, czy gdybym zastąpił de Rideforta wcześniej, jeszcze zanim ten rozpętał całe zło, też darzyłbym szpitalników taką nienawiścią? - zapytał sam siebie. - Czy wówczas również ekscytowałbym się konfliktem między Konradem a Gwidonem? Czy naprawdę pociągałyby mnie gierki polityczne Outremer?”

- Zapewne nie - odpowiedział jakiś głos tuż za jego plecami.

Robert de Sabie zmartwiał. Przez krótką chwilę miał rozpaczliwą nadzieję, że stoi za nim Wilhelm du Trie-re, którego czasem podejrzewał o umiejętność czytania w myślach, ale potem przypomniał sobie, że komandor Tyru ma głos suchy niczym osypujący się piasek, a nie głęboki, melodyjny jak ów nieznany mężczyzna. Co więcej, Wilhelm du Triere płynął na innym okręcie.

- Czyżby? - zapytał pozornie swobodnym tonem, choć jego serce biło jak szalone.
- Tak, Robercie. Jesteś człowiekiem z zewnątrz, ale potrafisz zachować swoistą rezerwę wobec wydarzeń w Outremer, a przy tym masz sporo zdrowego rozsądku i unikasz pochopnych decyzji. I właśnie na tym polega problem z tobą.
- Nie sądzę, by to akurat było dla zakonu problemem.
- Nie mam na myśli zakonu.

Zerknął na pokład opromieniony lodowatym księżycowym blaskiem i zupełnie się nie zdziwił, że ten jest opustoszały. Odetchnął głęboko. Wiedział już, z kim rozmawia.

- In nomine Patris... - zaczął, ale przybysz przerwał mu opryskliwie:
- Przestań, nie traktuj mnie jak byle diabła, którego trzeba kropidlęm smagnąć, by zrozumiał, że przez własną głupotę wdepnął na obcy teren. Nic ci nie zrobię, de Sabie. Jesteś dla mnie zbyt ważny.

Robert nie zdziwił się również, widząc twarz nieznanego, który teraz oparł się o reling i patrzył w fale zadumany niczym żeglarz-tułacz. Wiatr unosił jego kręcone włosy okalające zaskakująco nadobną twarz, chwilami przesłaniając mu oczy, ciemne, wręcz czarne, przerażająco sugestywne. Widział tę twarz przedwczoraj na ścianie hammam. Widział ją i wcześniej nakreśloną węglem w celi tyryjskiej komandorii.

- Ważny - powtórzył templariusz z namysłem. Strach nagle uleciał. - Dlaczego? Dlaczego jestem ważny? Bo dzięki mojej osobie będziesz mógł doprowadzić zakon do upadku, diable?

- Któż ci powiedział, że pragnę upadku zakonu? - zaśmiał się nieznanomy. - Ujmę to tak: w moim żywotnym, bardzo żywotnym interesie jest, by zakon ubogich rycerzy istniał jak najdłużej. Nie obwiniaj też de Rideforta o wszystko to, co się teraz dzieje z twoimi braćmi. Tak naprawdę to prawdziwą winę ponosi Hugon de Payns, wasz pierwszy mistrz, Robercie. Gdyby nie jego zachłanność, martwiłbyś się dziś zakonem szpitalników i innymi bzdurami. Nie przejmowałbyś się upadkiem obyczajów wśród braci, boby go zwyczajnie nie było. No dobrze, byłby, ale na pewno nie aż taki.

- Będę go obwinał - zgrzytnął zębami de Sabie - bo dopiero za de Rideforta wszystko zaczęło przyspieszać, a potem walić się na łeb na szyję. Ten nędznik swymi intrygami pogrzebał zarówno Outremer, jak i swój zakon. Dziś oba - Królestwo Jerozolimskie oraz zakon ubogich rycerzy - to niemalże puste hasła, za którymi kryje się jedynie cząstka dawnej siły

- Z drugiej strony był jedynym, który podjął walkę z tym, co wy nazywacie klątwą - nieprzyjemnie zaśmiał się nieznanomy.

- Tak, a rezultaty jego starań są dobrze znane. Pierścień zniknął, de Baideaux zniknął, a ty, jak rozumiem, bynajmniej nie masz zamiaru nas opuszczać?

-Nie.

- Pies więc trącał taką walkę. De Ridefort przegrał dosłownie wszystko, a ja dzięki niemu przewodzę dziś bandzie zdeprawowanych sodomitów, których nigdy nie ocale przed nimi samymi. W rzeczy samej, już lepiej zawczasu pchnąć ich wszystkich do boju i patrzeć, jak giną. Ale nie martw się, nie zmożesz mnie. A ja do tego czasu odnajdę pierścień.

- Zmogę. Tak jak zmogłem de Rideforta i wielu przed nim, bo właśnie dowiedziałem się, na czym ci tak naprawdę zależy. Jesteś już mój, de Sabie. A pierścienia nie odnajdziesz.

- Per signum crucis de inimicis nostris libera nos, Deus noster... - zaczął wielki mistrz uroczyście, kreśląc w powietrzu znak krzyża, ale zanim doznał końca pierwszego zdania, uświadomił sobie, że złowieszczego rozmówcy już nie ma. Flotylla sześciu galer nadal sunęła przez czarne fale na południe, ku Akce. Ku swemu przeznaczeniu.



Tenże sam księżyc odbił się w mosiężnej spince płaszcza rosnącego mężczyzny, który zmierzał wąskimi uliczkami Tyru ku murom miejskim chroniącym dostępu od strony grobli. Poza ową spinką nic go nie wyróżniało. Miecz, zapewne niewyszukany, lekko odchyłał mu połą płaszcza, szarego i pozbawionego ozdób. Na palcach nie miał żadnych pierścieni, a jego twarz i włosy krył kaptur.

Tylko człowiek obdarzony bardzo bystrym wzrokiem dostrzegłby w ruchach nieznanego jakąś sztywność, niezgrabność właściwą ludziom niedawno poturbowanym, powoli dochodzącym do zdrowia. Tylko człowiek, który spędził wiele czasu wśród żołnierzy i awanturników, dostrzegłby zaś, że samotny wędrowiec bez wątpienia jest jednym albo drugim. Poznać to mógłby choćby po krótkim, ostrym spojrzeniu, jakim uciał potok słów handlarza owoców błakającego się po ulicach z objuczonym osiołkiem i lampą. Poznać to również mógłby po wzgardliwej stanowczości, z jaką ignorował wulgarne zaczepki dziwek. Oraz po tym, że szedł w stronę murów.

Potężne umocnienia, które rozbudował Konrad z Montferratu za swe bogactwa przywiezione z Bizancjum, pozwoliły bez trudu odeprzeć kilka szturmów Salah ad-Dina, tym bardziej że ten atakował bez przekonania. Rzucane przez nie cienie stworzyły zaś rodowitym tyryczykom oraz co obrotniejszym przybyszom nowe okazje do robienia interesów. Nowe, wyższe mury oznaczały liczniejszą załogę, a zatem większy popyt na seks i alkohol. Pomimo surowych przepisów wprowadzonych przez markiza Montferratu żołnierze lajdaczyli się jak dawniej, zwłaszcza teraz, gdy zagrożenie bezpośrednim atakiem malało, zaś do miasta co rusz docierali nowi najemnicy, rozglądający się za zatrudnieniem, ale także spragnieni owoców Lewantu. Wkrótce do interesu dołączyli siłą rzeczy reketierzy, wykształciły się strefy wpływów o niebezpiecznie płynnych granicach, a bruk uliczek Tyru zaczął nasiąkać krwią. Nikt, kto nie był żołnierzem czy charakternikiem, nie szedł w nocy ku murom miejskim. Zresztą nieznanomy wędrowiec do samych murów nie dotarł. Im był bliżej bramy, tym częściej raptownie skręcał, przyczajał się w mroku, czekał. W końcu przekonany, że nikt go nie śledzi, wniknął w wąską, cuchnącą moczem uliczkę, u wylotu której znajdowała się stara olejarnia. O świcie przychodziły tutaj tłumy biedaków gotowych za parę miedziaków udeptywać przez cały dzień nasiona sezamu w kamiennych kadziach, lecz póki co nie było w niej żywego ducha.

Nie licząc kilku kotów wpatrujących się intensywnie w postać leżącą bezwładnie w ciemnej kałuży, niechybnie skutek uboczny przesuwania się stref wpływów.

Zwierzęta zerknęły na przybysza, który przygarbiony przemykał tuż przy ścianie kamieniczki. Naciągnął mocniej kaptur, jakby zaniepokojony zielonymi, zimnymi spojrzeniami, a potem zastukał w któreś drzwi. Te otworzyły się niemal natychmiast. Zamaskowany człowiek wyszeptał kilka słów do niewidocznej postaci, po czym odszedł równie pospiesznie, jak przyszedł.

Koty powróciły do kontemplacji trupa.

Rozdział piąty

w którym gaston de baideaux, wbrew wszystkim przeciwnościom losu, wreszcie czuje się jak hrabia Roland, i to dwukrotnie. niestety za każdym razem wywołuje to poważne, bardzo poważne konsekwencje

Nawet jeśli widok jeźdźców w płaszczach turkopoli, na ich niewielkich, lecz rącznych wierzchowcach i wymachujących sygnetem templariuszy zrobił jakiegokolwiek wrażenie na strażnikach przy bramach lądowej części miasta, nie dali tego po sobie poznać i czwórka uciekinierów poprostu zignorowali. Nie pomogły wymyślne kłamstwa Vittoria i powoływanie się na najwyższych dostojników w zakonie, nie pomogły płaczliwe modły

Adalberta ani gniewne pomruki Bernarda - wyglądało na to, że do otwarcia bram skłonić mogłaby zbrojnych tylko łapówka, a tej, jak na złość, wręczyć nie mogli. Bo nie było z czego.

Pozostawało więc nerwowe oczekiwanie do świtu. Gaston w każdej chwili spodziewał się pościgu templariuszy, ale w końcu zasnął w siodle. Obudził się jednak jeszcze bardziej przerażony, bo choć na granatowym niebie dopiero z wolna rzedły gwiazdy, wokół usłyszał parskanie koni i głośne rozmowy po francusku i italsku.

- Kim są ci ludzie? - zaszczękał zębami.

Księżulo, który nawet drzemiąc, nie wypuszczał

z dłoni wodzy jego konia, nagle drgnął i rozejrzał się pospiesznie. Miał przy tym tak głupkowaty wyraz twarzy, że de Baideaux poczuł nagły przypływ niechęci.

„Dlaczego wyglądasz na rozsądnego tylko wtedy, gdy na ciebie nie patrzę? - zapytał w myślach z goryczą. -Dlaczego udajesz? Skrywasz coś przede mną?”.

- Ci ludzie? - wybełkotał Adalbert. Wokół jego ust wykwitał obłoczek pary. - A, to krzyżowcy! Wszyscy spieszą pod Saint-Jean d Acre, tak jak i my.

Vittorio, który przed momentem rozprawiał o czymś głośno ze znajomkiem, sądząc po hełmie sycylijskim Normanem, odwrócił się i podszedł do Gastona.

- Przyjdzie nam jechać pod Akkę w zacnym towarzystwie - oznajmił, rozcierając dłonie.

- Czyżby baroni się ruszyli?

- Jeszcze nie, i całe szczęście! - Vittorio pokraśniał. -Jak się pospieszymy, to wyprzedzimy wszystkich, landgrafa Turyngii, barona z Ibelinu i markiza Montferra-tu, i wybierzemy sobie najlepsze miejsce do obozowania, najlepiej gdzieś blisko wody, a możliwie daleko od nich. I od machin miotających, bo na te Saraceni szczególnie zawzięci, starają się je rozwalić podczas każdej wycieczki. Nie mogę pozwolić, by mi o świcie pogańskie konie po pledach galopowały. A gdy już dotrzemy na miejsce i rozbijemy obozowisko, poszukamy sobie jakiegoś zacnego seniora, najlepiej takiego, który naprawdę zna się na wojacze.

- Prawdziwego krzyżowca? - zapytał Adalbert, również szcękając zębami. - Człowieka wielkiej wiary, zwierciadło przymiotów rycerskich?

Robiło się coraz widniej i Gaston wyraźnie ujrzał, jak twarz Genuńczyka rozszerza szeroki uśmiech.

- Boże, chroń nas przed prawdziwymi krzyżowcami! - zawołał szczerze rozbawiony. - Myślałem o kimś takim, co to walczy tak długo, póki mu się to opłaca. Święta wojna to inwestycja, drogi Adalbercie. Kto jak kto, ale sługa Kościoła powinien wiedzieć o tym najlepiej.

Twarz kapłana pociemniała, a usta poruszyły się kilkakrotnie, jakby rozpaczliwie próbował dobrać jakikolwiek kontrargument. W końcu porzucił wysiłki, westchnął żałośnie i odwrócił głowę.

- A kompania przednia, zapewniam! - ciągnął nie-zrażony Vittorio. - Tam oto siedzi na koniu Wilhelm von Driffburg, którego rodziciela emir Damaszku wygnał z posiadłości w Hrabstwie Edessy. Strasznie się Wilhelm z Saraęenami nie znosi, głównie przez ów majątek, którego nigdy na oczy nie widział. Dalej Amalryk de Pu-igney, dawny klient Grenierów, dziś miecz do wynajęcia. Tych trzech nie znam, ale cera błada i obłęd w oczach wskazują na dopiero co przybyłych pielgrzymów. O, za nimi Anzelm z Ar-Ramli, co go ponoć nigdy się śmiejącym nie widziano. I Vincent de Dervoux, co to przesiedział trzy lata w niewoli saraceńskiej i psią mową mówi nie gorzej od własnej...

- Na koronę cierniową! - wykrzyknął poruszony Adalbert. - Gadali mi, że chrześcijaninowi, co się mowy pogan wyuczy, język kołowacieje, a gardło wiecznym ogniem płonie! Prawda to?

- Prawda - przytaknął poważnie Italczyk. - I kuśka marnieje. Zaś tam, Gastonie, masz kogoś sobie podobnego. Gerard de Reinee, bodaj ostatni człowiek w Outremer, któremu nadal śni się Regnum Dei.

Obojętny na ironiczny ton Vittoria młodzieniec powiódł spojrzeniem za jego palcem i ujrzał niewysokiego człowieka na drobnym, wychudłym wierzchowcu. W przeciwieństwie do pozostałych rycerzy, którzy trzymali się w siodłach prosto i głośno rozprawiali ze sobą, bądź strofowali pachołków, ten garbił się i ani na chwilę nie spuszczał wzroku z ciemnych wrót bramy. Na wschodzie niebo malowało się już różem i Gaston dostrzegł bladą cerę, zapadłe policzki oraz gorzejące oczy asce-tyka.

- W drodze pod Hittin padł mu koń i gdy dotarł na miejsce, ujrzał już tylko pobojuwisko - opowiadał wesołym tonem Vittorio. - Na oblężenie Jerozolimy też się nie załapał. No, za cholere nie udało mu się oddać życia za wiarę, to teraz próbuje. Gadają, że po dotarciu do Tyru wciąż krzyżem w kościele leżał. Cud, że sobie mozaiki na gębie nie odcisnął.

- Wielu ludzi prawdziwej wiary tak uczyniło - odciął się Adalbert.

- Odcisnęło sobie wzorek na gębie?

- Nie drwicie! - Kapelan zadarł lekko głowę i spojrzał na Italczyka z wyższością, w której było dokładnie tyle pogardy, na ile wiedział, że może sobie pozwolić. -Mówię o pokucie, szczerzej a zacnej...

- Cóż, pokutników to w Tyrze na palcach jednej ręki zliczyć można - prychnął Vittorio.

- A z ich skromnego grona jedynie rzeczony Gerard dźwignął się wczoraj.

Cud, że nie przyrósł. Zresztą... O, spójrzcie! - Głos Italczyka nagle ochłódł. - Zaiste, przyjdzie nam w dobrej kompanii podróżować.

Uliczkami lądowej dzielnicy miasta, o wiele szerszymi od tych na wyspie, poniósł się zwielokrotniony echem tętent kopyt, wielu kopyt. Rycerze i ich giermkowie przerwali rozmowy, spoglądając, zaintrygowani, w kierunku nadjeżdżających. Gaston, Adalbert i Bernard poszli w ich ślady.

Z szarości świtu wychynał rozhuwany rycerski de-strier z białą gwiazdą pośrodku czoła przydającą mu wyglądu mitycznego jednorożca. Dosiadający go jeździec -barczysty, krótko ostrzyżony mężczyzna o brutalnej, przeciętej blizną twarzy - wodze trzymał z wprawą, ale i ostentacyjną nonszalancją, zdawałoby się, zbyteczną w tak zacnym gronie doświadczonych rycerzy. Przybysz jednakże wydawał się być innego zdania. Poderwany szarpnięciem wodzy rumak zatańczył na tylnych nogach, a jeździec obrzucił zebranych twardym spojrzeniem, ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy - tylko tak dał do zrozumienia, że łaskawie dostrzega uniesione w powitaniu prawice. Potem ruszył w kierunku wciąż zamkniętej bramy.

W tej samej chwili chrzęst oręza przybrał na sile i uliczka wypuła gromadę jeźdźców równie rozhuwanych. Dziwaczna była to zbieranina - niebieskoocy Normanowie o jasnych, spłowiałych od słońca włosach, czarnowłosi Italczyki i Prowansalczyki, śniadoskórzy Syryjczycy w turbanach, a nawet kilku Nubijczyków o ciemnej skórze i równie ciemnych oczach, a wszyscy uzbrojeni po zęby. Widząc zatrzaśnięte wrota, osadzali w miejscu swe konie, równie rozmaite jak ich uzbrojenie, i rozjeżdżali się na boki, by uczynić miejsce swym towarzyszom, a wszystko w niemalże całkowitej ciszy zakłócanej jedynie prychnaniem wierzchowców i stukotem kopyt.

- Marco Guiscard - mruknął Vittorio. -I jego chwaty-

- Kolejny Italczyk, Boże wesprzyj nas zagubionych! -jęknął Adalbert.

Gaston niejedno słyszał o Guiscardach, straszliwym rodzie normańskim, który najpierw wyrąbał sobie księstwo na Sycylii i Półwyspie Apenińskim, potem toczył zuchwałę wojny z Bizancjum, a następnie wsparł pierwszą krucjatę i doprowadził do utworzenia księstwa Antiochii. Wiele słyszał o Boemundzie, pierwszym księciu Antiochii, oraz Tankredzie, hrabim Galilei, ale nazwisko Marca Guiscarda nigdy mu się o uszy nie obiło.

Ten zaś zachował się tak, jakby doskonale był tego świadom i pragnął, by młodzieniec dobrze go sobie zapamiętał. Nagle wyszarpnął miecz, wznosił go ku niknącym gwiazdom i wrzasnął:

- Deus le volt!

- Deus le volt! - zakrzyknęli jego towarzysze oraz kilku innych rycerzy, głównie pielgrzymów. Reszta spojrzała po sobie ze zdumieniem i rozbawieniem.

- Niezła szopka - oznajmił uśmiechnięty szeroko Vittorio.

Chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy, jakby w odpowiedzi na potężne zawołanie, brama zaczęła się otwierać.

- A zatem, Gaston, ruszamy pod Akkę - powiedział. - Masz swoją krucjatę jak się patrzy. Pozostaje jeszcze tylko jeden problem.

- Jaki?

- Ktoś cię musi nauczyć składać kopię. Albo robić mieczem. Albo choćby kijem wywijać. Bo widzisz, młody przyjacielu, każda wojna, święta czy nie, jednako polega na waleniu po mordzie.

Grupa krzyżowców, która opuściła tego ranka Tyr, liczyła, według rachuby ojca Adalberta, ponad stu ludzi. Zważywszy, że trakt do Akki nadal kontrolowali Saraceni, była to okoliczność wielce sprzyjająca - należało się bowiem spodziewać licznych posterunków w przydrożnych osadach i karawanserajach.

Tymczasem w sto koni mieli spore szanse przebić się pod Akkę, zwłaszcza że Saraceni niechętnie podejmowali walkę z większymi hufcami frankijskimi, o ile nie dysponowali zdecydowaną przewagą.

Jednak wkrótce po opuszczeniu otaczającego Tyr pierścienia winnic i ogrodów, tu i ówdzie spalonych podczas niedawnych oblężeń, Guiscard po raz kolejny postanowił zostać zapamiętany i niczym niezłomny, samotny krzyżowiec z rycerskich opowieści wysforował się wraz ze swymi ludźmi na czoło. Nie licząc kilku przybyszów z Europy, na których pokaz za murami Tyru zrobił duże wrażenie, nikt nie zamierzał Italczyka ścigać i tak oto oddział podzielił się na dwa mniejsze.

Ojciec Adalbert - przedtem wpatrzony w Marca Guiscarda niczym w relikwię - przez dłuższą chwilę spoglądał pytająco na Gastona. Potem zaczął coś przebąkiwać o chwale, sławie i dogodnym miejscu do obozowania, ale młodzieniec uciszył go jednym wściekłym warknięciem. Zapatrzone w obłoczki pyłu unoszące się spod kopyt konia jadącego przed nim, trawił bezczelne, brutalne, ale i prawdziwe słowa Genuńczyka.

„Nie umiem walczyć - myślał z goryczą. - Nie umiem. Na koniu jako tako się trzymam, ale o władaniu mieczem czy włócznią z siodła nie ma mowy. Jedynie kijem machać potrafię, ale wstyd się przyznać przed pasowanym, że tylko chłopska broń mi w dłoni leży”.

Zerknął na jadącego za nim Bernarda, który swego czasu włożył tyle trudu w uczenie rozkochanego w dawnych opowieściach niezdary walki kijem, i uśmiechnął się słabo.

Kudłaty sługa odpowiedział jednym ze swoich zwierzęcych grymasów, które płoszyły konie i budziły wycie psów, by następnie unieść wzrok wysoko, ku bła-doniebieskiemu niebu. Ani wszechobecny pył, ani gorące podmuchy wiatru, który Vittorio obojętnie nazwał chamsinem, ani też potworny żar nie wydawały się robić mu większej różnicy. Choć miał na sobie grubą, ciężką przesywanicę, nie zrzucił nawet płaszcza zdartego z jednego z turkopoli, choć pozostała trójka swoje już dawno zwinęła i przytroczyła do siodła. Trudno uwierzyć, ale na jego czole, skrytym wśród kudłatych kędziorów, nie znać było ani kropli potu.

„Zazdroszczę ci - pomyślał Gaston i otarł dłonią wilgotną skroń. - Wielu rzeczy ci zazdroszczę. Tego, że nie musisz podejmować decyzji za siebie. Tego, że nie musisz rozmawiać z ludźmi. Nawet tego, że wiele swoich problemów możesz rozwiązać ciosem pałki. Ja nawet tego dobrze nie potrafię”.

„Właśnie! - odezwał się Diabeł. - Doprawdy, Gasto-nie, nie przestajesz mnie dziwić.

Przewędrowałeś pół świata, by odpokutować swe grzechy w Ziemi Świętej, a kiedy okazało

się, że Bóg ma inne sprawy na głowie niż przegnać twego kusiciela... Zresztą sam przyznasz, ostrzegałem! No więc tyle wysiłku, a ty dopiero teraz przypominasz sobie, że niespecjalnie umiesz walczyć".

- Nie mów do mnie po imieniu - wycodził przez zęby de Baideaux. - Mdli mnie od tego. „Własne imię cię mdli? A to dopiero! Cóż, a jak mam cię nazywać? Nieudacznikiem?

Niezguła? Dobrze, skoro tak sobie życzysz. No, panie niezguło, jak zatem masz zamiar walczyć o swą splugawioną duszę, która, nawiasem mówiąc, wielce mi przypadła do gustu?"

- Bóg mnie poprowadzi. - Gaston zacisnął spierzchnięte wargi.

„Aha. A jeżeli znowu będzie miał coś ważnego na głowie, gdy dojdzie do bitwy? Co zrobisz, gdy Bóg po raz kolejny nie dosłyszysz modlitw pewnego żalosego pielgrzyma?"

- Zostaw mnie!

„A kiedy ja mam do ciebie naprawdę ważną sprawę, niezguło! Szkoda cię, szkoda twojej duszy, wierz mi. Powiedz mi, co poczniesz, gdy przyjdzie nam walczyć? Schowasz się za plecami innych i będziesz tłukł tych, co z koni ranni pospadali? Cóż, w tym akurat masz wprawę".

Młodzieniec zacisnął powieki.

- De Baideuax! Co ty wyczyniasz, na litość boską! - wrzeszczał ktoś w ciemności.

Stał przez moment i patrzył w przerażone oczy, a potem nadepnął na dłoń, która pełzała po błocie w poszukiwaniu upuszczonej broni. Wtedy uśmiechnął się po raz pierwszy. Uniesiony miecz na chwilę zastygł w powietrzu, a potem opadł niczym błyskawica w dół.

I znowu wystrzelił ku górze, podrywając ze sobą rój kropelek krwi...

Otworzył oczy i aż się zachwiał odurzony blaskiem bezlitosnego słońca.

- Odejdź, Diabło - wycharczał. - Zostaw mnie.

„A może chcesz walczyć jak prawdziwy rycerz? Co? Może chciałbyś się bić w pierwszym szeregu, może chciałbyś składać kopię czy bronić sztandaru? Nic prostszego, niezguło. Zдай się na mnie. Zaufaj mi, a nauczę cię wszystkiego, co rycerz wiedzieć powinien".

- Na męki Chrystusa i łzy Maryi, zostaw mnie, Diabło...

„Czyli odmawiasz? Trudno. A tak w ogóle, to dlaczego nazywasz mnie Diabłem?"

Gaston naraz uświadomił sobie, że czyjaś pulchna, spocona dłoń mocno zaciska się na jego nadgarstku. Na zaczerwienionej twarzy ojca Adalberta - bo to był on - widniał niepokój.

- Ciszej, paniczku, ciszej - szeptał.

Młodzieniec uniósł wzrok i uświadomił sobie, że ledwie kilka metrów przed nim jedzie jeden z rycerzy, teraz jakby zdziwiony, oglądający się przez ramię.

„Anzelm z Ar-Ramli - przypomniał sobie de Baide- aux. - Usłyszał moje słowa? Na Boga, usłyszał..."

Uniósł dłoń w pozdrowieniu, lecz rycerz nie zareagował. Jego piwne, niemalże żółte oczy przez przerażająco długą chwilę lustrowały szczupłą postać Gastona, a potem Anzelm spiął konia i pognał na czoło oddziału, podnosząc gryzącą kurzawę.

Do końca dnia Gaston i Adalbert nie odezwali się już ani słowem, opadł z sił nawet Vittorio, który przez większość drogi jechał strzemię w strzemię z kilkoma rodakami i rozprawiał głośno w śpiewnej włoskiej mowie. Bez kpín czy zbytecznych komentarzy przyjęto do kompanii pewnego flandryjskiego rycerza, który w pierwszym odruchu chciał pognać za Guiscardem, ale niezwykajny upałów nie wytrzymał tempa i pozostał w tyle. Amal-ryk de Puigney, który samorzutnie objął dowodzenie nad drugim oddziałkiem, oddał mu swego luzaka, a pozostali podzielili się z nim wodą.

Widząc to, Gaston poznał pierwsze niepisane prawo syryjskiego szlaku. Kolejne - jak choćby te, że warto wstrzymać podróż podczas najgorętszych godzin popołudnia, że kark i głowę trzeba zakryć kufiją, podobnie jak kolczugę, że wierzchowca należy poić przy każdym napotkanym źródle - przyswoił sobie niewiele później. Było to konieczne, gdyż nawet miejscowi rycerze nie pamiętali takich upałów we wrześniu, a przecież prowincje nadmorskie słynęły z dość korzystnego klimatu. Oszołomiony spiekotą de Baideaux miał wrażenie, że co

rusz traci przytomność - w rzeczy samej, kilka razy podtrzymał go niezmordowany Bernard. Decyzję o rozbiciu obozowiska młodzieniec powitał więc z jękiem ulgi.

Amalryk jednak nakazał postój dopiero późnym wieczorem, gdy niebo nad niewidocznym już morzem zaczęło granatowieć, a przed nimi górował masyw Schodów Tyryjskich.

Doświadczony rycerz na obozowisko wybrał miejsce z dala od drogi, w zakolu szerokiego strumienia wypływającego spośród nieodległych zdziczałych winnic, po czym zabronił wszystkim palenia wysokich ogni i rozkulbaczania koni, wreszcie wyznaczył silne warty. Wszyscy słuchali go bez sprzeciwu, nawet Vittorio.

- Saraceni na pewno wiedzą już o naszej obecności -oznajmił Italczyk, siadając na ziemi i pociągając tęgo z bukłaczka. - Spójrzcie.

Brudny palec wskazywał kierunek, z którego nadjechali. Na tle ciemniejącego, wieczornego nieba widać było rozmazane chmury pyłu.

- To inne orszaki, być może liczniejsze od naszego -ciągnął Vittorio. - Nawet ślepy by je zauważył.

- Mijaliśmy po drodze ormiańskie karawany - wychrypiał Gaston, pocierając podrażnione od pyłu oczy.

- Mijaliśmy też wioski, a w każdej z nich dziesiątki takich, co to poinformują Saracenów za skopek mleka czy kilka miedzianych felsów.

- Banda judaszy - mruknął Adalbert.

- Ale uczciwych judaszy Nam też by donosili, gdybyśmy tylko mieli coś na zbyciu poza kopniakami.

Noc zapadała szybko, na granatowym niebie migotały już gwiazdy, wokół płonęły niewielkie ogniska, wokół których skupiali się ludzie. Powietrze ochładzało się szybko i wkrótce Gaston wyrwał spod siebie pled, by narzucić go na barki. Pomyślał nawet, że morderczy upał miał przynajmniej tę korzyść, że trzymał wszystkie jego mroczne przemyślenia z dala. Teraz powróciły z całą mocą.

Młodzieniec ujął rękojeść swego miecza i powoli, jakby z wahaniem, wysunął go z pochwy. Obrócona klinga odbiła światło gwiazd, a potem płomień ogniska rozpalanego przez Bernarda. Z rozmachem wbił swój nowy miecz w suchą ziemię i zapatrzył się w rozkołysaną rękojeść. Twarz młodzieńca wykrzywił kąśliwy uśmiech.

- Za bardzo przypominasz mi swą szaloną matkę, a to znaczy, że nie nadajesz się do niczego - parsknął stary baron de Baideaux, po czym uniósł dłoń, jakby chciał uderzyć.

Powstrzymał się jednak i dokończył:

- A skoro nie nadajesz się do niczego, to najlepiej będzie zostać ci księdzem. Tak przynajmniej zarobisz na sobie.

I wtedy dopiero uderzył.

Miecz nadal się kołysał. Odblask płomieni pełzał coraz wyżej po klindze, sięgnął jelca. Podświetlona rękojeść przypominała teraz święty artefakt. Gaston pokiwał głową i uśmiechnął się jeszcze smutniej.

- Rozumiem, że deklinacje i koniugacje niezbyt was, paniczu, intrygują - mówił zafasowany Adalbert i tarł czoło. - Ale pan baron surowo przykazał, byście łącińską mowę i Pismo Święte poznali, nim... Paniczu, nie można tak, przecież dzwony biją już na nonę Na świętego Grzegorza Wielkiego, niechże wam będzie. Oczywiście, że znam opowieść o królu Baldwinie i jego rumaku Gazeli...

Rycerze rozprawiali nieopodal, wątle płomyki ogniska szeptały cicho. Bernard rozciągnął potężne ramiona i położył się na ziemi. Nie życzył nikomu dobrej nocy, nie umiał.

Wąskie usta Izabeli de Murble rozszerzył uśmiech, który tylko przez moment wydawał się kuszący i zachęcający.

- Przyznam, młody rycerzu de Baideaux, że całkiem mnie zaskoczyliście - powiedziała głośno i wyraźnie, najprawdopodobniej po to, by damom dworu nie umknęło ani jedno słowo.

- Nie spodziewałam się, że usłyszę tak piękne wyznanie miłości z ust młodzieńca tak nadobnego, tak niezmiernie nadobnego, że można nawet zapomnieć, jaki z niego gołodupiec. Och, nie mogę się doczekać, by powtórzyć je panu de Souhait. Niechże wie mój oblubieniec, jak naprawdę należy starać się o względy damy.

Głównia wreszcie znieruchomiała, lecz nadal mieniła się refleksami ognia, tym razem dostojnie, jak przystało na znak, który przedstawiała. Rycerze przy sąsiednim ognisku rozmawiali o Guiscardzie i co rusz wybuchali gromkim śmiechem. Nadal się ochładzało, wraz z oddechami ludzie wypuszczali już obłoczki pary.

Klinga młodego de Souhait przecięła powietrze, rozległ się rozpaczliwy brzęk.

- I to tyle? - zapytał de Souhait z drwiną. - Mówiono mi, żeś oferma i niezguła, de Baideaux, ale nie sądziłem, że aż do tego stopnia. Nigdy dotąd nie spotkałem człowieka ze szlachetnego rodu, który dałby sobie wytrącić miecz przy pierwszym złożeniu. Zresztą tak po prawdzie, to jaki z was tam ród! Miecza szkoda. Vincent, podaj lagę. Nauczę tego chudopachołka moresu w sposób bardziej dlań właściwy.

Bernard chrapał. Adalbert przesuwiał ziarenka różańca między palcami, ale wciąż zerkał na Gastona z troską i niepokojem. Konie prychały w ciemnościach, gdzieś dalej okrzykiwały się warty.

- To ty, de Baideaux? - pytał Vincent, podchodząc coraz bliżej. Latarenka kołysała się pchana wiatrem. Brzydki uśmiech nie znikał. - To naprawdę ty? Na mój honor, szybko stanął na nogi. Ho, ho, oczom nie wierzę! Kiedyśmy to cię sprali, nieszczęsny głupcze? W niedzielę? Niech mnie licho, szybko zapominasz.

- Odejdź, Vincent. Odejdź. Mam sprawę z twoim panem.

- Trzeba ci chyba tę pamięć poprawić, de Baideaux.

Nie poprawił, nie zdążył. Śmignął miecz raz i drugi,

latarenka znieruchomiała w błocie, płomyk umarł. Wielkie ciało Vincenta zważyło się z łoskotem wytłumionym przez błoto. Pozostał jeszcze drugi jeździec...

Nagle z mroku dobiegł przeraźliwy śmiech kryjący w sobie niewysłowione wprost szyderstwo. Gaston pochwycił za miecz, wyrwał go, zastygł przyczajony. Przerażony Adalbert upuścił różaniec i przetykając ślinę, nerwowo spojrział na boki. Śmiechowi zawtórował drugi, równie złośliwy, a potem trzeci. Bernard chrapnął i przewrócił się na bok.

- Zawrzyjcie mordy, padalce! - wrzasnął któryś z rycerzy i cisnął w mrok ogryzioną kością. - Idźcie szczać pod obóz Guiscarda!

I odwrócił się do kompanów. Oprócz Gastona i jego towarzyszy oraz owego Flandryjczyka, którego zgarnęli po drodze, w całym obozie nie podniósł się nikt.

- Na miłosierdzie Boga, cóż to było? Ghule? - zapytał pobladły Adalbert.

- Nie, ale blisko. Hieny - oznajmił Vittorio i usiadł przy ogniu, rozcierając ręce. - W Outremer nastały złote czasy dla padlinożerców, a ja głupi czasem się dziwię, skąd tu tylu Pizańczyków. Schowaj swój miecz, Gastonie. Hieny z rzadka człowieka zaatakują, chyba że samotnego. Albo Żyda.

- Aż dziw, że diabelski pomiot na wrogów Chrystusa nastaje - stwierdził Adalbert.

- Żaden dziw. Nawet diabelski pomiot w końcu pojął, że Żydzi rzadko kiedy pod bronią jeżdżą. Szukałem cię właśnie, Gastonie, gdyż chciałem zaproponować ci umowę handlową. Otóż żaden ze mnie wielki fechtmistrz, ale...

Nagle przerwał i zaniepokojony wbił wzrok w ciemność. Potem dotknął dłonią ziemi i zaraz przypadł do niej uchem. Bernard poruszył się, otworzył oczy. Jego wielkie, sękatę łapsko chwyciło za kij.

- Ktoś tu... - zaczął, ale jego słowa przeciął krzyk wartownika:

- Saraceni!

- Turkowie!

Niewielkie ognie zaczęły znikać przesłaniane sylwetkami podrywających się mężów. I naraz buchnęło zamieszanie, ponad które wybiły się głośnie komendy Amalryka de Puigney. Strzelały snopy iskier z rozdeptywanych ognisk, rżały konie, krzyczeli chwytający za włócznie rycerze. Migotała stal.

Ziemia drżała coraz mocniej.

- Do broni! Bóg i święty Jerzy!

- Do broni! - zakrzyknął Vittorio, podrywając się. - Bernardzie, rozkop ognisko! Gastonie, na koń!

Młody de Baideuax nigdy jeszcze tak szybko nie znalazł się w siodle. Ściągnął wodze odrobinę zbyt brutalnie, koń parsknął, zadrobił. Młodzieniec wyczuł, że zwierzę jest zdenerwowane, zupełnie jakby wiedziało, na co się zanoszą.

„Oby tylko nie wyczuł, że stracham się nie gorzej od niego” - przeszło mu przez myśl, gdy niezdarnie wyszarpywał miecz z pochwy.

Gdzieś mignął mu Bernard, w siodle jeszcze bardziej niezgrabny niż on sam, potem ujrzał Vittoria opromienionego iskrami z rozkopywanych ognisk.

- Trzymaj się mnie! - wołał Italczyk. - Trzeba nam uchodzić w stronę...

Gaston szarpnął za wodze, splunął, przeciął mieczem powietrze. I pognał konia w kierunku Amalryka de Puigney, który stał w strzemionach i wrzeszczał. Coraz więcej konnych kłębiło się wokół niego. Ziemia drżała.

- Tam są!

Po przeciwnej stronie potoku zamajaczyły sylwetki jeźdźców. W tej samej chwili ku gwiazdom pomknął rój czarnych strzał.

- Bóg i święty Jerzy! - krzyknął Amalryk, spinając konia.

I wtedy Gaston poczuł, że porywa go impet rycerskiej szarży, straszny gniew wojowników o świętą sprawę. Upokorzenia we Francji, diabeł, templariusze, własne dylematy - wszystko odeszło w niepamięć, był teraz rycerzem Chrystusa, szedł do świętego natarcia na wroga i ciężyciela jak ongiś Lancelot, Artur i Roland.

Ów stan uniesienia trwał do chwili, gdy pierwsze strzały wroga odnalazły swój cel.

Z głuchymi młaśnięciami groty przebijały koleczugi, wgryzały w ciała ludzi i koni, z brzęknięciem odskakiwały od hełmów. Naszpikowany strzałami wierzchowiec Wilhelma von Driffburga potknął się, rycerz spadł z siodła, w ślad za nim poleciał ów pechowy Flandryjczyk z tchawicą przebitą na wylot, ryczał Anzelm, wymachując przeszytym ramieniem.

Gastón kulił się nad końską grzywą i patrzył przerażony, jak saraceńskie pociski wyrąbują szczyby w rozpędzonym hufcu frankijskim. Nie zatrzymały go jednak. Rumak Amalryka już galopował przez bród, jego kopyta wzbijały fontanny wody.

- Bóg i święty Jerzy! - wrzeszczał.

- Deus le volt! - krzyczał z uniesieniem jadący tuż za nim Gerard de Reinee.

- Deus le volt! - wrzeszczał do ochrypnięcia Gaston.

Saraceni nie czekali beczynn timer. Zamigotały krzywe szable, nocnym powietrzem wstrząsnął nowy wrzask:

- Allah Akbar! Bismallah!

Koń Amalryka wypadł już na przeciwny brzeg. Gastón zdążył ujrzeć, jak jeździec unosi włócznie do ciosu, a potem świat przesłoniły mu bryzgi wody spod dziesiątek kopyt.

Szaleńczy galop przez rzekę urwał się równie szybko, jak się zaczął, a wtedy rozpędzony wierzchowiec Gastona wpadł w sam środek zacieklego starcia.

Ciała ludzkie i końskie, miecze Franków i szable Saracenów, okrągłe kaski i trójkatne tarcze normañskie, hełmy spiczaste i kapaliny, turbany i kufije, rozwiane włosy i zalane krwią twarze. Krzyki w wielu językach i szczęk oręża, a wszystko to przeplatane rżeniem koni i wrzaskami bólu. Starczyła chwila, by Gastón całkiem zagubił się w rozpędzonym korowodzie szaleństwa bitewnego. Szarżujący krzyżowcy rozbili szyk Saracenów i natarcie rozbiło się na

dziesiątki pomniejszych morderczych starć. Śmigwały ostatnie strzały, ostrza gryzły się i odskakiwały od siebie nierzadko poplamione krwią, konie rżały i toczyły rozszalałymi spojrzzeniami, jeźdźcy walili się z siodła i dygotali w konwulsjach.

A Gastón nadal cwałował i patrzył z przerażeniem dokoła.

- Deus le volt!

Tuż obok niego przemknął Gerard de Reinee, szarżując na grupkę tureckich jeźdźców. Najbliższy próbował uniku w ostatniej chwili, ale nieustępliwy rycerz-asceta przebił włócznią kolczugę i pikowany kaftan z takim impetem, że drzewce poszło w drzazgi. De Reinee porwał już za miecz i wpadł między Saracenów niczym pasterz z biczem między psy. Gdzieś mignął mu spieszony Anzelm z Ar-Ramli próbujący sięgnąć toporem śmigających obok Saracenów. Skądś dobiegły pokrzykiwania Amal-ryka zwołującego rycerzy do kolejnego natarcia.

- Bismallah!

Ostrożność poderwała się na cztery łapy i prychnęła. Któryś z Saracenów krzyczał do niego! Uniósł wzrok i ujrzał muzułmańskiego wojownika galopującego prosto w jego kierunku. Wydęty pędem czarny płaszcz sprawił, że wyglądał na dwakroć większego niż w rzeczywistości, lecz Gastón widział tylko jego wygięty lekko miecz, zakreślający chaotyczne, złowieszcze kręgi. O dziwo, nie poczuł strachu. Spiął rumaka i skoczył mu na spotkanie.

„Trzymaj luźniej miecz! - zakrzyknął Diabeł. - Nie ściskaj go tak mocno!”

- Idź precz, diable! - huknął Gastón i stanął w strzemionach.

Saracen wyszczerzył białe zęby, szamerowana uprząż połyskiwała w blasku księżyca. Szli na zwanie jak dwa huragany. Wiatr świstał rozcinany wzniesioną klingą. Coraz bliżej. I jeszcze bliżej.

Saraceński miecz znieruchomiał uniesiony do ciosu.

Czyjś głos przebił się przez tętent kopyt. Saracen odwrócił na moment wzrok, jego miecz wystrzelił w innym kierunku. Odbił się od ostrza przemykającego bokiem Franka, ale natychmiast powrócił niczym żmija tańcząca na rozżarzonej blasze i ciał. Gastón rozpaczliwie złapał wrogie ostrze własnym. Zdrętwiałe ramię natychmiast zapłonęło bólem. Młodzieniec jęknął i przechylił się do tyłu. Trochę za bardzo.

Gdy uświadomił sobie, że puszcza uzdę, było już za późno. Zderzenie z twardą ziemią wybiło mu powietrze z płuc. Czas znów na moment zwolnił, jakby z wyrachowaniem nie chciał pozbawiać Gastóna widoku Vittoria, który usiłował nawrócić konia i ponownie zewrzeć się z przeciwnikiem, lecz nie zdołał - osaczony przez kolejnych dwóch muzułmanów. Obserwując to, de Baideaux zdołał wymacać upuszczony miecz, lecz złapał go niewprawnie lewą ręką. Skupił rozkołysane spojrzenie na ponownie szarżującym Saracenie i dopiero w tym momencie czas zdradziecko przyspieszył.

Rozhukany rumak przeciwnika targał dziko łbem, a balansujący w strzemionach jeździec zaśmiał się dziko. Tkane złotą nitką tirazy na jego rękawach złowrogo połyskiwały, podobnie jak naszyjnik na piersi podskakujący w rytm jazdy. Miecz znów wznosił się ku gwiazdom.

„Tnij konia w pysk! - wrzeszczał Diabeł. - Albo po pęcinach!”

- Stul pysk! - ryknął Gastón i uniósł miecz. Krew huczała mu w żyłach.

Saraceńskie ostrze opadło szybciej niż się tego spodziewał, ale chybiło o włos. Zaskoczony Gastón rąbnął na oślep, nie trafił, nieomal stracił równowagę. Rumak przeciwnika pomknął dalej.

„Niezguło! - wył Diabeł. - Świnie ci witką poganiać!

Kolejny popis nieudolności przerwał tamę, której Gastón dotąd nie był świadom. Świat zalała purpura, ból w prawym ramieniu nagle przestał być ważny. Biegł, rycząc, unosząc miecz oburącz nad głową. Rozmazany teraz Saracen osadził spienionego konia, zawrócił, lecz Gastón był już blisko, wystarczająco blisko. Rąbnął wściekle w koński zad, poprawił, cudem uniknął spazmatycznego wierzgnięcia, znów stracił równowagę, padł na kolana.

W dwa uderzenia serca później tuż obok niego wylądował strącony z siodła Saracen. Spojrzenie muzułmanina - oszalałe z bólu i nienawiści - natychmiast przegnało purpurę furii. Gaston ujrzał wygięty handzar w zaciśniętej dłoni przeciwnika i poczuł ukłucie lodowatego, panicznego strachu.

A potem łupnęło. I jeszcze raz.

Zdyszany, utykający Bernard, toczący naokoło przekrwionym spojrzeniem, nigdy jeszcze nie wyglądał tak groźnie ani nigdy nie bulgotał z takim przejęciem. Gaston złapał się zakrwawionego kija i dźwignął z trudem na nogi. Dopiero wtedy zrozumiał przyczynę wzburzenia swego sługi.

Pędziło ku nim ławą kilku innych wojowników, wszyscy z identycznymi rozwianymi płaszczami i czepcami kolczymi zasłaniającymi twarze, wszyscy z wzniesionymi mieczami. Z wyjątkiem tych, którzy napinali właśnie łuki.

- O Boże! - wyjąkał Gaston. - Boże, Bernardzie... Chodu!

Odwrócił się, chcąc uciekać, lecz wtedy wpadł na jakiegoś biegnącego mężczyznę. Odbił się, aż zachrzęściła kolczuga, odskoczył, zerknął przez ramię. I nogi wrosły mu w ziemię.

Nie zaskoczyło go to, że Anzelm z Ar-Ramli - bo to był on - biegnie w pojedynkę na spotkanie kilku uzbrojonych po zęby jeźdźców. Nie zdziwiło go również, że chce walczyć bez tarczy, a nawet bez hełmu. Nie zdumiał się nawet tym, że owładnięty furią rycerz szczerzy długie na palec kły, a jego oblicze przypomina bardziej wilcze aniżeli ludzkie.

Tak naprawdę zdumiało go tylko wyraziste spojrzenie wąskich, zaczerwienionych oczu - ślepi? - które mówiło:

„Nie ty jeden pokutujesz”.

Anzelm z dzikim, nieludzkim rykiem wdarł się między tureckich jeźdźców, płosząc konie i ściągając z siodła jeźdźców. Gdzieś dalej plujący krwią Gerard de Reinee z trudem tamował napór nieprzyjaciół osłaniany przez nieznanego rycerza z zieloną tarczą. Wilhelm von Driffburg płakał jak dziecko, nieporadnie wpychając jelita do rozrąbanego brzucha. Waleczny de Dervoux oddawał ostatnie tchnienie, zaciskając broczący krwią kikut prawej dłoni. Amalryk nadal wrzeszczał, lecz jego głos słabł zagłuszany szczękami oręża i wyciem coraz to kolejnych rannych.

I wtedy pojawił się jeździec, tym razem na białym rumaku. Wykrzyknął kilka zdań, machnął mieczem, zawrócił konia i pomknął w mrok.

Rozszalałe pandemonium bitwy na moment zastygło, po czym jeźdźcy saraceńscy jeden po drugim zaczęli tracić zainteresowanie swymi frankijskimi wrogami i łopocząc połamami szat, umykali w ślad za białym wierzchowcem.

- Gastonie! - krzyczał Vittorio, zakrwawiony, ale cały, wciąż na koniu, przedzierający się w kierunku Pi-kardyjczyka przez nawałnicę rozpędzonych, umykających Saracenów, którzy przypominali teraz ogromne ptaszyska zrywające się do lotu. Miecz Vittoria śmigał, jakby od niechcenia odbijając przypadkowe ciosy.

- Tu jestem! - krzyknął.

„Nie zazdrościsz mu?”.

- Żyjesz? Cały jesteś? Chwała Bogu! Słuchaj, słyszałeś tego na białym koniu? Saraceni łupią jakiś orszak z Tyru! Ruszam im na pomoc! A ty...

- Nie mów mi, co mam .robić! - wrzasnął młodzieniec i pochwycił za uzdę konia któregoś z poległych.

Wtedy Gaston po raz drugi poczuł, jak serce wypełnia mu uniesienie. Wziął udział w pierwszej bitwie, nie dał się zabić doświadczonemu szermierzowi wroga, a teraz ruszy do kolejnej szaleńczej walki, która może zakończyć się śmiercią bądź zwycięstwem, a zatem częściowym odkupieniem win. Oba rozwiązania doskonale go urządziły. Ostrożność prychnęła, najeżyła sierść, ale przegnał ją, odpędził w ciemny kąt. Vittorio coś krzyczał, ale co? Jego słów młodzieniec nie potrafił zrozumieć.

- Naprawdę kuśka się kurczy od mówienia po arab-sku? - wykrzyknął już w siodle. Genuńczyk zarechotał tylko pochylony nad rozwianą końską grzywą.

Gnali przez noc - Gaston, Vittorio i nieodłączny Bernard, nieco z tyłu Amalryk i jeszcze paru zbrojnych. Spękana, wyschnięta ziemia drżała pod kopytami zdyszanych koni i chciwie wsysała płaty piany z ich pysków. Gwiazdy migotały, wiatr gwizdał. Gdzieś daleko przed nimi łopotały szaty muzułmańskich maruderów.

Teren wznosił się, potem opadł. Opromienione blaskiem księżyca zbocze wiodło prosto ku traktowi z Tyru, gdzie toczyła się teraz zaciekle bitwa. Widok częściowo przesłaniały podświetlone srebrem, wirujące tumany pyłu, ale po krótkiej chwili Gaston dostrzegł kilka wozów otoczonych przez rozpaczliwie cienki pierścień pieszych i konnych wojowników. Wokół nich krążyli cwałem Saraceni, co rusz śląc strzały prosto we frankijskich wojowników. Ich twarze zasłonięte były fragmentami kolczugi tak zamocowanymi do hełmów, że równie dobrze mogli się zdawać nocnymi demonami, nie ludźmi. Na oczach Gastona oddział wiedziony przez jeźdźca na białym rumaku, zmieszał się z witającymi go wrzaskiem pobratymcami.

Ostrożność prychała i biła pazurzystymi łapami. Uniesienie w sercu młodzieńca natychmiast ustąpiło miejsca niepewności.

- Zaraz uderzą! - wrzasnął Vittorio. - Gastonie, zaklinam cię, zostań!

- Nie ma mowy.

„Posłuchaj go, niezguło! Za plecami zostawiłeś mnóstwo trupów do dobicia, któż zrobi to wszystko za ciebie?”

- Dobrze, twój wybór. Ale nie spodziewaj się, że tym razem przyjdę ci z pomocą. I krzycz wraz ze mną „Ibe-lin”.

- Czemu?

- Nie zawadzi - rzucił Vittorio. Dźgnął boki wierzchowca ostrogami i runął w dół zbocza. Miecz wyciągnięty nad końskimi uszami zalał jak ze szczerego srebra.

- Panie, miej nad nami litość - wyszeptał Gaston. - Naprzód, Bernardzie!

I pędzili ku obłożonym powozom, garstka przeciwko wielu, drobny kolec mierzący w bok dzikiego, najeżonego stałą saraceńskiego pierścienia wirującego wokół frankijskiej garstki i wrywającego w jej szeregach coraz to większe szczyby.

- Ibelin! - zakrzyknął Italczyk. - Ibelin!

- Ibelin! - powtórzył Gaston.

Pierścień jakby zwolnił, kilku jeźdźców spojrzęło w bok, lecz rozjuszony Vittorio już roztrącił ich szyk, wdarł się głęboko, tnąc na prawo i lewo. Któryś z rumaków, cięty po nozdrzach, stanął dęba z przeraźliwym rzeniem i zrzucił dosiadającego go łucznika prosto pod kopyta innych. Któryś z wojowników, chłaśnięty przez plecy, opadł na kark swego wierzchowca, inny targnął się w siodle i złapał za sikający krwią kikut, pozostali odskoczyli. W gęstym pierścieniu muzułmańskich wojowników na mgnienie oka wytworzyła się wyrwa, wystarczająco głęboka, by wpadli w nią Gaston z Bernardem.

Młodzieniec w pędzie próbował ciąć któregoś z Sa-racenów, lecz nie zdołał, musnął jedynie mieczem hełm najbliższego, a potem musiał się zająć opanowaniem rozhukanego konia.

Kątem oka zauważył, że porwani impetem natarcia muzułmanie skoczyli w ślad za nimi do wnętrza kręgu. Z trudem zawrócił rumaka, machnął mieczem nad głową, ale znów za późno. Otaczający powozy żołnierze, zakrwawieni, brudni od pyłu, już biegli ku nadciągającym jeźdźcom, już nadstawiali piki, już unosili kusze. Chrapliwie przekleństwa w langue d'oïl wypełniły powietrze, odpowiedziały im krzyki po arab-sku ucięte przesywającym kwikiem ranionych wierzchowców.

„Jak to możliwe, niezguło? - zapytał ze zdziwieniem Diabeł. - Jak to możliwe, by taki nieudacznik pakował się dwukrotnie w sam środek starcia i jeszcze nie zrobił z siebie prawdziwego pośmiewiska? O stracie życia nie mówiąc?”.

Saraceni umykali już ku swym pobratymcom nadal galopującym wokół unieruchomionego orszaku, zostawiając trzy śmiertelnie ranne, wierzgające dziko konie i trupy dwóch poległych. Trzeci, smagnięty w ramię przez Vittoria, zdołał wskoczyć na siodło któregoś z towarzyszy. Pierścień zasklepił się na nowo.

Gaston spojrział na obrońców - ledwie kilkunastu żołnierzy i spieszonych rycerzy, którzy ukryci za wozami próbowali razić atakujących z kusz.

Ściany wozów, podobnie jak rozwłócone wokół trupy ludzi oraz koni, naszpikowane były strzałami. Strach ścisnął młodzieńca za gardło, a wtedy jakby na potwierdzenie, że spełniają się tylko najgorsze koszmary, kilkunastu galopujących nieopodal jeźdźców uniosło łuki i wypuściło chmurę strzał. Zaniepokojony ostrym zapachem krwi koń wierzgnął gwałtownie. Gaston w ostatniej chwili złapał się lęku siodła, strzały ze świstem przemknęły nad jego głową. Bernard bulgotał i charczał, chyba z przerażeniem.

- I co teraz? - wrzasnął de Baideaux do Vittoria.

Italczyk mocno zacisnął szczękę, jakby chciał zwalczyć konsternację.

- Nic, chyba nie wyszło! - wrzasnął. - Wiesz, tak to jest z inwestycjami...

-Co?

- Nic, Gastonie! Trzeba wiać!

Gdyby przeznaczenie było żywiołem pozbawionym poczucia humoru, z pewnością nie Gaston, ale Vittorio Scozzi spojrzaliby przez ramię w stronę najbliższego powozu i ujrzałyby dwoje błękitnych, obwiedzionych czarną kreską, a teraz rozszerzonych z przestachu oczu, wyglądających spoza uchylonej nieco firanki. Tak się jednak składa, że przeznaczenie jest wprost uosobieniem prawdziwego, złośliwego, cynicznego dowcipu i to właśnie młody Pikardyjczyk pochwycił spojrzenie wzburzonej kobiety. Wtedy po raz pierwszy i jak się później okazało -ostatni, miał okazję postąpić tak, jak postępowali bohaterowie opowieści ojca Adalberta, za nic mając to, że to ludzie co do jednego nierozważni, szaleni, pozbawieni umiejętności oceny sytuacji, słowem nieprawdziwi.

- Nie - warknął. - Zostajemy.

- Zginiemy tu, Gastonie!

- Nikt po mnie nie będzie płakał. - Pikardyjczyk uniósł miecz. Znow bzyknęły strzały, na szczęście niecelne.

„Gastonie, on ma rację! Nic tu po tobie, uciekaj!”.

Młodzieniec wbił ostrogi w końskie boki.

- Ibelin! - wrzasnął.

- Ibelin! - odpowiedziały mu liczne, choć słabo słyszalne okrzyki, ziemia zawtórowała mocniejszym drżeniem. Pierścień szalejących Saracenów niespodziewanie zaczął pękać, rozległy się komendy po arabsku, gwałtowne, lecz wykrzykiwane jakby z zaskoczeniem.

„Dość powszechna sztuczka!” - pomyślał Gaston, siląc się na cynizm.

- Ibelin! Bóg z nami!

Nad głowami umykających muzułmanów załopotały złote chorągwie z czerwonym krzyżem, na ich plecy wypadli rycerze w stalowych hełmach. Złote? Gaston pamiętał je z blank cytadeli tyryjskiej! Za chwilę zobaczył jadącego tuż za jedną z nich postawnego męża z krótką siwą brodą, o twarzy skrytej cieniem normańskiego hełmu, który uniósł się w strzemionach i potężnym ciosem miecza ściał najbardziej opieszałego z Saracenów. Ten człowiek mógł nosić tylko jedno imię.

- Balian z Ibelinu... - szepnął zachwycony Pikardyjczyk. - Do licha, to żadna sztuczka. To naprawdę on, Balian z Ibelinu! Jesteśmy ocaleni!

Według wierzeń muzułmańskich, świat zamieszkiwało wiele złowieszczych demonów, ale emir Ismail ibn Abdul al-Karrach zdążyć wezwać przynajmniej połowę, zanim wreszcie opanował wściekły ból głowy i dźwignął się na nogi. Rozchwianym spojrzeniem otaksował

otaczające go pobojowisko i z bólem serca zauważył, że niewiernych padło o wiele mniej niż wyznawców Mahometa.

- Serca będę wam wyrywał, póki władzy w dłoniach wystarczy - wycharczał i oparł się na mieczu. Tylko dzięki temu nie upadł.

Któryś z frankijskich rannych zajączkał cicho, dłoń w rękawicy drapała ziemię, jakby chciał wstać. Skrzywiony Ismail, zataczając się, ruszył w jego kierunku. W głowie szumiało mu tak głośno, że nie usłyszał nawet cichego stukotu końskich kopyt.

- Efendi! - zawołał ktoś za jego plecami.

Ismail odwrócił się z trudem. Stary wojownik z długą siwą brodą zeskokczył z siodła swego śnieżnobiałego rumaka i złożył emirowi lekki, niemalże lekceważący ukłon.

- Czy... Czy Bóg pozwolił... - wychrypiał Ismail.

Brylanciki w turbanie starca zamigotały blaskiem

gwiazd, gdy ten pokręcił głową powoli, wręcz manifestacyjnie. Położył dłoń na szyi oddychającego ciężko, drżącego konia i powiedział:

- Nie. Nie pozwolił, efendi. Bo Bóg sprzyja jedynie mądrym a rozważnym. Za nic ma głupców, którzy atakują na oślepa, za nic mając dobre rady. Mówiłem wam, efendi, że to nie ten orszak. Ostrzegałem, cobyście...

- Milcz, Kerim! - warknął Ismail. - Milcz, bo wykażę się głupotą po raz kolejny i czerep ci rozszczępię. Dobrze, zaatakowałem nie tych Al-Farandż, co trzeba, ale śmierć niewiernych Bogu zawsze miła. Ale przecież zorientowaliśmy się w porę! Przecież był czas, by dopaść karawany i...

- Był - sucho przytaknął starzec - ale ubiegł nas Ba-lian ibn Barzan. Wszystko na marne...

- Balian ibn Barzan - powtórzył emir i zacisnął pięść. - Popamięta mnie jeszcze pies niewierny! Popamięta! Ale wprzód - oczy Turka zwięzły się, zabłysły -wprzód dopadnę tego przekłętą świniopasa, co zranił mi konia i zrzucił mnie z siodła. Dopadnę i wykroję mu serce z piersi!

Z furią uniósł miecz i przybił pełznącego Franka do suchej ziemi.

"Rozdział szósty

w którym Gaston poznaje prawdę o outremer i sam wyciąga pierwsze wnioski

Balian z Ibelinu wyglądał mniej więcej tak, jak go sobie Gaston wyobrażał. Niezwykle wysoki, barczysty, kroczył pewnie, a ruchy miał oszczędne, jakby nie chciał marnować swych sił na zbyt dużą gestykulację. Miał na sobie drogą damasceńską kolczugę leżącą na nim niczym druga skóra oraz spływający z ramion płaszcz z tyryjską purpurą, lecz to nie dostojny strój sprawiał, że wszyscy, od zwykłych ciurów obozowych po najszlachetniejszych rycerzy, mimowolnie chylił przed nim głowy. Starczyło spojrzeć w jego twarz, ogorzałą, pooraną zmarszczkami na podobieństwo spękanej ziemi syryjskiej, by wiedzieć, że ma się przed sobą wielkiego męża. Starczyło wejrzeć w jego brązowe oczy, zmęczone, lecz wciąż przenikliwe, czy też przyjrzeć się dłoniom, pomarszczonym, stwardniałym od ściskania to wodzy, to rękojeści miecza, by rozpoznać żywą legendę Outremer. Rycerza, który wraz ze swym bratem Baldwinem i rycerstwem zakonnym wywalczył zwycięstwo pod Montgisard, który niósł do chrztu małego Baldwina V, który przebił się

ii Marcin Mortka

ku wolności pod Hittinem, który wreszcie tak zażarcie bronił Jerozolimy przeciwko Salah ad-Dinowi.

Rycerza, który nigdy nie przestawał walczyć o Outremer.

Gaston patrzył zafascynowany, jak sławny Balian z Ibelinu pochyla się nad ciałem jakiegoś chrześcijańskiego rycerza, który został dosłownie wypatroszony sa-raceńską włócznią, jak

milczy przez dłuższą chwilę, a potem podrywa się i wymiotuje obficie. A potem jeszcze raz, jeszcze obficiej.

- Psia mać, nigdy się nie przyzwyczaję do tego smrodu - oznajmił, ocierając usta ręcznikiem podanym przez usłużnego giermka.

Zgromadzeni wokół niego pokiwali głowami ze zrozumieniem. Większość z nich należała do orszaku Baliana, ale Gaston dostrzegł również bladego Amalryka de Puigney z ramieniem obwiązany biele jak krwawą szmatą oraz Gerarda de Reinee, półprzytomnego, wspartego na ramieniu nieznanego wąsatego rycerza z zieloną tarczą na plecach. Młodzieniec też miał ochotę wesprzeć się na ramieniu stojącego obok Vittoria Scozzi.

Bo oprócz ogromnego znużenia musiał wytrzymać jeszcze wzrok Vivienne de Grenier. W jej błękitnych oczach na próżno było teraz szukać przerażenia czy oszołomienia, jedynie lekko rozmazany karmin na policzku mówił o ogromnym wzburzeniu, jakiego przed momentem doznała. Odrzuciła woalkę, zbyteczną bladym świtem, i co rusz zerkała to ku Gastonowi, to ku Balianowi. Za każdym razem, gdy spoglądała na barona Ibelinu, jej wzrok twardniał, a usta zaciskały się mocno, o wiele za mocno.

„Może i niezbyt znam się na ludziach - pomyślał de Baideaux - ale nie tak się patrzy na oswobodzicie-la. Zda się, że ci dwoje mają jakąś nieprzyjemną historię za sobą”.

- Doprawdy, szkoda, że muszą to wachać - wyrzekł Balian.

- Nie musicie, baronie - odparła słodko Vivienne.

- Szkoda, że jest co wachać - poprawił się. - Znaliście jego imię, pani? Tego oto rycerza, którego Turcy sprawili jak wieprzka? A tamtych dwóch ponabijanych strzałami jak jeże? A tamtego zakłutego oszczepami?

- Nie rozumiem waszych pytań, baronie.

- Wiem, moja pani. Wiem, że nie rozumiecie - westchnął ciężko Balian. - Spróbujmy więc inaczej: dlaczego opuściliście Tyr? Co robicie na trakcie do Akki, który znajduje się pod kontrolą wojsk Salah ad-Dina? Co robicie tutaj z trzema powozami pełnymi dworak, paziów, szat, luster i pieprzonej barwiczki?

- Zapominacie się, baronie! - Vivienne pobladała. Dłoń, którą odgarnęła lok z czoła, drżała lekko.

- Ja się, kurwa, zapominam? - zaryczał ten nagle poczerwieniały. - Niech no zgodzę, moja pani... Cóż też was mogło podkusić do wyjazdu z miasta? Czyżby niechęć do jego stęchłej atmosfery? Pragnienie zaznania przygody? Ochota, by przyjrzeć się romantycznym zmaganiom króla Gwidona? Marzenie, by wziąć krzyż wzorem Godvery, żony Baldwina, czy reszty idiotek z pierwszej krucjaty?

- Nie obrażajcie, panie... - zaczęła Vivienne, ale przerwał jej złośliwy rechot Baliana:

- Czyli jednak. Na męczenników tej ziemi, mylili się ci, co twierdzili, że klęska pod Hittinem pozwoli nam się otrząsnąć i nabrać rozumu. - Wyprostował się i przekrzywił lekko głowę. Jego wzrok był zimny niczym lód z góry Elbrus. - Cóż, moja pani, skoroście taka chętna, by dzielić z nami trudy krucjaty, tedy proszę bardzo. Kononie, Manfredzie i ty, Tybaldzie. Proszę wywalić wszystkie toboły z wozów pani de Grenier.

- Co? - Vivienne spaşowiała i postąpiła krok naprzód. - Baronie, proszę się opamiętać, szczerze radzę. Mój wuj...

- Wszystko. Dworaki, paziów, szaty, lustra i pieprzoną barwiczkę. Zwłaszcza paziów! W ich miejsce ułożymy rannych. Co do waszego wuja - Balian nagle zwrócił się w stronę Vivienne - to nim wyruszył pod Akkę, poprosił, bym miał na was oko. Prosił też, bym nie wahał się spuścić wam lania, gdy najdzie was jakiś głupi pomysł, ale wybaczcie, pani, nie pamiętam, czy mam to zrobić przy ludziach, czy na osobności. Cholera, w pośpiechu ruszałem, jakoś z głowy wyleciało! Dajcie mi zatem chwilę, przypomnę sobie.

Przez moment patrzył na rosnący stos strojów skwapliwie wyrzucanych z wozów przez jego podkomendnych, a potem odetchnął ciężko i rzucił:

- Dość tej zwłoki! Godzina drogi dzieli nas od sporego karawanseraju, tam zajmiemy się rannymi.

Nie musiał mówić nic więcej. Rycerze skinęli głowami i każdy z nich ruszył ku swemu rumakowi, a ser-wiensi dźwignęli poszkodowanych i zaczęli układać ich na wozach. Dziwnie milczący Vittorio uczynił to samo, a Gaston, chcąc nie chcąc, poszedł w jego ślady. Czuł się osobliwie poruszony upokarzającym dla Vivienne spektaklem i korciło go, by choć raz na nią zerknąć. I aż się wystraszył.

Rudowłosa Frankijka zaciskała bowiem pięści z taką furią, że aż jej kłykcie bieleły, a spojrzenie, którym przeszywała ludzi Baliana, było wścieklejsze od ogni piekielnych. Natychmiast wyczuła jednak wzrok Gastona i odwróciła się ku niemu.

I uśmiechnęła mimo wszystko.

Właściciel karawanseraju, w którym baron z Ibelinu postanowił zatrzymać się na popas, gruby Ormianin z łysą czaszką i długą, zatkniętą za pas brodą, był najwyraźniej przygotowany na raptowne zmiany sytuacji politycznej i powitał chrześcijańskie rycerstwo z wylewnością tak przesadną, że bez wątplenia czysto zawodową. Zresztą cóż innego miał zrobić, skoro dotąd jedynymi gośćmi w karawanseraju był przybyły późnym wieczorem oddział kilkunastu szpitalników, rycerzy szybko reagujących na przejawy niechęci wobec religii chrześcijańskiej. Niemały wpływ na życzliwość gospodarza miał również herb Baliana znanego nie tylko z waleczności, ale i prawości.

Baron z Ibelinu w istocie szybko doszedł z Ormianinem do porozumienia. Natychmiast pojawiło się wino, chleb i owoce, a także córki właściciela karawanseraju z miskami gorącej wody i opatrunkami, przybył również miejscowy żydowski medyk, by zbadać najciężej rannych. Komandor szpitalników boczył się nieco na ten widok, ale i jego prędko zjednał autorytet Baliana. Uzgodniwszy, że dalszą drogę odbędą wspólnie z zakonnikami, baron zarządził postój do południa.

Gaston powitał ów rozkaz z prawdziwą ulgą. Nie spał od dwóch nocy i wprost ślaniał się na nogach. Prawie całą drogę tutaj przedrzemał w siodle, a gadulstwo nadmiernie uszczęśliwionego Adalberta zirytowało go do tego stopnia, że nawrzeszczawszy na niego z wściekłością, w ostatniej chwili powstrzymał się od zacięcia konia duchownego batem. Nie zwrócił również większej uwagi na to, że urażony księżulo ściągnął wodze i został z tyłu. Teraz bez słowa odtoczył koc i rozesłał go na ziemi, a potem odpiął pas i położył się z błogim stęknieniem. Miał nadzieję na rychły sen bez żadnych majaków, lecz nadzieję tę rozpedził głos Vittoria:

- Jesteś z siebie zadowolony, Gastonie?

Z trudem rozwarł powieki. Słońce wyglądało już zza horyzontu, kłując szare pustkowie długimi promieniami. W tym świetle twarz Italczyka wydawała się śmiertelnie blada.

- O co ci chodzi? - mruknął z niechęcią.

- Stoczyłeś swoją pierwszą prawdziwą bitwę - powiedział cierpko Vittorio. - Zginałbyś jakieś pięć razy, gdyby nie kolejno: ja, Bernard, dobry rycerz Anzelm, potem znowu ja, a na samym końcu Balian z Ibelinu. Przeżyłeś, choć dało gardło wielu innych, o wiele bardziej walecznych.

- Masz mi to za złe? - wychrypiał Gaston, unosząc się na łokciu. - Masz do mnie pretensje, że przeżyłem?

- Nie. Ale mógłbyś chociaż podziękować.

- Podziękować? A czy aby na pewno to nie jakaś kolejna cholerna inwestycja?

- Nie. - Twarz Vittoria spochmurniała jeszcze bardziej. - Niestety nie. Po prostu irytuje mnie złośliwość losu, który... Nie, nieważne! I tak tego nie zrozumiesz. To znaczy mam nadzieję, że nie zrozumiesz.

- Wiesz co? - Młodzieniec zmrużył lekko oczy. - Mój dług wobec ciebie rośnie i nigdy nie przestanę ci być wdzięcznym za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Nie mam jednak zamiaru

śłuchać nieuzasadnionych pretensji czy po prostu próżnych żali. Połóż się i śpij. Ja w każdym razie mam taki właśnie plan.

Z tymi słowami odwrócił się na bok i ponownie zamknął powieki, cięższe teraz niż przed chwilą. I ponownie usłyszał głos wymawiający jego imię, lecz tym razem obcy:

- Dobry rycerz Gaston de Baideaux?

- Co, u licha ciężkiego...? - burknął pod nosem, ale podniósł się i obejrzał.

Przed nim stał młody chłopiec w jasnożółtej tunicy i turbanie identycznego koloru, z krótkim kordzikiem za pasem. Gaston natychmiast rozpoznał w nim jednego z paziów Vivienne de Grenier, którym Balian, wbrew swym pogrożkom, nakazał się stłoczyć wraz z dworkami w jedynym powozie, jakiego nie zajęli ranni. O, w żadnym razie ani dworki, ani paziowie przeciw temu nie protestowali, tylko ich pochmurna pani całą drogę do karawanseraju odbyła na grzbiecie rycerskiego rumaka.

- Gdybyście, szlachetny panie, znaleźli chwilę czasu i zgodzili się poświęcić ją mej pani, Vivienne de Grenier, jej radość nie miałyby granic - oznajmił paź i zakończył swą wypowiedź ukłonem.

- No, Gastonie? - zasyczał Vittorio. - Jesteś w końcu prawym człowiekiem, brzydzisz się kłamstwem, miłujesz ideały i świętości. Gdy się modlisz przed swoim mieczem, z pewnością porasta on różami. Sprostuj błąd, daj do zrozumienia, że nie jesteś nawet pasowany, w związku z czym nazywanie cię szlachetnym panem to wielka przesada, a potem napomknij, że odsiecz nie była wcale twoim...

- Prześpij się, Vittorio! - rzucił Gaston, wstając. - Naprawdę dobrze ci to robi. A ty przekaz swej pani, że czyni mi wielką radość swym zaproszeniem.

Olbrzymi karawanseraj czuwał przy szlaku między Akką a Tyrem od setek lat i wydawał się tak samo naturalną częścią jałowego pejzażu, co majestatyczny masyw Schodów Tyryjskich czy gęste, kolczaste zagajniki akacji. Jego mury już dawno spłowieły od prażącego słońca i gdyby nie wysoka wieżyca, z dala można by go wziąć za obłą, zwietrzałe skały. Wnętrze tętniło jednak życiem i gdy tylko ziewający Pikardyjczyk przeszedł przez otwartą bramę, natychmiast ogarnęła go typowa dla podobnych miejsc wrzawa.

Balian z Ibelinu nakazał odpoczynek, ale jak zwykle przywilej ten nie objął giermków i serwientów, którzy przeklinając swój los, poili konie w stojącej pośrodku dziedzińca cysternie. Inni krzżeli się przy niewielkiej kuźni, gdzie ormiańscy służący rozpalali właśnie ogień, lub słali posłania dla swych panów w okalających dziedzińiec pomieszczeniach, zwykle pełniących rolę kantorków handlowych. Kilku szczęśliwców drzemało w cieniu drzew cytrusowych rosnących tuż obok cysterny. Konie prychały i rżały, strofowania panów mieszały się z bełkotem zdenerwowanego właściciela, ranni jęczeli i krzyczeli. Klęczący w rzędzie obok stajni szpitalnicy próbowali się skupić na modlitwie intonowanej przez ich komandora, lecz co rusz któryś z nich odwracał głowę.

- Tędy, panie de Baideaux - oznajmił paź, po czym przeskoczył błotnistą kałużę i ruszył w stronę piętrowych izdebek mieszkalnych zajętych przez najwyżej urodzonych przybyszów. Wyminęli wąsatego rycerza z zieloną tarczą, który popijał sorbet z wielkiego dzbana i z nieokreślonym wyrazem twarzy przyglądał się intonującym psalm zakonnikom.

- Kim jest ów rycerz? - zapytał Gaston cicho, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

- Wybaczcie, panie, lecz nie mam pojęcia. A poszedł mi stąd, zaraza! Bo batem zdziele! Ostatnie zdanie dotyczyło Beduina w brudnym od . pyłu, cuchnącym wielbłądzią sierścią burnusie, który szybko czmychnął na bok, osłaniając twarz łokciem. Gaston zdążył tylko dostrzec poraną zmarszczkami twarz i ciemny wąs, spod którego błysnęły nieliczne zęby.

- Wszędzie ich pełno - mruknął paź. - Tędy, panie. Pani de Grenier na was czeka.

Nie licząc pojedynczego kufra oraz niewielkiego zy-delka, ani chybi nędznych resztek ongiś bogatego bagażu, izdebka była całkowicie pusta. Lecz bogactwo unoszącego się w powietrzu zapachu perfum oraz uroda stojącej przy okienku kobiety skutecznie odciągały myśli od

wszystkiego innego. Słyszając skrzypnięcie otwieranych drzwi, zwróciła się ku Gastonowi i młodzieniec aż przystanął zdumiony. Jej twarz była napuchnięta od płaczu.

- Moja pani... - szepnął i przyklęknął poruszony tym widokiem.

Dama otarła kąciki oczu trzymaną w dłoni chustką, jeszcze bardziej rozmazując tusz i puder na policzkach. Westchnęła i znów spojrzała w stronę okienka.

- Wstańcie, panie, nie czyńcie mi wstydu - powiedziała cicho. - Ja tylko chciałam zadać wam pytanie. Dlaczego nie chciałeś uciekać mimo namów rycerza Scozzi?

- Dlaczego? - powtórzył Gaston.

Myśli w jego głowie, chaotyczne, otumanione brakiem snu, rozpoczęły wściekłą, hałaśliwą gonitwę. Raz pobrzmiwał nad nimi głos ojca Adalberta snujący opowieść o rycerzach bez skazy i pierwszych krzyżowcach, to znów zagłuszał go Vittorio powtarzający z uporem: „Inwestycja! Inwestycja!”, a potem oba głosy utonęły w gwarze innych, niezrozumiałych. „Boś głupi - powiedział z drwiną Diabeł. - Bo straciłeś głowę na widok pary pięknych ślepi, a zatarłeś to kilkoma frazesami”.

„Nie, nie straciłem - odszczeknął w myślach Gaston. - Gdybym stracił głowę, pognałbym na oślepa. A tak w ogóle to stul pysk”.

- Bo... - bąknął i zawahał się. Po raz kolejny uświadomił sobie, że znacznie łatwiej mu toczyć dysputy w myślach niż na głos. - Bo uznałem, że tak trzeba.

- Bo uznaliście, że tak trzeba - tym razem powtórzyła Vivienne. Jej dłoń ubrudzona tuszem i karminem nieświadomie odsunęła rudy lok, odsłaniając napuchnięty od płaczu policzek. - Nienawidzicie mnie, panie, prawda?

-Ja?

Zdumienie w głosie Pikardyjczyka musiało zabrzmieć szczerze, gdyż przez usta damy przemknął ledwie zauważalny uśmiech.

- Tak, wy. Wy, rycerz Scozzi, rycerz de Puigney i wszyscy inni, którzy byli świadkami wielkiej przemowy barona Baliana z Ibelinu. - Jej głos lekko zadrżał. - Wszyscy macie mnie teraz za próżną babę, która naraża życie dzielnych mężczyzn dla własnych zachcianek. Wszyscy macie mnie za kapryśną podwilkę, której marzą się wielkie przygody... Gównu prawda! - huknęła nagle, jej oczy błysnęły wściekłością. - Gównu! W tym powozie... W moich powozach było wszystko to, czego potrzebuje mój wuj, Renald de Grenier! Jego namioty, jego szaty, jego kobierce, nawet jego broń! Wiozłam to wszystko pod Akkę, żeby... Żeby sprawić mu przyjemność! Żeby mógł zaznać wygod po walkach bądź niekończących się dysputach z innymi baronami, a Bóg jeden wie, co bardziej wyczerpujące! A ten suczy syn, ten dezertor spod Hittinu...

Przygryzła wargi. Jej wzrok najwidoczniej pochwycił sylwetkę barona Baliana na dziedzińcu, gdyż ubrudzone policzki naraz pokraśniały, a drobne, delikatnie dłonie zacisnęły się w pięści.

- Nieważne - powiedziała po chwili zduszonym głosem i powoli wypuściła powietrze. - To wszystko jest nieważne. Pojadę pod Akkę, nawet gdyby baron z Ibelinu raczył mnie oćwiczyć przy innych. A wy, panie de Baideaux... - Cudowny zapach Vivienne zdawał się potęgnić, koić rozognione myśli, uspokajać ostrożność. - Wam chciałam podziękować za męstwo. Różni przybywają tutaj ludzie, różne zamysły kryją się pod świętym zapałem, rzadko któremu dobrze z oczu patrzy. Wy, panie, wyglądacie na uczciwego, odważnego młodzieńca, choć może niezbyt mądrego.

Uśmiechnęła się przy tych słowach. Gdyby słup złocistego blasku buchnął tuż przed nim prosto z niebios, Gaston nie byłby bardziej oczarowany.

- Ów rycerz, którego wątpia sprawiły taką przykrość baronowi z Ibelinu, zwał się Joachim, a pochodził z Lotaryngii. Ślubował strzec mnie w dzień i w nocy. Czy zgodzicie się zająć jego miejsce?

„No i wpadłeś, niezguło! - szydził Diabeł. - Trzeba było spytać szlachetną panią, czy urządza ją obrońca, co się zna jedynie na obijaniu leżących, a ponadto mający na pieńku z zakonem templariuszy”.

„I opętany przez złośliwego biesa, który z wolna staje się nudny” - warknął w myślach Gaston. Powoli schodził po drabinie na rozgrzany upałem dziedziniec, wciąż nie mogąc uporządkować swych myśli.

„Och, nudny? Od kiedy głos rozsądku staje się nud-

Szczeble skrzypiały. Konie rżały. Szpitalnicy kończyli śpiewać psalm, nad ich czyste głosy wybijało się pokrzykiwanie niezmordowanego Baliana. Gaston zmrużył piekące z niewyspania oczy. Szyderstwa jego niewidzialnego towarzysza w mig rozpędziły ogromną radość, z jaką opuścił izdebkę pani de Grenier.

„Poza tym naprawdę uważasz mnie za diabła? A to niby dlaczego?”.

Młodzieniec postanowił nie odpowiadać. Nagle poczuł neodpartą potrzebę zatopienia się w modlitwie. Zeskoczył z ostatniego szczebla na ziemię i zaczął szukać wzrokiem kapliczki, ale żadne z zabudowań karawan-seraju nie przypominało jej ani trochę. Przez moment chciał dołączyć do śpiewających psalm szpitalników, ale ledwie o tym pomyślał, równy szereg czarnych tunik z białym krzyżem rozsypał się. Rycerze zakonu świętego Jana Jerozolimskiego wstawali z klęczek i otrzepywali kolana, a ich komandor spojrział niechętnie w stronę kantoru, gdzie żydowski medyk opatrywał rannych. Niespodziewanie drzwi rozchyliły się lekko, ze środka buchnęły głośniejsze wrzaski, a czyjaś ręka wyrzuciła na zewnątrz krwawy strzęp.

Szpitalnik zacisnął szczęki, aż nabrzmiała mu żyła na skroni. Dłoń w kolczej rękawicy opadła na głowicę miecza. <

- Bracia! - burknął w langue d'oïl ze zgrzytliwym niemieckim akcentem.

Kilku najbliższych rycerzy zakonnych znieruchomiało, powiodło wzrokiem w ślad za swym przywódcą. I wtedy drzwi kantoru zasłoniła ogromna postać rycerza z zieloną tarczą.

Wyszedł zza cysterny, wyminął szcztokujących konie niewyspanych giermków, nachylił się i ujął leżący w pyle krwawy strzęp. Następnie podszedł do kuźni, wrzucił go w ogień i odwrócił się w stronę rycerza w czarnej tunice.

- Nie lękajcie się, panie! - mówił cicho, ale Gaston słyszał wyraźnie każde słowo. W jego mowie również pobrzmiwał obcy akcent. - Ranni są w dobrych rękach. Nic im nie grozi.

- Ten Żydowin cisnął strzęp ludzkiego ciała na podwórze! - zazgrzytał zębami szpitalnik. - Strzęp chrześcijańskiego ciała psom rzucił! Czas, by ktoś'go nauczył nieco respektu...

- To ziemie muzułmańskie - przerwał mu rycerz z zieloną tarczą. Mówił z dobrotliwą pobłażliwością. - Tu nie ma psów.

- Ale są muzułmanie! - zaczerwienił się szpitalnik. - Chcecie, by z naszych ciał ktoś warzył magiczne dekokty, panie? By objadały się nim ghule?

- Nie. Toteż wrzuciłem ów strzęp w ogień. Zaś wam proponuję poskromić swą złość. Nie macie pojęcia, komandorze, ile potężnych dekoktów można uwarzyć z ciała Żyda ubitego w blasku słońca, zwłaszcza poświęconą klingą. Lepiej nie dawać Saracenom takiej broni do ręki.

Szpitalnik sapnął i puścił głowicę miecza. Rycerz z zieloną tarczą skłonił się przed nim z szacunkiem, a potem na moment zwrócił wzrok ku Gastonowi. Młodzieniec nie był pewien, ale chyba mrugnął do niego porozumiewawczo. W tej samej chwili dobiegło go wołanie:

- Rycerzu de Baideaux!

Nie do wiary, ale był to głos samego Baliana z Ibe-linu.

Wyglądało na to, że od chwili przybycia do karawan-seraju baron nie spoczął ani na moment. Bez ustanku kręcił się między stajnią, kuźnią a kantorem zamienionym na infirmerię, rozsyłał

podjazdy i naradzał się z brodatym Ormianinem. Teraz jego ruchliwe spojrzenie spoczęło na młodzieńcu.

- Byliście u niej, panie? - zapytał bez ogródek, gdy Gaston podbiegł i złożył ukłon.
- U niej? Tak, pani Vivienne de Grenier wyświadczyła mi łaskę i...
- Daj spokój, chłopcze, z tą łaską! - Balian niespodziewanie zmienił ton, ujął go pod ramię i ruszył w stronę bramy. - Vivienne to cholerna intrygantka, mistrzyni matactw, jakich mało nawet w Outremer. W starej, dobrej Europie wydałoby się taką rychło za męża, gdzie mogłaby sobie rządzić kuchnią i fraucymerem, ale tutaj, niestety, białki mają sporo do powiedzenia. Sporo za dużo, chciałem rzec. To wszystko wina Rajmunda, Gotfryda i reszty pierwszych krzyżowców, którzy zamiast osta-wić żony w rodzinnych zamkach, pozwolili im również krzyż wziąć i do Jerozolimy wędrować. Barany jedne! Skoro krzyż wzięły, to i hardości nabrały, bo przecież oto z mężczyznami się zrównały wobec Boga, a teraz to nijak się ich ujarzmić już nie da. Słyszałeś może o wyczynach Konstancji de Poitiers lub Agnieszki de Courteney? Albo Sybilli, siostry Baldwina IV, żony Gwidona? Nie? To usłyszysz. Wiedz w każdym razie, że jeśli Vivienne czymś im ustępuje, to chyba tylko zasięgiem władzy.
- Dlaczego mówicie mi to wszystko, panie? - zapytał wzburzony Gaston.
- Bo to Outremer, de Baideaux. - Balian zasznurował usta. - Tu nie ma czerni i bieli, chyba że na tunikach szpitalników. Tu panuje szarość, sucha, obojętna, nagrzana od słońca szarość. Nie ma też dobra i zła, a jedynie różne formy wyrachowania, czasem mniej, czasem bardziej szkodliwe. A Vivienne de Grenier potrafi sprawiać wrażenie, jakby stanowiła ostatnią ostoję dobra, niewinności i czystości na Wschodzie. Niech no zgadnę, sporo na mnie wygadawała? '

-Nie.

- Beznadziejny z ciebie kłamca. Zresztą nieważne. Spójrz! Wyszli już przez bramę karawanseraju, tam gdzie zwykle rozbijali swe kramy liczni wędrowni .handlarze, teraz przepłoszeni zbliżającą się wojną. Pomarszczona, brudna dłoń Baliana, ciężka od dziwnie niepasujących do niej pierścieni, wskazała zachód, gdzie w rozedrganym od gorąca powietrzu widać było odległe pasmo winnic i gajów. Potem wskazał na wschód, gdzie jak okiem sięgnąć ciągnęła się kamienista pustynia.
- Spójrz! - powtórzył z mocą. - Oto ziemie, które jeszcze niedawno zwaliśmy Królestwem Jerozolimskim. Ziemie znane nam z Biblii, ziemie, po których chadzał Jezus Chrystus, święci oraz apostołowie. Czy nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego Syn Boży przyszedł na świat akurat tu? W najmniej gościnnej krainie w znanym nam świecie? Zamilkł, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął
- Jałowe ziemie, które stały się sceną wielu cudów. Atakowane przez Saracenów, zaprzysięgłych wrogów Krzyża, a jednocześnie wojowników niejednokrotnie od nas szlachetniejszych. Bronione przez zakony rycerskie, ostoję i zbrojne ramię Kościoła, ale również bandę nadgorliwych szaleńców i awanturników. Zasiedlone przez nas, potomków krzyżowców, najdzielniejszych z dzielnych, najwaleczniejszych z walecznych, ale także gwałtowników. Okrutników. Zdrajców. Nurzających się w rozpuście gnuśników. Wiesz, że pierwsi krzyżowcy piekli i pożerali dzieci w zdobytym Maarrat? Że torturami wydobyli z księży obrządku wschodniego miejsce ukrycia Krzyża Prawdziwego? Wiesz, że patriarcha Jerozolimy Herakliusz, który nigdy nie nauczył się pisać, był obłąkany miłością do mężatki, niejkiej Paschy de Rivieri?
- Trudno... - przełknął ślinę Gaston. - Trudno mi w to wszystko uwierzyć.
- Wiem. Nie o tym opowiada się w pikardyjskich tawernach, nie o tym śpiewają trubadurzy. Widzisz, tu w Outremer wzniesiliśmy się ponad wiele granic, które duszą i tłamszą zwykłych ludzi w ojczyźnie. W radzie królewskiej, Haute Cour, zasiadają nie tylko baroni, ale również mieszczanie. W sądach, prócz Biblii, można przysięgać na Koran czy Torę. W niejednej świątyni odbywają się nabożeństwa wedle wielu obrządków, a zakonnicy

prowadzący szpitale chętnie zatrudniają miejscowych medyków. Nawet niewiasty mają tu sporo do powiedzenia, choć z tego ostatniego to raczej nie możemy być dumni. Tak, osiągnęliśmy tak wiele, a jednocześnie tak niewiele. Nasze niemowlęta, szczególnie chłopcy, umierają, ledwie skończą parę miesięcy. Wyniszczają nas choroby, wobec których bezsilni są najlepsi nawet medycy. Ostatni król, którego... - tu głos Baliana na moment zadrżał - którego szczerze pokochałem, zmarł na trąd. Obojętnie, święci czy łajdacy, królowie czy nędzarze, wszyscy tu umieramy, giniemy, marniejemy.

- Dlaczego mi to mówicie, panie? - wykrztusił wreszcie Gaston.

- Byś nie pogubił się w tym wszystkim, chłopcze. Byś poznał wszystkie oblicza Outremer i nie stracił ostrożności, byś znalazł coś, w co prawdziwie uwierzysz i pozostał temu wierny. Bo - na znużonym obliczu Baliana pojawił się uśmiech, a w oku błysnęła serdeczność - taki właśnie był twój brat.

Gaston umknął wzrokiem w bok.

- Nie znałem mego brata - powiedział po chwili z niechęcią. - Opuścił dom rodzinny, gdy byłem malcem, nie pamiętam go wcale. Nie poczytajcie tego za urazę, baronie, ale odkąd przybyłem do Tyru...

- ...wszyscy bez przerwy opowiadają o jego przymiotach? - odgadł Balian. Jego oczy zmętniały, jakby spoglądał teraz w przeszłość. - Nie dziw się temu. Niewielu ludzi miało okazję go poznać, ale pewien jestem, że wystarczyło zamienić z nim parę zdań, by dostrzec w nim rycerza bez skazy, człowieka prawdziwie wiernego swym zasadom. Tak, jego niezłomne serce niegdyś uchroniło mnie przed strasznym czynem...

Baron z Ibelinu sposepniał przy tych słowach, lecz potem ożywił się nienaturalnie.

- Widziałem go potem pod Hittinem. Walczył, jakby za nic miał upał i pragnienie, jakby nie czuł zmęczenia czy bólu ran. Szedł przez szeregi wroga jak anioł zniszczenia. Ze szlachetnego rodu podchodzisz, Gastonie.

Niechęć w sercu młodzieńca natychmiast rozplynęła się pod wpływem szczerości w głosie starego rycerza.

- Spotkałem pewnego człowieka, który jego imię wymienił jednym tchem z waszym, baronie - szepnął.

Balian znów się uśmiechnął, tym razem ze smutkiem.

- Nie starczy ostry miecz i silne ramię, by być rycerzem, Gastonie - rzekł cicho. - Trzeba jeszcze mieć wielkie serce, a moje... Cóż, może kiedyś można było nazwać je wielkim, ale od pewnego czasu obumiera po kawałku. Byłem świadkiem śmierci mego pana Baldwina IV, potem widziałem klęskę pod Hittinem, przeżyłem zgon Rajmunda z Trypolisu, ostatniego z prawych, który próbował się oprzeć szaleństwu, upadek Jerozolimy, wreszcie ucieczkę do Tyru. Tak, kawałeczek po kawałeczku i niewiele mi tego serca pozostało. Bardzo niewiele. Roger miał go mnóstwo, do samego końca. Jestem pewien.

- Do samego końca? - zapytał Gaston i z trudem opanował potężne ziewnięcie. - Czyżbyście wiedzieli coś więcej o jego śmierci, panie?

- O śmierci? - Balian z Ibelinu zamrugnął oczyma. - Nikt nigdy nie widział jego trupa, Gastonie, a to oznacza, że Roger de Baideaux zaginął. Tylko i wyłącznie zaginął. Wierzą w to święcie templariusze, którzy wedle moich informacji przetrząsają Outremer, próbując go odnaleźć. Nie wiem, co nimi powoduje, ale wiem coś, o czym chyba nawet sami bracia zakonnicy nie mają pojęcia. Tuż przed swoim zniknięciem brat Roger naraził się w jakiś sposób rabinowi gminy tyryjskiej, Jakubowi ibn Mecherowi. Doszło między nimi do poważnej awantury, ale nie mam pojęcia, o co im poszło, a sam rabin wraz z rodziną szybko opuścił miasto. Coś mi mówi, Ga-stonie, że będziesz chciał to sprawdzić, ale przyjmij dobrą radę - bądź ostrożny.

- Tak, baronie - odparł zamyślony Gaston. - Wiem. Nic w Outremer nie jest ani czarne, ani białe.

- Otóż to. Nawet Vivienne de Grenier. Idź spać, chłopcze! Zaraz sobie szczękę zwichniesz od tego ziewania.

Zanim dotarł do miejsca, w którym rozłożył dla siebie posłanie, ziewał już tak potężnie, że zaczęły mu łzawić oczy. Minęła więc dłuższa chwila, zanim dostrzegł, że obok pochrapującego głośno Bernarda siedzą już Vitto-rio i Adalbert, lecz bynajmniej nie w zgodzie. Wszystko wskazywało na to, że między Genuieńczykiem a duchownym doszło do jakiegoś ostrego spięcia. Spasowały po czubek tonsury Adalbert milczał zawzięcie, natomiast pochmurny Vittorio udawał, że cała jego uwaga skupia się na grupce miejscowych pasterzy, którzy w pośpiechu, niemalże z paniką przepędzali stado wychudłych owiec. Udawał, że ich pośpiech bawi go jeszcze bardziej niż resztę skrytych w zbawczym cieniu murów karawan-seraju Franków.

Gaston westchnął w duchu i postanowił sprawiać wrażenie, jakby niczego nie dostrzegł.

- Vittorio - powiedział pozornie swobodnym tonem - czy znasz jakichś Żydów w Tyrze?

- Powinieneś raczej spytać, czy znałem - burknął Italczyk. - Niewielu ich tam mieszkało, ale czmychnęli wszyscy, gdy tylko gruchnęły wieści o Hittinie. Został po nich tylko przeciąg w kantorach.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Vittorio zmarszczył brwi z niedowierzaniem. - Naprawdę nie wiesz? A jak myślisz, rycerzu bez skazy, na kim by się skupiła złość naszych, gdy już okrzepliby na tyle, by móc się złościć? Komu by się oberwało w pierwszej kolejności? Trzepanie skóry Żydom to rytuał towarzyszący każdej dotychczasowej krucjacie, rytuał tyleż przyjemny, co i pożyteczny, bo oprócz przysłużenia się Bogu, prowadzi do kasaty długów. Przez dosłowne skasowanie lichwiarza, najlepiej mieczem.

- Dlaczego nazwałeś mnie rycerzem bez skazy?

, - A nie jesteś nim? - warknął Italczyk. - Nie pobie-żyłeś na ratunek dziewczycy, nie stanąłeś twarzą w twarz z mrowiem nieprzyjaciół, nie odrzuciłeś haniebnych propozycji ucieczki? Czyż nie po tym poznaje się rycerzy bez skazy?

- O co ci chodzi, Vittorio? - zapytał Gaston spokojnym tonem, choć w głębi serca zaczynał już wrzeć.

- O nic mi, do ciężkiej cholery, nie chodzi! - parsknął Italczyk i poderwał się.

Wystraszony Adalbert aż podskoczył, Bernard zachrapał głośniej. - O nic mi nie chodzi! Po prostu szlag mnie trafia, gdy... A pieprzyć to wszystko!

Drapieżnym ruchem porwał swój miecz i odszedł, nie oglądając się za siebie.

- Sądzę, że... - zaczął Adalbert, ale Gaston nie pozwolił mu dokończyć.

- Że dobry rycerz Scozzi jest obrażony na cały świat, a głównie na mnie, bo nie wyszła mu inwestycja - westchnął i położył się na swym pledzie. - Postawił własne życie na szali, a pani Vivienne de Grenier zwróciła uwagę na mnie, nie na niego. Sprawiedliwości zresztą stało się zadość, zważywszy na słowa, jakimi określił ją w Tyrze. A także na to, że tuż przed przybyciem hufca Balian zbierał się do ucieczki, czego bynajmniej nie krył. Cóż, mój drogi Adalbercie, nie ukrywam, że widzę w tym wiele korzyści - ciągnął już z zamkniętymi oczyma. - Po pierwsze, wygląda na to, że nie będziesz musiał już przebywać w towarzystwie przekłętogo Italczyka.

- Tak, paniczu, jeno...

- Po drugie, w dalszą drogę wyruszymy w orszaku tyryjskiej damy. I naprawdę radzę ci zapomnieć o tym, co na jej temat wygadywał Vittorio.

- Na klucze świętego Piotra, nie będę uchybiał czi niewieściej, jeno...

- Zapomnij również o słowach barona Baliana. Ciekawe, opowiedział mi on właśnie, że w Outremer nic nie jest takie, jakim się wydaje, a sam nie dostrzegł, że... Nie, nieważne. W każdym razie nie pycha powodowała panią de Grenier, Adalbercie. Nie pycha - powtórzył. -

Wybiera się ona pod Akkę, by umilić czas swemu wujowi, a w. wozach wiozła wszelakie wygody, ale dla niego, nie dla siebie. Pamiętaj, by...

Senność ogarniała Gastona w ogromnym tempie, więc nie zauważył nawet, że ojciec Adalbert, miast przytaknąć, skwitował jego wypowiedź niezrozumiałym chrząknięciem. Nie zdołał również odpowiedzieć sam sobie na najważniejsze pytanie: „Kto, jeśli nie Vittorio?”

Rozdział siódmy

w którym gaston spotyka znajomka. potem nastaje noc, która przynosi wiele przemyśleń i odpowiedzi, nie tylko jemu

Prastary fenicki trakt wił się coraz wyżej, niczym ogromna żmija pełznąca na górskie zbocze pośród poszarpanych, suchych skał. Powietrze, rozgrzane i duszące na nizinach, tu było nieco chłodniejsze, studzone wiatrem znad widocznego niekiedy lazuru morza. Rozciągnięty na sporej długości hufiec krzyżowców wędrował powoli nie tylko ze względu na stromiznę. Labirynty prastarych skał wydawały się wręcz stworzone do zasadzek, stąd też Balian z Ibelinu, komandor szpitalników Tancred de Halle oraz dobry rycerz Amalryk de Puigney surowo przykazali swoim ludziom ostrożność.

Wszyscy oczywiście rozkazów usłuchali. Wszyscy z wyjątkiem Vivienne de Grenier.

Wiatr zagrał przenikliwiej na ostrej krawędzi skalnej, wygrzewająca się w słońcu jaszczurka - stworzenie na ogół bardziej nieufne niż dowódcy krzyżowców - tym razem uciekła ze swego głazu niechętnie, dopiero gdy

Gaston popędził konia.

Obsypał ją zwir spod kopyt Gastonowego konia. Ten zaś popędzał go niestrudzenie, aż zrównał się ze szpitalnikami. Jadący w ostatnim szeregu zakonnicy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, chcąc poznać przyczynę takiego pośpiechu. Młodzieniec machnął dłonią i zawrócił konia.

Miał ogromną nadzieję, że choć przez chwilę nie będzie słyszał rozmów, jakie Vivienne oraz jej dwie najbliższe dworki, Katarzyna de Fourier oraz Anna Giscolvi, toczyły przez cały dzień z ojcem Adalbertem. Pomimo kilkukrotnych napomnień samego barona z Ibelinu niewiasty nie przestawały zagadywać księdza, a jego pełne uniżoności, zawstydzone odpowiedzi kwitowały wybuchami perlatego śmiechu. Tak mściły się na baronie za doznane upokorzenie. Młodzieniec doskonale więc rozumiał wściekle spojrzenia Baliana oraz pozostałych rycerzy, wiedział też, że gdyby zaszła potrzeba przyspieszyć, nie będzie to możliwe przez ciężkie powozy pani de Grenier. Dotychczasową radość z powodu nieoczekiwanego uśmiechu losu z wolna zastępował wstyd.

Rumak oddychał ciężko, chrapliwie. Gdzieś w górze zakrzyczał jastrząb. Ostatni szpitalnicy znikali za skalnym załomem.

„Czyżbyś już zaczął wybrzydzać na służbę u pani de Grenier? - zapytał złośliwie Diabeł. - A czego się spodziewałeś? Że jak na rycerza bez skazy przystało, znajdziesz służbę u królowej Ginewry?”

„Zamilcz! - rozkazał w duchu Gaston. - Nic mi po twoim gadaniu, diable!”

„Przeciwnie. Moje gadanie, jak je wzgardliwie nazywasz, to tak naprawdę wiele cennych postrzeżeń, które skłaniają cię do rozmyślań. Równie cennych, jak mniemam”.

„W istocie, skłaniają. Właśnie zacząłem rozmyślać o tym, skąd się wzięło moje opętanie u templariuszy. Opętanie, pozwolę sobie zauważyć, niechybnie sprokurowane przez ciebie. Oto od wczoraj przebywam w towarzystwie szpitalników, a jakoś pianą z ust nie toczę. Dlaczego?”

Diabeł nie odpowiedział. Ciszę wypełnił grzechot kopyt końskich, poskrzypywanie osi wozów i rozmowa, naraz przerwana wybuchem śmiechu. Gaston przygryzł wargi.

- Lecz przecież natura grzechu jest wieloraka, moje drogie panie - tłumaczył z przejęciem Adalbert. Zbliżający się orszak zasłaniały skały, ale de Baideaux mógł sobie dobrze wyobrazić jego spoconą, zarumienioną twarz i wzburzoną gestykulację grożącą bolesnym upadkiem z konia. - Nie można przecież przyrównywać postępków Lancelota z Wozu tudzież Ywaina Lwiego Rycerza z tym, co wyczynia Salah ad-Din, na ten przykład, zaprzysięgły wróg Krzyża, bodajby go...

- Salah ad-Din powstrzymał się od masakry Jerozolimy, ojcze - powiedziała chłodno jedna z niewiast. Krótkie, wyważone zdanie sugerowało Annę Giscolvi, poważną Italkę o przenikliwym spojrzeniu. - Puścił kobiety i dzieci wolno, a reszcie pozwolił się wykupić. Nie tak wyobrażam sobie zatwardziałego grzesznika.

- Niemniej przez niego wszyscy tu się znaleźliśmy! -wybuchnął Adalbert. - Miast wielbić Pana w mieście, w którym oczy zamknął Jego syn ukochany, musimy się tłuc pylistym szlakiem.

- Nie przez niego - ucięła Anna Giscolvi. - W każdym razie nie bezpośrednio.

- Poza tym Salah ad-Din jest ponoć wierny swemu haremu - pisnęła druga dworka, bez wątplenia Katarzyna de Fourier. - Nie zdradzi swych stu kobiet, choćby śmiercią mu grożono.

- To tylko plotki - wtrąciła Vivienne, z trudem powstrzymując śmiech. - Wedle mnie, krzepy to on już wiele na kolejne podboje nie zachował. To nie Frankowie grożą mu śmiercią, a nadmierny rozrost haremu.

Nie wytrzymała, roześmiała się głośno. Zawtórowały jej obie towarzyszki.

- A zatem - ciągnęła pani de Grenier, opanowawszy wesołość. - Skoro już rozgrzeszyliśmy Salah ad-Dina, wróćmy do Lancelota i Ywaina. Dlaczego utrzymujecie, ojcze, że obaj są rycerzami bez skazy, skoro pierwszy kochał się w żonie swego władcy, a drugi porzucił swą ukochaną na rzecz przygód?

- A powiada Ewangelia według świętego Mateusza: „Lepiej jest dla ciebie wejść do życia ułomnym lub chromym, niż z dwiema rękami lub dwiema nogami być wrzuconym w ogień wieczny” - oznajmił Adalbert. -Grzech nieczystości zaiste jest wielkim grzechem, lecz Bóg wybaczy go z radością, wiedząc, że grzesznik wiódł życie sprawiedliwe i nie uchybiał innym przykazaniom.

- Doprawdy, jesteście pierwszym znanym mi księdzem, Adalbercie, który umniejsza wagę cudzołóstwa wobec innych grzechów - oznajmiła z udawanym zdumieniem Vivienne. - Doprawdy, w Outremer wasze kazania trafiłyby na podatny grunt. Rychło stalibyście się patriarchą!

- Nie tylko w Outremer - wtrąciła Anna. - Muzułmanie swoich cudzołózców kamienują. Och, już was widzę w szatach imama, ojcze!

- Wybaczcie, ale powstrzymać się nie mogę, muszę spytać - chichotała Katarzyna de Fourier. - Jak do takich przemyśleń doszliście, ojcze drogi? Czyżby drogą własnych doświadczeń?

Wreszcie zza skał wyłoniły się końskie lby, potem ich grzywy oraz rozbawione twarze trzech kobiet. Po chwili trzy damy oraz próbujący za nimi nadążyć zaczerwieniony ksiądz jechali już prosto w kierunku Gastona, ukazał się też pierwszy wóz. Kusznicy siedzący na koźle i rzucający czujne spojrzenia na boki, w odróżnieniu od kobiet byli skupieni i niespokojni.

- Szanowne panie raczą zapominać, że cudzołóstwo również przybiera różne formy! - zamachał pulchnymi dłońmi ksiądz. - Nie pochwalam miłości cielesnej, skąd! Przecież Księga Kapłańska mówi: „Nie będziesz obcował cielesnie z żoną twojego bliźniego, wylewając nasienie; przez to stałbyś się nieczystym"! Co innego miłość uduchowiona i czysta, w której kochankowie tworzą jedność serc i umysłów! Oto rzecz godna rycerza bez skazy!

Krążący w górze jastrząb zniżył lot, przemknął nad powozem i zręcznie usiadł na ramieniu ponurego mame-luka, który jechał tuż obok rumaka Anny Giscolvi. Wojownik nawet nie drgnął, najwidoczniej przyzwyczajony, podobnie dworki.

- Doprawdy? - wykrzyknęła Katarzyna i aż uniosła woalkę, by przyjrzeć się towarzyszkom z udawanym oburzeniem. - A więc to o to chodziło? Nie, nie wierzę. Rzeknijcie, moje drogie przyjaciółki, czyżbym źle trubadurów rozumiała?

- Nie, nie sędzę - odpowiedziała Vivienne z równie udawaną powagą. - Słuchałaś ich przecież wielce uważnie. Zwłaszcza tych, co z własnej woli ubarwili pieśni Chretien de Troyes szczegółami anatomicznymi.

- A to grzech wszystko, grzech! - trząśł się Adalbert i znów czerwieniał aż po czubek tonsury.

- Odwołuję tedy swój zachwyt nad waszymi przemyśleniami, ojczy - rzekła poważnie pani de Grenier. - Gdy pomyślę o mękach, na które skazujecie rycerzy bez skazy, w większości przecież chłopów na schwał, ogarnia mnie przerażenie.

- Choć z drugiej strony, gdy jeden z drugim niewyżyty, to lepiej muzulmanów rąbie.

- Albo los Onana powieła. Różnie to bywa z tymi chłopami na schwał.

Orszak był coraz bliżej i Gaston nie mógł się oprzeć wrażeniu, że uwagi na temat chłopów na schwał i rycerzy bez skazy są prztyczkami pod jego adresem, tym bardziej że Katarzyna de Fourier i Vivienne śmiało strzelały ku niemu spojrzeniami. Jego niepokoiła jednakże zwłaszcza trzecia z kobiet, Anna Giscolvi, najmniej rozmowna, za to świdrująca swym badawczym wzrokiem głębiej niż pozostałe. Z trudem się opanował, by nie zawrócić konia, niestety już nie wypadało.

„Wciąż nazywasz mnie diabłem - odezwał się Diabeł. - Zaczyna mnie to ranić”.

„Zostaw mnie. Zamilcz!”

„Gastonie, czyja ci wyrządziłem jakąś krzywdę? Czy ja cię tak naprawdę skrzywdziłem, chłopcze mój?”

Młodzieniec zacisnął powieki.

„Odejdź - wyszeptał w myślach. - Odejdź i nie dręcz mnie, diable”.

„Diabeł, mój drogi Gastonie, to ktoś - a raczej coś -co sprowadza na manowce. Wiedzie do grzechu. Podstępem kradnie dusze. Czy ja ukradłem twą duszę? Czy ja cię przywiódłem do grzechu?”

Był gotowy. Był najsilniejszym człowiekiem w chrześcijańskim świecie.

Chrześcijańskim?

- De Baideuax! - wrzasnął drugi z jeźdźców przerażony. - Co ty wyczyniasz, na litość boską?!

- Odejdź - wyszeptał Gaston. - Pater noster, qui es in caelis...

„Pewnie myślisz o nieszczęsnym de Souhait, którego poszczerbiłeś mieczem owej pamiętnej nocy. A może ja to zrobiłem, co? Ja go rąbałem leżącego?”.

...sanctificetur nomen tuum. Adveniat regnum tuum...

„Wybacz, chłopcze, ale chyba pora spojrzeć na to wszystko z dystansu. Bądź świadom, że nie biorę odpowiedzialności za owo zdarzenie. Nie. To ty go tłukłeś, aż krew sikała. Ty. Ubrdałeś sobie, żeś zbrojny w diabelską moc. Otóż nie, mój chłopcze. Żaden diabeł na ciebie nie zstąpił”.

...Fiat voluntas tua, sicut in caelo et in terra...

„To ty sam, słysząc mój głos, uwierzyłeś, że masz diabła po swej stronie. I tak oto, grzesząc pychą, porwałeś się na rycerza de Souhait. Zresztą dobrze zrobiłeś, zasłużył sobie. Tylko nie zrzucaj winy na mnie, nie nazywaj mnie diabłem. To tyś to uczynił. Ty i nikt inny”.

- ...Panem nostrum... Zostaw mnie! Zostaw!

Nagle usłyszał echo własnego krzyku cichnące już

między skałami Schodów Tyryjskich. Otworzył oczy i napotkał przerażone spojrzenie ojca Adalberta. I oszołomione Katarzyny de Fourier. I zaintrygowane Vivien-ne de Grenier. I przenikliwie Anny Giscolvi.

- Jeźdźcy! - wrzasnął ktoś na czele. - Jeźdźcy z naprzeciwka!

Kolumna zafalowała niczym żmija podrażniona rozżarzonymi węglami. Mameluk spiął konia, błyskawicznie doskoczył do Anny, wyszarpięte z pochwy ostrze miecza zatoczyło łuk, jakby ostrzegając każdego, kto ośmieliłby się do niej zbliżyć. Baron z Ibelinu również kopnął piętami bok wierzchowca i wyrwał do przodu z kilkoma przybocznymi, obrzuciwszy wcześniej panią de Grenier krótkim, ale nader wymownym spojrzeniem.

„Nie chciałym być w twojej skórze, jeśli to twoja niefrasobliwość ściągnęła nam kłopoty na głowę” - mówiły jego oczy, z których furia i napięcie chwilowo przegnały zmęczenie.

- Stać! - huknął. - Kuszniczy na flanki! Pikinierzy na czoło! De Baideaux, za mną!

- Ale ja... - młodzieniec obejrzał się pospiesznie na Vivienne de Grenier, znów poważną i pobladłą.

- Za mną, powiedziałem! - krzyknął popędzający konia Balian. - Kuszniczy na flanki! Komandorze!

- Nie uczcie mnie rzemiosła wojennego, baronie! - zgrzytnął zębami szpitalnik. - Z koni, bracia!

Gaston gnał w ślad za baronem i jego przybocznymi, mijając zbrojnych w piki i kusze pieszych, w pośpiechu formujących szyk. Przez moment miał wrażenie, że kolumnę marszową ogarnął całkowity chaos, jakby ktoś włożył kij w mrowisko. Dopiero po chwili zrozumiał, że podobnie jak mrówki mają swój cel w pozornie bezładnej bieganinie, również krzyżowcy wiedzieli, co robią. Schody Tyryjskie tworzyły w tym miejscu ogromny płaskowyż, dopiero w odległości niecałej mili zaczynały znów pięć się ku górze. Jak okiem sięgnąć, po obu stronach traktu ciągnęły się rumowiska skalne zalane długimi cieniami przez zniżające się słońce. Przestraszony Gaston pomyślał, że można byłoby tam ukryć całą armię. A bronić się przed taką niepodobną, rozwinąwszy szyki jak na paradzie.

Piechurzy zastygli na stanowiskach, na ile się dało również skryci za tarczami i głazami. Zamarły wzniesione kusze, słońce rozblysło na czubkach pik i włóczy. Balian wstrzymał rumaka tuż za linią pikinierów, za którymi oczekiwali milczący towarzysze Amalryka de Puigney. Spojrzenia wszystkich śledziły teraz niewielki oddział jazdy, który spływał w dół zbocza, wlekąc za sobą długi welon pyłu.

Nieznani konni szli prosto na krzyżowców, ziemia drżała pod kopytami. Na moment zanurzyli się w długich cieniach rzucanych przez grupkę strzelistych skał, a gdy z nich wychynęli, Gaston dostrzegł, że głowy jeźdźców kryją turbany, a każdy chroni się za okrągłym kał-kanem.

- Muzułmanie? - zapytał któryś z towarzyszy głosem ochryłym z napięcia.

- Któż ich tam wie - burknął Balian. Jedyny z krzyżowców nie patrzył przed siebie, lecz zerkał na boki. - Wyżej mój znak!

Choraśmiew barona z Ibelinu załopotowała na chłodnym, górskim wietrze. Nadciągający zwolnili nieco, a przed szereg wysforował się samotny jeździec na drobnym bułanku, bez tarczy i włóczy. Uderzył wierzchowca piętami i pognał na spotkanie oczekującego go orszaku. W połowie drogi uniósł dłoń na znak pokoju.

- Uff... - sapnął ktoś z ulgą, stojący w ciasnym szeregu pikinierzy wyraźnie się rozluźnili.

- Zachować czujność! - ryknął baron z Ibelinu. - To może być podstęp!

- Na szczęście nie, miłościwy panie - westchnął Amalryk i ściągnął hełm, by przetrzeć spocone czoło. - Znam tego chojraka. To przecież Hugo de Lovance!

- Na niebiosa... - szepnął do siebie Gaston. - Hugo de Lovance...

Twarz nadjeżdżającego wojownika od początku wydała mu się znajoma, nawet pomimo długiej, ciemnej brody, spalonej słońcem cery i okalającej hełm kufii. Zdradził go uśmiech, szeroki i przyjazny, zjednujący nawet najpochmurniejszych malkontentów, uśmiech, który de Baideaux rozpoznałby wszędzie i zawsze.

Uśmiech, który budził jednak ponure wspomnienia.

- Niech Bóg wspomaga Grób Święty! - wołał z daleka Hugo. - Bywajcie pozdrowieni, baronie!

Balian z Ibelinu uśmiechnął się lekko.

- I wy, dobry rycerzu de Lovance! - odkrzyknął i popędził nieco konia, który ostrożnie przeszedł między rozradowanymi pikinierami. - Nie ukrywam, żeśmy was za niewiernych wzięli! Cóż to za pomysł, by bez sztandaru po ziemiach saraceńskich wędrować!

- Pomysł dobry, jak każdy inny! - Hugo wziął się pod boki i błysnął zębami w szerokim uśmiechu. - Spotkałem na trakcie hufiec Marca Guiscarda, powiedział mi, że zmierzacie Akce na odsiecz. Tedy ruszyłem wam na spotkanie, surowo przykazując swoim ludziom, by wyglądali jak niewierni. Czasu nam jeno nie starczyło, by szczegółów dopatrzeć. Jak choćby tych kędziorów!

Kciuk w skórzanej rękawicy wskazał pierwszy szereg nadjeżdżającego oddziału. Każdy ze zbrojnych miał na sobie pancerz łuskowy bądź lamelkowy, głowy chroniły stożkowe hełmy owinięte turbanami lub kufijami, ale tu i ówdzie mignęła jasna broda czy bladoniebieskie oczy. Hugo de Lovance śmiał się do rozpuku, a rycerze, którzy jeszcze przed momentem zaciskali dłonie na drzewcach włóczni, wtórowali mu głośno.

- Ponoć Salah ad-Din rozesał oddziały zwiadowcze, by nękały idące z Tyru posiłki - ciągnął Hugo, spoważniawszy na moment. Koń tańczył pod nim, wzniesając chmurki pyłu pod kopytami, lecz ręka rycerza pewnie trzymała wodze.

- To prawda - skrzywił się Balian. - A jeden z nich powróci ze smutnymi wieściami.

- Dalibóg! - załamał ręce de Lovance w udawanej rozpacz. - Tego się obawiałem, miłośni panie, tego-śmy się wszyscy obawiali. Siedzimy sobie w najlepsze pod Akką, a kto inny za nas boje toczy i chwałę zbiera!

Hugo wyrwał oczyma i uniośł dłonie ku niebu, naśladując święte oburzenie, a uczynił to z takim przekonaniem, że rycerstwo znów huknęło głośnym śmiechem, a z tyłu zawtórowały mężczyznom Vivienne, Anna i Katarzyna.

Gaston był jedynym, który się nie śmiał. Pochylił lekko głowę i spojrzał w bok, chcąc uciec przed rozradowanym spojrzeniem de Lovance.

„Nie zdołasz skryć się przed swą przeszłością” - rzekł Diabeł. Miał rację.

- Gaston! - zawołał nagle Hugo. - Gaston de Baide-aux! Na litość boską, jaki ten świat mały! Witaj, sąsiedzie!

Nad wzgórzem Turon, gdzie zaległa obozem skromna armia Gwidona de Lusignan, króla bez królestwa, rozciągnęła się litościwa noc. Gęsty mrok przesłonił wyniosłe, niezdobyte mury Akki odległe o ponad milę od obozowiska, widać było jedynie szereg ogników płonących między blankami, z tej odległości przypominający rozciągnięty szydarczy uśmiech. Łopotwały sztandary, parskały cicho konie pojone nad rzeką Belus, gdzieś pojękiwali ranni, gdzieś okrzykiwały się warty.

Zaschnięte wargi wielkiego mistrza zakonu templariuszy, Roberta de Sabie, poruszały się lekko, powtarzając słowa modlitwy. Pięść w kolczej rękawicy dotykała miarowo piersi, zmęczone oczy wpatrywały się w niewielki srebrny krucyfiks. Stary rycerz z ulgą oddychał ciszą zanurzony w kojącej aurze modlitwy. Nareszcie czuł spokój, którego na próżno szukał w Tyrze.

Na zewnątrz namiotu krzyknęli na kogoś strażnicy, ale nadchodzący odparł coś aroganckim tonem. Robert nie musiał wysilać wyobraźni, by niemal ujrzeć nonszalancki ruch ręki, jakby idący tu oganiał się od muchy.

To musiał być Joscelin de Royes, szef wywiadu zakonu. Robert przeżegnał się szybko i wstał z klęczek. O dziwo, pomimo przerwanej modlitwy, spokój wcale go nie opuszczał.

- Niech Bóg wspomaga Grób Święty - rzekł świecki rycerz, unosząc płachtę i wślizgując się do środka namiotu, jak zwykle poprzedzony falą pachnideł. Płomyk kaganka zadrzął, cienie chwilę biegały po ścianach. »

- Witaj, Joscelinie - odparł wielki mistrz. Spokój, niebiański wprost spokój sprawił, że nie zwrócił uwagi na lekką ironię w pozdrowieniu pana de Royes. Zignorował również jego oczy, zwykle czarne jak węgle, teraz rozbłyskujące żółcią jak u drapieżnego zwierzęcia. - Co cię do mnie sprowadza?

- Wieści. A raczej ich brak - powiedział powoli rycerz. - Wszyscy moi agenci za murami Akki milczą, mistrzu. Przyduśli ich lęk albo zostali wyłapani przez Sa-racenów. Robert de Sabie pokiwał lekko głową i uniósł nieco wzrok. Nie chciał już dłużej patrzeć w żółte oczy Josce-lina, zanadto go to mierziło.

„Kłamiesz - pomyślał. - Nie byłbyś sobą, gdybyś nie kłamał. Ale co mnie to obchodzi!”

- Nie otworzymy bram Akki - powtórzył de Royes.

- Otworzymy - oznajmił z pobłażaniem wielki mistrz. - Taranami. A w ogniu walki wytepimy wszelki grzech, wszelką nieprawość.

- Czyżbyście, mistrzu, nie spędzili aby zbyt wiele czasu z czcigodnym bratem Rupertem? - zapytał Joscelin, przekrzywiając lekko głowę.

- Nie. Spędziłem natomiast wiele czasu na szczerzej modlitwie, co zresztą i wam polecam. Bo Pan nasz jest miłosierny, Joscelinie, i wysłucha nawet was. Zanim jednak rozpoczniecie waszą pokutę, opowiedzcie mi o młodym de Baideaux.

- Cóż... - zaczął de Royes i ta krótka odpowiedź wystarczyła Robertowi aż nadto.

- Czyli nic? - uśmiechnął się krzywo.

- Wszystko przebiegło zgodnie z planem, ale jak dotąd nic w zachowaniu młodego de Baideaux nie wskazuje, by naprawdę wiedział cokolwiek o swym bracie. Nic. Zmierza tu właśnie w orszaku Vivienne de Grenier jako jej rycerz przyboczny.

- Vivienne de Grenier? Tej samej o której myślę? -zapytał de Sabie.

- Tak, mistrzu.

- Mamy coś na nią?

- Nic. Bo kurestwo nigdy nie było w Outremer niczym zdrożnym.

- Tak. - Robert pokiwał głową. Krucyfiks na nowo przyciągnął jego wzrok. - Tak, nigdy. Miej nadal oczy i uszy szeroko otwarte, a nuż czegoś się dowiemy.

- Wątpię.

„O, teraz nie kłamiesz” - pomyślał de Sabie, a głośno zapytał:

- Wątpisz?

- Tak, mistrzu. Młody de Baideaux to dzieciak, nierozważny i niedoświadczony. Ponoć nawet walczyć nie potrafi. Gdyby w rzeczy wistości szukał swego brata, lub wiedział cokolwiek o miejscu jego pobytu, dawno by się z tym zdradził.

- W Tyrze powiedział, że nosi się z takim zamiarem. Czyli coś jednak wie.

- A nie myślicie, mistrzu, że powiedział tak, bo po prostu czuł, że tego od niego oczekujecie?

- Myślę, że powinniście robić, co do was należy, rycerzu de Royes. Chcę mieć młodego de Baideaux na oku. I nie zapomnijcie o modlitwie, de Royes. Nie zapomnijcie.

Nastąpiło zdawkowe pożegnanie, płachta zasłaniająca wejście znów się zakołysała, a jedyną pamiątką po rycerzu de Royes był intensywny zapach perfum, który długo wisiał w powietrzu. Robert jednak nie zważał na to, klęczał już przed swym krucyfiksem i z zamkniętymi oczyma modlił się o wielką bitwę, która oczyściłaby sumienie zakonu, która wycięłaby jego grzechy ostrymi szablami wrogów.

Wielki mistrz zakonu templariuszy nie był tej nocy jedynym człowiekiem, który miał problemy z zaśnięciem. W obozowisku Baliana z Ibelinu rozbitym na przełęczy, długo nie zapadała cisza. Chciwi wieści krzyżowcy z Tyru gromadzili się wokół wątlých ognisk i rozprawiali z przybyszami spod Akki. Ci z goryczą opowiadali o ślamazarnie prowadzonym oblężeniu i oddziałach Salah ad-Dina otaczających z wolna skąpą armię króla Gwidona. Sam baron, pogrążony w ciężkim milczeniu, słuchał opowieści zmarkotniałego Hugona de Lovance i kiwał głową, nie odzywając się ani słowem. Nie zwracał, a raczej starał się nie zwracać uwagi na siedzącą obok Vivien-ne de Grenier. Wiatr świstał cicho, posepnie, porywając strzępy rozmów, poruszając płaszczami zadumanych krzyżowców. Gaston de Baideaux jedyny nie dbał o opowieści spod Akki. Długo włóczył się po obozowisku, szukając zajęcia, które pozwoliłyby mu zapomnieć o niepożądanym spotkaniu, o zbudzonych duchach przeszłości. Na próżno jednak - gdziekolwiek nie spojrział, widział mężczyzn w turbanach lub kufijach, a to natychmiast przypominało mu o Hugonie de Lovance. W końcu, mrużąc pod nosem przekleństwa, wspiał się na wysoką skałę, którą ziemia - niczym wzniesionym palcem - wygrażała rozgwieżdżonemu niebu, ledwie kilka kroków od miejsca, gdzie rozłożyli posłania. Usiadł i zapatrzył się w mrok, wystawiając twarz na chłodne podmuchy wiatru.

Hugo.

Nie pochodził on ze szczególnie bogatego czy słynnego rodu, nie był mistrzem we władaniu mieczem czy jeździe konnej, nie miał też otwartej drogi na wielkie dwory, mimo to uwielbiali go wszyscy młodzieńcy w okolicy. Zawsze towarzyszyła mu liczna kompania, czy to na łowach, czy podczas turniejów lub dzikich gonitw po lasach, a każdy gotów był zrobić wszystko, by tylko zasłużyć na pochwałę bądź nawet przyjacielskie klepięcie w plecy. Młodzieniec nie miał pojęcia, jak ową popularność wytłumaczyć. Nie wiedział, czy to zasługa szczerego uśmiechu Hugona, czy może jego ciepłego, bynajmniej nie kąśliwego poczucia humoru lub bijącej odeń energii. Nie wiedział, ale nie zaprzętało go to zbytnio. Był zakochany w młodym panu de Lovance, podobnie jak wszyscy inni, łącznie z Ludwikiem de Baideaux, który - mimo że brat - był człowiekiem wyjątkowo Gasto-nowi obmierzłym. Zdolnym do wielu rzeczy, lecz nie do ludzkich uczuć.

Rzecz jasna, uwielbiał go również przekłety, cyniczny Maurycy de Souhait. O, ten mienił się nawet najlepszym przyjacielem Hugona.

Co ciekawe, młodzieniec nigdy nie zauważył, by de Lovance w jakikolwiek sposób swą popularność wykorzystywał. Wszystkich towarzyszy traktował z równą serdecznością, nawet Gastona, który jako przeznaczony za młodu do służby duchowej w żaden sposób nie mógł się w gromadzie wykazać. Natomiast Hugonowi wrócono karierę wielkiego przywódcy i w rzeczy samej, gdy w końcu w to uwierzył i zdecydował się wyjechać do Ziemi Świętej, w jego rodzinnych stronach zapadła głucha cisza jak w czas żałoby po uwielbianym królu. A potem zaczęły się kłopoty, albowiem następcą Hugona obwołał się Maurycy de Souhait, człowiek niema-jący ani jednego z przymiotów poprzednika, za to mnóstwo pychy i zawiści. Gaston wzdychał ciężko i spoglądał ku rozjarzonym gwiazdom, a przed jego oczyma przesuwwały się obrazy, które tak bardzo chciał zapomnieć. Butna twarz Maurycego de Souhait. Wzgardliwy uśmiech Izabeli de Murble. Brutalny grymas na obliczu Vincenta, jego kij uniesiony ku niebu.

I kilka nieopatrznych słów, które wypowiedział o północy na rozstaju dróg wśród wierzb, tam gdzie niegdyś powiesił się samobójca. Tam, któregoś niebawem miał wracać de Souhait.

- De Baideaux! - wrzasnął drugi z jeźdźców, gdy pochwycił jego konia za uzdę i ściągnął mocno. - Co ty sobie myślisz, przekłety głupcze? Chyba nie przyszło ci do... Wiatr zawył głośniejsz, jakby przerażony myślą, która znienacka go ogarnęła. Wierzby zamachały koślawymi gałęziami, księżyc łypnął zza chmur. Miecz uniósł się w powietrze, zatrzymał na chwilę, a potem opadł niczym błyskawica w dół.

I znowu wystrzelił ku górze, podrywając ze sobą rój kropelek krwi...

Gaston zdrzął i wstał szybko. Zapominając o ostrożności, pospiesznie zsunął się ze skały i podbiegł do ich posłań, gdzie powitał go wzburzony, podparty pięściami pod boki Adalbert.

- Widzieliście ich, panie? - zapytał drżącym głosem, któremu bez powodzenia próbował nadać twarde brzmienie. - Niech nas święci Epipodiusz i Aleksander strzegą przed tymi przekłętymi Saracenami, panie, inaczej marny nasz los...

- O czym ty mamrociesz? - mruknął niechętnie Gaston, ale wtedy dostrzegł Bernarda. Niemy olbrzym też nie spał, tylko stał przygarbiony i groźnie marszczył brwi.

- Co się stało? - zapytał.

- Dwóch łotrów przy naszych jukach przyuważyłem, ale ich spłoszył imieniem Boga! - pochwalił się ksiądz. - Tych dwóch w czarnych szatach, co się przy karawanseraju kręcili...

- To Beduini, nie Saraceni - oznajmił młodzieniec, po czym nachylił się nad swymi jukami i płynnym ruchem obnażył swój miecz. Potem zniemacka przeciął nim powietrze. - Jak na kogoś, kto utrzymuje, że był już w Ziemi Świętej, masz słabą pamięć do nacji.

- Ale oni... - wybełkotał Adalbert i rozłożył ręce niczym geniusz, którego nikt nie rozumie.

- To pachołkowie barona z Ibelinu. Dobrej nocy, Adalbercie.

I odszedł w ciemność, by znaleźć skrawek wolnej przestrzeni, stanąć na szeroko rozstawionych nogach i ćwiczyć fechtunek, aż całkiem opadnie z sił. Diabeł się nie odzywał, ale Gaston miał pewność, że z trudem powstrzyma drwinę.

Gwiazdy migotały jak ogniki w oczach Vivienne de Grenier.

Oprócz Gastona w obozowisku na Schodach Tyryjskich była jeszcze jedna osoba, której nie zainteresowały opowieści o przebiegu oblężenia Akki. Anna Giscolvi ujęła swe suknie i powoli, niemalże z namaszczeniem usiadła na zydelku. W chwilach takich jak ta nie lubiła się spieszyć, lubiła natomiast zapewnić sobie maksymalną wygodę. Potrzebowała również spokoju, ale o ten nie musiała się martwić. Wejście do namiotu przesłaniała bowiem barczysta postać Usamy, ponurego mameluka, który stał nieruchomy niczym posąg i równie niezniszczalny.

Odetchnęła powoli, przesuwając palcami nad płomykami świec, a potem nagłym, zdecydowanym ruchem nabrała szczyptę suszonych ziół i ułożyła w glinianym naczynku na szczycie rury nargili. Podmuchała na rozżarzony węgielek, czekając, aż po namiocie rozniesie się dobrze jej znany zapach, wreszcie ujęła skórzaną rurkę i pociągnęła mocno. Woda zabulgotała.

- Aleph, lamedh, sade, pe, 'ayin - wyszeptała ochryplym głosem. Jej oczy, okrągłe i brązowe, zdolne przenikać dusze i serca, zmętniały nagle, utraciły swą ostrość. - Waw, gimel, beth. Powiedzcie mi, niewidzialni przyjaciele, jaką tajemnicę skrywa Gaston de Baideaux.

Kaph, yodh, beth. Kaph, yodh, beth!

Woda znów zabulgotała, opary w namiocie gęstniały, promyki świecy zaczęły ciemnieć. Siedzący na stojaku jastrząb, który dotąd tylko wbijał w kobietę swe czarne, obojętne oczy, teraz poruszył się nagle.

- He, 'ayin, sade - szeptała Anna Giscolvi. - Powiedzcie mi, powiedzcie...

Otoczył ją całkowity mrok. Ale tym razem krył on niepokój, wrogość. Kobieta stłumiła dreszcz.

Spadkobiercy potęgi dawnych Fenicjan, których z takim trudem odszukiwała w Tyrze i Sydonie, a następnie - już z mniejszym trudem - zmuszała do dzielenia się wiedzą, niejednokrotnie ostrzegali ją, by nie dręczyła dzinów zbyt częstymi pytaniami. Nieraz roztaczali przed nią wizje straszliwej zemsty niepokojonych demonów, lecz Anna niewiele sobie z tego robiła. Zazwyczaj brała to za skomlenie upokorzonych magów i alchemików, którym tak bezceremonialnie wydzieraa pilnie strzeżone sekrety i bez umiaru korzystała z

dobrodziejstw skradzionej wiedzy. Dopiero tu, pa szczycie Schodów Tyryjskich, zrozumiała, że drwiny z próśb o wstrzemięźliwość były aktem ogromnej pychy.

Mrok wokół niej gęstniał, nabierał konsystencji ścian i słupów, które pojawiały się, by zniknąć i zaraz pojawić się w innym miejscu. Pośród ciemności, niczym gigantyczne płaszczyki, przesuwały się jakieś kształty, wyraźne, wyraźniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

- He, zayin, beth - szeptała drżącym głosem Anna. - Powiedzcie, zdradźcie...

Ciemność otaczała ją coraz szczelniej, wyduszała powietrze z płuc, przygniatała do ziemi. Kształty to przybliżały się, to oddalały. Strach opanował ją całkowicie, ostatkiem siły woli powtarzała zaklęcia, ale już bez nadziei, z rosnącą paniką.

- Giml... Beth...

I wtedy napłynęła odpowiedź. Zimna i brutalna niczym atak wichru.

Drapieżny ptak nagle rozwarł dziób i zaskrzeczał przeraźliwie, potem niespokojnie trzepnął skrzydłami. Anna Giscolvi otworzyła szeroko oczy i chwyciła krawędź stolika, w ostatniej chwili broniąc się przed upadkiem. Wokół panowała cisza zakłócana jedynie przez świst wiatru i jej serce walące tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Płomienie świec skwierczały cicho.

- O Boże... - wyszeptała bezgłośnie.

Spocony Gaston raz jeszcze ciężko machnął mieczem, potknął się, upadł boleśnie. Wąsaty rycerz z zieloną tarczą, niewidoczny w cieniu skały, pokiwał z zadumą głową. Gdzieś zaśmiała się hiena.

Rozdział ósmy

w którym Gaston najpierw nie chce z nikim rozmawiać, potem wdaje się w kłótnię i robi z siebie idiotę, by koniec końców znaleźć nowe zastosowanie dla fałszywych dewocjonaliów miarę jak zjeżdżali w dół ku żyznym winnicom i gajom rozciągniętym wzdłuż wybrzeża, *wiatr* stawał się coraz cieplejszy, niemalże gorący, lecz nie tracił na sile. Wytrwale szarpał proporcem barona z Ibeli-nu, porywał płaszcze szpitalników i targał jakami chroniącymi rycerskie kolczugi przez zbytnim nagrzeniem. Vivienne de Grenier zaklęła i po raz kolejny poprawiła woalkę kryjącą jej twarz, a potem ostro powściągnęła konia, gdy uskoczył gwałtownie na widok żmii zmykającej między kamienie.

- Nic nie mówicie, panie de Baideaux - odezwała się żartobliwie, jakby próbowała zatuszować grube słowa nieprzystojne damie. - Ach, zaraz, zaraz! Znam to spojrzenie.

Tęsknica was wzięła, prawda? Tęsknica za domem?

- Nie. Nieprawda - zaprzeczył sucho jadący tuż obok Gaston. Nie patrzył na jej twarz, nie mógł. Coś w nim protestowało na samą myśl o odwróceniu głowy i próbie

Marcin Mortka

przeniknięcia wzrokiem woalki, coś, czego jeszcze nazwać nie umiał. - Mylicie się, szlachetna pani.

- Czyżby? - zaśmiała się krótko Vivienne. Młodzieniec miał pewność, że spogląda teraz prosto na niego. - Każdy z krzyżowców za czymś tęskni. Outremer to obca kraina, zupełnie obca. Nawet ludzie, których w innych okolicznościach nazwalibyśmy rodakami, tutaj są inni, odmienni, nierzadko trudni do zaakceptowania. Nie dziwię się, czemu wielu przybyszów zaczyna tęsknić za domem, nawet jeśli był to tylko stary, wilgotny kasztel w borach Normandii. Nie dziwię się, czemu odżywa tęsknota za zmarłą matką, czemu chce się wracać do tłustej, swarliwej żony czy walczyć o dziewczynę, która wołała innego.

- Nie zostawiłem w domu niczego, za czym mógłbym tęsknić - powiedział Gaston. - Absolutnie niczego, szlachetna pani.

- Ciekawam więc, coż was zmusiło do wyjazdu? - indagowała pani de Grenier z rosnącym zaciekawieniem. - Święty zapał? Pieniądze? Ciekawość świata?

- Ja też jestem tego ciekaw, drogi Gastonie - rozległ się wesoły głos tuż za nimi.

Młodzieniec odruchowo odwrócił głowę i ujrzał Hugona de Lovance, jak zwykle roześmianego. Wiatr rozwiewał jego jasne włosy delikatnie pozłożone promieniami słońca. Towarzysząca mu Katarzyna de Fourier, jadąca po męsku, miała lekko zaróżowione policzki, a oczy jej skrzyły się od wesołości.

- Zawsze ceniłem cię za szczerość i męstwo - mówił Hugo. - Nigdy bym jednak nie przypuszczał, że się tutaj spotkamy.

„Szczerość i męstwo - powtórzył w myślach de Ba-ideaux. - Poczytywałem sobie za sukces, jeśli podczas gonitw udało mi się nie spaść z konia. Doprawdy, wiesz, jak odgrywać szlachetnego towarzysza przy damach, Hugonie. Bez urazy. A teraz byłoby wspaniale, gdybyś...”

- Znacie się? - Pytanie Vivienne nagle przecięło jego rozmyślenia, tym bardziej że wyczuł w nim jakąś niepokojącą nutę. Ciekawość? Zaintrygowanie?

Ostrożność wyciągnęła pazury i zjeżyła sierść.

- Nieszczęśliwie - odparł ochryple. - Spotkaliśmy się kilkakrotnie, lecz...

- Och, dajże spokój! - roześmiał się Hugo. - Znamy się doskonale, choć przyznaję, częściej zdarzało mi się rozmawiać z twoim bratem, Ludwikiem. Żal człowieka ogarnia, gdy wróci pamięcią do naszych dzikich polowań czy turniejów...

- Wygrywaliście, cny panie? - zapytała Katarzyna de Fourier. Fascynacja w jej głosie była tak zauważalna, że aż wywoływała skrępowanie.

- Naiwne pytanie, moja droga. - Vivienne zachichotała, pomimo że jej wzrok ciął lodem. - Doprawdy naiwne. Jak cała ty. A wy, Gastonie? Wam również zdarzało się zebrać laury zwycięzcy, nieprawdaż? Wystawcie sobie, dobry panie? Hugonie, że Gaston de Baideaux na moich oczach przebił się przez szeregi saraceńskie, by walczyć w mej obronie. Co więcej, oparł się chęci ucieczki, choć okoliczności były poważne, a jego towarzysz dość przekonująco doradzał odwrót.

- Na nieszczęście pojawił się baron z Ibelinu - wtrąciła pozornie niewinnym głosem Katarzyna - i swą nieprzemyślaną odsieczą uniemożliwił panu Gastonowi okazanie dowodów męstwa.

- Na mą cześć! - wykrzyknął Hugo, który nie słyszał bądź udawał, że nie słyszy złośliwości obu kobiet. Podjechał bliżej i po przyjacielsku klepnął młodzieńca po plecach. - Cóż ja słyszę! To ci odwaga, doprawdy! Coś mi mówi, że wielką krzywdę wyrządzilibyście światu chrześcijańskiemu, gdybyście poszli na służbę dla Boga, jak to sobie stary baron de Baideaux umyślił.

- Mielicie zostać księdzem?! - wykrzyknęła zachwycona Katarzyna. - A widzisz, Vivienne? Nie mówi...

- Wiele bym dał, by reszta naszych dawnych kompanów dowiedziała się o twych wyczynach - ciągnął de Lovance. - Poczciwy Maurycy de Souhait pewnie pękłby z zazdrości. A nawiasem mówiąc, wiesz, co u niego? Rozmawiałeś z nim przed wyjazdem?

- Tak, zamieniliśmy kilka słów tuż... Tuż przed moim wyjazdem - burknął Gaston, z trudem panując nad swym wzburzeniem. - Wybaczcie mi, Hugonie, wybaczcie i wy, szlachetne panie, po prostu muszę... Muszę...

Myśli rozproszyły się, uleciały. Młodzieniec uderzył konia piętami i popędził w dół traktem, zostawiając za sobą zdumionego Hugona, rozchichotaną Katarzynę i milczącą, pozornie obojętną Vivienne, a wraz z nimi zmartwienia i troski uparcie wpychające mu się pod czaszkę. Przemknął obok oddziału szpitalników, którzy obrzucili go całkiem niechrześcijańskimi wyzwiskami za wzniesienie tumanów pyłu, minął ludzi Baliana, którzy skomentowali jego wyczyny jeszcze kunsztowniejszymi wiązaniami. Osadził rumaka dopiero przy czole kolumny niedaleko zrujnowanego budynku, którego kształty, a także przeznaczenie, zatarły rozliczne wojny, pozostawiając jedynie spłowiałe, wyszczerbione ściany. Wtedy dostrzegł, że gna za nim Adalbert.

Ksiądz nigdy nie miał okazji, by porządnie wyuczyć się jazdy konnej, a spontanicznego talentu jak dotąd również nie objawił. Choć z trudem utrzymywał się w siodle, miał jednakże tyle rozsądku, by kolumnę jeźdźców minąć od zawietrznej, przez co usłyszał tylko kilka niewybrednych żartów, o wiele mniej wymyślnych od padających wcześniej przekleństw. Adalbert gnał jak szalony, przez co mało kto dostrzegł strach, jaki pojawił się na jego puciołowatej twarzy.

Zauważył to jedynie Gaston, ale on akurat nie miał zamiaru się nim przejmować. Zawrócił konia.

- Paniczu! - wysapał ksiądz. - Paniczu!

- Czego'chcesz? - warknął z niechęcią de Baideaux.

Kapelan z trudem zatrzymał konia, o mało nie spadając przy tym z siodła.

- Rozmawiałem z tą... - wysapał. - Z tą dworką, panie! Z panią Giscolvi! Mówiłem, że Italczycy to lotry i oczajdusze, że... Że nic dobrego nie wyniknie z przyjaźni z takimi. Mówiłem od początku! Paniczu, ona się domyśla! Dopytuje, czyście człowiekiem pobożnym, czy amulety jakieś nosicie, czy... Ona się domyśla! Strzeż nas, święty Jerzy! Wie o wszystkim!

- Wie o czym? - skrzywił się Gaston.

- O... - Adalbert oblizał usta i obejrzał się nerwowo na przejeżdżających szpitalników. Szczęściem żaden z rycerzy zakonnych nawet nie spojrzął w bok. - O powodzie, dla którego przybyliście do Outremer, panie - wyszeptał ośmielony.

- Jedynym powodem mojego przyjazdu byłeś ty! - warknął młodzieniec. - Ty i te twoje opowieści! Od razu zaproponowałeś wyjazd, gdym tylko opowiedział ci o tym, co spotkało de Souhait! Natychmiast zaczęłaś gadać o pokucie i świętych miejscach, o walce za Krzyż i oczyszczeniu z grzechu! Mówiłeś o aniołach, które prowadzą do boju, i kwiatach czerwonych jak krew, które otaczają miecze modlących się rycerzy! Tak długo gadałaś, aż ci uwierzyłem! I co? Najpierw dowiaduję się, że mam brata, którego wychwała pół Outremer, potem wpadam w obłęd na oczach wielkiego mistrza i zostaję wrzucony do lochu, po drodze różni ludzie kilkakrotnie ratują mi życie, bo sam tego zrobić nie potrafię, aż w końcu zdobywam niesłuszne laury bohatera i przez przypadek staję się rycerzem przybocznym damy, którą każdy miejscowy uważa za intrygantkę. Jakby tego wszystkie było mało, napotykam człowieka, który beztróska wywleka w towarzystwie wszystko to, o czym pragnę zapomnieć. Nie tak sobie wyobrażałem pokutę, Adalbercie.

- Jerozolima wzięta przez pogan, a tam najświętsze miejsca, tedy może...

- Mówiłeś, że starczy modlitwa w pierwszym lepszym kościele, bym się pozbył diabła!

- Gaston wciąż panował nad swoim głosem, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. - Opowiadałeś o cudach, o wotach, które składają pielgrzymi w podzięcie za uwolnienie od grzechów! I spójrz, oto jestem! Mam już przeciwko sobie nie tylko diabła, nie tylko wyrzuty sumienia, ale również templariuszy! Oto jadę sobie prosto pod Akkę, choć nie mam pojęcia o robieniu mieczem. Wybacz, oszczędź mi twych rewelacji, Adalbercie. Nie interesuje mnie to, że ktoś tam się czegoś domyślił. Po prostu gdzieś to wszystko mam!

- Panie... - Oczy Adalberta, zawsze szeroko rozwarte, teraz przymrużyły się, a po brudnych policzkach spłynęły łzy. - Panie, nie obwiniajcie mnie o to wszystko. Przecież ja chciałem dobrze dla was... Po tym... Po tym, co się wydarzyło, w rodzinnych stronach przecież nie było dla was miejsca. Stary baron nie wybaczyłby wam tego...

- Może tak. - Gaston patrzył na błękitny przestwór Morza Śródziemnego, który rozciągał się nad rzędem skruszałych skał. - Może nie. Widzisz, ludzi mordują na gościńcach codziennie, a diabeł... Cóż, mało to szaleńców i okrutników włóczy się po Pikardii? Byłbym po prostu jednym z nich.

- Naprawdę chcecie wracać, panie? - Głos duchownego nagle stwardniał. - Naprawdę chcecie wracać do ojcowego kasztelu? A w czym leży trudność? Jedźmy ze wszystkimi pod

Akkę, zbierzcie, panie, łupów i sławy, i wróćcie, kierując się własnym rozumem, a nie radami kłamliwego mnicha. Nie wątpię, że rodzic wasz wybaczy swemu synowi-krzyżowcowi ucieczkę z rodzimego kasztelu wraz z częścią jego majątku. Nie wątpię, że przygarnie was do serca, może koniem obdaruje czy nawet jakimś siólkem. Czekajcie wasz wspaniałe, wygodne życie, zaiste nie do porównania z tym szaleństwem tutaj!

- Adalbercie, ja nie chciałem...

- Panie, nie korzystajcie już z moich rad, skoro nic dobrego wam nie przynoszą.

Z tymi słowami ksiądz zawrócił konia, tym razem czyniąc to z gracją i zdecydowaniem.

Wiatr natarł silniej, podnosząc tumany pyłu, które zasłoniły zarówno jego, jak też kolumnę jeźdźców. Gaston przymrużył oczy i przygryzł wargę.

„Wiesz, co ci przeszkadza, niezguło?” - odezwał się Diabeł.

„Nie interesuje mnie twoje zdanie”.

„A może najpierw posłuchaj. Widzisz, ty za wszelką cenę chcesz być szlachetnym rycerzem bez skazy, jednym z tych, co zaludniają opowieści ojczulka Adalberta. W związku z tym oczekujesz, że świat dopasuje się do twoich pragnień, że ludzie podzielą się na tych dobrych, którzy będą cię kochać i podziwiać, oraz tych złych, których trzeba będzie wytrzebić.

Tymczasem świat, przekłeta materia, zmieniać się nie chce, a ludzie... Cóż, już prędzej świat się zmieni”.

„Jak mówiłem, nie ciekawi mnie to, co masz do powiedzenia. Nie ciekawi!”

„Odsądziłeś biednego Adalberta od czci i wiary -ciągnął niezrażony Diabeł. - Jesteś rozczarowany Outremer, z wolna zaczynasz jak skończony idiota marzyć o swym pamiętającym jeszcze czasy Karola Młota zapchlonym sienniku w ojcowym kasztelu-ruderze. A może skończ już uważać się nad sobą, co? Może pora dopasować się do świata, który, jak ci baron z Ibelinu słusznie wyłożył, składa się z odcieni szarości? Może czas samemu przybrać jeden z owych odcieni, Gasto-nie? Może wtedy odnajdziesz podziw i miłość, o czym tak bardzo marzysz”.

Wiatr ucichł, pył opadł. Tafla morza znów rozbłysła, błękitna do niemożliwości. Jak oczy Vivienne de Grenier. Młodzieniec splunął, zaklął i powoli zawrócił rumaka, tym razem bacząc, by minąć jadące hufce od zawietrznej. Westchnąwszy ciężko, skierował się znów ku podrygującym na nierównym trakcie powozom hrabianki, ku drwinom i złościwościom, ku wspomnieniom z przeszłości i wizjom terażniejszości.

Był w końcu przybocznym pani de Grenier, a ona... „Skąd wiesz, że mój siennik był zapchlony?” - zapytał w myślach.

„Diabły wiedzą takie rzeczy”.

„A więc jednak jesteś diabłem!”

„Chyba tak. Ale nie lubię, gdy się mnie tak nazywa”.

Tego dnia zeszli znów na niziny i Balian z Ibelinu nakazał zdwojoną ostrożność. Od Akki dzieliły ich ledwie dwa dni wędrówki i choć Hugo de Lovance zaklinał, że oddziały króla Gwidona panowały nad traktem do Tyru, baron postanowił dmuchać na zimne. Wiedział, że wieści o potyczce po drugiej stronie przełęczy z pewnością dotarły do Salah ad-Dina, który nie przepuści okazji rozbicia tak zdecydnego oddziału frankijskiego, tym bardziej że na jego czele jedzie osławiony baron z Ibelinu. Ustawił więc powozy w środku szyku i otoczył ciasno własnymi ludźmi, rycerzom Amalryka polecił utworzenie szpicy, a karnych, bitnych szpitalników poprosił o strzeżenie tyłów. Jeźdźców Hugona podzielił na mniejsze oddziały i rozesłał na zwiady, a rycerz de Lovance objął dowództwo nad jednym z nich.

Hufiec szedł w szybkim tempie na południe, spowity chmurami pyłu i ciężkim milczeniem.

Atmosfera napięcia udzieliła się wszystkim, nawet roześmianym, kąśliwym towarzyszkom Vivienne, które zamilkły ku wyraźnej uldze pozostałych podróżujących. Zresztą widok siedzących na powozach wąsatych, ściskających kusze pachołków czy otaczających je

ciasnym wianuszkim konnych rycerzy, bez ustanku wpatrzonych w horyzont, nie sprzyjał wesołym rozmowom.

Gaston miał wrażenie, że w zachowaniu trójki kobiet pojawiło się coś jeszcze, coś na kształt niechęci przemieszanej z przestracaniem. Anna Giscolvi wyraźnie go unikała, wołała jechać po drugiej stronie powozu, choć tam bardziej pyliło. Katarzyna również zachowywała się nieswojo, ale nie przejmował się tym zbytnio - najważniejsze, że zniknął gadatliwy Hugo.

Najważniejsze, że Vi-vienne znów patrzyła na niego.

Obojętnie w jaki sposób.

Pod wieczór napięcie zaczęło znikać, a szyk pomimo surowych zakazów zaczął się z wolna rozciągać. Znużenie wypierało już ostrożność, zresztą zwiadowcy z oddziału rycerza de Lovance meldowali, że w pobliżu nie widać żadnych wrogich oddziałów. Ku uldze całego hufca, nawet karnych szpitalników, Balian zdecydował się więc rozłożyć obozowisko.

Jak zwykle niestrudzony Bernard chciał pochwytać wszystkie trzy wierzchowce i zaprowadzić je do nieodległego wodopoju, gdzie poili już swe konie towarzysze Amalryka, lecz wyręczył go milczący, nadal obrażony Adalbert. Brodaty sługa wzruszył więc ramionami i zabrał się za rozniecanie ognia. Gaston właśnie szukał zajęcia dla siebie, gdy niespodziewanie z ciemności wyłoniła się jakaś smukła postać w asyście dwóch zbrojnych.

- Pani de Grenier chce się z wami widzieć, dobry rycerzu - odezwała się postać głosem Katarzyny de Fourier.

Serce Gastona zabiło szybko, o wiele zbyt szybko.

- Będę... będę zaszczycony - wybełkotał, szukając miecza. Dostrzegł go, podniósł, zaczął przypinać. - Pani de... de Grenier czyni mi... Czyni mi wielką łaskę.

- Miecz wam się niewiele przyda, cny panie - oznajmiła dworka suchym głosem. - W okolicy nie widać żadnych smoków ani wrażych hord. Pani de Grenier chce jedynie zamienić kilka słów.

Nie zwrócił uwagi na ironię w słowach Katarzyny, niewiele też dostrzegł, gdy szedł jak otumaniony przez milczące obozowisko za milczącą damą w jasnej sukni. Serce biło mu jak oszalałe, a gdy żołnierze strzegący wejścia do namiotu rozstąpili się, Gaston miał wrażenie, że zaraz wyskoczy mu z piersi. Przełknąwszy ślinę, wszedł do środka.

I zatrzymał się.

Stał nie wiedząc jak długo wpatrzony w Vivienne de Grenier w powłóczyściej szacie z adamaszku pogrążoną w modlitwie u stóp wielkiego krzyża. Blask płonących dookoła świec odbijał się w rubinach, którymi wysadzono krucyfiks, spływał po rudych włosach hrabianki, zamieniał chwilę w najświętszy, najpiękniejszy moment w całym jego życiu.

Co ciekawe, gdy Vivienne przeżegnała się powoli i wstała z klęczek, czar wcale nie prysnął. Może dlatego, że się uśmiechnęła.

Był to uśmiech tak skromny, tak cudownie zwyczajny i ludzki, że Gaston naraz poczuł łyż pod powiekami.

Naraz pożałował wszystkich tych chwil, gdy irytował się na jej zachowanie i wierzył w jej intrygancką naturę. Przetarł dłonią kąciaki oczu, a wtedy pożałował również i tego, że przyszedł do niej tak jak stał, że nie opłukał brudnych dłoni, nie rozczesał posklejanych, tłustych włosów ani nie zmienił ubrania sfatygowanego i cuchnącego po niewoli u templariuszy oraz kilku dniach jazdy.

- Dziękuję, że przyszliście, panie - powiedziała szeptem. - Bowiem chciałam was przeprosić.

- Przeprosić? - wyjąkał. - Jakże to? Za co?

- Za te drwiny. Za złośliwości, za śmiechy. Za niewybredne żarty Katarzyny de Fourier.

Nie zasłużyliście sobie na to wszystko, panie. Wyście... Wyście są inni.

Nie obwiodła oczu ciemną kreską, nie ubarwiła ust karminem, przez co wydała się Gastonowi o wiele bardziej zwyczajna i przystępniejsza, a zarazem o wiele piękniejsza niż kiedykolwiek

wcześniej. Dłoń, którą ujęła puchar z winem, zgrabna i smukła, ozdobiona pojedynczą bransoletką ze złota, była dlań kwintesencją kobiecego piękna. Przypomnił sobie inne dłonie, które kiedyś chciał obsypywać pocałunkami - dłonie czerwone, z ogryzionymi paznokciami, z ciężkimi pierścieniami szpecącymi, miast zdobić - i uśmiechnął się krzywo.

- Mieliście rację, pani - powiedział niespodziewanie, nawet dla siebie. - To była miłość.

- Co takiego? - Vivienne uśmiechnęła się ponownie, podając mu kielich z winem.

- Pytaliście, co mnie przywiodło do Ziemi Świętej. Otóż trafiliście. Miłość. A raczej seria pomyłek, które z niej wynikły.

- Miłość - powtórzyła hrabianka. W jej głosie niespodziewanie pojawiło się zmęczenie.

- To czyni was jeszcze szlachetniejszym w moich oczach, panie de Ba-ideaux. Cóż się z nią stało?

- Z ową damą czy z mą miłością, pani? - zapytał Pi-kardyjczyk z przekąsem i uniósł kielich. Zapach imbiru, cynamonu i kardamonu aż oszałamiał. - Miłość zgasła zaraz po tym, jak sobie uświadomiłem, do czego doprowadziła. A dama? Nie wiem, doprawdy nie wiem. Starczy rzec, że nie pomyślałem o niej ani razu od chwili wyjazdu.

- Skoro sprawia wam to ból... - szepnęła Vivienne zapatrzona w płomień świecy.

- Nie, nie sprawia - zaprzeczył Gaston i upił wina. Jego smak był jeszcze doskonalszy od zapachu, nie opanował się i wychylił niemalże całą zawartość naczynia. - Nie sprawia - powtórzył. - I to właśnie budzi we mnie największą zgrozę. Jestem tu przez kobietę, której nigdy tak naprawdę nie kochałem, przez kobietę, którą chciałem zdobyć, bo sądziłem, że tak należy. Nazywała się Izabela de Murble i podówczas sądziłem, że jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

Korciło go, by dodać: „do chwili, gdy was spotkałem, pani”, ale ostrożność prychnęła i odsłoniła ostre ząbki.

„Jeszcze nie” - pomyślał i ciągnął dalej:

- Dziś wiem, że była jedynie złośliwą, zarozumiałą jędzą czerpiącą prawdziwą przyjemność z ranienia innych. Nie wiem, jak długo próbowałem się do niej zbliżyć... Pół roku, może więcej? Przez przynajmniej pół roku pozwalałem jej się poniżać, sądząc, że tak należy. Że tylko wytrwałością można zdobyć serce ukochanej, że cierpienie czyni silniejszym. W końcu o wszystkim dowiedział się mój ojciec, który zaplanował sobie oddać mnie do służby duchownej. Potem z kolei dowiedział się jej ojciec, hrabia de Murble, człowiek równie mściwy co brutalny, a na ostatku adorator Izabeli, pewien możny rycerz, którego nazwiska nie chcę wymawiać. Tak, miałem się wówczas z pyszna.

Uniósł wzrok i spojrzał na Vivienne, lecz ta w zamyśleniu przesuwiała palce nad promykami świec. Ze zdumieniem dostrzegł, że jest całkowicie niezainteresowana jego opowieścią.

- Tak, każdy z nas ma swój krzyż do niesienia - wyrzekła w zadumie, nie spoglądając w jego stronę. - Czy zrobicie coś dla mnie, dobry rycerzu?

- Tak - wyjąkał i spuścił wzrok.

„Ty idioto! - ofuknął się w myślach. - Naprawdę sądziłeś, że twa historia miłosna jest szczególna? Że kogokolwiek wzruszy?”.

- Tak, pani - bąknął. - Zrobię, co każecie.

Vivienne uśmiechnęła się znów, ale samymi tylko ustami. Jej wzrok niczym skrzydła ćmy płonął w blasku świecy.

- To prawdziwe zrządzenie boskie, że znacie się z rycerzem de Lovance - powiedziała. - To dzielny człowiek i... cóż, wielce wpływowy.

- Hugo?... - wyjąkał młodzieniec. - Dlaczego mówicie o Hugonie, pani? Dlaczego teraz, w takiej chwili?

- Bo to chwila odpowiednia. Po to was tu wezwałam, panie de Baideaux. - W głosie kobiety pojawił się chłód. - Chciałabym, byście porzucili służbę dla mnie i dołączyli do jego hufca. Bóg obdarzył tego człowieka wielkim sercem i ogromną odwagą, ale na szczęście dla

nas również ptasim mózdzkiem. Chciałabym, byście odnowili swą dawną przyjaźń, byście nie odstępowali go ani na krok i śledzili jego poczynania. Pan de Lovan-ce ma wielki mir wśród rycerstwa i wielu krzyżowców, szczególnie młodych, bez wahania podąży za nim, gdyby chciał zmienić stronę. I tu zaczyna się wasza misja, panie de Baideaux.

Gaston zrobił krok w tył. Wpatrywał się w hrabiankę szeroko otwartymi oczyma.

- Chcecie, bym szpiegował? - wyjąkał. - Po to mnie tu wezwaliście, pani? By kazać mi szpiegować Hugona?

- Nie szpiegować! - Vivienne machnęła dłonią i pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie znoszę tego słowa. Po prostu od czasu do czasu zgłosi się do was pewien człowiek, przedstawi odpowiednie hasło, a wy odpowiecie na jego pytania. Przez cały czas natomiast będziecie namawiać rycerza de Lovance, by przeszedł na stronę markiza Montferratu..Póki co służy bowiem królowi Gwidonowi, a ten nie cieszy się...

- Nie zrobię tego! - wykrztusił Gaston. - Wybaczcie, pani, ale nie. Nie będę nikogo szpiegował. Ja przybyłem do Ziemi Świętej...

- ...by odpokutować za grzechy - dokończyła hrabianka. - Podobnie jak większość pielgrzymów. Mało który jednak oddał duszę diabłu.

- Ja nie... Ja nie wiem, o czym wy, pani...

- Wiecie. A jeśli mnie nie posłuchacie, dowiedzą się wszyscy. Szpitalnicy pierwsi. Haust zimnego powietrza tylko pogłębił oszołomienie Gastona. Szedł na oślep, nie patrząc przed siebie, a w głowie huczały mu zimne, bezlitosne słowa pięknej pani Vivienne de Grenier. Serce nadal biło jak szalone, ale teraz z każdym jego uderzeniem w ciele młodzieńca rozlewał się ból, okrutny ból rozczarowania i żalu.

„A więc to o to tylko chodziło! - krzyczała jakaś myśl. - O kolejną intrygę polityczną, o kolejny podstęp! A ty zachwycałeś się jej urodą, snułeś kliwne historie o przeklętej de Murble, ty przekłety, naiwny durniu! Znów zapragnąłeś świata w czerni i bieli?!”

Potknął się o jakiś kamień, upadł na kolana, z piersi wydarł mu się szloch.

„Uważaj!” - ryknął Diabeł.

Gaston uniósł głowę, otarł oczy wierzchem dłoni.

- Panie! Panie! - wołał zdyszany Adalbert. - Wszędzie was szukam...

„Przecież to tylko ten klecha...”

„Za tobą!”

Zapach wielbłądziej sierści, mocny i wyraźny.

Gaston poderwał się dosłownie w ostatnim momencie, gdy biegnący Beduin podnosił już zakrzywiony sztylet. Młodzieniec skoczył w bok, uderzył barkiem o twardą ziemię, przetoczył się po kamieniach - cały czas ścigany przez ostrze, które raz za razem przecinało powietrze. Ból niespodziewanie go otrzeźwił, ale wtedy jasną już głowę wypełniło przerażenie.

„Saracen!” - przemknęło mu przez umysł.

Kopnął na oślep, o dziwo, trafił. Beduin stracił na moment równowagę, sztylet świsnął tuż przed oczyma Gastona. Policzek buchnął gorącem, ale de Baideaux już zrywał się na równe nogi, już biegł przez obozowisko. Przeciwnik nie odstępował ani na krok, jego szary burnus łopotał na wietrze.

- Sa... - próbował wykrzyknąć młodzieniec. - Sara...

Coś uderzyło go w plecy, świat zawirował, potem buchnął tysiącami ognii, gdy Gaston znów zwał się na ziemię.

„Tocz się mu pod nogi!” - wrzasnął Diabeł.

Posłuchał. Uderzył łokciem w twarde łydki Bedu-ina. Ten ponownie stracił równowagę i zaklął z wściekłością.

„Walnij go czymś! Czymkolwiek!”

Nie miał miecza, zostawił także sztylet. Miał tylko mieszek, a w nim...

Kątem oka ujrzał, jak Beduin podrywa się na kolana, jak wznosi ostrze. Wyrwał mieczek.
„W splot słoneczny!”

Uderzył. Z całej siły, potem jeszcze raz. Morderca zgiął się, zacharczał, sztylet upadł na ziemię, jak na życzenie, tuż obok dłoni młodzieńca. Złapał i pchnął, nie patrząc, z całej siły. Spróbował jeszcze raz, lecz sztylet przeciął próżnię.

Zabójca uciekał przez noc, utykając. Czarne szaty łopotały jak skrzydła zranionego ptaka.

„Wrzeszcz! Ten skurwysyn nie może uciec!”

- Saracen! - wychrypiał Gaston. - Saracen!

Gdzieś załopotały pochodnie, poniosły się krzyki,

szczęknął oręż. Beduin zmienił kierunek biegu, zmierzał teraz prosto ku równo rozstawionym namiotom szpitalników. Ktoś pędził już ku niemu, mlasnęło wyszarpywa-ne ostrze. Dalej wyłaniali s.ię kolejni zbrojni.

- Panie! - Adalbert rymnął na kolana, nie bacząc na ostre kamienie. - Nic wam się nie stało? Na świętą Irenę Rzymską, paniczu...

- Nic mi nie jest! - wyjąkał młodzieniec, unosząc okrwawiony sztylet. - Na Boga, nic mi nie jest... Ja chyba go...

- Jaceście go powalili, panie? Jak? Już myślałem, że po was...

- Tym. - Ostrze sztyletu wskazało mieczek. - To ten niby - kamień ze Wzgórza Świętynnego, co mi go w Ty-rze ten żebrak chciał wcisnąć...

- Kupiliście? - Ulgę w głosie Adalberta na moment zastąpiło święte oburzenie.

- Skąd! Podniosłem z ziemi, gdy zaczęła się bijatyka. Warto zbierać pamiątki... Pomóż mi wstać.

Gaston uniósł się akurat, by ujrzeć gęstniejący krąg mężów w czarnych tunikach z białymi krzyżami oraz ich twarze - nieruchome, okrutne, opromienione blaskiem trzymanyh pochodni. Rycerz, w którym rozpoznał komandora szpitalników, zaciekle kopał leżące na ziemi ciało, aż po jego twarzy ciekł pot. Poły burnusa, jeszcze przed chwilą falujące na wietrze, przypominały teraz skrzydła zdechłego ptaka.

- Chodźmy stąd. - Gaston oparł się na pulchnym ramieniu księdza i powstał z przeciągłym syknięciem bólu. - Adalbercie... Przepraszam, że na ciebie nakrzy-czałem, że zarzuciłem ci złą wolę. Ja chyba... Ja chyba jeszcze się nie dopasowałem do tego świata i czasem muszę...

- Rozumiem, panie - pokiwał głową mnich. - Naprawdę rozumiem, bo ja...

„Robisz postępy, Gastonie - odezwał się Diabeł z nutką czegoś przypominającego dumę. - I to spore”.

Młodzieniec machnął ręką, jakby chciał odpędzić natrętną muchę, i popatrzył wokół.

Zewsząd zbliżały się pochodnie, pokrzykiwali zaalarmowani ludzie, niósł się szcęk oręża.

- Już po wszystkim! - wychrypiał Gaston. - Idźcie spać, już po wszystkim...

Napięcie zaczęło opadać i nagle ogarnęło go straszliwe znużenie. Nie miał ochoty zastanawiać się, dlaczego tajemniczy zabójca upatrzył sobie właśnie jego, nie miał ochoty odpowiadać na niczyje pytania. Chciał po prostu zapaść w sen i przestać rozpamiętywać rozczarowanie, którego gorycz, jak przeczuwał, miała mu jeszcze długo towarzyszyć.

Dopiero po chwili zorientował się, że Adalbert szarpie go za rękaw. Twarz księdza była poważna.

- Czego? - zapytał z wysiłkiem młodzieniec. - Czego jeszcze? '

- Miałem wam to rzec dziś przed południem... -mówił cicho duchowny. - Niech mnie wszyscy święci natchną, wszystko miałem wam powiedzieć, paniczu, ale...

- Alem nawrzeszczał na ciebie. Nie twoja to wina.

- Moja, moja, bom i ja cierpliwość stracił, darujcie, panie - szeptał Adalbert. Jego oczy połyskiwały nerwowo. - Tego dnia, cośmy pod karawanserajem stanęli...

- Com też na was nawrzeszczał?

- ...zawróciłem konia i popędziłem do miejsca, gdzie baron nakazał dobra hrabianki wyrzucić. Pomyślałem sobie: szkoda, żeby... Żeby się, khm, zmarnowało, tedy...
- Twa zaradność nie ma granic - westchnął Gaston. Pochodnie były coraz bliżej, biegnący nawoływali się, komandor de Halle szedł w ich kierunku z nagim, okrwawionym mieczem i pokrzykiwał chrapliwie po niemiecku.
- Nicem nie znalazł, panie, nic a nic! Jeno wieczorem rzekliście, że hrabianka rzeczy dla swego wuja wiozła i aż mnie zmroziło.
- A czemuż to?
- Bo tam jeno kobiece fatalaszki były. Nic dla mężczyzny. Znaczy się, okłamała was.
- Znaczy się, dureń ze mnie. Chodźmy spać, błagam cię Adalbercie. Chodźmy spać.

Rozdział dziewiąty

w którym pojawia się nadzieja, ale tylko na chwilę. potem rozwiązuje się pewna tajemnica, na razie jedyna, ale w zamian pojawia się wróg. i to taki, którego nikt by się nie spodziewał Akka powitała ich posepną szarością.

Szare były mury miasta wzniesione wysoko, wysoko ku niebiosom, zbrojne w masywne baszty. Szare było niebo zaciągnięte nieprzeniknionymi chmurami, szara była tafla morza, szary masyw La Tour Maudi-te - Wieży Przeklętych - bastionu, w którym zbiegały się umocnienia, szare żagle okrętów na redzie. Szare były również twarze wędrujących krzyżowców, szare i ponure. Spojrzenia wszystkich kierowały się bowiem ku nieodległemu wzgórzcu Turon, gdzie wyrastał las sztandarów wojsk frankijskich, las wyzywająco barwny i zuchwały, ale jakże nikły wobec ogromu twierdzy. Nikt się nie odzywał, nikt nie żartował. Prowadzący hufiec Balian z Ibelinu podniesieniem ręki przywitał podjazd frankijskiej jazdy. Wyraz jego twarzy zniechęcił dowódcę oddziału do zadawania jakichkolwiek pytań. Znad zgliszczy przedmieść poderwało się stado kruków. Jastrząb Anny Gisolvi krzyknął przenikliwie i rozwarł skrzydła, jakby chciał zwrócić uwagę ludzi na łopot islamskich proporców na murach miasta. Te, zielone

i niebieskie, wyglądały jak kwiaty sterczące z szarej ska-ty

- Niech ktoś uciszy tego przeklętego ptaka - mruknął Hugo de Lovance i odwrócił się. - Szlag mnie zaraz trafi od tych wrzasków... Dalej, Gastonie! - zawołał nagle ze sztucznym ożywieniem, smagnięty wściekłym spojrzeniem italskiej damy. - Wjedźmy na tamto wzgórze, pokażę ci Akkę!

I popędził konia.

Gaston patrzył za nim tępo. Wydarzenia ubiegłej nocy - najpierw gorzki zawód, jaki sprawiła mu Vi-vienne, a krótko potem walka o życie z nieznanym Sa-racnem - wstrząsnęły nim do głębi. Jechał jak w transie, odpowiadając półsłówkami na pytania ożywionych i zaniepokojonych krzyżowców. Parę razy słyszał nazwę „asasyn” kojarzącą mu się niejasno z saraceńską sektą zabójców, o której słyszał jeszcze w Genui, ale nie miał ochoty o nic dopytywać. Z przygnębienia nie wyciągnęła go nawet rozmowa z samym Balianem, który również żywo zainteresował się sprawą. Zresztą co mógł mu Gaston powiedzieć, skoro to komandor de Halle bardzo pragnął wziąć na siebie sławę pogromcy skrytobójców i gadał jak najęty, uprzedzając pytania barona.

Dopiero obłok kurzu, który wykwitł za zadem Hu-gonowego rumaka, obudził w sercu młodzieńca iszkierkę życia. Nagle zapragnął choć na chwilę wyrwać się z posepnej atmosfery orszaku. Uderzył piętami boki konia, krzyknął. Wiatr ciężki od dymów, chłodniejszy tego dnia, wydał jego jakę, poderwał płaszcz jadącego przodem rycerza.

- Ho, ho! - zawołał de Lovance, tym razem szczerze uradowany. - Spójrz tylko na to! Nie było nas ledwie tydzień, a jakie zmiany! Przybyło wiele nowych orszaków!

- Chcesz powiedzieć, że wcześniej było ich mniej? - zmarszczył brwi Gaston. - Wybacz, jeśli cię urażę, ale król Gwidon musi być szaleńcem, skoro porwał się na taką twierdzę z tak niewielką garstką...

- Tak, tak - nieprzytomnie rzucił Hugo. - Tylko spójrz... Na prawo od beauceant templariuszy powiewa sztandar landgraфа Turynii! A zatem dotarł! Ten niebieski ze złotymi rybami to porporzec hrabiego Henryka z Bar, dalej powiewa niebiesko-złota szachownica Roberta Dreux i trzy czerwone róże Ottona z Geldrii! Jest i Renald de Grenier z Sydonu i... O, wielki Boże!

- Markiz Konrad Montferratu, obrońca Tyru! - uśmiechnął się lekko Gaston. - Teraz, wraz z Balianem z Ibelinu, mamy pod Akką największych rycerzy świata chrześcijańskiego.

- Mówią, że Joscelin de Courteney, który miał Akki bronić, zachował się jak tchórz a nie rycerz chrześcijański - zgrzytnął zębami de Lovance. - Poddał twierdzę, ledwie Saraceni pojawili się na horyzoncie. Odbierzemy ją tym kozim synom. Zobaczysz.

Młodzieniec pokiwał głową. Przez chwilę wpatrywali się w odległe frankijskie sztandary łopoczące na wietrze znad morza, a ich serca rosły. Potężne mury Akki wyrastające za czarnymi pasmami spalonych przedmieść i ogrodów wobec entuzjazmu Hugona de Lovance naraz wydały się mniejsze, bardziej kruche.

„Dzieciaki! - parsknął z pogardą Diabeł. - Naiwne dzieciaki. A już zaczynałem być z ciebie dumny”.

To starczyło, by zetrzeć uśmiech z twarzy de Baide-aux. Gaston poruszył się niespokojnie w siodle i zerknął za siebie. Wtedy dostrzegł samotnego jeźdźca, który odbił od snującego się wolno hufca i gnał w ich stronę, ciągnąc za sobą długi warkocz pyłu. Ku swemu zdumieniu młodzieniec rozpoznał Amalryka de Puigney.

- Hugonie! - zawołał, przerywając zachwyty swego towarzysza.

Amalryk wspiął się na wzgórze, szarpnięciem zdrowej ręki - lewą wciąż nosił na temblaku po starciu z sa-raceńskim podjazdem - ustawił rumaka bokiem i sam zerknął na frankijskie obozowisko.

- Baron z Ibelinu polecił mi coś wam rzec - rzucił ochryple. - Najpierw wam, panie de Baideaux. Nie przejmujcie się owym nocnym atakiem. To nie był asasyn. Zabójcy Starca z Gór atakują co najmniej we dwóch i nigdy pod osłoną ciemności.

- Nie przejmuję się.

- Jasne. A teraz coś dla was obu, również od barona. Zanadto kręcicie się wokół hrabianki de Grenier. Obaj.

- Nie widzę powodu, dlaczego barona Baliana miałyby to martwić, cny panie. - Hugon zmarszczył lekko brwi.

Amalryk uderzył konia piętami, podjechał bliżej. Jego nieurodziwa, ogorzała twarz miała obojętny wyraz, ale w spojrzeniu i głosie dało się wyczuć rozdrażnienie.

- Wielu rzeczy nie widzicie, Hugonie - warknął i wskazał dłonią na wschód.

Młodzieńcy powiedli za nią wzrokiem.

Horyzontu nie było widać. Przesłaniały go setki, może tysiące miniatuerek namiotów, przesłaniały tabuny niezliczonych koni i równie niezliczonych ludzi oraz łopoczące nad nimi niebieskie i zielone sztandary, takie same, co zwisały z murów Akki. Armia Salah ad-Di-na ciągnęła się daleko niczym cielsko odpoczywającego smoka, pochłaniając ciemne kontury nielicznych ocalałych wiosek i miasteczek, rzygając dymem setek ognisk.

Amalryk przez moment napawał się wrażeniem, jakie wywołały jego słowa, po czym podjął:

- Nikt nie wie, dlaczego Vivienne de Grenier postanowiła wybrać się na wojnę. W starej, dobrej Europie wy-chłostałoby się podwikę i odesłałoby się pod eskortą do domu, ale w Outremer nie jest to takie proste. Baby mają tu zbyt wiele powiedzenia, psia mać. Tak, nikt nie wie, czego ona tu chce, ale baron z Ibelinu ma złe przeczucia. I pewność, że cokolwiek sobie zamierzyła, wykorzysta do tego kilku młodych durni.

Gaston przypomniał sobie odkrycie Adalberta i zasznurował usta. Poczuł, jak zalewa go fala mrocznego przygnębienia. Hugo zareagował całkiem inaczej - jego twarz pociemniała, a dłoń mimowolnie skoczyła do rękojeści miecza.

- Coście rzekli, panie de Puigney? - zapytał zduszonym głosem. - Jam pasowany jako i wy...

- Rzekłem, że de Grenier zwykle posługuje się durniami - odwarknął Amalryk. -

Czyżbyście się za takowego mieli?

- Nie, ja... - bąknął de Lovance całkiem zbity z tropu.

- No właśnie. A więc uważajcie na nią. Obaj.

Młodzi rycerze patrzyli, jak stary krzyżowiec zjeżdża

w dół zbocza i zajmuje swe miejsce w orszaku po prawicy barona z Ibelinu.

- Pyszalek! - zgrzytnął zębami Hugo. - Jeśli jeszcze raz zbezcześci imię hrabianki de Grenier...

- Daj spokój groźbom. - Gaston odetchnął ciężko i odwrócił spojrzenie. - Lepiej zastanówmy się, co teraz - wydusił z siebie.

- Co takiego? - Jego towarzysz zamrugnął oczyma.

- No, trzeba... - wykrztusił de Baideaux. - Trzeba się zastanowić, co począć. Bo... Bo widzisz, Konrad Montferratu przybył pod Akkę i pewne sprawy...

- Nie wiem, o czym ty gadasz - rozżołościł się Hugo. - Ja służę królowi Gwidonowi, a ty wraz ze mną, skoro zdecydowałeś się porzucić hrabiankę de Grenier. Chyba, że ci się to przestało podobać.

- Nie, ja... - Tym razem to Gaston stracił rezon.

- Wracajmy!

Jastrząb zatoczył koło na tle szarych chmur i zanurkował w kierunku hufca krzyżowców.

Gaston raz jeszcze ciął znad głowy, tym razem wkładając w cios zbyt wiele siły. Stracił równowagę, potknął się i padł na kolana. Miecz wyleciał mu z dłoni, z brzękiem potoczył się po ubitym piasku. Chłopak pokręcił głową i zerknął niespokojnie na boki, ale jedynymi świadkami jego porażki były gwiazdy mrugające między porwanymi wiatrem chmurami.

„Kiepsko - ocenił Diabeł. - Bardzo kiepsko. Wiesz, a tak w ogóle dziwi mnie, że postanowiłeś spróbować”.

Zdyszany młodzieniec ujął miecz, a potem usiadł ciężko i ułożył go sobie na kolanach.

- Spróbować czego? - odpowiedział pytaniem.

„Spróbować wypełnić wolę damy twego serca. Ciekaw jestem, dlaczego”.

- Po pierwsze, to nie nazywaj jej tak - warknął de Baideaux i otarł pot z czoła. - Po drugie...

„A jak mam ją, wedle ciebie, nazywać, co? Wybacz, ale nic mi nie przychodzi do głowy poza słowami uznawanymi ogólnie za mało pochlebne. I naprawdę podaruj sobie te intrygi. Daj Hugonowi spokój”.

- Dlaczego? - skrzywił się Gaston.

„Bo jesteś beznadziejnym szpiegiem. Ośmieszasz się i tyle, nawet taki dureń jak Hugo de Lovance w pewnym momencie zrozumie, o co ci chodzi. Lepiej już ci być balwierzem, niezguło.”

- Ośmieszam się, odkąd przybyłem do Tyru - wycedził młodzieniec. - Jeden raz więcej wcale mi nie zaszkodzi. Poza tym hrabianka de Grenier nie pozostawiła mi wyboru. Nie życzę sobie, by wszyscy Frankowie dowiedzieli się o pewnym kurewskim diable, który przyczepił się do mnie jak pchła do koziej dupy.

„Uff, wreszcie nauczyłeś się przeklinać! Ale nie nazywaj mnie diabłem, już ci tłumaczyłem. Nie przepadam za tym. Co zaś do owego szantażu, to mnie nie rozumiałeś.

Oczywiście, że de Grenier ma na ciebie haka, ale to nie znaczy, byś musiał robić z siebie błazna. Po prostu rozpocznij własną grę”.

- Co takiego?

„Podawaj jej bzdurne informacje. Kłam, oszukuj, lawiruj, mów jej dokładnie to, co chce usłyszeć. A jak przyjdzie co do czego, rozłóż bezradnie ręce i powiedz: Och, oszukano mnie! Bo to przecież potrafisz, prawda?”

- Ale czy tak się da?

„Tylko nie mów, że na przeszkodzie stoi honor rycerza bez skazy, który zabrania kłamać. Oszczędź mi takich frazesów, chyba że chcesz, bym naprawdę stał się diabłem. No, ruszaj się! Poćwiczmy jeszcze”.

Gaston wstał z przeciągłym westchnieniem i machnął mieczem, aż świsnęło.

- No - mruknął. - Jestem gotów.

„Tylko znów nie zapomnij, co ci mówiłem. Z nadgarstka bije się szybko, z ramienia mocno. A zatem...”

Ze wszystkich rzeczy na świecie rycerz Joscelin de Roy-es najbardziej nienawidził reguły templariuszy. Skrupulatnie wykorzystywał więc każdą sytuację, by ją złamać bądź zignorować, a że od czasu klęski pod Hittinem, kiedy to padł de Ridefort, jego pozycja w zakonie wzrosła, i to mocno, okazji ku temu nagle znalazło się bez liku. Zwłaszcza w zaciszu namiotu, którego przepych sam w sobie stanowił pogwałcenie reguły.

Joscelin upił jeszcze łyk wspaniałej wonnej małmazji i wyciągnął dłoń, by odstawić puchar na hebanowy stolik. Pierścienie na jego palcach zabłyśły, gdy sięgnął po daktylę, a potem drugi raz, gdy wrzucił sobie ich garść do ust. Żując powoli, wyciągnął się na łożu, przymknął oczy.

- Powinienem się wykąpać - mruknął do siebie. - Tak, kąpiel z wonnymi olejkami, potem masaż. Problem w tym, że nie chce mi się nawet gęby rozewrzeć i na służebnego krzyknąć...

Ciężka małmazja rozpędzała myśli, kleiła powieki, przydawała wagi członkom. Gotowy był zanurzyć się w ciemność i spać, spać, spać aż do południa.

- Nie, ja muszę wstać... - burknął nagle i usiadł na krawędzi łóżka wciąż z zamkniętymi oczyma. - Cuchnę jak wieprz, muszę zażyć kąpieli...

Czyjaś dłoń, wąska i ciepła, wsunęła mu się nagle pod muślinową koszulę, otarła o pierś, musnęła sutek. Joscelin uśmiechnął się krzywo i lekko przechylił głowę do tyłu, opierając ją na ciele nieznanego. Palce prześlizgiwały się pod jego żebrach, druga dłoń dotknęła ramienia.

- Kim jesteś? - spytał sennie, nadal z uśmiechem. Tylko niezwykle baczny obserwator zwróciłby uwagę na błyskawiczne, ledwie dostrzegalne spojrzenie, którym omiótł sztylet leżący na stoliku tuż obok misy z owocami. - I co robisz w moim narniocie?

- Zastanów się... Naprawdę nie wiesz, kim jestem? - spytał męski głos, aksamitny, powabny do granic niemożliwości. - Czy znasz kogokolwiek, kto zdołałby się prześlizgnąć przez kordon twych strażników? Bardzo zresztą urodziwych.

- Sam ich dobierałem, panie.

Nieznajomy zaśmiał się cichutko. Przesuwał dłonie po barkach Joscelina, każde muśnięcie uwalniało lawinę dreszczy.

- Jesteś mi posłuszny, prawda? - szepnął tuż nad jego uchem.

Szef wywiadu zakonu znów odchylił głowę do tyłu, ale tym razem nie napotkał na opór.

Tajemniczy mężczyzna zabrał ręce z karku Joscelina.

- Jesteś mi posłuszny? - W jego głosie pojawiła się stanowczość.

- Jestem, panie - ochryple przytaknął rycerz. Drżał, marzył teraz tylko o tym, by dwie ciepłe dłonie jak najszybciej powróciły do masowania jego ciała.

- Przecież wiem! - zaśmiał się nieznajomy znów tuż nad uchem Joscelina. - Dlatego wykonasz dla mnie pewne zadanie. Nietrudne, lecz pilne. Nawet bardzo pilne.

Pojawił się znikąd. Nie było go, a gdy Gaston wypełnił kolejne polecenie i odwrócił się, by machnąć mieczem za siebie, nagle tam stał. Poważny, wyprostowany w siodle, wpatrzony w

ćwiczącego, zdyszanego młodzieńca. Blask gwiazd migotał wśród jego kruczoczarnych włosów.

- A zatem wreszcie wzięłeś się za siebie - powiedział z lekkim uśmiechem.

Gaston wbił czubek miecza w piasek i spojrzał na niego obojętnie.

- Czego chcesz, Yittorio? - zapytał w końcu.

- Po pierwsze, to wiedzieć, jak przeszedłeś przez warty dookoła obozu. - Italczyk zsunął się z siodła i przywiązał konia do pnia wyschłej akacji.

- To nietrudne w obozowisku armii, w której żaden z dowódców nie ma ochoty dzielić obowiązków z innym, a dwóch najważniejszych z trudem znosi swą obecność - Gaston powtórzył słowa wypowiedziane przez Głós w odpowiedzi na jego własne pytanie sprzed kilku godzin. - Zresztą sam też się przedostałeś. I to konno.

- W istocie - zaśmiał się Vittorio. - Między wartami luki takie, że Salah ad-Din bez trudu świsnąłby nam wieżę obłężniczą. Gdybyśmy już takową zdążyli zbudować.

- A po drugie?

- Po drugie, to chciałem z tobą pogadać. - Italczyk usiadł na kamieniu i odwrócił wzrok. Patrzył teraz w stronę niezdobitych murów Akki, ciemniejszych niż noc, mieniących się rzędami ogników na murach. - Słuchaj, głupio wyszło wtedy, przed Schodami i w karawanseraju.

- Mów dalej. Nie krępuj się.

- Po prostu zirytowało mnie to, że ledwie w parę dni udaje ci się to, czego ja nie zdołałem osiągnąć przez całe miesiące. Poczulem... Poczulem zazdrość. Vivienne de Grenier może sobie mieć reputację taką, jaką ma, ale jest syryjską hrabianką i służba dla niej to spory awans. Mam nadzieję, że nie wzięłeś mnie za głupca.

- Nie. Za głupca nie.

- Widzisz, jakoś nie mogłem pogodzić się z tym, że ot tak sobie przybywasz do Tyru, a już templariusze zapraszają cię na wieczerzę, Balian z Ibelinu gada z tobą jak z równym, de Grenier proponuje ci służbę - ciągnął gorzko Vittorio. - Rycerz bez skazy, który ratuje, khm... dziewice z opresji i chce odnaleźć zaginionego brata, który jest ostatnim prawdziwym bohaterem Outremer. To wszystko jest tak naiwne, że aż irytujące, tym bardziej że odnosi skutek.

Gaston już chciał odpowiedzieć skromnym uśmiechem, najlepszym ze swej kolekcji, ale wtem zeszytniał. Ścisnął mocniej miecz i powoli, bardzo powoli zwrócił się w stronę Italczyka.

- Jak to ująłeś? - zapytał cicho. - Co jest takie irytujące dla ciebie? '

- No to, że ja ze wszystkich sił staram się coś osiągnąć, a ty wpadasz tu jak bohater z pieśni trubadurów...

- Nie o to mi chodzi. Co powiedziałaś o moim bracie?

- Nic ponad to, że chcesz go odszukać - zmarszczył brwi Vittorio. - Żle się wyraziłem?

- Nie. Aż nader precyzyjnie. Bo widzisz, Vittorio, ja ci nigdy nie mówiłem, że chcę go odnaleźć. Nie mówiłem tego nikomu oprócz...

Obrazy przemykały przez jego umysł w zawrotnym tempie. Wieczera u wielkiego mistrza, pikantne potrawy, bluźniercze słowa. Loch z wielkim krzyżem na ścianie, milczące spojrzenia pokutników. Niechętne miny turkopolów, wreszcie niespodziewana odsiecz na grobli.

I tryumf Italczyka.

- Zaczynam chyba rozumieć - wyszeptał Gaston. Szeroko otwartymi oczyma patrzył na towarzysza, czubek miecza kołysał się na wysokości jego piersi. - Ten cały ratunek, udawane pojednanie. Słyszysz templariuszom, tak? Obraziłeś się o to, że pani de Grenier przyjęła mnie na służbę, ale kazali ci się pokajać i wrócić?

- Gastonie, uspokój się... - Vittorio rozłożył ręce. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, ale zdradzało go spojrzenie, błyszczące, niespokojne.

- Dlaczego? - Pikardyjczyk zmarszczył brwi. Ostrze miecza dotykało już kolczugi kryjącej tors Italczyka. -Po co mnie szpiegujesz?
- Gaston, weź ten miecz. Zabierz, to pogadamy.
- Tak też możemy gadać.
- Dobrze, skoro tak chcesz. - Vittorio opuścił ramiona jakby w geście rezygnacji i spojrzał w bok.

Ale znów zdradziły go oczy.

Błyskawicznie wyrwał broń, ciął zamasyście, aż zawyło powietrze, ale Gaston zdążył odskoczyć. Stał teraz dwa kroki dalej, wciąż mierząc ostrzem w kierunku Italczyka, spięty i gotowy. Nocny wiatr troskliwie odsuwał włosy z jego twarzy.

„Lekceważy cię - szepnął Diabeł. - Wykorzystaj to”.

„Wiem”. •

- Dobra, Gaston! - Vittorio podrzucił miecz i oparł klingę o bark. - Nie chcę z tobą walczyć, nie będę. Przeczuwałem, że możesz kiedyś pokazać pazurki, i pouczono mnie, co w tej sytuacji należy zrobić. Spróbuję wpierw po dobroci. Gdzie jest twój brat?

Młodzieniec pokręcił głową.

- Nie wiem - warknął. - I w dupie to mam.
- Szkoda, że nie wiesz. - Italczyk uśmiechnął się cynicznie. - Szkoda, że masz to w dupie. A zatem pora na...

Nie dokończył, nie zdążył. Gaston runął na niego jak szalenciec. Ciął z nadgarstka szybko, jak należy. Zaskoczony Vittorio sparował, odskoczył. Rozbawienie na jego twarzy znikło natychmiast. Cofał się przed naporem młodego Pikardyjczyka, osłaniał się przed nawałą szybkich, niezwykle wprost szybkich uderzeń, a de Baideaux nacierał rozjuszony, straszny. Gwiazdy migotały z przestraszonym nad ich głowami. Gdzieś chichotały hieny.

„Nacieraj! - wrzeszczał Diabeł. - Nie daj mu przejąć inicjatywy! Szybciej, szybciej! Z lewej, z lewej uderz! Bij w ciało, w ciało, nie w miecz!”.

Italczyk, już poważny i skupiony, sparował uderzenie w udo, a potem kolejne w prawy bark. Wtedy pod jego stopami zachrząściły kamienie.

„Z ramienia!”.

Vittorio sparował z największym trudem i nagle stracił równowagę. Padł na plecy, miecz odtoczył się na bok. Gaston zastygł z wzniesionym oburącz ostrzem.

„No i co teraz? - zapytał Diabeł, już spokojny. - Nie dobijesz?”

- Dość tego! - wykrztusił Italczyk. Szybko łapał powietrze, z jego ust buchały drobne chmurki pary. Hieny śmiały się jak opętane.
- Otóż to, dość tego - odezwał się równie zdyszany młodzieniec. - Teraz odpowiesz mi na kilka pytań. Po pierwsze, chcę wiedzieć...
- Poczekaj, poczekaj... - Vittorio uniósł się na łokciu.
- Nawet o tym nie myśl!
- Na Boga, Gaston, przestań już mi grozić. Wzniesione ostrze opada dość długo, zdążyłbym się odtoczyć i chwycić za własną broń! Dość tego, posłuchaj lepiej!

Teraz również de Baideaux dosłyszał, że nocny wiatr niesie nowe odgłosy: szmer jakby wielu biegnących łap, zagłuszany chrapliwymi, coraz głośniejszymi oddechami. Odwrócił się, całkiem zapominając o Italczyku, który również się poderwał. Koń bił kopytami w ziemię i parskał, łyskając z lękiem oczyma.

- Co u licha... - zaczął młodzieniec, lecz przerwał mu krzyk Vittoria:
- Na świętego Jerzego! Patrz!

Uschła akacja zadygotała szarpnięta przez przerażonego konia. Gaston odwrócił się w tym kierunku, a wtedy mrok zajaśniał szeregiem żółtych ślepi, rosnących, przybliżających się. Wyschnięty piasek chrobotał pod pazurami, chrapliwe oddechy były coraz głośniejsze.

- Co to, u...

„Biegnij. Biegnij!”

Koń szarpnął raz jeszcze, zatańczył, uskakując przed niskim, przygarbionym cieniem. Gaston postąpił krok, lecz zatrzymał się oniemiały, zapatrzony w szeroko rozstawione żółte ślepia i rozwartą, ociekającą śliną pysk. Stał przerażony, dopóki nie usłyszał w swej głowie ogłuszającego wrzasku:

„Biegnij!!!”

Czar przysł. Gaston podniósł miecz i ciął krótko, skośnie. Impet uderzenia odrzucił stworzenie daleko, prosto pod kopyta roztańczonego wierzchowca, lecz z mroku wychynęły już kolejne. Jedno z nich przystanąło, by obwąchać ciało ranionego pobratymca, ale inne przesadzały je susami, gnały ku obu Frankom warczące, niepowstrzymane. Któreś zachichotało głośno, odpowiedziały mu pozostałe. Koń rżał i bił kopytami w wyschlą ziemię.

- Hieny! - wrzasnął Vittorio. - Pieprzone hieny!

Gwiazdy błysnęły na opadającej klindze, któryś

z padlinożerców odtoczył się na bok i zastygł z rozrąbanym pyskiem. Z ochryplym rykiem italski rycerz skoczył między śmigające cienie, by ciąć, rąbać i kopać.

- Gaston! - wrzasnął, usiłując przekrzyknąć skowyt i chichoty. - Gaston, bywaj tu!

Pikardyjczyk nie słyszał. Któraś z hien dopadła z boku, kłapnęły szczęki. Zdążył cofnąć nogę, ale zęby zwierzęcia pochwyliły materiał nogawic, szarpnęły z nieoczekiwaną siłą. Zatoczył się, machnął mieczem, wrywając krwawą szramę na grzbiecie napastnika, ten jednak nie puszczał.

„Za tobą”

Ciął, trafił. Hiena z przerażanym pyskiem targnęła się w tył, zbijając z łap inną.

„Teraz z boku”

Chlasnął, tym razem z ramienia, znów trafił. Zbroczona krwią klinga posłała rozszalałe zwierzę daleko w ciemność.

„Znów z tyłu, ta druga...”

Zwierzę trzymające nogawicę szarpnęło mocniej, kły uchwyciły łydkę. Gaston krzyknął przeraźliwie, ciął, poprawił, niemalże odrąbując łapę, ale hiena nie puszczała.

„Z tyłu!”

Nie zdążył. Rozpędzona, nabita mięśniami bestia uderzyła go w goleń. Zatoczył się, ciął nieporadnie, na oślep, i upadł na ziemię, przygniatając zwierzę gryzące go w łydkę. Puściło, ale niewiele to pomogło. Młodzieniec próbował się poderwać, lecz wtedy zalał go duszący fetor futra. Kolejny drapieżnik skoczył mu na plecy, przebijając pazurami skórę.

I zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Gaston uniósł głowę w porę, by ujrzeć, jak Vitto-rio przydusza szamoczącą się hienę butem i wrywa miecz z jej gardzieli, siejąc naokoło deszczem czarnych kropel.

- W koń! - wrzasnął. - W koń!

„Zaufaj mu”

- Wiem.

Skoczył na równe nogi, pochwylił za miecz i skoczył w ślad za Italczykiem w gąszcz miotających się, doska-kujących padlinożerców. Cięli, kłuli, szaleli, skapanie we krwi miecze unosiły się i opadały, wyrąbując im drogę. Od konia dzieliło ich jeszcze dziesięć kroków, jeszcze osiem, pięć...

Wtedy jedna z hien, ogromna, szarobura, z ciemnymi pręgami po bokach, doskoczyła wierzchowcowi do gardła. Turkopolski koń chciał poderwać się na tylne nogi, lecz zatrzymały go wodze przywiązane do gałęzi akacji. Opadł ciężko, a wtedy zwierzę przyskoczyło do jego pę-cin. Inne dopadło zadu.

Powietrze przecięła wirująca stal. Ogromny pręgowa-ny drapieżnik zwinął się, z jego grzbietu sterczała rękojeść noża. Vittorio, już przierzuciwszy miecz z powrotem do prawej dłoni,

szarżował z wściekłym rykiem ku drugiej bestii. Ta odskoczyła przerażona. W dwa uderzenia serca później Italczyk siedział w siodle.

- Gaston! - wrzasnął, wyciągając ku niemu dłoń. -Gaston!

- Nie udźwignie nas obu!

- Udźwignie! Za tymi skałami obozuje kilku moich! Dawaj tu!

Obciążony podwójnym ciężarem rumak stęknął przeraźliwie, ale strach dodał mu sił.

Otoczony doska-kującymi co rusz hienami, pognął ciężko przez mrok w stronę nieodległego obozu Franków.

Zgodnie z oczekiwaniami Gastona koń zaczął potykać się już po pokonaniu kilkuset kroków, a hieny nie ustąpiły, nadal osaczały wierzchowca szerokim łukiem. Zgodnie z oczekiwaniami Vittoria zwołniały na widok ogni, lecz zawróciły dopiero, gdy nadbiegli ludzie. Długo nikt, ale to absolutnie nikt nie chciał uwierzyć, że zostali zaatakowani przez padlinożerców. Vittorio musiał wspiąć się na wyżyny swej elokwencji, by grupa genueńskich najemników wreszcie przestała zasypywać ich pytaniami.

Szli w milczeniu, powoli. Italczyk trzymał za wodze sapiącego ciężko konia.

- O czym oni tyle gadali? - zapytał Gaston, który z potoku słów Genueńczyków wychwycił jedynie kilka przekleństw poznanych na statku.

- O tym, co każdy przygłup wie - mruknął Vitto-rio. - Że hieny niezmiernie rzadko atakują ludzi, zwłaszcza że trupy walają się teraz wszędzie i z pożywieniem trudności nie ma.

- To nie były zwykłe hieny. Zauważyłeś, że rzuciły się na twego konia dopiero wtedy, gdy sam ruszyłeś w jego kierunku?

- Zauważyłem. I zgadzam się, to nie były zwykłe hieny.

Szli krok za krokiem, bez przerwy oglądając się za siebie. Koń rżał cicho, co rusz opuszczał łeb, by obwą-chać zranioną pęcinę. Przed nimi rozciągał się ciemny kontur wzgórza Turon, na zboczach którego frankijskie obozowisko rozbłyskiwało niespokojnymi światłami ognisk i pochodni wartowników.

- Wczoraj w nocy zaatakował mnie jakiś Beduin -przerwał ciszę de Baideaux.

- Ludzie mówią, że to był asasyn - chrapliwie szepnął Vittorio.

- Ludzie mówią różne rzeczy. Dla mnie był to po prostu Beduin, który nagle rzucił się na mnie ze sztyletem.

- Może to był asasyn - pokiwał głową zamyślony głęboko Italczyk. - Jeśli tak, to chyba wpadłeś w grzańskie bagno, Gastonie. Najpierw wysłannik Starca z Gór, a teraz sfera hień.

- A jeszcze wcześniej ty, szpieg templariuszy! Vitto-rio, my jeszcze nie skończyliśmy. Obiecałem ci w Tyrze, że dojdę do tego, co tobą powoduje.

- Wiem. - Vittorio zatrzymał się i odwrócił w stronę konia. Przez długi moment cesał palcami jego grzywę i poklepywał rumaka po karku, dmuchając mu delikatnie do ucha. - Nie zrobiłem tego dla przyjemności, Gastonie. Ani dla pieniędzy, choć obiecano mi spory trzos denarów, przyznaję. Zrobiłem to, bo... Bo nie miałem wyboru.

Mówił cicho, poważny, wpatrzony w nicosć.

- Przybyłem do Trypolisu jakiś czas temu jeszcze za życia hrabiego Rajmunda, na parę miesięcy przed masakrą pod źródłami Cresson. Podobnie jak ty chciałem zyskać rycerską sławę i przysłużyć się Ziemi Świętej, podobnie jak ty marzyłem o tym, by przypodobać się Bogu. Różniło nas chyba tylko to, że chciałem przy okazji nabić sobie kabzę. Ale nie wychodziło. Dzielnica genueńska w Trypolisie nie potrzebowała więcej najemników, zresztą w straży miejskiej nie ma miejsca dla szukających sławy. Zakony rycerskie mnie nie wabiły, t&k więc przystałem do orszaku Floriana de Vantreux, możnego pana z Szampanii, który o złocie mówił równie chętnie jak o Bogu, może nawet zbyt chętnie. W każdym razie wybrzydzać nie miałem zamiaru, a kiedy przydzielił mnie do eskorty karawany idącej do Jerozolimy, nie posiadałem się z radości.

- Widziałeś Jerozolimę? - zapytał chciwie Gaston, jego oczy rozbłysły.

- Tak, widziałem - machnął ręką Vittorio. - Jeśli masz nadzieję, że to może tam właśnie aniołowie chadzać po ziemi wśród śmiertelników, to muszę cię rozczarować. Co więcej, na próżno też szukać tych, których świętość mogłaby owe anioły przywabić. Bo patriarcha Herakliusz na pewno do nich nie należy.

Milczał przez chwilę, po czym podjął opowieść:

- Mieliliśmy eskortować wozy jakichś syryjskich kupców pełne tkanin z Damaszku i Aleppo, tak przynajmniej nam powiedziano. I gdybym nie przekupił parobków rycerza de Vantreux i nie zaciągnął do jednego z nich pewnej milutkiej, cycatej Ormianeczki, pewnie nigdy nie poznałbym prawdy. Pod tkaninami znajdowały się kufry, Gastonie. Kufry pełne złota, brylantów, naczyń liturgicznych. Dobra Kościoła Jerozolimskiego-

- Ukradzione przez rycerza Floriana?

- Nie. Ukradzione przez samego patriarchę, Florian jedynie pośredniczył. Nie wiem, skąd się to bogactwo tak naprawdę wzięło, ani co Herakliusz zamierzał z nim uczynić, ale na pewno wywoził je po kryjomu z Jerozolimy. Na wozach, których miałem strzec. I wtedy, Gastonie, po raz ostatni postanowiłem się zachować zgodnie z sumieniem chrześcijanina i honorem rycerza. Opowiedziałem o wszystkim templariuszom.

- Dlaczego templariuszom?

- Ich komandoria była najbliżej, a Florian sposobił się do wyjazdu bladym świtem. Poza tym... - Italczyk poskrobał się po brodzie. - Poza tym każdy przybysz do Ziemi Świętej patrzy na nich z podziwem i szacunkiem. Każdy upatruje w nich strażników pokoju i sprawiedliwości. Przynajmniej przez pierwszych kilka miesięcy.

- Wiem Co było dalej?

- Jakiś kwadrans później znalazłem się w najpodlejszym lochu Jerozolimy, gdzie słońca pamiętała czasy Heroda, a szczury miały rozmiary i charakter hydry lernejskiej. Nikt nie słuchał moich wrzasków, nikt się nie zjawił, by wysłuchać moich tłumaczeń, dopiero po dwóch dniach doczekałem się pierwszego kubka stęchłej wody i kawałka chleba. Dopiero po kilku tygodniach zjawił się jakiś rycerz, chłodny i wyniosły, o czarnych oczach, równie czarnej brodzie i głosie ostrym jak sztylet. Oznajmił mi, że moje imię zostało przekazane asasynom, którzy płacili im wówczas trybut i ponoć wypełniali dla zakonu pewne zadania. Sam wiesz jakie.

- Nie. Nie wiem. - Młodzieniec zmrużył oczy. - I co dalej?

- Dodał jeszcze, że jeśli ktokolwiek piśnie słowo na temat karawany prowadzonej przez Floriana, obojętnie czy w italskiej tawernie, bizantyjskim monasterze, czy beduińskim namiocie, ci asasyni do mnie przyjdą. Bardzo szybko. Jeśli zaś nikt niczego nie usłyszy, zjawią się po mnie wysłannicy zakonu. I zaproponują pewne zadanie celem odkupienia win. - I doczekałeś się.

- To prawda. - Vittorio odwrócił wzrok i przygryzł wargę. - Templariusze mają oczy wszędzie, nic, co się dzieje w Tyrze, nie zostaje przez nich zignorowane. Dotarło do nich, że pewien młody pielgrzym obwołuje się rodem de Baideaux podczas ulicznych bijatyk, spostrzegli, że się z nim skumałem, i niedługo trzeba było czekać na pierwsze zadanie. Po tym, jak cię uwięziono, kazano mi odnaleźć twych towarzyszy - owego chutliwego księżula i pacholka z piekła rodem - i namówić ich do przygotowania ratunku. Doskonale wiedziałem, kiedy turkopole wyprowadzą cię z lochu i którądy pojedą. Oni zaś doskonale wiedzieli, że w ramach zadania oberwą po łbach. Przykazano im również, by w tym nie przeszkadzali, co zdaje się najlepiej tłumaczyć ich niezbyt wesołe miny.

- A po co to wszystko? Bym ci zaufał? Potraktował jak przyjaciela i wyznał miejsce ukrycia poszukiwanego przez pół świata Rogera?

- Coś w tym guście.

- A zatem wybacz. Chyba zniweczyłem ci pokutę.

- Chyba wolałbym, by mnie utłukli w tym lochu, Ga-stonie! - wybuchnął Italczyk. - Od roku bez ustanku oglądam się przez ramię, nie ma nocy, bym się nie zerwał spocony i nie rozejrzał, czy nie wisi nade mną nóż mordercy! Skąd bowiem mam wiedzieć, czy któryś z ludzi Floriana przypadkiem nie dokonał tego samego odkrycia?! Skąd mam wiedzieć, czy nie wypaplał wszystkiego przy winie? Nie mam ochoty tak ginąć!
- Dlaczego więc nie uciekłeś? Dlaczego nie wyjechałeś jak najdalej stąd? Przecież asasyni nie znaleźliby cię poza Outremer!
- Szlaki lądowe są zamknięte dla chrześcijan, a na miejsce na statku trzeba pieniędzy, nawet Genuńczykowi. A poza tym...
- Poza tym sądziłeś, że jeśli dobrze wykonasz swe pokutne zadanie, templariusze gotowi są przydzielić ci kolejne, tak? Twa pokuta również mogłaby stać się inwestycją? Ledwie dostrzegalne skinienie głowy starczyło za całą odpowiedź.
- Przykro mi to mówić, Vittorio, ale nie wiem, gdzie jest mój brat, naprawdę nie wiem. I co więcej, chyba mnie to nie interesuje. Nie pomogę ci. Czuję, że muszę ci tę inwestycję zniweczyć. .
- „Niekoniecznie” - powiedział Diabeł.
- Niekoniecznie - oznajmił Vittorio i uśmiechnął się dziwnie. - A co byś powiedział, gdybyśmy spróbowali zagrać im wszystkim na nosie?

Anna Giscolvi ujęła ustnik nargili i zawahała się.

Wiatr wpadał przez szczeliny między płachtami namiotu, kołysał promykami świec. Węgiel ułożony w fajce mienił się wszelkimi odcieniami czerwieni. Strużki dymu tańczyły i niknęły. Dłoń trzymająca ustnik drżała lekko.

„To nie jest strach - pomyślała dobitnie Anna. - To tylko wzburzenie. Zwykłe ludzkie wzburzenie, naturalna reakcja na rozmowę z szaleńcem. Nawet człowiek o stalowych nerwach poczułby się niepewnie, usłyszawszy to, co ja przed momentem usłyszałam od Vivienne. To nie jest strach”.

- Nie boję się - oznajmiła cieniem w kącie namiotu. Jej głos również drżał. Usama, stojący jak zwykle w wejściu do namiotu, nie poruszył się nawet, ale jastrząb rozpostarł skrzydła i kłapnął dziobem. Był niespokojny.

- Głupie ptaszysko! - mruknęła i zdecydowanym ruchem wsunęła ustnik między wargi.

- Nic mi nie będzie. Nic się nie stało ostatnim razem, nie stanie się i teraz. Zaciśnęła oczy i pociągnęła mocno z nargili. Świat momentalnie zachybotał, promienie świec wydłużyły się, zakolysały, rozciągnięty w czasie skrzek stracił ostrość.

- He, 'ayin, sade - wychrypiała. - Przybądźcie, przybądźcie... Kaph, yodh! Przybyli. Szybciej niż zwykle, jeszcze nim brązowe oczy Italki straciły resztę swego blasku. Najpierw ciemności wokół niej zgęstniały, pochłaniając blask świec, a potem zaczęły w nim wyrastać półmaterialne kształty, które znikwały, rozrastały się, przekształcały. Wśród nich przemykały już cienie ciemniejsze od nocy, chłodniejsze od śmierci.

- Aleph, lamedh - szeptała. - Przybywajcie, wysłuchajcie mojej... Pierwszy z cieni wychynął niespodziewanie i przeszył jej umysł świdrującym, niewyobrażalnie głośnym wrzaskiem. Anna zachwiała się na zydlu, z jej nozdrzy pociekła krew.

- Kaph, beth. Beth! - krzyknęła. Zaciskała pięści tak mocno, że paznokcie przebijały skórę dłoni. - Lamedh! He, gimel! Nie sądziła, że ma w sobie tyle zaciętości, nie sądziła, że potrafi wyzwolić z siebie taką furię. Kolejne cienie krążyły nad nią, wyjąc i zawodząc, przenikając ją niezmiernym chłodem, ale żaden nie odważył się zaatakować.

- Kaph, aleph - oznajmiła świszczącym głosem. Ciemna krew zasychała jej na wardze. Opanowała już strach, wiedziała, że tę walkę jeszcze zwycięży, że jeszcze tym razem się uda.

W chwilę później pochwyciła za pióro i pisała bez końca, patrząc swymi niewidzącymi oczyma na równe rzędy liter. Moc, którą z taką niechęcią dzieliły się istoty z innych wymiarów, pozwoliła jej zostać kimś innym. Jej delikatne palce wodziły teraz piórem z szorstką bezwzględnością frankijskiego rycerza, a myśli układały proste zdania, krótkie i suche niczym uderzenia mieczem.

Intryga Vivienne de Grenier rozpoczęła się. Jastrząb krzyczał i bił skrzydłami.

Rozdział dziesiąty

w którym dobrzy rycerze uświadamiają sobie, że intrygowanie nie jest ich specjalnością, a balian z ibelinu cierpi na ból głowy, co jest całkiem zresztą uzasadnione. i BÓG jeden raczy wiedzieć, dlaczego oszczędzone' to zostało Annie Giscolvi, która też przecież ma powody Nigdy nie utrzymywałam, że wojaczka to coś ciekawego - oznajmiła Katarzyna de Fourier. - Teraz gotowa jestem głosić, że to coś nudnego. I cuchnącego.

Anna Giscolvi nie odpowiedziała, jak zwykle. Jej ciemne, nieprzeniknione spojrzenie prześlizgiwało się po herbach przechodzących, obojętne zarówno wobec tych, którzy rozpoznawali ją i wykonywali uniżony dworski ukłon, jak i przybyszów, którzy mijali ją obojętnie. W skrytości ducha przyznawała jednak, że wolała tych drugich. Ukłon w sięgającym kostek grząskim błocie, na tle ścian namiotów i smug dymów z ognisk wyglądał doprawdy żałośnie.

Z kolei w Katarzynie rosła coraz większa złość, że nikt z przechodzących nie poważił się na długie, skrzące spojrzenie połączone z lekkim przekrzywieniem głowy, którym od wieków obdarzano wysoko urodzone kobiety w obozach wojskowych. Główną przyczyną był oczywiście Usama, barczysty mameluk o nieruchomych, gadzich oczach, który stał tuż za fotelem Anny Giscolvi. Choć każdy z krzyżowców gotów był rzucać groźby pod adresem muzułmańskich wojowników, a zdecydowana większość nawet je realizować, przy Usamie miękli wszyscy, nawet zazwyczaj butni rycerze zakonni. Ich ewentualne dylematy rozwiewał widok srebrnego krzyża wiszącego na szyi Araba, na ogół noszonego jako pamiątka chrztu. Co prawda w jego przypadku o żadnym chrzcie nie było nawet mowy, jednak zarówno Anna, jak i Usama nie przejmowali się tym ani trochę.

Jastrząb zatrzepotał skrzydłami i usiadł wygodniej na drążku.

- Czy wiesz może, dlaczego nasza ukochana przyjaciółka Vivienne postanowiła rozbić namioty akurat między templariuszami a Andrzejem z Brienne? - zapytała kwaśno Katarzyna. - Prosiłam, by miała na względzie moje zainteresowanie pewnym rycerzem z dworu landgrafa, a...

- Vivienne ma inne rzeczy na względzie - ucięła Anna. - A są to sprawy, dla których gotowa jest o wszystkim zapomnieć, nie tylko o mnie czy o tobie. Również o zdrowym rozsądku.

Przez chwilę milczały obie. Przechodzący parobkowie przekrzykiwali się i śmiali głośno, prowadzone przez nich rumaki bojowe z godnością stapały po błocie. Gromada cieśli usiłujących nieopodal sklecić rozpadający się trebusz, podjęła znów pracę.

- Święci pańscy! - jęknęła Katarzyna. - Znowu te młotki. Ogłuchnę tutaj... Już wolałam, jak przeklinali.

Uff, co za smród! Wiesz już, co za nowe szaleństwo w nią wstąpiło?

Ciężki i mroczny wzrok Anny przesunął się na równe rzędy namiotów templariuszy, którzy właśnie szli na nieszpory.

- Nie wiem - odrzekła.

Wiedziała, doskonale wiedziała. I wciąż nie mogła się z tym pogodzić.

- Nie wiesz - powtórzyła Katarzyna, wydymając śliczne, pokryte karminem usteczka. - A nie możesz użyć swych czarodziejskich mocy i się dowiedzieć?

- Nie jestem czarownicą.

- Oczywiście - uśmiechnęła się Katarzyna. - Tylko dworuję sobie z ciebie, Anno. Doskonale zdaję sobie sprawę, że pod swą wyniosłą pozą nie skrywasz niczego tajemniczego. Rzekłabym nawet, że nie chowasz tam absolutnie niczego. Mam ochotę na jeszcze jeden kielich wina. Hej, wielki wezyrze! Wezyrze, słyszycie mnie? Mameluk nawet nie drgnął. Jastrząb zatrzepotał skrzydłami i przemieścił się na drażku. Templariusze śpiewali psalm z drapieżną dumą. Kolejna grupa pacholków prowadzących konie do wodopoju zaczęła się rozsypywać, co rusz któryś przystawał i patrzył jak urzeczony na rycerzy z czerwonymi krzyżami na białych tunikach.

- Usamo, chciałabym napić się wina - powiedziała Anna Giscolvi. - Pani de Fourier też nalej, co tam. Może wspaniały owoc trypolitańskich winnic przejaśni jej w głowie na tyle, że sama wyciągnie wnioski na temat naszej przyjaciółki? Bez uciekania się do czarów, które przecież są grzechem.

Przymrużone oczy Vivienne przypominały teraz klingi mieczy i tak jak one sprawiały ból. Ogromny ból.

- Tak brzmiały jego słowa - wykrztusił Gaston i opuścił wzrok na wzory perskiego kobierca, który wyścielał podłogę namiotu pani de Grenier. - Co prawda wypił wcześniej sporo wina, ale tak się wyraził. Przysięgam, pani.

Hrabianka westchnęła i usadowiła się wygodniej na fotelu. Wybrała soczysty granat z leżącej obok misy, rozcięła i ugryzła.

- A zatem Hugo de Lovance nie odczuwa szczególnej sympatii do swego pana? - zapytała, przełknąwszy.

- Nie, pani. Nazwał króla strachliwym desperatem o wybujałych ambicjach - powiedział de Baideaux. Vit-torio przekazał mu wiele stosownych określeń Gwidona de Lusignan, ale przenikliwy wzrok Vivienne wymiatał młodzieńcowi z głowy wszelkie rozsądne myśli wraz ze szczegółami planu, który opracowywali przez pół nocy.

- Ciekawe.

- Słucham, pani? - Gaston uniósł spojrzenie.

- Ciekawe, co tak naprawdę stało się z tym waszym kodeksem rycerskim. Ludzie młodzi, jak Hugo de Lovance, powinni świecić przykładem cnót rycerza i chrześcijanina, a tymczasem lekce sobie ważą nawet przysięgi lenne.

- Może się pomyłę, pani - rzekł wbrew sobie, wbrew postanowieniom, które podjęli wspólnie z Italczykiem - ale czy przypadkiem nie o to wam chodzi? O to, by w pewnym momencie opuścił swe stronnictwo i poparł wasze?

- Panie de Baideaux, waszym zadaniem jest dostarczanie informacji. - Głos hrabianki tchnął lodem. - Wy nie uczestniczcie w wydarzeniach, na które się zanosi. Wy dostarczacie informacji.

Młodzieniec z pokorą pochylił głowę ku perskim wzorom. Miał szczerą nadzieję, że opadające nisko loki zasłonią przestroch na jego twarzy.

„Boże, po co ja to wygaduję?! - ofuknął się w myślach z furją. - Boże, przecież mnie to nie może interesować. Przecież ja...”

„No właśnie - odezwał się Diabeł. - Ty. O co ci właściwie chodzi, co?”

„Zamknij się!”

Vivienne raz jeszcze ugryzła granat i odłożyła go na misę obok innych owoców. Przez chwilę oblizywała palce, a potem spojrzała na Gastona. Poczuł to wyraźnie.

- Wybaczcie mi ostre słowa - odezwała się łagodniej. - Polityka to trudne, wyczerpujące i bardzo niewdzięczne zajęcie, które stopniowo pozbawia ten świat wszystkiego co piękne i okrada nas z większości uczuć i wartości. Niestety, to zadanie jest również potrzebne. Przykro mi. Nawet bardzo.

Odetchnął głęboko, wciąż nie mając odwagi na nią spojrzeć. Unoszący się w namiocie aromat, ta przedziwna mieszanina kadzideł i kobiecych pachnideł, upajała do granic,

sprawiała, że znów, pomimo gorzkich zawodów i rozczarowań, zapomniał o szerokim, brudnym świecie poza tym namiotem. I o tym, że istotą tego świata wcale nie jest piękny, melodyjny głos Vivienne de Grenier.

- Dziękuję wam, rycerzu, za to, co dla mnie robicie. Takie czasy nastały, że nie tylko mieczem się walczy o Ziemię Świętą, ale również słowem, intrygą i podstępem, które choć nie licują z honorem rycerskim, to jednak odnoszą swój skutek. Pomagając mi, panie de Baide-aux, oddajecie również przysługę Jerozolimie. A teraz już odejdźcie, zanim ktoś poweźmie podejrzenia. Trzymajcie się rycerza de Lovance, utwierdzajcie go w niechęci do króla Gwidona, a w pewnym momencie otrzymacie ode mnie prawdziwe zadanie.

- Zadanie? - Gaston uniósł wzrok, przytomniejąc w jednej chwili.

- Cierpliwości. Bywajcie, dobry rycerzu.

Katarzyna de Fourier zapominała o urazach równie łatwo jak o poprzednich kochankach. Wychyliwszy puchar wina, poweselała i zaczęła przytaczać plotki na temat krzyżowców przybyłych z Europy, w szczególności rycerzy landgrafa Turyngii. Anna Giscolvi kiwała lekko głową, jakby przytakując, ale myślami była gdzieś indziej.

A konkretnie w namiocie Vivienne de Grenier, gdzie przed momentem zniknął Gaston de Baideaux.

- Szalona - szepnęła.

- Zgadza się - stwierdziła z powagą Katarzyna. - Choć z drugiej strony dziadyga szybko wyciągnie kopyta, a młoda wdówka spokrewniona z najlepszymi dworami Lombardii na pewno znajdzie wielu adoratorów. Zresztą cesarz Fryderyk...

- Nie mówiłam o... - Anna naraz zorientowała się, że nie ma pojęcia, o kim opowiada jej towarzyszka, więc westchnęła lekko i na powrót pograżyła się w przemyśleniach równie ponurych jak szare, nieprzeniknione niebo. Jastrząb układał zakrzywionym dziobem pióra, cieśle walili młotami i klęli na czym świat stoi, konie rżały, gdzieś brząkały miecze trenujących rycerzy. Katarzyna opowiadała, gestykulowała i śmiała się sama do siebie. I nagle przestała.

Anna zamrugała oczyma i spojrzała z niedowierzaniem na towarzyszkę, która wpatrywała się w przechodzącego nieopodal mężczyznę. Był to człowiek wysoki i barczysty, o czarnych włosach związanych z tyłu wstążką, zważywszy na cerę, z pewnością Italczyk. Nie miał na sobie kolczugi, a jedynie jasne giezło, za broń starczał mu szeroki puginał, ale był niewątpliwie pasowanym, co podkreślał zarówno pas, jak i dumny, zuchowaty chód.

Nie to jednak przykuło uwagę dworki.

Italczyk zrobił bowiem to, na co nie odważył się wcześniej nikt inny. Przekrzywił lekko głowę i obrzucił Katarzynę de Fourier długim, skrzyącym spojrzeniem, jakim od wieków obdarzano wysoko urodzone kobiety w obozach wojskowych. Ta w odpowiedzi odwróciła głowę i zasłoniła twarz wachlarzem, lecz uczyniła to na tyle powoli, by dostrzegł jej wypracowany, czarujący uśmiech.

Anna natomiast podziękowała w duchu Bogu za to, że nie zdjęła woalki, choć słońce wcale nie prażyło.

- Ho, ho - mruknęła, gdy rycerz już przeszedł. - Istny Ywain, wymarzony Lancelot. Widziałas go wcześniej, Anno?

- Tak - szybko odparła dworka. - Niepotrzebnie robisz sobie nadzieje. On, cóż... Woli mężczyzn.

- Naprawdę? - Katarzyna de Fourier wyglądała na rozczarowaną. - Szlag by to trafił! No, ale należało się tego spodziewać. Któż inny ośmieliłby się obrzucić szlachetnie urodzoną kobietę takim spojrzeniem?

Anna przełknęła bezgłośnie ślinę i odetchnęła głęboko.

Vittorio Scozzi spodziewał się, że templariusze rychło nawiążą z nim kontakt. Spodziewał się również, że w miejscu tak ludnym i zatłoczonym jak obóz wojskowy uczynią to w najmniej

oczekiwanym momencie. Nigdy jednak nie przypuszczał, że nastąpi to akurat w chwili, gdy postanowi ulżyć swemu pęcherzowi za namiotami pizańskich kuszników.

Nie słyszał zbliżającego się człowieka. Dopiero widok drugiej strugi moczu uświadomił Vittoriowi, że nie jest sam.

- Jak mnie oblejesz, łeb urwę - zagroził nieznajomy, sądząc po lichym ubiorze, jeden z setek ciurów obozowych. Zdradzały go jednak oczy, nieruchome i zimne. -Mów.

- Khm... - Italczyk w pośpiechu podciągnął spodnie. - Ale... Ale co...

- Mów o de Baideaux. Albo zdradzę tym Pizańczykom, że Genuńczyk obsikał namiot.

Co prawda było słychać, że najemnicy, którym uczynił ten despekt, toczyli właśnie wściekłą kłótnię z grupką niemieckich serwiensów przy kuchni, ale Vittorio i tak nie złości Pizańczyków obawiał się najbardziej.

- No... - udał wahanie. - Wciąż nic pewnego. Ciągłe chce, bym mu opowiadał o templariuszach. O bitwie pod Hittinem mówiłem mu już kilkakrotnie. Ale... O, to ciekawe! Właśnie sobie przypominałem, że wczoraj wypytywał mnie o La Chatelle. I o dolinę Orontesu.

- To w hrabstwie Trypolisu - mruknął nieznajomy i też podciągnął spodnie. - Ciekawe... Słuchaj no, Scozzi, czy jak cię tam zwa... Naprawdę jesteś z tych Scozzich?

- Naprawdę. >

- Jasne. Cóż, masz mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Naprawdę szeroko. Coś mi mówi, że moi przełożeni wkrótce, może nawet przed końcem tygodnia, całkiem stracą cierpliwość, a wtedy wezmą młodego de Baideaux na spytki. Wiesz, co to oznacza?

Przy kuchni przekleństwa we włoskiej i niemieckiej mowie nabierały wyrazistości, szczerką oręż, coś gruchnęło. Vittorio odetchnął ciężko.

- Że nie podołałem zadaniu? - zapytał. - I że w związku z tym nadal jestem na smyczy zakonu?

W odpowiedzi ujrzał jedynie plecy nieznajomego.

Powiał silniejszy wiatr od strony łądu, unosząc zasłonę pyłu na równinie i wydymając ściany namiotów. Słupy dymów znad setek ognisk pochylały się ku niewidocznej stąd Akce.

Katarzyna de Fourier otuliła ramiona muślinowym szalem.

- Boże, co za nuda! - ziewnęła. - Dlaczego żaden z tych wielkich, dostojnych przybyszów z Europy nawet nie zwróci na nas uwagi? Dlaczego nikt nas nie zabawia rozmową?

- Bo gadasz tak głośno, że nawet z daleka można się domyślić, że nie będzie to rozmowa, a twoja gadanina. -Anna wzruszyła ramionami. - W dodatku pozbawiona większego sensu.

- Nie! - zaciętrzewiła się niespodziewanie Katarzyna. - Nikt się do nas nie zbliża, bo każdego dreszcze przechodzą na widok twej wiecznie kwaśnej miny i twego pozeracza dżinów, który...

- Nie waż się wymawiać słowa „dżin” w mojej obecności! - syknęła druga dworka. Jastrząb zatrzepotał skrzydłami. Katarzyna wyprostowała się - jej towarzyszka miała reputację kobiety złośliwej i niepokornej, ale nigdy jeszcze nie słyszała takiej wściekłości w jej głosie.

- O, popatrz! - zawołała sztucznie naturalnym głosem, próbując zmienić temat. - Ten italski pederasta dobrze się zna z nowym rycerzem bez skazy naszej drogiej Vivienne! Tam stoją, przy kuźni! Czyżby łączyło ich coś poza nienawiścią do wrogów naszego Pana? U stóp wzgórza, poniżej namiotów wysoko urodzonych, od samego rana przesuwawa się powoli rzeka ludzi, od chwili przybycia orszaków z Europy jeszcze gęstsza i głośniejsza. Meandrowała wśród pomniejszych obozowisk i tworzyła rozlewiska wokół kuźni i kramów. Łatwo było w jej nurcie utonąć, a odnalezienie kogokolwiek zakrawało na cud. To, że

Vittorio niemal od razu natknął się na Gastona, należało więc przypisać szczęściu, które do tej pory raczej go nie rozpieszczało.

- Gaston! - wykrzyknął i ruszył biegiem, roztrącając grupę podpitych niemieckich pikinierów w przeszywa-nicach i poprzekrzywianych kapalinach. Na ich wrzaski nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Młody Pikardyjczyk zatrzymał się i odwrócił. Twarz miał bladą, pochmurną i Italczyk od razu zrozumiał, że nie tylko on ma kiepskie wieści do przekazania.

- Uff, dobrze, że cię widzę - wysapał. —Musimy pogadać. Gdzieś na uboczu.

- Skontaktowali się z tobą? - zapytał krótko Gaston.

Vittorio pokiwał głową i skinieniem głowy wskazał

blotnisty placyk obramowany kilkoma zaimprovizowanymi przy wozach kramami, przy których tłoczyli się znudzeni żołnierze i najemnicy. Przeszli obok najskromniejszego, ale też najbardziej obleźonego wozu, gdzie ormiański handlarz nalewał mocnego wina prosto z beczki, minęli kilku rymarzy pracujących na rozłożonych na ziemi pledach. Wreszcie łokciami zrobili sobie drogę przez tłum wiwatujący wokół kilku okładających się zaciekle wojaków, tak utyłanych w błocie, że własne matki - o ile takowe mieli - nie poznałyby ich z pewnością. Potem Italczyk skierował się w stronę niewielkiej kuźni urządzonej pod namiotem z kiepsko wygarbowanych wielbłądzich skór. Gaston obrzucił umorusanego kowala podejrzliwym spojrzeniem, ale szybko zauważył, że jego świat ogranicza się do kawałka rozżarzonego metalu na kowadle, a hałas czyniony przez opadający młot i wrzaski widzów skutecznie uniemożliwią próby podsłuchania.

Obaj oparli się o koniowiąż. Krag gapiów zafalował, jakby któryś z uczestników bijatyki naraz się nią znudził. Albo pozostali znudzili się nim.

- Popatrz tylko - wyrzekł w końcu Italczyk. - Porządna bijatyka, wymarzona wprost okazja do paru zakładów. W tym furgonie z pewnością trzymają kilka udatnych dziwek, a wino aż się leje. Dobry Boże, w innych okolicznościach kochałbym to miejsce, przynajmniej tak długo, jak długo wodzowie nie przestaliby się zreć między sobą i nie przypomnieli sobie o znudzonym wojsku.

- Przykro mi, Vittorio, że okoliczności ci nie sprzyjają - sucho powiedział Gaston. - A zatem skontaktowali się z tobą, tak?

- Taaak - westchnął ciężko italski rycerz. - I wiem już, że to wszystko nie będzie takie proste.

Tłum wiwatował jak opętany Z miejsca, gdzie trwała bijatyka, wystrzelił w górę jakiś pogięty, ubłocony kapa-lin i spadł daleko za plecami gapiów.

- Mam wrażenie, ba, nawet pewność, że templariusze zaczynają się niecierpliwie - ciągnął Vittorio. - Nie mam jednak pojęcia, dlaczego tak uparcie chcą się dowiedzieć, gdzie szukać twojego brata. Mam czas do końca tygodnia. Albo nawet mniej.

Gaston spojrział w górę. Stalowszare chmury pędziły coraz szybciej, darte na strzepy przez porywisty wiatr. Daleko na północnym horyzoncie niebo zdawało się ciemnieć, zwiastując rychłą burzę. Kowal walił w żelazo i mrucał z zachwytu, tłum skandował czyjeś imię.

- Cholera jasna - mruknął de Baideaux.

Plan, który ułożyli w nocy i który w blasku wątego ogniska wydawał się tak spójny i przebiegły, teraz kruszył się i rozsypywał. Italczyk najwyraźniej był tego samego zdania, gdyż splunął siarczyście w błoto i stwierdził półgłosem:

- Nic tu po nas.

-Co?

- Nic tu po nas - powtórzył. - Planowaliśmy karmić naszych przeklętych opiekunów fałszywymi informacjami, licząc na to, że dopóki będą cokolwiek od nas dostawać, dopóty uznają za stosowne zostawić nas przy życiu. My zaś w międzyczasie znajdziemy jakiś sposób,

by się od nich uwolnić. Ale przeliczyliśmy się, Gastonie. Pies trącał de Grenier, ale z templariuszami nie da się pogrywać. Musimy uciekać.

- Po co? - spytał gorzko Pikardyjczyk. - I dokąd? Nagle zacząłeś wierzyć, że istnieje jakieś miejsce na ziemi, gdzie te diabły z czerwonymi krzyżami nie mają swej komandorii i swych ludzi?

- Jeśli tu zostaniemy, źle się to dla nas skończy. Nie znasz ich.

- Vittorio, ja naprawdę nie wiem, gdzie jest teraz mój cholerny brat! - wycedził Gaston.

- Nie dla niego tu przyjechałem! Ba, nie miałem bladego pojęcia o jego istnieniu, gdy zszedłem na ląd w Tyrze! Tak więc, choćby mi nawet pięty przypiekali, nie zdradzę, gdzie jest!

- I co? Myślisz, że zakonnicy uznają w końcu, że skoro nie wiesz, to trzeba cię wypuścić? I opatrzyć trzosi-kiem na drogę? O nie, oni zamkną cię na zawsze w którejś z tych swoich cel pokutnych i szybciućko zapomną o twym istnieniu.

- Jeśli ucieknę, uznają, że coś wiem. I poślą asasynów, jakichś sprawniejszych i mniej pechowych tym razem.

- Aha - pokiwał głową Italczyk. - Sprytnie to sobie wykoncypowałeś. A czy nie chodzi przypadkiem również o Vivienne de Grenier? Mam bowiem wrażenie, że ty chętniej słuchasz serca aniżeli głowy. I tak naprawdę wolałbyś tutaj zostać, nawet mimo tego, że na pewno raz czy drugi zdążyła już podkreślić dystans.

Gaston poczuł, jak policzki oblewa mu gorący rumieniec. Poderwał głowę i przełknął ślinę, gotując się do zarzucenia Italczyka wzburzonymi zaprzeczeniami, lecz nagle zamarł. Zza kramu z beltami i cięciwami do kusz wyłonił się bowiem samotny jeździec na wynędzniałej szkapie i czas, instytucja z zasady nieprzewidywalna, nagle zaczął pełznąć bardzo powoli. Kopyta ledwo człapały po błocie, jeździec trzymał co prawda mocno wodze, ale nie dbał o kierunek, pozwalał staremu koniowi iść, gdzie ten zapagnie. Siwe, znużone oczy patrzyły daleko ponad głowami nieruchomiejących gapiów, ponad Akkę i jeszcze dalej. Wiwatujący milkli jeden po drugim, jeden z walczących, wypchnięty właśnie poza krąg, zamarł wraz z resztą zapatrzony, zdumiony. A jeździec jechał.

W innej sytuacji zapewne nikt nie zwróciłby na niego szczególnej uwagi. W obozie co krok można było natrafić na samotnych rycerzy, którzy z dumą obnosili się ze swymi pasami, chcąc w ten sposób odwrócić uwagę od pogiętego hełmu, mizernej kolczugi czy postrzępionego płaszcza. Nikt nie obrzuciłby go baczniejszym spojrzeniem nawet pomimo tego, że miał konia, w Ziemi Świętej jakże drogiego w utrzymaniu. A jednak przyciągał uwagę, przyciągał ją silniej niż orszak barona z Ibelinu, gdy ten przed kilkoma dniami dotarł pod wzgórze Turon. I nikt nie wiedział dlaczego.

Może powodowały to jego oczy, zdawałoby się, patrzące dalej niż ktokolwiek z żyjących? Może uśmiech, nikły, wręcz nieobecny, ale mimo to zauważalny? Może wyzywające wprost ubóstwo? W każdym razie widok samotnego rycerza na wychudłym koniu hipnotyzował. I napawał powagą.

I budził nieokreślony wyrzut sumienia.

- To Gerard de Reinee - rozpoznał go wreszcie Ga-ston.

- Tak - potwierdził szeptem Vittorio. - Ten pokutnik. Mówią, że wizji doznaje i że z aniołami gada. Pewnie i miecz mu kwiatami porasta. Moim zdaniem...

Wykrzywił usta, jak zawsze gdy miał zamiar cisnąć jakąś cyniczną uwagę, ale tym razem się powstrzymał. Razem patrzyli na rycerza Gerarda przejeżdżającego przez płacyk, a gdy zniknął wreszcie kościsty zad jego konia zakryty podartym płaszczem i zgiełk bijatyki wybuchnął na nowo, Italczyk westchnął.

- Chodź - powiedział, siłąc się na wesołość, i klepnął Gastona w ramię. - Niebawem zacznie się ulewa. Nie widziałeś jeszcze deszczu w Ziemi Świętej, prawda?

- Prawda. Nie jest to manna, co?

- Nie. O, i to jak bardzo nie! Hej, czy to... Czy to aby nie twój wesoły klecha?

Zza krytego plandeką powozu, zdaniem Vittoria -burdelu, wyszedł Adalbert. Zacerwieniony rozejrzał się pospiesznie, po czym ruszył truchtem przed siebie, unosząc habit, by nie powalać go błotem.

Młody Pikardyjczyk machnął ręką i westchnął ciężko, bardzo ciężko.

- Nie mam siły, by jeszcze nim się przejmować -mruknął. - Niech robi, co chce, w końcu to jego sprawa. Co do naszych spraw, Vittorio, nie chcę wyjechać. Może niebawem, ale póki co nie chcę. I nie interesuje mnie, czy to rozumiesz, czy nie.

Italczyk pokiwał głową. Niedaleko, rozbryzgując błoto, przemknął jakiś orszak rycerski, łopocząc sztandarem z czerwonym krzyżem na złotym tle.

Teraz to Anna gadała jak najęta, nie zważając na zdumione spojrzenia Katarzyny de Fourier.

- Tak, tak, to baron z Ibelinu! - zawołała, wskazując orszak wspinający się w górę zbocza w kierunku namiotu, nad którym powiewał proporzec królewski. - Czyżby baroni zbierali się na naradę? Och, w Balianie cała nadzieja, doprawdy, tylko w nim!

- A czemuż to? - spytała Katarzyna, rozpięrając się wygodnie na fotelu.

- Bo to jedyny człowiek w całym Outremer, który potrafi wznieść się ponad zwykłe ludzkie słabości. - Anna zacisnęła usta. - On jedyny myśli o Ziemi Świętej, a nie o strefach wpływów, władzy i ziemi. Któż pogodzi skłóconych przywódców, jeśli nie on?

- Cesarz Fryderyk - uśmiechnęła się kpiąco Katarzyna. - Głównie z tego względu, że jest cesarzem. I z tego, co mówią, potrafi chwycić zwaśnionych za łby i mocno walnąć nimi o siebie.

- Z tego, co mówią, cesarz Fryderyk nie dotarł jeszcze nawet do Bizancjum. A Salah ad-Din jest blisko. -Wąska dłoń Anny Giscolvi wskazała ledwie widoczną linię namiotów wojsk saraceńskich najeżoną cienkimi słupami dymów. - Baron z Ibelinu walczył zaś z Salah ad-Dinem, zna go doskonale, wie, jak należy z nim postępować.

- Baron z Ibelinu poddał mu Jeruzalem! - parsknęła śmiechem Katarzyna. - Po prostu poddał. Martwił się jedynie o żoneczkę, nie miał zbytnio ochoty bronić świętego miasta przed poganami. Wcześniej zaś zbiegł spod Hittinu.

- Nie zbiegł. Przebił się ku wolności w chwili, gdy sprawa była już przegrana! - rzuciła gniewnie Anna. -Zaczynasz już wierzyć w pogłoski, które rozsiewa Vivienne?

Katarzyna fuknęła urażona i odwróciła wzrok. Anna siedziała prosto, z nieruchomą twarzą, jedynie jej długie, smukłe palce bębniły nerwowo o drewnianą poręcz fotela. Była wściekła na siebie, wściekła za to, że tak gwałtownie zareagowała na słowo „dżin”. Nie powinna była tego robić, nie powinna była zdradzać się czymkolwiek.

Przynajmniej na razie.

„Gdy kiedyś na powrót przekonam się do Boga, w pierwszej kolejności podziękuję Mu za to, że jesteś tak bezdennie głupia, Katarzyno - pomyślała. - I za to, że tak łatwo odwrócić twą uwagę od tego, co naprawdę ważne”.

Ciemne chmury gęstniały, rozlewały się wzdłuż horyzontu, otaczały obóz niczym ramiona mrocznego olbrzyma. Wiatr był coraz zuchwalszy, coraz gwałtowniejszy. Katarzyna poprawiła woalkę i wstała.

- Chyba pora skryć się w namiocie - oznajmiła. -Zbiera się na deszcz.

Balian zeskoczył z siodła i rzucił wodze giermkowi. Zerknął na Renalda z Sydonu, którego spotkał zaraz po przybyciu do obozowiska, i uśmiechnął się lekko. Renald, niewysoki, mało urodziwy mężczyzna o ciemnej cerze i długiej czarnej brodzie, zarówno ze stroju, jak i sposobu bycia bardziej przypominał tureckiego beja aniżeli frankijskiego możnowładcę. W rzeczy samej doskonale znał mowę i literaturę saraceńską, czym swego czasu zaimponował nawet samemu Salah ad-Dinowi. Był jednak Frankiem na wskroś i choć brakowało mu zdecydowania i siły woli, z której sływał Balian, gotów był walczyć o Outremer po kres życia.

Odpowiedział towarzyszkowi podobnym uśmiechem, wątlym, pełnym znużenia, zakurczonym i obaj ruszyli w stronę otoczonego przez uzbrojonych po zęby rycerzy namiotu, nad którym powiewał srebrnoniebieski proporzec Lusignanów. Ze środka dobiegał głos rozdrażnionego Konrada Montferratu.

„Znowu to samo - pomyślał Balian. - Znowu to samo. Król przeciwko kandydatowi na króla. Templariusze przeciwko szpitalnikom. Przybysze przeciwko miejscowym. Tyr przeciwko Akce. Dlaczego nie Frankowie przeciwko Saracenom? Boże miłosierny, mam już tego dosyć, naprawdę dosyć! Mario, dlaczego cię tu nie ma...”

Jego zadumę przerwał głos herolda:

- Baron Balian z Ibelinu! Baron Renald de Grenier z Sydonu!

Obaj zanurzyli się w półmrok namiotu królewskiego przesyconego zapachem płonących świec i przyprawionego wina, obaj złożyli, stosowny królowi, dworski ukłon Gwidonowi de Lusignan, który rozparł się na bogato rzeźbionym fotelu strojny w tyryjską purpurę i niebieską czapkę ze złotą obręczą, insygnium władzy królewskiej. Potem przyszła pora na głęboki ukłon przed stojącym obok markizem Montferratu.

„Jestem tym wszystkim zmęczony, a mimo to dalej bawię się w te gierki - pomyślał, siadając na wyścielanym krześle i ujmując puchar z winem. - Boże, głowa mnie boli!”

Konrad Montferratu, starzejący się mąż o czarnych, przetykanych siwizną włosach i surowej, nieprzyjemnej twarzy, perorował głośno, a co dobitniejsze zdania markiza budziły pomruki wśród zebranych - niektóre pełne oburzenia, inne wyrażające aprobatę. Balian nie słyszał jego mowy, patrzył za to na Armengola de Aspe, prowizora zakonu szpitalników, który uderzał pięścią w otwartą dłoń, patrzył na Roberta de Sabie o pobladłej, zaciętej twarzy i na krzyżowców z Europy, którzy usiłowali zachować dostojęństwo, lecz coraz częściej spoglądali po sobie z niedowierzaniem. Ta sama pantomima co zawsze, to samo przedstawienie pełne pychy, brawury i świętego oburzenia.

- Racja! - krzyknął nagle siedzący obok niego Renald z Sydonu, ponownie wyrywając barona z zadumy. - Święta racja! Słusznie prawi markiz Montferratu! Tra-

Rozdział dziesiąty 3
cimy tylko czas! Powinniśmy uderzyć jak najszybciej, skoro Salah ad-Din przywykł do bierności!

- Do bierności? - Gwidon de Lusignan wychylił się, na jego pociągłej, wychudłej twarzy wykwitły niezdrowe rumieńce. - Zarzucacie mi bezczynność, baronie? Zważcie na to, że ja jeden w całym Outremer walczę z Salah ad-Dinem w polu! Oblegam jego twierdzę, na miłość boską! Odpieram jego ataki! A co robią pozostali baroni? Chowają się po twierdzach, jeden w Tyrze, drugi w Beaufort, i...

- Baronowi de Grenier chodziło o to, że póki co wasza wysokość nie był w stanie poprowadzić znaczących działań ofensywnych - odezwał się Balian, masując skronie. - Ze względu na brak odpowiednich sił, a nie męstwa. Nam również tchórzostwa nie zarzucajcie, panie. Zwłaszcza nam dwóm.

- Nie myślałem przecież o was, baronie - odparł król. - Wyście nie mydlili Salah ad-Dinowi oczu obietnicami przejścia na islam jak Renald.

Sydończyk poczerwieniał, kilku krzyżowców z Europy obdarzyło go pogardliwym uśmiechem, kilku innych pochyliło się ku swoim lepiej poinformowanym towarzyskom. Król zaś na powrót opadł na fotel. Lekko drżącą, ciężką od pierścieni dłonią przyglądał rudą brodę.

- Ja również nie sądzę, by należało zwlekać - odezwał się Filip Dreux, arcybiskup Beauvois, i wydał tłuste policzki. - Zanedto miłuję was wszystkich, bracia moi, bym kogokolwiek miał chęć krytykować, jednakowoż miejcie na względzie, że przybyliśmy tu walczyć. Ewentualnie ginąć, ale nie umierać. A nadciąga jesień, a wraz z nią deszcze, niedostatek pożywienia, choroby.

Cóż to za krucjata, skoro siedzimy w błocie i czekamy na nie wiadomo co?

- Malaria i niedostatek pożywienia, tak? - wybuchnął niespodziewanie jego brat, Robert hrabia Dreux. - Święty Józefie, zaczynam się w tym gubić! Chcecie ruszyć do boju, by nie zaskoczyła was zima, drogi bracie? Jesteśmy przecież krzyżowcami! Przybyliśmy, by walczyć o Ziemię Świętą, by odbić Jeruzalem, by na wieki pogрузić Salah ad-Dina, którego sam diabeł usynowił! Jestem za tym, by ruszać natychmiast bez względu na okoliczności! By uderzyć i...

Jego słowa utonęły w ogólnym gwarze. Henryk hrabia z Bar walił pięścią w stół, czerwony z oburzenia Re-nald z Sydonu wrzeszczał na Jakuba z Avesness, przywódcę rycerstwa flamandzkiego, Ubaldo Lanfranchi, arcybiskup Pizy, unosił ramiona jak do modlitwy, ale nikt go nie słuchał. Potracono kilka pucharów, które poplamiały obrusy winem czerwonym niczym krew. Balian nadal masował skronie.

Gwar począł cichnąć, dopiero gdy dłoń uniósł sam król Gwidon. Rozjątrzeni baronowie z niechęcią przerywali kłótnie i obracali się ku niemu.

- Każdy dzień sprawia, że jesteśmy silniejsi - mówił z trudem, jakby dławiał go gniew lub rozpacz. - Codziennie przybywają morzem zbrojne orszaki, nasze hufce rosną w siłę z każdym dniem. Jeśli wydamy mu bitwę przedwcześnie, bez wątplenia stracimy szansę na zwycięstwo.

- Chcecie czekać do chwili przybycia cesarza Fryderyka, panie? - zapytał z przekąsem Ludwik, landgraf Turyngii, nie licząc hrabiego Ottona z Geldrii, jedyny

Rozdział dziesiąty

Niemiec w towarzystwie. - Bo ten ponoć wciąż na Węgrzech.

- Na królów Anglii i Francji też przyjdzie pewnie sporo poczekać - mruknął Renald z Sydonu. - Jak znam życie, właśnie ściągają podatki na krucjatę, a dla zabicia czasu inspirują pogromy żydowskie. Dla większej chwały Pana, rzecz jasna.

- Nikt z was, panowie, nie zarzuci mi, że kiedykolwiek w życiu unikałem walki o Outremer - odezwał się Balian, niespodziewanie dla samego siebie. - Bywało, krytykowałem politykę króla Gwidona, ale tym razem muszę przyznać mu rację. Nie jesteśmy jeszcze gotowi do walki z Salah ad-Dinem. Musimy uspić jego czujność, czyniąc jakieś ustępstwa. Proponuję wysłać poselstwo...

- Mówiono nam, że nader chętnie paktujecie z tym poganinem - odezwał się kpiąco Robert Dreux i uniósł puchar z winem do ust. Błysnęły pierścienie. - Można wiedzieć dlaczego?

Balianowi gorąco uderzyło w policzki.

- Gdyby okoliczności były inne, hrabio - wycedził - kazałbym wam powtórzyć te słowa. Ale okoliczności są takie, jakie są, i zdaję sobie sprawę, że pewnych rzeczy możecie być nieświadomi. Tak, paktowałem z Salah ad--Dinem. Podałem mu Jerozolimę, ale po wielu dniach walki, gdy zabrakło mi ludzi, a mury groziły zawaleniem. Podałem miasto, chcąc uniknąć szturm i rze-

- zi, w której zginęłoby wielu niewinnych ludzi. Podałem je dopiero wtedy, gdy Salah ad-Din przystał na wszystkie moje warunki i przyzwolił mieszkańcom na wykupienie siebie i bliskich. Tak, a ten usynowio-ny przez diabła poganin dopełnił przyrzeczenia, hrabio. Nie zginął ani jeden niewinny człowiek, czym my, chrześcijanie, poszczycić się nie możemy. Każdy z nas dobrze wie, co się wydarzyło w Jerozolimie zdobytej przez Gotfryda de Bouillon i Rajmunda z Tuluzy.

- Chcecie wywołać w nas poczucie winy, baronie? -zawołał ktoś, chyba Jakub z Avesness.

- Nie. Nie dbam o wasze sumienia, dbam jedynie o Outremer. Zaś wy, hrabio Robercie, wiedziecie, że nie dbam też o to, co będziecie wygadywać na Salah ad-Di-na, bo to wasza sprawa. Pamiętajcie tylko, że to człowiek honoru. Dbam jednak o to, co się wygaduje o mnie,

dlatego proszę was, hrabio, nie powtarzajcie oszczerstw. Bardzo was o to proszę. I ostrzegam przed nadmierną zuchwałością.

I przetań czoło nagle zwilgotniało od potu. Na moment przymknął oczy, a gdy je otworzył, ujrzał, że przemawia Armengol de Aspa, prowizor szpitalników.

- ...będę wspierał całym sercem - ciągnął, kłaniając się baronowi z Ibelinu. Ten półprzytomnie odpowiedział ukłonem. - Niemniej zważcie panowie, że nie tylko nam przybywają co dzień posiłki. Armia saraceńska również rośnie w siłę i to szybko, szybciej od naszej. Czy będziemy gotowi stawić jej czoła za tydzień, za miesiąc? Co więcej, panowie, czy naprawdę chcecie, by przybyły tu wreszcie doborowe hufce z Cesarstwa Niemieckiego, Anglii i Francji, a ich przywódcy z rozbawieniem stwierdzili, że jedynym naszym dokonaniem było rozbicie obozu pod Akką?

Słowa szpitalnika zostały powitane szmerem oburzenia. Robert Dreux znów machnął pięścią, a wtedy wstał inny rycerz o tym samym imieniu - de Sablé.

Masujący skronie Balian uśmiechnął się krzywo, podobnie Renald z Sydonu i wszyscy ci, którzy uczestniczyli w wydarzeniach prowadzących do klęski pod Hittinem. Każdy z nich doskonale wiedział, co teraz usłyszy. Każdy z nich wiedział, że jak dotąd w historii Outremer templariusze nigdy nie zmarnowali żadnej okazji, by dopieć szpitalnikom, nawet gdy na szali spoczywały losy państwa. Wszyscy wiedzieli, że straszliwa klęska pod Hittinem, miast utemperować ich pychę i nienawiść, jeszcze je wzmocniła.

- Za dużo mówicie - powiedział ochrypłym głosem wielki mistrz, patrząc na każdego członka zgromadzenia osobno, a najdłużej przyglądał się królowi. - A to grzech. Pysznicie się, obrzucacie oszczerstwami, okazujecie pogardę, a to wszystko również jest grzechem. O uchylaniu się od walki nawet nie wspomnę. Nurzacie się w grzechu, bracia w Bogu, a grzech wypełnić można tylko w wirze bitwy. Tak, bracia, bitwa z Saracenami to jedyny ratunek dla naszych plugawych dusz. Utopmy grzech we krwi pogan!

Wszyscy zamilkli, słysząc templariusza przemawiającego niczym szpitalnik. W ściany namiotu uderzyły pierwsze krople deszczu.

Ulewa siekła niemiłosiernie. Dumne proporce kleiły się do drzewc, przemoczone płachty kołysały się sztywno na wietrze, a przecinającymi obóz ścieżkami pędziły teraz wściekłe, brudne strumyki, z każdą chwilą nabierające mocy. Ludzie, teraz już nie dumni wojownicy za wiarę, ale szare, przemoczone stwory, kulili się w namiotach w poszukiwaniu ciepła, przerażeni czarnym gniewnym niebem. Nikt, absolutnie nikt nie myślał o wychodzeniu na zewnątrz.

Prawie nikt.

Człowiek odziany niczym zwykły ciura obozowy, który ledwie godzinę temu wypytywał Vittoria o postępy w śledztwie, biegł teraz jak pijany wśród namiotów, potykał się o sznury i o własne nogi, padał w błoto i znowu biegł. Jego oczy, do tej pory zimne i bezlitosne, teraz były szeroko otwarte z przestachu

- Boże - jęczał, choć wcale w Boga nie wierzył. Po prostu nie znał innych słów, którymi można by zareagować na to, co ujrzał ledwie chwilę przedtem, gdy zajrzał do namiotu swego mocodawcy, rycerza Joscelina de Royes.

Targane dreszczami ciało szefa wywiadu zakonu templariuszy wilo się i prężyło na pryczy, z ust ciekła mu piana, a w rozbieganych, nieprzytomnych oczach kryło się szaleństwo i skrajne wprost przerażenie. Jęczał, protestował, próbował osłonić twarz ramionami, a gdy dostrzegł swego podwładnego, poderwał się błyskawicznie i skoczył na niego z palcami rozcapierzonymi niczym szpony, z wyszczerzonymi zębami niczym oszalały drapieźnik, któremu podpalono sierść.

Jakoś zdołał uciec. Nie wiedział tylko, gdzie szukać schronienia.

Drugi ze śmiałków, który odważył się stawić czoło syryjskiej ulewie, stał nieruchomo. Pozwalał, by strugi deszczu siekły go po twarzy, nie zważał na zimno coraz dotkliwiej

przenikające jego ciało. Jak zahipnotyzowany patrzył na niemalże nieruchomą płachtę wejściową namiotu Vivienne de Grenier, tę samą, przez którą jakiś kwadrans temu ukradkiem wyslizgnął się Hugo de Lovance.

Gaston de Baideaux patrzył nieruchomym wzrokiem, a jego serce to płonęło na popiół, to znów gniło jak truchło. A ulewa szalała.

Rozdział jedenasty

w którym kilku rycerzy postanawia załatwić ważne sprawy dopiero po bitwie. wszyscy z wyjątkiem jednego jak zwykle jesienią niszczycielski żywioł szybko wytracił swą moc i reszta nocy upłynęła we względnym spokoju, jeśli nie liczyć przekleństw tych, którym wartkie potoki deszczu porwały dobytek. Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca prześwietliły kłęby mgły wiszące nad rozmokłą ziemią, po obozowisku wciąż włóczyły się chmary niewyspanych, rozdrażnionych krzyżowców w mokrych ubraniach, poszukujących swego dobytku. Niedługo to jednak trwało, wkrótce żółta kula wychynęła zza horyzontu i wilgoć ją ustępować przed gorącym.

Gaston wpatrywał się w słońce nieruchomy niczym posąg. Jego szaty parowały, ciało wciąż przeszywały dreszcze, ale nie zwracał na to uwagi. Powoli, z namaszczeniem wykonał znak krzyża.

- Credo in Deum, Patrem omnipotentem, Creatorem caeli et terrae - wymówił cicho, głosem pozbawionym emocji, lecz nagle urwał. Odwrócił wzrok.

Dostrzegł, że przygląda mu się Adalbert, który właśnie stanął w wejściu do namiotu.

Puciołowatą twarz kapelana ozdabiał uśmiech, skromny, niemalże zawstydzony.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedział, kiwając głową. - Dobrze cię widzieć przy modlitwie. Znów.

Młodzieniec skrzywił się i wstał, otrzepując kolana z błota. Zwilżył językiem wargi, jakby miał odpowiedzieć, ale w końcu machnął ręką.

- Może to właściwa droga, Gastonie? - zapytał Adalbert. - Nie do Jerozolimy, nie do Bazyliki Grobu Świętego, nie na Górę Oliwną, ale prosto do Boga, prosto do Regnum Dei? Nie zważając na... Na wiesz co. Nie modliłeś się od czasu... Od czasu...

- Wiem - rzekł de Baideaux ochryplym głosem. - Wiem od kiedy. Od czasu, gdy rozwaliłem łeb Maurycemu de Souhait na rozstaju. Lecz nie łudź się, Adalbercie. Nie żyw próżnych nadziei. Nie noszę się z zamiarem ukorzenia przed Jego majestatem. Chciałem tylko coś sprawdzić.

- Co takiego? - zapytał kapelan. - Czy Bóg wysłucha twoich modlitw? Och, zapewniam cię...

- Przestań. Bądź cicho już, proszę.

Nie okłamywał swego towarzysza, w istocie chciał coś sprawdzić. Chciał zbadać, czy po odkryciu, którego dokonał zeszłej nocy, jest w stanie napęlić swe serce wiarą, zwykłą, pokorną wiarą. Niestety, wypowiedziane słowa Credo zabrzmiały zwyczajnie, nijako, zabrzmiały pusto.

Nie miał co liczyć na wiarę.

Za każdym razem, gdy przymykał oczy, widział twarz Vivienne. Zapłakaną. Zaciętą.

Pochmurną. Roześmianą. Nieodmiennie piękną.

A potem widział płachtę jej namiotu, która się unosi i wypuszcza pochylonego Hugona de Lovance.

„Rację miał Vittorio - pomyślał po raz tysięczny. - To chyba przez nią chciałem pozostać w obozie. Dla niej. U jej boku. Dzięki niej potrafiłem zapomnieć, że jestem opętany. Dzięki niej nie pamiętałem o tym, że Ziemia Święta zabiła wszystkie moje nadzieje. Teraz jej nie mam. Teraz nie mam nic. Nic".

Z nieba zniknął róż świtu zastępowany przez błękit upalnego poranka. Ziemia parowała, zasłaniając niemalże szary monument murów Akki. Wśród mlecznych kłębowców pojawiały się ludzkie sylwetki - jedni dopiero wstawali, inni coraz słabiej kłócili się o ostatnie resztki unurzanego w błocie dobytku. Od rzeki dobiegał rzeński plusk wody oraz rzenie pojonych koni.

Bernard wstał, przeciągnął się, aż strzeliły stawy, po-czochnął czuprynę i popatrzył dokoła ze zdumieniem, jakby przez noc zapomniał, gdzie się znalazł. Potem spojrzął na swego pana. Podobnie uczynił Vittorio, Adalbert nawet wyciągnął dłoń, by klepnąć Gastona w kolano. Każdy z nich wiedział, że w nocy stało się coś strasznego, każdy próbował teraz wnikać w duszę młodzieńca i dowiedzieć się, co takiego.

„A ty? - pomyślał z goryczą. - A ciebie to nie interesuje, Diable?”.

Nie było odpowiedzi.

Ziemią wstrząsnął tętent kopyt kilku koni, z mgły wyskoczył rozhukany rumak Hugona de Lovance, a za nim nieodłączna asysta kilku młodszych rycerzy. Hugo przesadził jakieś wygaste ognisko gnany przekleństwami krzątających się wokół niego parobków, po czym wrył konia tuż przed namiotem Gastona.

Młody Pikardyjczyk spojrzął na niego bez zainteresowania martwymi oczyma.

- Szlachetna pani de Grenier chce się z tobą zobaczyć! - zawołał z siodła rycerz. Jego głos dźwięczał jak pieśń porannych ptaków. - Pospiesz się, sąsiedzie, bo mam dla ciebie niespodziankę! Ho, ho, ogromną niespodziankę!

- Tobie to już trudno będzie mnie zaskoczyć, Hugonie - wychrypiał de Baideaux, wstał i nie troszcząc się o poprawienie stroju czy choćby obmycie twarzy, poszedł w kierunku suchego już proporca de Grenierów.

Gdzieś wysoko nad nim krzyknął jastrząb.

Przecucie podpowiadało mu, że na każdym kroku coś będzie mu przypominać o zdarzeniach tej nocy. Spodziewał się, że zostanie Vivienne niewyspaną, znużoną, lecz z trudem kryjącą ożywienie, że w jej oczach dostrzeże ów szczególny błysk uwielbienia dla innego, błysk, który wyrwie mu kawałek serca. Spodziewał się ujrzeć pospiesznie ułożoną pościel, przewróconą świeczkę, niedbale założoną woalkę, ale się zawiódł.

Vivienne stała wyprostowana, nieruchoma i poważna niczym postać z fresku. Jej dłonie tonęły w ogromnych rękawach purpurowej sukni, twarz kryła ciemna przesłona, z ramienia spływał starannie upleciony warkocz. W namiocie panował wzorowy, wręcz niepokojący porządek.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedziała cicho.

- Na wieki wieków amen - odparł Gaston i uklęknął nieco zdumiony. - Wzywaliście, pani, tedy jestem. Na wasze rozkazy.

- Gastonie - prawe ramię Vivienne drgnęło, jakby chciała pogłodzić jego głowę - pomnisz, gdy mówiłam ci o zadaniu, które ci przeznaczyłam?

- Pamiętam.

Wstał. Na powrót był obojętny, z trudem powstrzymał się od wzruszenia ramionami. Rudy warkocz Vivienne przypominał mu teraz żmiję, która znieruchomiła gotowa do wściekłego ataku.

- Hufiec Hugona de Lovance opuści dziś obozowisko - mówiła cicho, pospiesznie. - Dobry rycerz de Lovance otrzymał rozkaz eskortowania Marii Komnenny z Tyru pod Akkę, z przyczyn całkowicie mi nieznanych. Wiecie, kim jest Maria Komnena?

- Bizantyjska dama. Małżonka barona Baliana z Ibe-linu.

- Tak, a ponadto córka Jana Komnena, króla Cypru, i wnuczka basileusa Manuela.

Rzekłabym, że poza Sybil-lą, małżonką Gwidona de Lusignan, nie masz ci w Outremer szlachetniejszej damy. Nie bez kozery zwie się ją królową Marią. Jej bezpieczeństwo jest dla nas rzeczą najważniejszą.

- Dla nas, pani? - zapytał z goryczą. - Dlaczego chcecie, bym w to uwierzył? Dopiero co przybyłem do Outremer, ale pewne rzeczy zdążyłem już zauważyć i zrozumieć. Nie macie powodów, by kochać barona Baliana. Dlaczego mielibyście się więc tak troszczyć o jego małżonkę?

- Nienawidzę tego sukinsyna. - Patrzyła mu teraz prosto w oczy, zuchwale i wyzywająco. - Ale jest ważny. Ważny dla nas wszystkich, dla Outremer, dla Jerozolimy. Tylko on jest w stanie pogodzić zwaśnionych baronów, tylko on jest w stanie poprzeć nowego władcę, a gdyby... Gdyby co, potrafiłby nawet go zastąpić. Tak, polityka to podstępna dziwka, Gastonie. Najchętniej ujrzałabym go martwym, a jeszcze wcześniej zhańbionym na wieki, ale muszę go wspierać. Nawet jeśli miałabym to czynić w sekrecie.

- Czego ode mnie oczekujecie? - zapytał znużonym głosem.

- Jeśli coś stanie się Marii, baron z Ibelinu straci głowę. Rzuci wszystko i ruszy jej na ratunek, w chwili gdy potrzebujemy go najbardziej. Natomiast dzięki pewnym źródłom wiem - na krótką chwilę odwróciła głowę - że Hugo de Lovance nie jest człowiekiem godnym zaufania. Czy rozumiecie, co to oznacza?

-Nie.

- Rycerz de Lovance jest zakochanym w sobie lek-koduchem, któremu na dodatek Bóg poskąpił rozsądku. Może i potrafi walczyć, ale nie umie dowodzić, traci głowę w każdej trudniejszej sytuacji, a wtedy ponoszą go nerwy i popełnia ogromne błędy. Co więcej, mam powody przypuszczać, że nie tak dawno przekonano go, że stoi w tej wojnie po niewłaściwej stronie. Nieważne, kto to uczynił, grunt, że nie było to trudne. Obawiam się, że z ochotą zmieni front, zwłaszcza jeżeli będzie miał w ręku tak cenny atut jak Marię Komnenę.

- Sugerujecie, pani, że Hugo szykuje się do zdrady? -Gaston wydał wargi z niedowierzaniem. - Do przejścia na stronę Saracenów?

- Sugeruję, że istnieje taka możliwość.

- Dlaczego nie powiecie tego samemu baronowi?

- Nie uwierzy mi - wykrztusiła z niechęcią. - Ani on, ani mój wuj. Nikomu nie uwierzy, bo będzie sądził, że to moja kolejna intryga. Sukinsyn! Musicie udać się wraz z Hugonem, panie - mówiła teraz drżącym głosem. - Musicie zrobić to dla mnie! Czuwajcie u boku rycerza de Lovance, patrzcie mu na ręce, obserwujcie jego zachowanie. Jeśli uznacie, że zachowuje się podejrzanie, zmylcie jego czujność, porwijcie Marię Komnenę i uciekajcie. Jeśli nastąpi to na Schodach Tyryjskich, udajcie się do miejsca zwanego Dar il-Hasan na południowych zboczach, tam możecie liczyć na pomoc.

- Aha - burknął Gaston. - Do tej pory myślałem, że waszym zdaniem Hugo po prostu należy do niewłaściwego stronnictwa. Bo popiera Gwidona, a nie Konrada. Teraz okazuje się, że jeszcze szykuje zdradę.

Świdrował Vivienne beczelnym, przenikliwym spojrzeniem, które mówiło: „Wiem o wszystkim, patrzyłem na twój namiot zeszłej nocy, wiem, że się pokładasz z tym pyszałkiem, że oddajesz mu własne ciało, obojętnie czy w imię Outremer, czy własnych żądy...”

- Rycerzu de Baideaux...

- Co usłyszę od was jutro, hrabianko? Że wyznaje Baala?

„To akurat nie byłoby takie dziwne” - bąknął Diabeł.

- Proszę was, błagam... - Vivienne otworzyła szeroko lśniące oczy.

- Nie proście, pani - prychnął, unosząc płachtę namiotu. - Przecież i tak nie mam wyboru, prawda? Po co więc to przedstawienie?

I wtedy usłyszał, że na zewnątrz rozpoczęło się zamieszanie, którego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu.

- Salah ad-Din się ruszył! - krzyczało wiele głosów. -Do broni! Do broni!

Przeciskał się przez ciżbę podekscytowanych, zaniepokojonych ludzi, niemalże ogłuszony ich pokrzykiwaniami i pytaniami. Z ulgą dopadł Bernarda. Kudłaty olbrzym czekał już z uniesionym wysoko kaftanem lamelkowym, który trzymał bez trudu jak lniane giezło.

- Panie! - przypadł doń zaniepokojony Adalbert. - Mówią, że Saraceni się ruszyli! Że do bitwy dojdzie!

- Pewnie tak! - rzucił, nurkując w kaftan, który sługa delikatnie opuścił na jego barki. - Pewnie dojdzie do bitwy! Jeśli Bóg da!

Wreszcie coś w sobie czuł. Już nie pamiętał o Vivien-ne i Hugonie, już zapomniał o dziwnej, nieprzyjemnej rozmowie, którą odbył przed momentem. Przepelniało go teraz szalone uniesienie, o którym niejednokrotnie słyszał w opowieściach swego kapelana, uniesienie całkowicie ślepe, chciwie i niemożliwe do opanowania, właściwe tym, którzy utracili wszystko, w co dotąd wierzyli. Pochwycił kapalin nie dość szybko podany mu przez Bernarda, zaczął szarpać za jego rzemyki nieudolnie, nerwowo, hełm padł z brzękiem na ziemię.

- Ale jeśli dojdzie do bitwy... - Adalbert zamachał pulchnymi dłońmi, jak to miał w zwyczaju, ale jego oczy pozostały nieruchome, poważne. - Paniczu, przecież wy...

- Wiem. - Gaston uśmiechnął się samymi ustami. - Wiem, co chcesz powiedzieć. I nie bój się.

„Bo nie mam się czego bać, prawda? - pomyślał nagle w przeblysku zdrowego rozsądku. - Dam sobie radę? Pomożesz mi?\".

Nie było odpowiedzi.

- Bitwa to kompletnie nieprzewidywalny interes -zrzędził Vittorio, który również wślizgnął się w pancerz ongiś zdarty z turkopola. - Nie dość, że męczący i nużący, to jeszcze w znacznej mierze zależny od garści zastrachanych idiotów, których łaska Boga uczyniła naszymi dowódcami. Czuję, że nieźle się namachamy, zanim przejdziemy do jedynej naprawdę interesującej fazy bitwy. Czyli rabowania trupów.

- Wreszcie zacząłeś gadać o inwestycjach - burknął Gaston, sprawdzając popręgi. Nie interesowało go to, co wygaduje Italczyk, po prostu chciał, żeby robił to dalej.

Niespodziewanie bowiem ogarnął go niepokój.

„Czyżbym zaczął się przyzwyczajać do mojego kusiciela z piekła rodem?\" - pomyślał, siłąc się na ironię.

- Tak, rabowanie to wspaniałe zwieńczenie naszej pracy herosów - westchnął Vittorio i ułożył stopę w strzemieniu. - Tym bardziej że często towarzyszy mu jakże wspaniałe pijaństwo. To zaś prowadzi do dupcze-nia, a trudno wyobrazić sobie coś wspanialszego od dup-czenia, prawda? Prawda, ojczulku?

Adalbert nie zareagował. Stał nieruchomo i patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak de Baideaux wskakuje na siodło, a w chwili, gdy panicz uchwycił mocno wodze swego konia i ujął podaną mu przez Bernarda włócznię, odwrócił spojrzenie. Italczyk najwyraźniej zrozumiał ten gest, gdyż podjechał do Gastonowego konia i szepnął:

- Na pewno dasz sobie radę? Wiesz, bitwa z poganami to nie rąbanina z hienami i...

- Dam sobie radę, Vittorio.

- Nie masz kolczych nogawic. Twój hełm nie chroni twarzy przed strzałami. Nigdy nie widziałem, byś ćwiczył z tarczą. Naprawdę, Gastonie, to wszystko...

- Dam sobie radę. A jeśli nie, to trudno. Wola Boga. Jedziemy, Bernardzie. Bywaj, Adalbercie.

I zawrócił konia.

Dopiero z wysokości siodła mógł ogarnąć wzrokiem zamieszanie, jakie wybuchło w królewskim obozowisku. Rozstawianiem namiotów nie rządziła żadna reguła, ale ostatnie kilka dni dały mu okazję zorientować się, gdzie mniej więcej obozują poszczególne feudałowie, gdzie zakony rycerskie, a gdzie oddziały najemne. Teraz wszelaki porządek

zniknął bezpowrotnie rozdeptany przez konne i piesze grupy spieszące w kierunku swych proporców, podobnie jak one zmierzających ku równinie i ciemniejącym w oddali oddziałom saraceńskim. Nocny deszcz zamienił pylistą ziemię w pole schnącego teraz błota. Żołnierze snuli się między ciemnymi bryłami szańców poganiani przez pojedynczych konnych, którzy co rusz stawali w strzemionach i wrzeszczeli, najwyraźniej usiłując ustawić tradycyjny sześcioszeregowy szyk. Czy ich wysiłki przynosiły jakiegokolwiek skutki, tego Gaston nie widział. Wystarczyło natomiast rozejrzeć się dookoła, by wiedzieć, że gromadzenie wojska na pewno potrwa długo, o ile nie za długo.

- Boże... - szeptał, rozglądając się na boki.

Nieopodal poczerwieniali z gniewu rycerze niemieccy napierali końmi na orszak Flamandów, tu i ówdzie chwytało już za miecze, landgraf Ludwik z zaangażowaniem lżył Jakuba z Avesness słowami, których nie powstydziliby się nawet ciura obozowy, a ten nie pozostawał mu dłużny. Przyczyną sporu najprawdopodobniej był przewrócony wóz, który niemalże zatarasował drogę wiodącą ku proporcowi królewskiemu powiewającemu za krzepnącymi wolno liniami piechoty. Miejsca na przejście starczało tylko dla jednego orszaku, zaś ani Jakub, ani Ludwik nie życzyli sobie przejść w drugiej kolejności.

Doskoczył do nich arcybiskup pizański w pysznej kolczudze, z odkrytą głową. Składał dłonie, błagał, zaklinał, ale żaden z nobilów nie ustąpił, być może dlatego, że Ubaldo próbował przemówić im do rozumu po łacinie. Rycerze kotłowali się, szczękały wyszarpy wane miecze, konie traciły w błocie równowagę i rżały.

Gaston zatrzymał się w pewnej odległości wraz z kilkoma innymi wojownikami, którzy usiłowali dotrzeć pod swoje znaki. Niektórzy z nich pokrzykiwali z gniewem, ale inni śmiali się i dopingowali warczących na siebie dowódców. Wtedy Vittorio pochwyił młodzieńca za rękaw i wskazał kciukiem za siebie.

Do zatoru zbliżał się znany z porywczosci Robert Dreux, który już podkręcał węża gotów do kłótni. Za nim czerniała najeżona kopiami masa rycerstwa z Dreux i Chartres, proporce ze złoto-niebieską szachownicą łopotwały groźnie nad hełmami.

„Zaraz się tu zacznie prawdziwa awantura” - mówił wzrok Italczyka.

Kiwnąwszy głową, Gaston zawrócił konia. Wraz z Vittorioem i Bernardem ruszyli przez opustoszałe już obozowisko pizańskich najemników, gdzie wśród porzuconych namiotów i wygaszonych ognisk kręciło się jedynie kilku parobków oraz rannych. Gwar przy zatorze gęstniał, a po chwili dołączyły do nich wrzaski rozwścieczonych Italczyków.

- Robert Dreux przedziera się przez obóz Pizańczyków! - zawołał rozbawiony Vittorio.

- Mogę się mylić, ale chyba właśnie próbuje rzucić w błoto samego arcybiskupa!

Gaston pokręcił głową i pognał konia, chcąc jak najszybciej wydostać się poza krąg namiotów. Patrzył przed siebie na coraz bliższe chmury piechoty, które z wolna formowały szeregi. I na sztandar króla Gwidona, wciąż samotny.

- Gdzie ty, kurwi synu, pchasz mi się z tą chabetą?!

W ostatniej chwili uskoczył przed rozwścieczonym

wąsatym rycerzem w przesywanicy, który właśnie okładał kopniakami zapłakanego młodego giermka. Ścisnana przez chłopaka ubłocona kolczuga oraz płótno przewróconego namiotu, na którym widać było liczne ślady kopyt, doskonale wyjaśniały przyczyny jego irytacji. Vittorio odpowiedział stosowną obelgą, na co rycerz poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Szlag by was wszystkich trafił! - wrzeszczał.

- Przez ciebie ten chłopak oberwie jeszcze bardziej! - zmarszczył brwi Gaston.

- Przynajmniej lepiej sobie zapamięta, jak nakłada się kolczugę.

Czym byli bliżej linii piechoty, tym panował większy ścisk i zamieszanie. Pojedynczy konni i całe poczty waliły w kierunku proporca królewskiego, chmury pieszych przeciskały się między szańcami, rycerze wymieniali hałaśliwe pozdrowienia, jakby butą chcieli pokryć rosnące napięcie, niektórzy rechotali, inni kłócili się wściekle lub lżyli swoich giermków.

Słysząc było naraz langue d'oïl, śpiewną mowę Italczyków i chrapliwe powarkiwania Niemców, tu i ówdzie pobrzmiwała również łacina, a nawet langue d'oc z południa Francji. Łopotały z hukiem proporce znaczniejszych orszaków, gdzieś grały surmy, którym wtórowało walenie w kotły, konie rżały z niepokojem, jakby wietrzyły już zapach krwi. Kilku Franków syryjskich, z turbanami zawiązanymi wokół hełmów, witało się serdecznie, poklepywało po barkach, jeden nawet wyciągnął już bukłaczek z winem i z ochotą obdzielał znajomków niepomny gniewnych pokrzykiwań tych, którzy zmuszeni byli ich wyminąć. Vittorio, który wysforował teraz na czoło, skręcił, by wyminąć kolejny zator. Na wpół ogłuszony Gaston bezwiednie podążył za nim.

Kątem oka dostrzegł Gerarda de Reinee, który wolno, nie popędzając swego wychudłego wierzchowca, zmierzał w kierunku proporca królewskiego. Zauważył też, że nie jedzie sam, że podąża za nim kilku innych zbrojnych, różniących się wiekiem i uzbrojeniem, ale patrzących przed siebie identycznie jak Gerard - ze spokojem, opanowaniem i żelaznym zdecydowaniem. Dostrzegł również, że miejscowi Frankowie mimowolnie cichną i odwracają spojrzenia zawstydzeni.

Więcej już nic ciekawego nie widział, bo akurat w tym momencie zły los postanowił przypomnieć o sobie Gastonowi.

Tak się stało, że za Gerardem de Reinee i jego ludźmi powstała luka, zupełnie jakby krzyżowców wystraszyła osobliwa, niezrozumiała aura otaczająca ubogiego rycerza. Tak też się stało, że w tej samej chwili przejeżdżał tędy Hugo de Lovance ze swymi towarzyszami, w tym z pewnym nieznanym rycerzem w szarym płaszczu u swego boku. Tak się również dziwnie stało, że ów nieznaną rycerz nagle spojrzał w lewo. Prosto na Gastona.

I okazało się wówczas, że ów rycerz wcale nie jest nieznaną.

Stał na trakcie, wyboistym, pełnym lśniących zimnem kałuż. Patrzył na rozkołysane lekko światełko na skraju lasu. Stał szerzej, dla zabawy przeciął mieczem powietrze.

Wiedział, że się nie myli - to oblicze harde, ciemne, z nieodłącznym krzywym uśmiechem, zbyt mocno wryło się w jego koszmary we śnie, zbyt mocno truło jego serce za dnia.

Zapamiętał je jednakże bez gęstej brody, w której nikła krzywa blizna, bez nierównej szramy na czole, bez przepaski na lewym oku, z całym nosem.

Patrzył w jego przerażone oczy, a potem nadepnął na dłoń, która pełzała po błocie w poszukiwaniu upuszczonej broni. Wtedy uśmiechnął się po raz pierwszy. Wzniesiony miecz zastygł na chwilę, a potem opadł niczym błyskawica w dół.

Maurycy de Souhait!

- Boże - powiedział głośno. - Boże.

- Gastonie, tam jedzie rycerz de Lovance! - wykrzyknął Vittorio. - Szybciej, nadchodzą templariusze! Musimy przemknąć przed... Gastonie? Gastonie, skąd ta błądź? Wyglądasz, jakbyś żywego trupa zobaczył!

- Bo tak jest - wymamrotał młody de Baideaux. - Bo zobaczyłem trupa. Vittorio, ja... Ja nie mogę.

Szarpnął za wodze, uderzył konia piętami, wystrzelił z korowodu zbrojnych niczym kula z balisty. Pochylony nad rozwianą grzywą sadził przed siebie wstrząśnięty i przerażony, niepomny dzikich wrzasków ścigającego go Italczyka ani pacyn błota spod kopyt rozbrzgujących mu się na twarzy. Oprzytomniał dopiero, gdy kątem oka zauważył postać doganiającego go jeźdźca, a potem czyjaś ogromna, włochata dłoń pochwyciła za uzdę i jednym szarpnięciem zmusiła konia, by zwolnił, a potem stanął w miejscu.

Gaston uniósł wzrok w porę, by ujrzeć przepraszający uśmiech cofającego dłoń Bernarda.

Olbrzymi sługa pochylił głowę i usunął się, czyniąc miejsce nadjeżdżającemu

Genuńczykowi. Ten ostro osadził rumaka i ze zdziwieniem otaksował towarzysza wzrokiem.

- Do licha, dajesz do myślenia, człowieku! - wykrzyknął. - Co, zapal bojowy ci minął? Uświadomiłeś sobie, że może jednak nie jesteś gotów na bitwę? Chłopie, nie ma sprawy, nie

chcesz walczyć, to nie walcz, nie z takich rzeczy rozgrzeszają w tych czasach, ale przynajmniej oszczędź podobnych scen swoim towarzyszom!

- Wybacz, Vittorio - wycedził Gaston. - Ja naprawdę zobaczyłem trupa. Żywego.

- Wiesz co? - Italczyk uniósł nieco hełm i podrapał się po spoconym czole. - Zaczyna mnie to wszystko, z lekka biorąc...

- Dobrze - przerwał mu bezceremonialnie de Baide-aux. - Dobrze. Ty wyjawiałeś mi swój sekret, pora na mój. Przybyłem do Ziemi Świętej, bo zabiłem człowieka. No-bila zacnego rodu.

Oczy Vittoria pozostawały nieruchome, jedynie dłoń lekko gładziła kark wierzchowca. Za jego plecami wolno przesuwiała się żelazna ludzka rzeka, strojna płaszczami i proporcami, najeżona ostrzami. Słońce paliło, ssąc wilgoć z błota.

- Zabiłem go, ponieważ zdobył względy pewnej damy, którą... Którą wydawało mi się, że miłuję. Zabiłem go po tym, jak zostałem przez niego wydrwiony, a potem obity przez jego pachołków. Kijami, jak włóczęgą, jak naj-parszywszy żebrak. Zabiłem go na rozstaju dróg, nocą, między wierzbami. Gdy wracał od niej.

- Naprawdę tylko dlatego przybyłeś do Ziemi Świętej? - Italczyk wydał lekko wargi.

- Zabiłem go po tym, jak wezwałem diabła na pomoc. To diabeł dał mi siłę, by to uczynić, Vittorio.

Wierzchowiec Genuńczyka parsknął i targnął głową jakby pojął znaczenie słów młodego Gastona. Powiał wiatr prosto od słońca, tchnął gorącem, uniósł kufije.

Miecz uniósł się w powietrze, zatrzymał na chwilę, a potem opadł niczym błyskawica w dół. I znowu wystrzelił ku górze, podrywając ze sobą rój kropelek krwi.

- Zwaliłem go z konia i okładałem mieczem gdzie popadnie - mówił suchym głosem, bez emocji. - Aż przestał się ruszać, a ja znów zacząłem myśleć logicznie.

I zrozumiałem, że nic nie osiągnąłem. Złamałem przykazanie boskie, pogwałciłem kodeks rycerski, stałem się mordercą. Opętany przez diabła mordercą. Przybyłem tu za radą Adalberta, który utrzymywał, że starczy postawić nogę w Ziemi Świętej, starczy modlitwa w którejś z tutejszych świątyń, by oczyścić się z grzechu. Uwierzyłem mu i oto co mam! Diabeł dalej siedzi sobie w mojej głowie, a tymczasem więżą mnie templariusze, ściga asa-syn, atakują hieny, mam syryjską hrabiankę, a w końcu wychodzi na to, że człowiek, którego zabiłem, żyje i ma się świetnie. A w dodatku jeszcze dołączył do tego samego hufca co ja. Oszepekony moim mieczem. Jak myślisz, Vittorio, co się stanie, gdy mnie dostrzeże?

- Nie wiem - wzruszył ramionami Italczyk. - Ale na twoim miejscu to zastanowiłbym się nad tym po bitwie.

-Co?

- Gastonie, przed momentem chciałeś szarżować na armię Salah ad-Dina, choć nigdy w życiu nie byłeś w boju. - Italczyk uniósł wodze konia, jakby chciał go zawrócić w kierunku formujących się szeregów hufców frankijskich. - Teraz przeraził cię jeden człowiek, którego zresztą już raz powaliłeś. Wybacz ostre słowa, ale chyba pomieszało ci się w głowie.

- Niczego nie rozumiesz.

- Wręcz przeciwnie, rozumiem to doskonale. Tym bardziej że mną też rządzi diabeł.

Taki przyodziany w biały płaszcz z czerwonym krzyżem. I ja też straciłem nadzieję, że się go kiedykolwiek pozbędę.

- Vittorio, ale skoro de Souhait przeżył... - Gaston odetchnął głęboko. - Skoro on żyje, to oznacza, że...

- Że albo kiepsko żeś mu przywalił, albo jego też natchnął jakiś pomocny diabeł. W obu przypadkach pomyślimy o tym po bitwie. Jedźmy.

Od strony ciemniejącej na horyzoncie armii Salah ad--Dina dobiegła pieśń trąb, której odpowiedziały znacznie bliższe, donośniejsze trąby chrześcijańskie. Nieopodal galopował silny poczet z czerwonym krzyżem na złotym tle. Prowadzący go rycerz, postawny i

barczysty, uniósł dłoń w pozdrowieniu, podobnie uczynił jadący po jego prawicy mąż z czarną brodą przypominający niemalże Araba. Gaston i Vittorio mimowolnie odpowiedzieli podobnym gestem.

- Jedźmy - powtórzył Genuęńczyk.

„Za stary na to jestem” - pomyślał Balian z Ibelinu i z trudem przełknął ślinę. Mimo starań żydowskiego medyka, który odwiedził go po naradzie u króla, stan barona znacznie się pogorszył. Gardło piekło jak polane siarką, a jego ciało aż buchało gorącem. Dopiero po chwili zrozumiał, że Renald coś wykrzykuje, starając się przekrzyczeć tętent kopyt i szczęk oręża.

- Co takiego?! - zawołał.

- Kim był ten rycerz? Widziałem go kilkakrotnie przy Vivienne. Czyżby to jej nowy gach?

- Wątpię! - Balian machnął dłonią w kolczej rękawicy. - Vivienne nie gustuje w naiwnych dzieciakach, które szukają w życiu tego, o czym słyszą w pieśniach. Natomiast nie wątpię, że wykorzysta go w którejś ze swych przeklętych intryg. Doprawdy, Renaldzie, nie wiem,

czego ona tu szuka, ale powinieneś ją odesłać do Tyru. I to jak najszybciej.

- Tak. - Czarnobrody rycerz skinął głową. - Odeślę ją natychmiast po bitwie. Tak nawiasem mówiąc, chyba zapomniałem ci podziękować za to, że ocaliłeś ją przed Saracenami. Nie darzę jej szczególną sympatią, ale zawsze to krewna. Poza tym zbyt wiele mnie kosztowało wykupienie tej dziewczki z niewoli, bym mógł jej teraz pozwolić na jakieś awanturnictwo.

- Odeślij ją do Tyru, przyjacielu, i wydaj, dobrze za mąż - sapnął baron z Ibelinu i przymknął oczy zwilgotniałe od gorączki. - Nie bacz przy tym na majątek, ale na charakter przyszłego zięcia. Poszukaj go wśród największych sukinsynów Outremer, tych, co to jeszcze są głusi na babskie gadanie.

- Problem w tym, że mało kto w Outremer potrafi jeszcze wskazać babie jej miejsce - sarknął Renald. - Ech, do dziś pluję sobie w brodę, że pozwalałem Agnieszce ciągiem siedzieć w Jeruzalem! Gdyby nie to, Sybilla wyszłaby za twego brata, Balianie, a nie za tego barana Gwidona. Inaczej rozmawialibyśmy dzisiaj z Salah ad--Dinem.

- Ano inaczej.

Przemknęli obok szańców, rozpędzając maruderów, i pędzili już wzdłuż wciąż nierównego szeregu pikinierów witani tryumfalnymi okrzykami i machaniem wielu dłoni, a żegnani złorzeczeniami tych, którym oberwało się błotem spod kopyt. Zagrały surmy, konie odpowiedziały dzikim rżeniem. Balian powściągnął wodze i skierował wierzchowca w lukę między oddziałem piechoty a zakonnikami świątyni, którzy właśnie rozstawiali się w szyk jak zwykle w milczeniu, jak zwykle z budzącą podziw sprawnością. Baron z Ibelinu uniesioną dłonią pozdrowił mistrza i skierował wzrok ku miejscu, gdzie łopotał królewski sztandar. Gwidon z Lusignan, dosiadający przepięknego, krytego kropierzem gniadosza, tłumaczył coś kilku konnym nobilem, których orszaki tłoczyły się nieopodal. Balian zerknął na ich herby, doskonale widoczne na proporcach oraz jakach, i uśmiechnął się gorzko.

- Za stary na to jestem - westchnął i zacisnął mocno łzawiące oczy.

- Doprawdy? - uniósł brwi Renald. - Chciałbyś bicie Saracenów zostawić młodemu, przyjacielu? Lekko-chom i partaczom?

- Nie, skądże. Nigdy się nie jest zbyt starym ani zbyt zmęczonym, by bić Saracenów. Na tamto jestem zbyt sta-ry.

Dłoń w kolczej rękawicy wskazała krąg krzyżowców otaczających króla Gwidona. Byli coraz bliżej, już dwaj starzy rycerze widzieli nadymającego policzki Roberta Dreux i purpurowego ze złości Andrzeja z Brienne. Dostrzegli też równie czerwonego króla, który rozkładał ręce, próbując coś tłumaczyć.

- Wasza królewska mość raczy z nas kpić! - wrzeszczał Otton z Geldrii. - Mamy stać za niepasowanymi? Stać i czekać? Pozwalać hołocie toczyć za nas wojny?

- Wybaczcie, panie! - Robert Dreux wreszcie odzyskał głos. - Wybaczcie, lecz ja nie pozwolę, by urażano mój honor rycerski. Nie po to przybyliśmy z odsieczą, by stać beczynnie za tymi kmiotami z pikami!

- Nie pojmujecie, panowie! - tłumaczył żarliwie Gwidon. - Na tym polega sprawdzona strategia! Wasze poczty rycerskie zaczekają, aż Saraceni uderzą na chrześcijańską piechotę, a potem wypadną z obu skrzydeł i wezmą pogan w kleszcze!

Biskup Beauvois pokiwał głową i już chciał pochwycić brata za ramię, lecz ten dźgnął konia w bok i podjechał bliżej.

- Gdzieś mam tę waszą strategię! - wycharczał. - Gdyby była czegokolwiek warta, nie dalibyście się zmasakrować pod Hittinem.

- Wróg ma przewagę liczebną i musimy... - zaczął Gwidon, ale otaczający go krzyżowcy buchnęli śmiechem, nawet biskup Beauvois im zawtórował, choć z mniejszym przekonaniem.

- Dajcie pokój, panie! - wykrzyknął Andrzej z Brien-ne. - Kto ma Boga w sercu, temu przewaga wroga niestraszna!

- Rozniesiemy pogan na kopytach! - dorzucił zadowolony Jakub z Avesness. Król nabrał tchu i uniósł dłonie, jakby chciał rozpocząć kolejny apel, ale wtedy dostrzegł podjeżdżającego Baliana. Wciąż rozbawieni krzyżowcy umilkli ciekawi zdania tego, który z Salah ad-Dinem walczył najdłużej.

„Masz coś niewyraźną minę, mój panie - pomyślał Balian, przechwyciwszy błagalne spojrzenie króla. - Obyś się udławił, kurwi synu”.

- Zda mi się, że szlachetni panowie mają w zupełności rację - powiedział głośno, próbując zignorować pieczenie w gardle. - Przybyli nam z pomocą, pozwólmy im tedy toczyć walkę godną prawdziwych rycerzy, niesprzeczną z naszymi honorami. O strategii pogadamy po bitwie.

I zawrócił konia, ignorując osłupienie na twarzy króla.

„Obyś się udławił” - powtórzył w myślach.

Gdy przebrzmiały słowa psalmu, rycerze zakonu świątyni zaczęli w milczeniu wstawać z klęczek i dosiadać koni. Dobry rycerz Joscelin de Royes wstał jako jeden z ostatnich, chwycił łęk i powoli, niezgrabnie wspiął się na siodło. Nie widział niczego, ani srebrno-czarnej chorągwi łopoczącej dumnie nad głową marszałka zakonu, ani blasku słońca na ostrzach wzniesionych włóczy, ani nawet ciemnych, hałaśliwych mas wojsk muzułmańskich rozlanych daleko na równinie.

Widział tylko przystojną twarz ocienioną czarnymi lokami, twarz, którą do tej pory utożsamiał z pięknem i potęgą. Twarz, którą teraz szpeciła bezbrzeżna wściekłość.

„Wybacz mi, panie - szepnął po raz tysięczny, pochylając się nad końskim karkiem. - Nie zawiodę, tym razem naprawdę nie zawiodę!”

Słyszał tryumfalne słowa Roberta de Sabie, który wyjechał przed szereg i grzmiał z mieczem wzniesionym nad głową, słyszał je, ale nie rozumiał, nawet nie próbował.

„Nie zawiodę. Tym razem wybrałem kogoś, kto podoła zadaniu. I to jeszcze w trakcie bitwy”.

Wiatr na chwilę wstrzymał oddech, chrześcijańskie proporce owinęły się na moment wokół drzewców, by po chwili zafalować ze zdwojoną energią. Proporzec ze złotym krzyżem Jerozolimy, złowieszczy srebrno-czarny beuceant zakonu templariuszy, czerwony sztandar jo-annitów przecięty srebrnym krzyżem, proporce Konrada Montferratu, Baliana z Ibelinu, Ludwika z Turyngii i wielu innych łopotały nad głowami znieruchomiałych jeźdźców rozstawionych w płot na obu skrzydłach hufców piechoty. Kuszownicy italscy oraz strzegące ich szeregi tarczowników również trwały niewzruszenie niczym milcząca ludzka forteca, a za

nimi wznosiły się szańce obsadzone przez równie milczącą czeladź. Słońce paliło niemilosiernie, po skupionych, poważnych twarzach spływał płot. Mało kto słuchał biskupów Pizy, Beauvois i Rawenny, którzy wyszli przed szereg i udzielali błogosławieństwa oraz absencji. Uwaga wszystkich skupiała się teraz na hufcach saraceńskich, coraz bliższych, coraz hałaśliw-szych, coraz bardziej wyzywających. Były tak blisko, że obdarzeni co bystrzejszym wzrokiem Frankowie widzieli już linie wersetów z Koranu na zielonych i niebieskich sztandarach. Byli tak blisko, że tylko czekać, kiedy wystrzelą z nich pierwsze oddziały konnych łuczników. Pot spływał po twarzach, wnikał w brody. Dłonie zaciśnięte na mieczach i drzewcach włóczni twardniały. Słońce prażyło.

Twarz mistrza zakonu templariuszy zakrył wysoki hełm garnczkowy, widać było tylko oczy, lśniące wytęsk-nieniem, niemalże pożądliwością.

- Już niedługo zniknie wszelki grzech - szeptał. -Zostanie stratowany, wypalony, utopiony we krwi. Jutrzejszy świt zastanie zakon czysty jak za czasów Hugona de Payns, natchniony Duchem Świętym, gotów do dalszych bojów. Już niedługo...

Balian z Ibelinu kichnął i pociągnął nosem. Amalryk de Puigney przeżegnał się po raz setny. Konrad Montfer-ratu ziewnął przeciągle i zmrużył przekrwione oczy. Krzyżowcy z Europy patrzyli na Saracenów i wydymali wargi ze wzgardą, chociaż niektórzy mało przekonująco. Gdzieś na skrzydle Marco Guiscard przemawiał z patosem do swych ludzi, też bez większej wiary. Król Gwidon de Lusignan z całej siły zaciskał dłonie w kolczych rękawicach, by nikt z towarzyszących rycerzy nie widział, jak bardzo drżą. W końcu uniósł prawą dłoń.

- Naczynajcie - powiedział cicho.

W chwili gdy mówił te słowa, Gaston de Baideaux był jedynym człowiekiem w całym hufcu, który nie spuszczał wzroku z Hugona de Lovance i Maurycego de Souhait. Ci wysforowali się przed szereg i coś sobie wskazywali pośród szyków nieprzyjaciela.

I nastąpiło to, co musiało.

W pewnym momencie rycerz de Souhait odwrócił się i spojrzał prosto na niego. Lany z jednego kawałka hełm normañski nie zakrywał jego twarzy i nawet z tej odległości widać było nienawiść płonąca w jego jedynym oku. Przybysz oparł dłoń na głównej miecza i leciutko skinął głową, zawierając w tym prostym geście obietnicę okrutnej zemsty.

„Wciąż ze mną jesteś?” - zapytał w myślach Gaston.

„Jestem - odpowiedział Głos cokolwiek niechętnie. -Choć nie powinienem”.

„Dlaczego?”

„Bo wreszcie zacząłeś sobie radzić. Jestem ci już niepotrzebny, Gastonie. Nauczyłeś się podejmować własne decyzje i...” »

„Ale ja... Ja będę znów potrzebował owej mocy, którą natchnąłeś mnie wtedy na rozstajach! Przecież de Sou-hait wciąż żyje, a ja...”

„Nie natchnąłem cię żadną mocą. To twoja własna nienawiść dodała ci sił. Nienawiść, gniew oraz przekonanie, że masz diabła po swej stronie. Tymczasem nie miałeś. Miałeś jedynie wiarę. Mówiłem ci zresztą, nie jestem diabłem”.

„Pomóż mi, proszę!”

„Pomogę ci. Ten ostatni raz ci pomogę”.

„Czy mogę się pomodlić?”

„Twoja sprawa. Ja nie jestem diabłem, już ci mówiłem”.

Na kolejną wymianę zdań nie starczyło już czasu, bowiem nagle rozbrzmiały pokrzykiwania baronów, a proporce chrześcijańskie zaczęły się opuszczać. Tu i ówdzie parsknęły konie popędzane przez jeźdźców. Szeroka ława rycerstwa chrześcijańskiego ruszyła na spotkanie wroga.

Rozdział dwunasty

w którym leje się krew, chwieją proporce i kruszy nadzieja. A Gaston walczy o życie i to z najróżniejszymi przeciwnikami, by wreszcie ulec czarom .

I naraz wszystko znikło. Wyrzuty sumienia, gorycz w sercu, nawet złowrogie spojrzenie Maurycego de Souhait, wszystko to znikło pośród grzmotu tysięcy kopyt. Oszołomiony Gaston de Baideaux rozglądał się na wszystkie strony, jakby nie mogąc uwierzyć, że stanowi część tak potężnej maszyny wojennej, że wreszcie doczekał chwili rozpoczęcia swej pokuty. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widział jedynie końskie łby, nad nimi surowe, poważne twarze krzyżowców, niektóre skryte już w cieniu hełmów, a jeszcze wyżej ostrza wzniesionych włóczni. Świat kołysał się w rytmie końskich kroków, wiatr poświstywał nieśmiało, jakby onieśmielony majestatem żelaznych szeregów chrześcijańskiej jazdy, ale potulnie unosił proporce zakonów rycerskich oraz zastępów niemieckich, francuskich, italskich i tych z Outremer.

Nowa armia krzyżowa szła stępą na spotkanie nadal manewrujących hufców muzułmańskich, które niespodziewanie buchnęły hałaśliwą muzyką trąb. I równie niespodziewanie zaczęły się przybliżać.

Gaston nakreślił znak krzyża, a potem zważył w dłoni włócznię. Serce biło mu jak szalone. Zerknął ukradkiem na Vittoria, mając nadzieję, że pokrzepi go widok zuchwałej miny towarzysza, lecz rozczarował się. Wysoki Italczyk był poważny, a nawet lekko błądy.

„Uważaj na siebie” - mówiło jego spojrzenie.

„Ty też” - odpowiedział podobnym Gaston i wyprostował się. Jazda saraceńska zbliżała się w szalonym tempie, rozhukana, niszczycielska niczym huragan.

- Gotuj się, zaraz się zacnie! - wykrzyknął Vittorio.

I rzeczywiście, czas na moment zwolnił, jakby świat

nabrał oddechu przed kolejnym krwawym rozdziałem swej historii, a potem słońce załśniło na ostrzu wzniesionego miecza.

- Bij! - krzyknął przenikliwie Gwidon de Lusignan, wypędzony król upadłego królestwa, i skierował ostrze ku nadciągającym wrogom. Pyszny gonfalon załopotał w odpowiedzi.

- Bij! - powtórzyli wielkimi głosami Konrad Montferratu, Balian z Ibelinu i Ludwik z Turyngii.

- Monjoie Saint Denis! - wykrzyknęli swe prastare zawołanie francuscy rycerze.

- Bóg i święty Jerzy! - huknęli inni.

- Jeruzaaaalem!

Wszechpotężny, ogłuszający krzyk z tysięcy piersi wystrzelił na spotkanie upojonych pędem wojowników saraceńskich, a potem opadły ostrza włóczni i żelazny hufiec chrześcijański runął na wroga. Tętent kopyt był tak ogłuszający, że zdawać się mogło, że to niebiosa się kruszą i pękają, a święci i aniołowie lada chwila wyjrzą zaniepokojeni zza obłoków.

Tymczasem było zupełnie inaczej. Aniołowie i święci mieli pierwszą bitwę pod Akką głęboko gdzieś.

Otwór w potężnym hełmie garnczkowym Roberta de Sabie był dość wąski, musiał odwrócić głowę w prawo, by dostrzec otoczonego przez najlepszych rycerzy marszałka Victora de Mouisse, z dumą dzierżącego beauceant. By dostrzec sędziwego brata Ruperta oraz brata Fulko, musiałby odwrócić głowę w lewo. Żeby dostrzec Josce-lina de Royes, musiałby odwrócić się całkiem, a na to akurat nie miał najmniejszej ochoty. I wcale nie dlatego, że dla kogoś noszącego tak ciężki hełm było to trudne wyzwanie

Zresztą Robert de Sabie nawet nie myślał, by się odwrócić. Wszystko, o czym marzył, znajdowało się bowiem tuż przed nim i przybliżało się z każdym uderzeniem kopyt w ziemię.

- Oczyszczenie... - szeptał, a jego rozgorączkowane oczy błyszczały. - Nastąpi oczyszczenie, już niebawem, już wkrótce... Grzechy zakonu spłucze krew, świt ujrzy nas wyzwolonymi spod mocy szatana...

Ziemia dudniła, ostrze kopii opadało i wznosiło się, sztandar łopotał. Wielki mistrz czuł za sobą potęgę dziesięciu tuzinów rycerzy w białych tunikach z czerwonym krzyżem, czuł moc ich złowieszczygo milczenia. Nie musiał się oglądać, by ich ujrzeć, oczyma wyobraźni widział kłusujący w ślad za nim równy, najeżony kopiami szereg rycerzy zakonnych; wiedział, że za każdym razem, gdy dotyka piętami boku swego rumaka, ów szereg również mimowolnie przyspiesza. Czuł się jak anioł zniszczenia, który jednym machnięciem ramienia jest w stanie zesłać na głowy grzeszników śmierć i zniszczenie.

„Grzeszników? - zaśmiał się w duchu. - A kogóż ja wiodę do boju, jak nie grzeszników? Jak nie gnuśników, sodomitów, brutali i tępaków? Ale ocaleję dla Ciebie zakon, Panie. Oczyszczę go w ogniu walki, pozwolę, by najwięksi z grzeszników oddali za Ciebie życie, a inni zrozumieci swe występki i ukorzyli się przed Twym majestatem. Wytnę grzech niczym gnijące mięso wokół rany...”

Saraceni pędzili na zwanie, prosto na spotkanie hufca templariuszy, który wyprzedził już pozostałe zastępy chrześcijańskie. Widział ich łopoczące rękawy i spiczaste hełmy, widział, jak w galopie wyrwali strzały z kołczanów i nakładali na cięciwy. Wiedział, co się zaraz stanie.

- Memento Finis! - ryknął i wałnął konia piętami, a sam pochylił się nad jego karkiem. Rumak wielkiego mistrza wystrzelił ku nadciągającym Saracenom zanim jeszcze niebo zakryła chmara strzał. Żelazny szereg runął w ślad za nim.

Vittorio coś wrzeszczał, ale Gaston nie rozumiał ani słów, ani intencji. Ogłuszony łomotem kopyt, przerażony coraz głośniejszymi saraceńskimi trąbami, przywarł do karku końskiego i modlił się, by nie spaść podczas szaleńczego galopu. Oniemiały patrzył na poprzedzające ich ciężkobrajne hufce rycerskie, na chorągwie unoszące się nad hełmami szarżujących jeźdźców niczym żagle dumnych korabi.

Nagle niebo zaciemniła chmara strzał. Przeważony Gaston wtulił głowę w grzywę konia i zacisnął powieki, ale nic nie mogło go odgradzić od świstu opadających strzał i wrzasku pierwszych trafionych. Koń gwałtownie uskoczył w bok. Gaston na ułamek sekundy rozwarł powieki, gdzieś mignął mu zad miotającego się na ziemi konia, potem dwie - nie, trzy! - strzały zerwały z siodła jeźdźca tuż obok. Vittorio pędził naprzód, pochylony, zasłonięty uniesionym wysoko turkopolskim kałkanem. Był blady, bardzo blady.

Nie mógł już zamknąć oczu, uniósł wzrok. Daleko z przodu kilka chorągwi zatrzymało się, zachwiało, jakby dumne korabie natrafiły na zdradliwe rafy. Jednocześnie w ogłuszający zgiełk trąb saraceńskich wdarł się szczeł oręża, coraz głośniejszy. Wychylił się w bok i ujrzał, jak hufiec templariuszy z jednej strony, a zastępy rycerstwa świeckiego z drugiej z ogłuszającym łomotem zatrzymały natarcie'wroga.

Nie, nie zatrzymały! Frankijska ława okazała się nieszczelna, tu i ówdzie między grupami walczących, na podobieństwo strumieni omywających kamienie, wdzierają się pierwsi Saraceni. Przybywało ich z każdą chwilą, roili się niczym wściekłe pszczoły wokół swego przywódcy, wysokiego rycerza w białym turbanie, który nagle wskazał mieczem skrzydło chorągwi Jakuba z Avesness. Zamigotały ostrza muzułmańskich mieczy, zaświstały strzały. Na szczęście dostrzegł to Hugo de Lovance, który nie zawahał się ani chwili.

- Bij! - przenikliwy wrzask młodego rycerza przebił się przez zamęt i zgiełk bitwy.

Po chwili pędzili już ku własnej bitwie. Już nie zważali na świszczące strzały, już nie zasłaniali twarzy tarczami, gnali na zatracenie porwani gorącym uniesieniem, nie myśląc już o sławie czy obowiązku. A Gaston galopował wraz z nimi.

„Dam sobie radę, prawda?” - zapytał.

„Nie wiem” - burknął Diabeł. Chyba z niepokojem.

Rozwrzeszczani mamelucy opadli rozpedzony hufiec zakonny na podobieństwo rozjuszonych psów myśliwskich, które usiłują zatrzymać szarżującego niedźwiedzia. I jak one odskakują, przepędzone machnięciem pazurza-stej łapy, tak i oni się cofnęli pośród trzasku pękających

włócznie, brzęku mieczy i rżenia rozhukanych, ciężkich rumaków. Niepowstrzymani templariusze parli naprzód, odrzucili już strzaskane włócznie i porwali za miecze, by dalej wyrąbywać szczyby w drgającym, żywym boku muzułmańskiej armii. Parli naprzód, rąbali, cięli i tratowali, nadal nieporuszeni, nadal straszni.

A wielki mistrz walczył na czele.

Krew mameluka, któremu poświęcony miecz przerąbał kołnierz koczny, bryzgnęła mu na hełm, ściekała po policzkach, ale nawet tego nie zauważył. Szalał jak natchniony, z lekkością przyjmował najcięższe nawet ciosy na swą tarczę, a jego okrwawiony miecz co rusz to zataczał kręgi i opadał w głąb wrogiego szyku, nieodmiennie po to, by odebrać życie kolejnemu wyznawcy proroka. Wkrótce przeredziło się wokół rumaka wielkiego mistrza, cofnęli się przerażeni mamelucy, a on parł naprzód, wiódł swych rycerzy coraz głębiej i głębiej.

- Wytnę grzech - szeptał chrapliwie zdyszany i spocony. - Utopię go we krwi pogan, stratuje, zdepczę... Walczcie, bracia, gińcie... Jutrzejszy dzień zastanie zakon silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Lecz dzielnym wojownikom przyszło tego dnia stawić templariuszom czoło, sprawnym i nieugiętym. W miejsce poległych i przerażonych skoczyli inni, owładnięci wizją rajy i łaski Allacha, wielu innych, niezmeńczonych i pałających żądzą krwi, aż zwolnił hufiec templariuszy, a w końcu zatrzymał się zupełnie, otoczony za wszystkich stron przez wroga. Szczęk oręża mieszał się z wrzaskami rannych i rzeniem koni przerażonych ścisaniem, a nad tym wszystkim pobrzmiwały trąby, teraz zdawałoby się, że zwiastujące Sąd Ostateczny. Osaczeni rycerze zakonnicy walczyli i umierali w milczeniu, a ich szyk, choć kurczył się w oczach, nadal był nierozzerwalny. Ich mistrz zaś nadal ciskał się jak szalony, obojętny na zmęczenie, odporny na rozpacz, a jego poszczerbiony już miecz zbierał krwawe żniwo wśród tych, co odważyli się stawić mu czoło.

Ale nie mógł zatrzymać wszystkich.

Gdzieś dostrzegł mameluka z gołą głową i twarzą wykrzywioną nienawiścią, który doskoczył do któregoś z rycerzy strzegących proporca. Zanim obrócił rumaka i swój ciężki hełm, templariusz kulił się już w siodle i wymiotował krwią, a Victor de Mouisse toczył walkę w obronie życia i beauceant. Sparował jeden cios Sarace-na, po nim drugi i trzeci, aż wreszcie wznosił miecz do ciosu. W tym samym momencie mameluk przemknął pod jego ramieniem i wbił mu ostrze w trzewia.

De Mouisse pochylił się, słabnącą dłonią pochwycił za sztylet, ale nie zdołał go wyszarpnąć. Mameluk zaś drapieżnie złapał drzewce sztandaru. Beauceant zakochał się, jakby protestując, a potem opadł.

- Nie! - ryknął Robert de Sabie, próbując przepchnąć się ku Saracenowi, lecz śmiałka otoczyli już towarzysze. Na zrozpaczonego templariusza zewsząd posypały się ciosy, które z najwyższym trudem blokował lub wyłapywał na tarczę.

I wtedy czas zwolnił.

Przybysz siedział na ogromnym, czarnym koniu, spokojnym niczym śmierć we śnie. Jego oczy, równie ciemne jak maść konia, świdrowały go i przeszywały, dopiero po chwili dostrzegł pełen aprobaty uśmiech na jego wąskich wargach, jakby wyciętych w skórze twarzy.

„Cóż za bój, Robercie de Sabie! - usłyszał cichy, powabny szept. - Cóż za wspaniały bój! Wspaniale walczysz, równie dzielnie służysz, czeka cię więc nagroda". I zniknął niczym sen. Czarno-biały sztandar, upuszczony na ziemię i wdeptywany w błoto przez oszalałe od ścisunku i zapachu krwi wierzchowce, był jednak realny.

Wielki mistrz ryknął z wściekłością i uderzył końskie boki piętami. Spuścił miecz na głowę najbliższego z mameluków, ale ten nawet nie drgnął, z pokorą przyjął cios, który rozłupał mu czaszkę i wydarł z niego życie.

Podobnie pozostali - nieruchomo oczekiwali na furię templariusza, który przedzierał się niczym burza, tnąc na prawo i lewo, a umierali w milczeniu, jakby coś - a raczej ktoś - przed momentem odebrał im wolę życia.

Wielki mistrz nie przejmował się tym zupełnie. Przypadł do konia templariusza, który zginął w obronie marszałka de Mouisse i pochwycił jego włócznię, nadal przytroczoną do siodła. Szarpnął za mocujące rzemienie i oto nagle syryjski wiatr uniósł płótno nowego beauceant, świeżego, nie zbrozonego jeszcze krwią.

- Ad gloriam Dei! - zakrzyknęli templariusze, zdyszani, poranieni, niektórzy już bez hełmów bądź z porąbanymi tarczami, ale nadal niewzycięzeni.

- Ad gloriam Dei! - wrzasnęli brat Rupert i brat Fulko.

I hufiec zakonny uderzył ze zdwojoną siłą.

Niedługo trzeba było czekać, by, wśród szeregów mameluckich zapanowało zamieszanie, z początku nieznaczące, lecz szerzące się z gwałtownością ognia w suchym lesie. 'Zagrały znów trąby, tym razem wysoko, z paniką. Mamelucy chwiali się, ich sztandary miały się, tylne szeregi rzucały się już do ucieczki.

Wilhelm du Triere spojrział z niepokojem na swego mistrza.

- Naprzd! - ryknął Robert de Sabie, stanąwszy w strzemionach.

- Nie! - wrzasnął komandor Tyru.

Nikt nigdy wcześniej nie słyszał, by ten stary templariusz o wyschniętej twarzy i oczach pustynnej żmii kiedykolwiek wykrzyknął, ale i tym razem nikt nie zwrócił

Marcin Mortka

na to uwagi. Wykrwawiony, poszczerbiony hufiec zakonny, wciąż niewzycięzony, rzucił się do pościgu za uciekającymi Saracenami.

Rycerze Hugona de Lovance, podobnie zresztą jak ich przywódca, nie mieli najmniejszego pojęcia o dyscyplinie czy karności, nadrabiali to natomiast nieposkromionym entuzjazmem i ślełą brawurą. Rozpędzeni, odurzeni szybkością i własną adrenaliną, uderzyli w Saracenów niczym stado jastrzębi, a ci, o wiele bardziej doświadczeni, natychmiast rozpięchli się na wszystkie strony. Tak oto starcie błyskawicznie rozpadło się na kilkanaście pomniejszych pojedynków, a Gaston natychmiast stracił z oczu Vittoria i Bernarda.

- Vittorio! - wrzasnął, lecz jego głos utonął w zgiełku walki.

„Uważaj!” - ryknął Diabeł.

Młodzieniec instynktownie pochylił głowę, w samą porę, by przepuścić górą świszczące ostrze saraceńskie-go miecza. Serce zabiło mu mocniej, szarpnął wodzami, by zawrócić konia w kierunku swego przeciwnika, lecz dostrzegł, że ten związał się już we wściekłym pojedynku z innym Frankiem. Tuż nad uchem świsnęła strzała, koń rżał przestraszony i bił kopytami w ziemię, nieopodal ktoś wrzeszczał z bólu.

- Allah Akbar!

- Sancti Sepulcrum!

Gdzieś dostrzegł samotnego łucznika, który na jego oczach zręcznie wyłuskał strzałę z kołczanu i napiął cięciwę, nie przestając kłusować. Ujął mocniej włócznię i popędził konia do szarży. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, znów się nachylił, czyjeś ostrze przecięło powietrze.

„Wyrzuć tę włócznię! - wył Diabeł. - Nie potrafisz walczyć włócznią, barani łbie!”.

Drzewce poleciało na ziemię, mokrą, zrytą w dzikim tańcu setek kopyt, tu i ówdzie skropioną krwią. Gaston porwał za miecz i machnął na oślep za siebie, by odpędzić przeciwnika czyhającego za plecami, jednocześnie zaś szarpnął za wodze, chcąc odwrócić konia. Wszelkie odgłosy zagłuszył jego własny, chrapliwy oddech oraz szalone bicie serca.

„Parada na głowę!” - ryknął Diabeł.

Ziemia zadudniła pod kopytami szarżującego konia, znów świsnęło ostrze, Gaston ledwie zdołał się osłonić. Zgrzytnęła stal, ramię młodzieńca zapłonęło bólem, ale już uderzał piętami boki swego konia, już parł do ataku. Saracen wrył swego rumaka kilkanaście metrów dalej,

zawrócił z impetem, zarzucając czarne loki na plecy. I ponownie runął do szarży, miecz wzniesiony nad głową, oczy zwięzione, bielutkie kły wyszczerzone niczym u czarnej pantery. A Gaston runął mu na spotkanie.

„Tnij konia w pysk!”

„Co?”

„Tnij konia! Gaston, ty nie walczysz o honor, ale o życie!”

Nie posłuchał. Popędził konia do jeszcze szybszego biegu, ujął miecz oburącz, wychylił się lekko i ciął prosto w szyderczo wykrzywioną twarz przemykającego saraceńskiego jeźdźca. Włożył w ten cios wszystkie swe siły, czyli o wiele za dużo.

Saracen odchylił się lekko. I uśmiechnął z drwiną.

Frankijski miecz przeciął bowiem powietrze, a w jedno uderzenie serca później Gaston, ku swemu skrajnemu przerażeniu, uświadomił sobie, że traci równowagę. Usiłował złapać za uzdę, za lęk, za grzywę, ale było już za późno. Zdołał jeszcze dostrzec przybliżającą się błyskawicznie, porytą, pokrwawioną ziemię, a potem potężne uderzenie wybiło mu dech z piersi.

„Krowy ci witką popędzać!” - wył Diabeł.

Zamroczony patrzył na roztańczone pędny zbliżającego się saraceńskiego rumaka, na wznoszący się miecz czarnowłosego jeźdźca, jasny, błyszczący na tle stalowo-szarego nieba.

„To nie może być koniec!” - pomyślał z niedowierzaniem, usiłując dźwignąć się na łokciu.

Saracen był coraz bliżej.

I wtedy pieśń wrogich trąb przybrała ton bardziej piskliwy, niemalże paniczny. Tu i ówdzie buchnęły okrzyki przerażenia, natychmiast zagłuszone tryumfalnym rykiem nacierających Franków. Chorągwie znów zafalowały, jakby niektórym korabiom udało się uwolnić ze śmiertelnych objęć raf. Saraceński rumak zadrobiał w miejscu, miecz opadł. Czarne loki jeźdźca zatoczyły łuk, gdy ten odwrócił głowę ku niktającym sztandarom swego ludu.

- Jeruzaaalem! - wrzasnęła ochryple Hugo de Lovance.

Ziemia znów zadrżała pod kopytami umykających Saracenów i ścigających ich Franków.

Gaston de Baide-aux zaś zacisnął powieki.

„Miałeś rację, Vittorio - wyszeptał w zbawczej ciemności. - Nie jestem jeszcze na to gotów. Chwała Bogu, że już po wszystkim.”

Niestety, mylił się, straszliwie się mylił. Bo gdy w końcu otworzył oczy, ujrzał Maurycego de Souhait.

Jego dawny konkurent o względy Izabeli de Mur-ble, a obecnie uosobienie najgorszych koszmarów, kucał kilka kroków od niego niczym kupiec zafrapowany stanem piasty swego wozu. Poza jednakże była jedynym, co przywodziło na myśl kupca. Ani bowiem okrwawionego miecza na kolanach, ani leżącego obok hełmu, zdjętego ani chybi dla łatwiejszego rozpoznania, rozprutej w kilku miejscach kolczugi czy loków lepiących się do spoconego, przeciętego blizną czoła w żadnym wypadku nie można byłoby uznać za atrybut tej profesji.

De Souhait nie odzywał się ani słowem. Kucał, nieruchomy niczym katedralny gargulec i jak on złowieszczy, dopiero po chwili uniósł dłoń i przesunął palcem po bliźnie na czole. Potem dotknął wylupionego oka, rozrąbanego nosa i wreszcie blizny, która nikła w gęstej brodzie.

- Zdziwiłeś się na mój widok, co? - odezwał się cichym, sepleniącym nieco głosem. Dopiero teraz Gaston dostrzegł, że na dolnej wardze również widać bliznę, brakuje też kilku zębów. - Otóż ja również nie mogę uwierzyć w to, że przeżyłem. Znalazło mnie kilku wędrownych cyrkowców, ale dopiero następnego dnia, grubo po południu. Już kręciły się wokół mnie dzikie psy, niepewne: zdechł czy nie zdechł?

Gaston otworzył usta, ale uciszyła go podniesiona dłoń Maurycego, czteropalca, jak się okazało.

- Zanim chciwi nagrody cyrkowcy przywlekli mnie do kasztelu, miało już się na wieczór - ciągnął. - Niemalże cała doba w błocie, de Baideaux. Nie dziw się, że gdy spocząłem we własnym łóżu, miałem już kilka tuzinów sposobów na zemstę. Kilka albo nawet kilkanaście. Wielce mnie rozczarowałeś swą ucieczką, de Baideaux. Wielce.

- I co teraz, de Souhait? - wykrztusił wreszcie Ga-ston. - Znalazłeś mnie chyba nawet szybciej niż sam się tego spodziewałeś. I co? Naprawdę chcesz się mścić? W jedynym oku Maurycego błysnęła jakaś złowroga iskra, co w pełni starczyło za odpowiedź.

- Jesteśmy obaj krzyżowcami, de Souhait! - Gaston usiłował mówić przekonująco. - Obaj walczymy o Grób Święty, o Jerozolimę! To nie czas na zemstę, a...

- Pokancerowałeś mi głowę - przerwał mu tamten, cedząc wolno. - Wybiłeś oko i kilka zębów, odrąbałeś nos. Upokorzyłeś przed ojcem i resztą rycerstwa z okolicy, ośmieszylesz przed Izabelą de Murble...

- Ona nie była tego warta - wykrzywił usta Gaston. -Wiem, że cię to nie pocieszy ani oka nie zwróci, ale drugi raz bym tego nie zrobił. Nie była po prostu tego warta.

- Nie wiem. - Przybysz uśmiechnął się złośliwie, przez co jego oszpecona twarz przybrała diabli wygląd. -Chędożyło się ją nie najgorzej, czego, niestety, sam nie zaznałeś ani już nie zaznasz. Bowiem mam chęć zrobić ci dokładnie to samo, co ty mnie, de Baideaux. Tylko że boleśniej.

Gaston uczynił gest, jakby chciał się podnieść, ale de Souhait błyskawicznie pochwycił za miecz. Okrwawioną klinga wymierzyła w pierś młodzieńca, nawet nie drgnąwszy.

- Ale zanim zacznę, odpowiesz mi na jedno pytanie -wycedził. - Jak to się stało, że taka lebiega jak ty, pośmiewisko całej okolicy, największe nieszczęście rodu de Ba-ideaux, ni z tego ni z owego najpierw ubija mi giernka, a potem niemalże zabija mnie?

Bitwa oddalała się, szcęk oręża i grzmot trąb były coraz cichsze, ale Gaston miał wrażenie, że pojawiła się w nich jakaś nowa nuta. Więcej nie mógł stwierdzić, sparaliżowany niemalże nieruchomym sztychem miecza Maurycego oraz jego wzrokiem, czarnym, lepkiem od nienawiści. Wiatr zaświstał z drwiną. Gdzieś galopował samotny jeździec.

- Mówią, żeś opętany - szeptał Maurycy. - Prawda to?

„Nie walcz z nim - podszeptał Diabeł. - Nie walcz. Udawaj strach, skul się na ziemi, poczekaj, aż do końca straci czujność. Wtedy rąbnij go sztyletem w łydkę”.

- Prawda? - Czubek miecza oparł się o łuski na zbroi Gastona. •

„Przyznaj się! Przyznaj się, skul na ziemi, zacznij wyć z żalu, cokolwiek! Posłuchaj, ty uparty durniu, posłuchaj, bo twoje nędzne życie...”

- Prawda. - Młodzieniec odwrócił wzrok, jego mięśnie zwiotczały. Brudne palce niespostrzeżenie dotknęły sztyletu przytroczonego do lewego uda, niewidocznego teraz dla Maurycego. Kątem oka dostrzegł, jak twarz przybysza znów się wykrzywia w parodii uśmiechu.

- Wiedziałem! - parsknął. - W przeciwnym razie nigdy nie dałbyś mi rady, ty żaloszny chudopachołku, ty psi synu!

Trzymał już sztylet pewnie, mocno. Wystarczyłoby teraz jedno szarpnięcie...

- No, to zobaczymy, jak dobrze cię twój czart chroni - parsknął Maurycy. Jego miecz, rdzawy od zakrzepłej krwi, pomknął ku niebiosom, by nabrać pędu.

„Teraz!” - warknął Diabeł.

De Souhait wrzasnął przenikliwie i złapał za rękojeść sztyletu, sterczącego z uda. Miecz opadł niegroźnie, wgryzł się błoto. Oszpecony rycerz szarpnął raz i drugi, usiłując wyrwać broń z rany, lecz nie zdołał, zdjęty bólem opadł na kolano.

- Strasznie dużo gadasz, de Souhait - wysapał Ga-ston, już z mieczem w dłoni. - Za dużo.

„Nie popełnij tego samego błędu! - huknął Diabeł. - Dobij skurwysyna!”

„Ale...”

„Nie ujdiesz de Souhait żywy spod miecza, nawet gdyby ten był ranny, ślepy i pijany!!!”.

„Raz go już położyłem!”.

„Był zaskoczony, a ty oszalała z rozpaczy! Dobij go, mówię ci, głupcze!”

Gaston wciąż się wahał.

Maurycy uniósł się. Jego straszliwą, pobladłą teraz twarz wykrzywił grymas cierpienia, ale jedyne oko aż buzowało wściekłością. Poplamiona własną krwią prawica pochwyciła za rękojeść miecza, rdzawa klinga przecięła powietrze. Ranny rycerz, posyкуjąc z bólu, ruszył w kierunku Gastona. Tym razem już nic nie mówił.

„No, to straciłeś swą szansę - parsknął Diabeł. - I co teraz, szlachetny rycerzu bez skazy? Co poczniesz teraz?”.

Gaston rozejrzał się. Bitwa przeniosła się ponad milę dalej w kierunku obozu wroga niczym straszliwy odpływ, zasławszy równinę setkami trupów końskich i ludzkich. Niewielkie z tej odległości sztandary i proporce obu stron nadal chwiały się i przemieszczały, lecz wycie wrogich tręb narastało, przybierało jakiś złowrogi, niepokojący ton. Mógł się mylić, ale wydawało mu się, że od masy wojsk chrześcijańskich odłączają się pierwsze luźne oddziały i mkną w kierunku własnego obozu.

Odwrócił się ku wzgórzom Turon, na którym wyrastało miasto namiotów frankijskich, bronione dotąd przez nieruchome szeregi karczowników i kuszników, i wyrastające nad nimi szańce. Teraz zalewały je masy jazdy saraceńskiej ani chybi pchniętej z Akki na odsiecz braciom w wierze.

Maurycy utykał powoli, lecz z zaciętością. Porzuceni ranni krzyczeli, gdzieś rżał koń, ktoś rwącym się głosem wzywał świętych. Gaston podświadomie zrobił krok wstecz i wtedy usłyszał przybliżający się tętent kopyt.

Odwrócił się, natchniony nagłą nadzieją.

Widział już kiedyś tę szczupłą, porośniętą rzadkim futrem twarz bez hełmu, przypominającą bardziej zwierzęcą aniżeli ludzką. Widział i dobrze pamiętał przesłanie, jakie wyczytał w spojrzeniu jego przymrużonych, zaczerwienionych oczu.

- Anzelm z Ar-Ramli - wyszeptał z ulgą. - Anzelmie! - zawołał, machając dłonią.

Rycerz z wilczą twarzą pędził prosto na niego. Jego koń targał łbem i wierzgał, bez wątpienia przerażony tym, kogo przyszło mu dźwigać, ale odmieniec prowadził go twardą ręką, nie pozwalając na żadne wybryki. W prawej dłoni trzymał długi miecz, równie ostry jak spojrzenie, które wbijał w Gastona.

Przestraszony Maurycy cofnął się, wzywając wszystkich świętych, potknął o czyjeś zwłoki, padł z głośnym jękiem.

- Anzelmie? - zawołał Gaston, naraz niespokojny.

Rumak odmieńca przesadził sztywne już końskie truchło, nadziane na ułamaną włócznię. Anzelm uderzył piętami, kopyta zadudniły szybciej, rycerz stanął w strzemionach i uniósł miecz do ciosu.

„Uciekaj!” - wrzeszczał Diabeł.

Posłuchał go. Pędził jak oszalała, przeskakując rannych i trupy, potykając się o ułamane włócznie i bruzdy porytej ziemi. Biegł, a za sobą słyszał narastający tętent kopyt i chrapliwy oddech przerażonego konia. Sadził rozpaczliwe susy, a jego plecy płonęły, przewiercane wzrokiem Anzelma.

„Zaraz cię dopadnie! - krzyczał Diabeł. - Będzie cią z prawej! Z prawej! Skacz!”

Znów posłuchał. Zebrał wszystkie siły i dał szaleńczego susa na lewo, umykając przed opadającą klingą. Tracony końskim kolaniem, zatoczył się, zaplątał w ubłocony płaszcz, padł na kolana, zdyszany, przerażony.

„Nawraca! Biegnij, durniu, nie poddawaj się, biegnij!”

- Nie mogę! - wychrypiał Gaston, łapiąc chciwie powietrze. - Niech się dzieje, co...
„Nie wolno ci! Ty masz jeszcze wiele do zrobienia, Gaston! Wraca! Wraca!”.

- Niech wraca...

„Hej, zaraz...”

W głosie Diabła, w którym zazwyczaj pobrzmiwał albo cynizm albo drwina, niespodziewanie pojawiło się zaskoczenie tak wielkie, że Gaston, pomimo skrajnego wyczerpania, odwrócił głowę tam, skąd powinien nadjechać Anzelm. I aż zamarł ze zdumienia.

Nie widział go ani nie słyszał, by nadjeżdżał, a jednak tam był. Wąsaty rycerz z zieloną tarczą trzymał Anzel-mowego rumaka za uzdę i mówił coś cicho, a rycerz-od-mieniec słuchał. Potem spojrzął na Gastona, a dziki blask w jego oczach nagle przygasł. Odetchnął ciężko i spuścił wzrok, a wąsacz pokiwał lekko głową i nagle, jakby dla dodania odwagi, klepnął go w kolano.

W chwilę później już siedział w siodle własnego wierzchowca.

- Niech was Bóg prowadzi! - wykrzyknął do Anzelma. - I was też, Gastonie!

I znów Gaston byłby gotów przysiąc, że mrugnął porozumiewawczo. Na kolejne spostrzeżenia zabrakło jednak czasu, albowiem Anzelm gwałtownie wsunął miecz do pochwy i odrzucił rzadkie, siwiejące włosy na plecy. Wyglądał już niemalże ludzko, jedynie ślady odcisnięte na górnej wardze wskazywały, iż jeszcze przed chwilą wbijały się w nie masywne kły.

- Wskakuj! - wrzasnął rozkazująco, wskazując zad swego konia, już spokojniejszego. - Wskakuj, nic ci już nie zrobię! Nie mamy wiele czasu!

Jego palec wskazał południe, miejsce, gdzie toczyła się bitwa. Gaston, wciąż ciężko dyszący, odwrócił się i oniemiał. - O Boże...

- A grzech utopię... - charczał wielki mistrz. - Utopię w krwi niewiernych...

Oczyszczony zakon powita...

Kolejny cios mameluka niemalże rozłupał mocno sfatygowaną już tarczę, ale nie przejmował się tym, poderwał się w strzemionach i ciął znad głowy, jak zwykle celnie. Odbił kolejny cios, inny sparował drzewcem chorągwi, znowu rąbnął, tym razem nie trafiwszy.

- ... powita kolejny... kolejny dzień boży... gotów dodo...

Nie musiał nawet mierzyć, mamelucy napierali ze wszystkich stron, gdzie nie spojrzął, widział głowy kryte stożkowymi hełmami i kolcze zasłony na twarze, gdzie się nie obrócił, dostrzegał płonące nienawiścią ciemne oczy Saracenów oraz ich oręż. Nic nie mogło nakłonić go do bardziej zaciętej walki, nic bardziej nie dodawało siły. Parł przed siebie i rąbał niestrudzony, a za nim jego hufiec zakonny, duszony przez wroga, tłamszony, rozrywany, ale wciąż niepokonany.

- Panie... Panie, wesprzyj mnie...

Targnął nim spazm bólu. Jakiś Saracen z twarzą zalaną krwią przypadł do jego strzemienia i z całej siły wbił mu sztylet w goleń. Wielki mistrz ryknął i rąbnął śmiałka głowicą miecza w twarz, posyłając go pod kopyta innych koni, a wtedy rozległ się potężny łomot, i Robert de Sabie zachwiał się w siodle.

Mocny hełm, kuty przez najlepszych italskich kowali, wytrzymał straszliwy cios, ale ogłuszony templariusz omal nie stracił przytomności. Nie dostrzegł Saracena, który go zaatakował, ale posłuszny instynktowi wojownika ciął w tym kierunku. Słaby był to cios, ledwie zdolny drewnianą deskę przerąbać, jakże niepodobny do poprzednich.

I naraz wielki mistrz uświadomił sobie, że sztywne ramię z trudem podnosi broń do kolejnego uderzenia. Że ciało pulsuje bólem z rozlicznych ran, a oba boki oddychającego chrapliwie rumaka spływają krwią. Że jest spragniony, a oczy zalewa mu pot.

A potem to, że znaleźli się w pułapce.

Odwrócił głowę w bok. Wąski otwór hełmu pozwolił mu dojrzeć chorągiew Andrzeja z Brienne, unoszącą się nad namiotami obozu saraceńskiego, która nagle zachwiała się i znikła. Dalej dostrzegł znak Konrada Montferratu, opuszczony na znak odwrotu. I masy, nieprzebrane masy wojsk saraceńskich nacierających z prawego skrzydła na rozsypujące się hufce frankijskie.

- Boże!.. - wyszeptał. - Jesteśmy zgubieni... Zakon jest zgubiony!

„Och, przestało ci już zależeć na oczyszczeniu go z grzechu?” - szepnął mu do ucha czyjś głos, melodyjny, aksamitny, ale i złowieszczy. Przez moment był pewien, że wśród walczących mignął mu czarnowłosy jeździec na czarnym koniu, ale odepchnął wszelkie wątpliwości. Pozostawała mu tylko jedna rzecz do zrobienia.

- Odwrót! - wrzasnął, zdzierając sobie gardło. - Odwrót, bracia!

Joscefin de Royes jak zwykle walczył w ostatnich szeregach hufca zakonnego. Nie był człowiekiem tchórzliwym, a w sztuce władania mieczem niewiele znajdował sobie równych, ale nie znosił starć w polu, gdzie jego, człowieka stworzonego do wyższych celów, mógł zabić byle ciura obozowy. Gardził ustępem reguły, nakładającym na bractwo zakonne obowiązek nieuchylania się od walki i zawsze trzymał się tyłów, gdzie ścisk panował najmniejszy, a i uciec byłoby stosunkowo łatwo.

Tego dnia jednakże mniej dbał o swe bezpieczeństwo. Nie pchał się w gąszcz wrogów, ale na próżno byłoby w nim szukać owego skupionego, bezbłędnie wychwytyjącego wrogie ciosy wojownika, którym stawał się na polu bitwy. Joscelin walczył nieuważnie, odbijał mame-luckie klingi niemrawo, nierzadko dopiero w ostatniej chwili, sam atakował rzadko. Usiłować się skoncentrować, lecz nie potrafił. Nie tego dnia.

Twarz każdego ze ścierających się z nim Saracenów nabierała bowiem rysów pięknego przybysza o powabnym głosie, demona, który hojnie nagradzał, ale i straszliwie karał. W każdym spojrzeniu dostrzegał ślady furii, której stawiał czoła tej nocy, a jego serce co rusz skuwał lód. W myślach wciąż słyszał echo jego straszliwego wrzasku, dłoni trzymająca miecz nadal drżała. Opędzał się niemrawo, bez zaangażowania, jakby nie dostrzegał realnego zagrożenia wokół siebie. W rzeczy samej, potem, co przeszedł tej nocy, śmierć z ręki wroga nie wydawała się niczym groźnym.

- Ale to minęło - szeptał do siebie, usiłując się pocieszyć. - Należycie się o to zatroszczyłem, ten człowiek mnie nie zawiedzie. Nie może mnie zawieść...

Walczył jak we śnie, nic dziwnego więc, że opuszczenie beauceant, co stanowiło sygnał do odwrotu, dostrzegł dopiero w chwili, gdy pozostali bracia zaczęli już zawracać konie.

„Odwrót? - pomyślał z niedowierzaniem, a była to pierwsza przytomniejsza myśl tego dnia. - Czyżby starego de Sablé nagle tchórz obleciał?”

Odbił przypadkowy cios i błyskawicznie zawrócił rumaka, a wtedy westchnął z niedowierzaniem po raz drugi. Pomimo swej niechęci do starć w polu, miał sporo doświadczenia wojennego i starczył mu ów pospieszny rzut oka, by zrozumieć powagę sytuacji. Frankijskie hufce gnały na łeb na szyję w kierunku wzgórza Turon, wokół którego również trwały walki, a zapał bitewny i święte uniesienie ustąpiły miejsca przerażeniu, a nawet panice. Gdzieś kołysał się sztandar uciekającego Gwidona de Lusignan, gdzieś łopotał proporzec Baliana z Ibe-linu i Roberta Dreux, dostrzegł również czerwoną chorągiew szpitalników, wszystkie w odwrocie. Masy jazdy saraceńskiej, które następowały chrześcijanom na pięty, wydawały się nieprzebrane, muzyka ich trąb drapieżna, tryumfująca. „Mam nadzieję, że zdążył - pomyślał, popędzając konia do galopu. - Och, oby zdążył...” Niedobitki templariuszy umykały we względnym porządku, podobnie orszaki baronów syryjskich, ale przybysze z Europy nawet nie próbowali zapanować nad swymi hufcami. Gnali co koń wyskoczy ku obozowisku, nie troszcząc się o szyk, serwieńsów czy nawet towarzyszy, niektórzy pogrążeni w zaciętym milczeniu, inni wrzeszczący ze strachu. Nikt nie zwalniał, nikt nie oglądał się za siebie, za wyjątkiem wielkiego mistrza de Sabie, który

niespodziewanie odbił od swego hufca i popędził okrwawionego, ciężko dyszącego rumaka ku niewielkiemu wzniesieniu, które rozcinało strumień uciekających na dwa mniejsze. Za nim pognął brat Rupert, wielki sukienny, ale to już Joscelina nie interesowało.

„Na pewno zdążył - powtarzał swe zaklęcie. - Musiał zdążyć, bo w przeciwnym razie...”
I nagle świat pomroczył.

Konie templariuszy, poranione i znużone walką, niosły coraz wolniej, przez co hufiec zakonny został wyprzedzony przez całą chmarę innych jeźdźców, głównie lekko zbrojnych giermków i serwieńców. Rozkrzyżowani, z łopoczącymi płaszczami, wyglądali jak stado ptaków, gotowych zerwać się do lotu, i jak ptaki to zbijali się w większe grupy, to znów rozpadali na pomniejszych. I to podczas jednego z takich mimowolnych, chaotycznych manewrów Joscelin dostrzegł Gastona de Baideaux.

Przez moment miał nadzieję, że myli go z kimś innym, że nietrudno o jasnowłosego młodzieńca we frankijskim wojsku, ale wtedy zauważył, że człowiek, wraz z którym dosiada jednego konia, to Anzelm z Ar-Ramii.

- Piekło i szatani - wyszeptał, sztywniejąc ze strachu. - Anzelm zdradził... De Baideaux żyje...
Nie, nie, tylko nie to!

Chciał popędzić konia, przebić się przez lekką jazdę i zasieć obydwu, ale wtedy właśnie jego koń potknął się i chrapanął z przerażenia, tłum uciekających jeźdźców na nowo zgęstniał. Gaston i Anzelm znikli mu z oczu.

- Panie - szepnęła Joscelin. - Panie, zlituj się nade mną. Dopadnę de Baideaux, ubiję go, przysięgam, przysięgam! Oszczędźcie mi tylko tortur, a dopadnę go, przysięgam.

Ale ten, kogo zwał swym panem, był chwilowo zajęty. Miał inną sprawę na głowie. Wielki mistrz ściągnął hełm. Tu, na wzniesieniu, powiewał nieco chłodniejszy wiatr, który natychmiast ostudził jego spoconą twarz. Robert de Sabie nie dbał jednak o własną wygodę. Z bólem przeliczył ocalałych zakonników, którzy właśnie przemykali nieopodal, a potem spojrzął ku świeckim hufcom. Masy rycerstwa umykały co siłą ku obozowisku na wzgórzu Turon, wokół którego również toczyły się walki, a za nimi następowały bez litości hufce saraceńskie. Niektórzy z jeźdźców szyli z łuków w maruderów, inni, co śmielsi, osaczali uciekających i strącali z siodeł mieczami bądź włóczniami, jeszcze inni w pełnym biegu ścinali tych, którym padły konie. Klęska zapowiadała się całkowita.

- Dobry Boże, wciągnęli nas w zasadzkę - szeptał spierzchniętymi wargami. -
Gdybyśmy nie rzucili się do pościgu po rozbiciu pierwszych oddziałów, nie zasłubiły nas ze skrzydła! Gdybyśmy powstrzymali szarżę, byliśmy zwycięzcami... Boże, Boże, czemuś nas opuścił?

- Boście tchórzostwo okazali, wielki mistrzu - warknął ktoś za jego plecami.
Robert de Sabie drgnął. Pochłonięty widokiem, nie zauważył ani nie usłyszał jeźdźcy, który wdarł się na wzniesienie tuż za nim.

- Tchórzostwo? - parsknął z rozpaczą. - Tchórzostwo, bracie Rupercie? Spójrzcie tylko! Spójrzcie! Nawet najmężniejszy hufiec nie zatrzymałby tej ćmy! Czyżby zależało wam na śmierci nas wszystkich? Na zagładzie zakonu?

- Jesteśmy ubogimi rycerzami Chrystusa! - oznajmił stary templariusz, podjeżdżając bliżej. Jego blade oczy błyszczały niezdrowo. - Naszym zadaniem jest walka dla chwały Pana, mistrzu! Walka bez litości, bez wahanias!

- Tedy jedźcie, bracie! - zaśmiał się mistrz i odwrócił się ku polu bitwy. - Jedźcie, walczcie, gińcie, skoro tego pragniecie.

Nie powinien był drwić ze starego zakonnika. Nie powinien się też odwracać do niego plecami ani lekceważyć szalonego blasku w jego oczach. Wszystkie te rzeczy uświadomił sobie jednakże za późno, w chwili, gdy ostrze Rupertowego sztyletu tkwiło już w jego boku, a ciało wykrzywił paroksyzm bólu.

- A żebyś wiedział, że pojedę - wyszczał starzec prosto do ucha. - Poprowadzę zakon do świętej wojny w imię Pana zamiast ciebie, zdrajco.
I mówił jeszcze, ale tego Robert nie usłyszał. Niczego już nie usłyszał.

Gaston de Baideaux nie miał pojęcia, że przeoczył tego dnia wiele wielkich chwil. Nie widział zaciętej walki burgundzkich rycerzy, których Saraceni wyparli ze zdobytego przed momentem obozu, a także śmierci ich przywódcy, hrabiego Andrzeja z Brienne. Nie widział idących w rozsypkę szyków rycerstwa niemieckiego i śmiertelnie pobladłego Ludwika z Turynii, który rzucił się do ucieczki jako jeden z pierwszych. Nie dane mu było również ujrzeć desperackiego natarcia hufca szpitalników na oddziały z Akki, które w międzyczasie próbowały zdobyć wzgórze Turon, ani półprzytomnego z gorączki Baliana z Ibelinu, który bezskutecznie usiłował zawrócić oszalałych z przerażenia rycerzy, aż do reszty stracił głos. Nie był również świadkiem dramatu Konrada Montferratu, który został otoczony wraz z garstką przybocznych przez przeważające siły wroga, a uszedł z życiem tylko dzięki szaleńczemu kontratakcji swego największego konkurenta, króla Gwidona de Lusignan. Nie zdołał nawet wziąć udziału w desperackiej obronie na szańcach wokół obozu, której przewodził nieustraszony Gotfryd de Lusignan, brat królewski.

Wiedział natomiast, że musi, po prostu musi coś sprawdzić.

- Tam jedźcie! - wrzasnął do ucha rycerzowi Anzelmowi, usiłując przekrzyknąć zgiewk obozowiska. - Wyżej! Tam, gdzie stoją namioty Burgundczyków!

- Po co? - odkrzyknął Anzelm. - Gastonie, to nie miejsce dla nas! Trzeba nam uchodzić...

- Błagam was! To nie zabierze wiele czasu!

Serce biło mu jak szalone, lecz tym razem nie ze strachu, lecz z obawy o kogoś. O kogoś, kto już kilkakrotnie okazał mu obojętność, kogoś, kogo właściwie powinien nienawidzić lub w najlepszym razie obdarzać wzgardą. Kogoś, kto za nic miał uczucia, a swą cześć wykorzystywał w swych diabelskich intrygach dla ułatwienia zwanych polityką.

- Szybciej! - krzyczał do ucha Anzelmowi, a ten popędzał strudzonego, otepiałego konia, przedzierającego się wśród tłumów przerażonych, rannych uciekinierów. -Do licha, jeśli Saraceni wdarli się do obozowiska...

- Gastonie!

To, że usłyszał jej krzyk w ogłuszającym zgiewku obozowiska, zakrawało na cud. Drugim cudem zaś okazało się jej piękno.

W ciżbie zakrwawionych, brudnych rycerzy Vivienne de Grenier przypominała rajskiego ptaka w bezlistnym, martwym zagajniku. Gdy tak biegła, zdyszana i przejęta, zdawała się wręcz nie dotykać stopami błota, a luźne pasma jej włosów płynęły za nią niczym pasma żywego złota. W istocie, rycerze zamierali i kłaniali się jej zarumienionym policzkom i szeroko rozwartym, błyszczącym oczom.

Równie oczarowany Gaston bezwiednie zsunął się z siodła.

- Pani... - wykrztusił. Jej błękitne, zaniepokojone oczy były teraz całym jego światem. - Pani, jesteście cała? Nic wam nie zagroziło?

- Gastonie! - Vivienne pochwyciła jego dłonie, ścisnęła, przytuliła do piersi. - Dobry mój Gastonie! Czas nastał!

- Czas? Na co? - zamrugał oczyma młodzieniec.

- Nie pamiętasz? - Głos hrabianki lekko stwardniał. -Hugo de Lovance wyruszył, nie zwlekając! Gnajcie za nim! Życie Marii Komnenny jest w niebezpieczeństwie!

- Tak. Maria Komnena - wymamrotał Gaston i cofnął się, wyswobadzając swe dłonie. - Oczywiście.

- I pamiętajcie! Dar il-Hasan!

Odwrócił się, zaciskając mocno zęby. Starczyło kilka słów Vivienne, by jego serce ostygło niczym palenisko polane wodą. I znów nie mógł się nadziwić niekontrolowanej głupocie, która nakazała mu troszczyć się o jej bezpieczeństwo.

- Opuśćcie obozowisko, Anzelmie - powiedział swemu nowemu towarzyszowi. - Pospieszcie się, zanim zbyt wielu ludzi dostrzeże waszą obecność. Ja odnajdę jeszcze paru ludzi, a potem wspólnie udamy się w drogę. Mam pewną rzecz do załatwienia. Zgodzisz udać się ze mną?

Rozdział trzynasty

w którym Vittorio toczy kłótnię, Gaston nadal pobiera nauki, niektóre dość bolesne, a Anzelm snuje opowieść.

Kompania zaś się powiększa za sprawą Adalberta i ku zdumieniu wszystkich opuścili obozowisko na wzgórzu Turon wraz z panującym w nim zamieszaniem. Opuścili je w głębokim, urażonym milczeniu, którego pośrednią przyczyną bez wątpienia była klęska armii krzyżowej. Bezpośrednią natomiast osoba ojczulka Adalberta.

Vittorio, który w trakcie bitwy otrzymał potężne uderzenie w głowę, zaprotestował przeciwko uczestnictwu kapelana z gwałtownością, jakiej jeszcze u niego nie widzieli.

- Po co?! - wrzeszczał, zaciskając obie dłonie na brudnym bandażu, owiniętym wokół skroni.

- Po co chcesz wlec tego obsranego ze strachu kurwiarza przez Schody Tyryjskie? Umie stawać w boju? Potrafi obmyślać fortele? A może chociaż gotuje, co? A zatem po jaką cholere go ciągnąć, Gaston? No, chyba żeby było kogo zostawić w tyle, gdyby nas goniły hieny!

Rozdział trzynasty joi

Darł się bez końca, zapłakany Adalbert załamywał ręce, bił się w pierś i błagał niebiosa o karę za swe grzechy, a Bernard, o dziwo nawet nie drażnięty, posapywał gniewnie i zaciskał sękatę łapska na kiju. W końcu de Baideaux kopniakiem zmusił kapelana do wstania, a drugim kopniakiem zachęcił go, by wspiał się na siodło jednego z dwóch luzaków pochwyconych przez zapobiegliwego Bernarda. Potem sam dosiadł konia.

- Jak ci się nie podoba, to zostań - rzucił z góry, gdy zasapany Vittorio wreszcie zamilkł. - Przydasz się zresztą tutaj. Templariusze zebrali dziś niezłe łanie i z pewnością będą chcieli wyładować na kimś złość.

I kopnął końskie boki piętami, a za nim Bernard oraz pochlipujący Adalbert. Nie obejrzał się ani razu, ale wcale nie był zdziwiony, gdy obrażony na cały świat Vittorio doścignął ich jakąś milę za obozem, tuż przed tym, zanim dołączył do nich Anzelm z Ar-Ramli. Jechali więc w piątkę ku widocznemu na horyzoncie masywowi Schodów Tyryjskich, a każdy z nich milczał zawzięcie. Vittorio, bo głowę rozsadał mu ból i wyrzucał sobie, że uległ w kłótni z Gastonem. Gaston, bo znów pozwolił sobie na nadzieje wobec Vivienne i po raz kolejny został zraniony. Adalbert, bo Vittorio miał rację od początku do końca swej tyrady. Bernard, bo mówić nie umiał. Anzelm, bo mówić nie lubił.

Po południu Gaston, wciąż pogrążony w swoich gorzkich rozmyślaniach, uświadomił sobie ze zdumieniem jeszcze jedną rzecz. Ni z tego, ni z owego, choć w ich grupie było dwóch pasowanych, nieoczekiwanie to on został przywódcą.

Jechali we względnej ciszy aż do wieczora. Trakt był pusty niczym serce grzesznika i jak dotąd nie napotkali ani jednego podróżnego, zupełnie jakby wszelkie życie tej krainy skupiło się wokół nieszczęsnego wzgórza Turon. Znów towarzyszyło im palące słońce, znów były kłęby pyłu spod kopyt, znów gorące powietrze falowało, zamieniając odległe wzgórza i winnice w rozedrgane plamy. Znużeni i przygnębieni uchodzili ku Schodom Tyryjskim w znacznie gorszych nastrojach aniżeli z nich zesli.

Dopiero wieczorem, gdy masyw przełęczony stał się wyraźniejszy, a powietrze chłodniejsze, ożywił się Vittorio.

- Tak mnie cały czas korci, by zapytać, drogi ojczulku - zagadnął niespodziewanie Adalberta - co mówi Pismo Święte na temat bogacenia się.
- W Księdze Tobiasza rzecze anioł Rafał: „Lepsza jest modlitwa ze szczerością i miłosierdzie ze sprawiedliwością aniżeli bogactwo z nieprawością - odparł ksiądz, udając, że nie słyszy złośliwej nuty w głosie Italczyka. -Albowiem lepiej jest dawać jałmużnę aniżeli gromadzić złoto".
- Coś podobnego! - zdumiał się Vittorio. - Naprawdę? A tłumaczy ów anioł, skąd wziął ten rewelacyjny wprost pomysł?
- Tłumaczy, że jałmużna uwalnia od śmierci i oczyszcza z każdego grzechu. Ci, którzy dają jałmużnę, nasytzeni będą życiem.
- Niewiarygodne. Najwidoczniej aniołowie mają inne doświadczenia w tej materii od nas, śmiertelników. Może więc coś o śmiertelnikach? Król Salomon, na ten przykład. Coś mi mówi, że miał bogactw bez liku, prawda?
- Prawda. Księga Królewska powiada, że co roku przynoszono mu sześćset sześćdziesiąt sześć talentów złota, a dodatkowo otrzymywał jeszcze złoto z podatków i danin.
- O, oto wzór do naśladowania! A jak do tego doszedł, pamiętacie może?
- Swą mądrością i skromnością, rycerzu Scozzi - tym razem to Adalbert zdobył się na ironię. - Na wyżynie Gibeon król Salomon prosił Pana o mądrość i wiedzę, by móc sprawiedliwie rządzić swym narodem. A wtedy odpowiedział Pan: „Ponieważ dążeniem twego serca było nie żeby prosić o bogactwo, o skarby i chwałę ani o śmierć tych, którzy cię nienawidzą, ani o długie życie, ale pragnąłeś dla siebie mądrości i wiedzy, aby sądzić mój lud, nad którym ustanowiłem cię królem, przeto daję ci mądrość i wiedzę, ponadto obdaruję cię bogactwem, skarbami i chwałą, jakich nie mieli królowie przed tobą i nie będą mieli po tobie".
- Hmmni - mruknął Vittorio, nieszczególnie rozczarowany. - A więc mądrość. Słyszysz, Gastonie? Mądrość doprowadzi nas do bogactwa. Cóż, trudno się z tym kłócić. Ja do owych salomonowych odkryć dorzuciłbym jeszcze intuicję. Bo żeby zostać bogatym, trzeba odpowiednio szybko wyczuć, czego komu brakuje. Takie al-manaki na przykład. Hej, Gaston! Słyszałeś kiedyś o al-manakach?
- Nie.
- A szkoda. Wspaniała inwestycja. Otóż Saraceni mają wśród siebie mędrców nie byle jakich, którzy mądrości się wśród gwiazd dopatrują, a potem spisują to wszystko w rocznych almanakach i sprzedają za krocie. Któżby się bowiem oparł pokusie poznania przyszłości za marnych parę dirhemów? Interes, że hej! Słyszysz mnie, Gaston?
- Słyszę.
- Oto moja przyszłość! - oznajmił nagle Italczyk, prostując się w siodle. - Zostanę astrologiem, będę spisywał te banialuki i sprzedawał ludziom, a tu i ówdzie dodam fragmencik, że Gaston de Baideaux mógłby dobrym królem zostać. Co ty na to?
- Dostrzegam kilka niedociągnięć - zmarszczył brwi młodzieniec. - Jak choćby to, że nie umiesz pisać.
- Od czego mamy klechę! - Vittorio klepnął kapelana w łopatkę.
- Nie mów fałszywego...
- Dobrze już, dobrze! Znajdę sobie innego piśmiennego współnika. A tobie, Gastonie, gratuluje. Wykazałeś się mądrością, wytknąłeś mi mą wadę. Pozwolisz więc, że tym razem to ja zbadam twą mądrość i zapytam, gdzie my właściwie jedziemy? Bo obawiam się, że...
- Że to nie po drodze z twoją inwestycją? - uśmiechnął się krzywo de Baideaux.
- Że to nie po drodze z żadną inwestycją - spochmur-niał Italczyk. - Wbrew temu, co głosi wieść gminna do spółki z księżmi, w Outremer niełatwo dojść do bogactwa. U boku rycerza Floriana niczego się nie dorobiłem, bo posłuchałem serca. Chciałem postąpić szlachetnie, tfu! Jedyne, co osiągnąłem, to smycz, którą zaciągnęli mi na szyi templariusze.

Później próbowałem się dorobić w Tyrze, ale też nie wyszło, choć wtedy, nauczony doświadczeniem, starałem się nie słuchać serca, a działać na chłodno, z wyrachowaniem. Niestety, też nie na wiele mi się to zdało. Zaskarbiłem sobie jedynie wieczną... No, nieważne kogo. W końcu spróbowałem wszystko postawić na jedną kartę i osiągnąć coś szalonym czynem. Jak sam wiesz, nie wyszło tak, jak to sobie zamierzyłem. Hrabianka de Grenier zwróciła uwagę na ciebie, marnego imitatora, a nie na mnie, genialnego pomysłodawcę, ale już to przebolełem i wywlekać swych żalów nie będę. Sama ta kruczata również okazuje się przedsięwzięciem wysoce nieopłacalnym...

Głos lekko zadrżał mu przy tych słowach, Vitto-rio kaszlnął raz i drugi, po czym na moment odwrócił wzrok.

„Przecież on znalazł się w samym środku bitwy -uświadomił sobie nagle Gaston ze współzuciem. - Bez nogawic kolczych, bez porządnej tarczy. Boże, to cud, że wykpił się jedynie guzami!"

Italczyk jednakże błyskawicznie odzyskał rezon, a złośliwość w jego głosie natychmiast przegnała Gasto-nowe współzucie.

- Grunt, że ojczulek Adalbert natchnął mnie nową nadzieją - oznajmił głośno z patosem.

- Teraz spróbuję mądrością jak król Salomon.

- Brawo - mruknął de Baideaux i sięgnął po niemalże pusty bukłak. - Nie sądzę, byś mógł coś w ten sposób stracić.

- Prawda. A zatem skoro mam być mądrym, to powrócę do swego poprzedniego pytania. Powiedz mi, przyjacielu, co my właściwie teraz robimy?

- Jedziemy śladem rycerza de Lovance i jego towarzyszy, którzy zmierzają ku orszakowi Marii Komneny, żony barona Baliana - oznajmił Gaston. - Pojawilo się podejrzenie, że de Lovance chce się skumać z Saracena-mi. Być może będzie chciał potraktować ową okoliczność jako swą własną inwestycję.

- A w jaki sposób?

- Nie wiem, ty mi powiedz. W końcu znasz się na inwestycjach. I od paru chwil jesteś mądry. '

- Gdybym był rycerzem de Lovance... - Vittorio chciał zmarszczyć brwi, ale syknął z bólu i dotknął dłonią opatrunku. - Gdybym był nim i naprawdę nie miał wiele do stracenia, wyrznąłbym eskortę Marii Komneny, a ją samą wziął do niewoli i oddał baronowi za kilka worków bizantów. Gdybym był Hugonem de Lovance -podkreślam - czyli nadętym, durnowatym pięknišem, w którym kochają się inni pięknie i który nie wie, że robienie sobie wroga w Balianie jest bardzo, ale to bardzo niezdrowe. Oto i mądrość. Natomiast ty mi powiedz, Gastonie - nie, powiedz nam wszystkim - skąd domniemanie, że jednemu z najpopularniejszych rycerzy króla Gwidona życie już niemile? Skąd te rewelacje?

Młodzieniec wysączył ostatnie krople z bukłaka i zagryzł wargę.

- Od... Od Vivienne de Grenier.

Wbrew jego oczekiwaniom Vittorio Scozzi nie wybuchnął szyderczym śmiechem.

- Od Vivienne de Grenier - powtórzył. - Od intry-gantki, ladacznicy, wywłoki o niesprecyzowanych ambicjach, złośliwej wiedźmy, która usidla niewinnych pielgrzymów, choćby i z dalekiej Pikardii, a potem...

- Dość tego! - przerwał mu ostro Gaston. - Po pierwsze, to zastanów się, Vittorio, co takiego tracimy, wypełniając jej wolę? Dogonimy rycerza de Lovance i będziemy mieć na niego oko. Jeśli zrobi coś podejrzanego, to zareagujemy. Jeśli nie, to wspólnie dotrzemy pod Akkę, a wtedy raz jeszcze zastanowimy się, co robić dalej. A po drugie, to chyba nie mamy innego wyboru. Ja muszę wypełnić wolę hra... hrabianki de Grenier, bo w przeciwnym razie wyda mój sekret, a ty i Anzelm właśnie zerwaliście się z łańcucha templariuszom, stąd nie macie chyba wielkiej ochoty pozostać pod Akką. Oto też mądrość. Z całego naszego grona jedynie Adalbert jest wolny od przewin.

- Jeśli nie liczyć, bagatelka, grzechu cudzołóstwa! -parsknął Italczyk. - Wielokrotnego, spoconego, sapiącego cudzołóstwa.

Duchowny chlipnął i załamał ręce. Bernard zbulgotał ostrzegawczo.

- Tobie, mój kudłaty przyjacielu, również można kilka grzeszków przypisać - dorzucił Vittorio. - Jak choćby to, że na twój widok płoszą się wielbłądy, a krowy przestają mleko dawać. A wracając do ciebie, Gastonie, naprawdę wierzysz, że Vivienne de Grenier da ci spokój, gdy wreszcie zrobisz to, co chce? Że wówczas okaże się szlachetną damą, która z radością zapomni o mrocznym sekrecie swego przybocznego?

„Kaź mu stulić gębę” - odezwał się Diabeł.

- Zawrzyj pysk, Vittorio.

Zapadła cisza przerywana jedynie przez pokrzykiwanie synogarlic uwijających się w pobliskim zagajniku.

„Dlaczego kazałeś mi to zrobić?” - zapytał w myślach młodzieniec.

„Bo się wymądrza. A nie wolno się wymądrzać przy przywódcy”.

Na twarz Gastona wypłynął lekki uśmiech.

- Dobrze - odezwał się po chwili Italczyk chyba zdumiony reakcją swego towarzysza. - Dobrze, jak sobie chcesz. Będę już milczał jak grób, choć w swej mądrości wpadłem na kilka innych, niezwykle ważnych pytań. Pytań w sumie bardziej istotnych dla ciebie niż dla mnie. Ale zawrę pysk, co mi tam. Zawrę, bo...

- Zróbże więc to w końcu! - powiedział niespodziewanie Adalbert.

Gaston uśmiechnął się szerzej.

- Tam jest jakaś wieś! - zawołał nagle, wskazując niziutki budynek z kamienia, który ukazał się za wzgórzem pokrytym zmarniałymi plantacjami wina. - Potrzebujemy wody i prowiantu, zanim udamy się w góry. Za mną!

Vittorio zmarszczył brwi z rozbawieniem, ale dotrzymał obietnicy i nie odezwał się ani słowem. Wymienił za to znaczące spojrzenie z Anzelmem i obaj wolno, demonstracyjnie wręcz wolno ruszyli za Gastonem, Bernardem i Adalbertem. No bo co się tyczy tej trójki, to pocwałowała w stronę winnic i odległego budynku z jakże nie-pasującym do Ziemi Świętej entuzjazmem.

Wrota obory były wyłamane, jedno drewniane skrzydło leżało na ziemi, drugie znikło. Po bydle pozostał tylko zetlały już zapach nawozu. Oględziny tonącej w półmroku izby mieszkalnej na piętrze również rozczarowały Gastona, poprzedni właściciele domu pozostawili jedynie kilka postrzępionych koców w kamiennym niszy w ścianie największej izby oraz pusty, nadkruszony dzban na pobielonym wapnem piecu. Młodzieniec zajrzał do kufra, spenetrował również spiżarnię na najwyższym piętrze, lecz bez skutku. W całym domostwie nie było nic, absolutnie nic do zjedzenia.

Zrezygnowany zszedł powoli po wąskich kamiennych stopniach, przeszedł przez izbę i zatrzymał się przy niewielkim oknie, które wpuszczało do wnętrza snop światła. Omiótł wzrokiem resztę otaczających majdan glinianych domostw zwanych dar, jakże innych niż te, które pamiętał z Pikardii. Powinien był je sprawdzić, ale stracił ochotę. Wiele też mówił kpiący wzrok Vit-toria, który siedział na łagodnej kopule dachu naprzeciwko i z uśmiechem obserwował poczynania Gastona.

- No, powiedz to! - zawołał ze złością de Baideaux. -Dalej, przełam swój ślub milczenia i nazwij mnie durniem!

- Dobrze, durniu! - odkrzyknął rozbawiony Ital-czyk. - Dostarczasz mi niezwykłych przeżyć, Gastonie! Nigdy dotąd nie spotkałem człowieka, który szukałby żywności w wiosce leżącej o rzut kamieniem od obozu oblegającej armii. Chłopie, ci ludzie uciekli stąd, ledwie pokazały się sztandary króla Gwidona, a to było jakiś czas temu!

- Ale mamy wodę! - Gaston wskazał majdan z centralnie umieszczoną studnią, przy której Bernard napełniał właśnie bukłaki.

- Aha. A słyszałeś o tym, że Saraceni często zatruwają studnie na opuszczanych przez siebie terenach?

Młodzieniec zeszywniał i z przerażeniem spojrział na ogromnego służącego, który właśnie wyciągał kolejny ociekający wodą bukłak z głębi studni. Ujął go mocno, chcąc przytroczyć do boku rumaka Adalberta, gdy nagle zamarł. I błyskawicznie odwrócił głowę.

„Ani się waż mówić prawdę! - warknął Diabeł. - Musisz...”

- Cicho! - szepnął Gaston.

Nawet z tej odległości widział zmarszczone czoło Bernarda i nastroszone, teraz niemalże zrosnięte brwi, nawet stąd mógł dostrzec rozwarłe szeroko usta i rozbiegany wzrok. Tak wyglądał w Genui chwilę przed tym, jak zainteresowała się nimi szajka złodziejasków. Tak wyglądał tuż przed atakiem saraceńskich jeźdźców przed Schodami Tyryjskimi i po spłoszeniu asasynów. A to oznaczało tylko jedno - zbliżało się niebezpieczeństwo.

Młodzieniec błyskawicznie zbiegł po schodach, uderzył barkiem o rozwarłe przed chwilą drzwi, nawet nie czując bólu. W kilku skokach był już przy zaniepokojonym, dyszącym ciężko parobku.

- Co się dzieje, Bernardzie? - zapytał, łapiąc go za ramię. - Coś nam grozi, tak? Gdzie? Skąd?

Niemą sługa sapał tylko bezradnie i rozkładał szerokie ramiona, nie przestając się rozglądać. Gaston smagnął wzrokiem opustoszałe domostwa i aż przeszedł go dreszcz. Każde z ciemnych okienek wydawało się teraz być paszczą, z której mógł wystrzelić śmiertelny grot, każde drzwi mogły być kryjówką dla przyczajonych zabójców. Poczzerwieniałe słońce opadało ku horyzontowi, cienie były coraz dłuższe. Cisza aż obezwładniała.

Coś stuknęło za ich plecami.

Odwrócili się błyskawicznie, Gaston już z mieczem w dłoni.

- Na słowa apostołów, to tylko ja... - bąknął przestraszony Adalbert, który stanął w progu najbliższego dar. - Co się dzieje?

I wtedy de Baideaux dostrzegł coś kątem oka.

- Tam! Tam! - zawołał wysokim głosem, wskazując mieczem niewielki budynek z suszonej cegły przytulony do wyższej ściany. - Coś tam przebiegło!

Nie wiedział, co tak naprawdę dostrzegł, ale czuł, że była to sylwetka biegnącego. Serce znów podeszło mu do gardła, dłoń ściskająca miecz spotniała.

- Musimy... - szepnął i odkaslnął. - Musimy...

Nie miał pojęcia, co musieli teraz zrobić.

Zrobił krok naprzód, potem drugi, ale wtedy pochwyciła go dłoń Bernarda. Sługa zabulgotał i wskazał kamienny mur okalający wieś. Nad widoczną dalej drogą unosił się tuman kurzu.

- Gaston! - wykrzyknął z dachu Vittorio. - Ktoś nadjeżdża drogą!

- Wiem! - chrapliwie odpowiedział młodzieniec. - Bernardzie, konie do stajni!

Natychmiast! Adalbercie, za mną! Chowajmy się!

Było ich pięciu.

Zbrązowiałe, ogorzałe twarze, obwiedzione turbanami stożkowe hełmy, zamocowane do nich czepece kolcze osłaniające twarze, tarcze przytroczone do pleców, długie szaty spływające po końskich bokach. Prawice zaciśnięte na włóczniach, lewice lekko powodujące końmi. I oczy, ciemne, czujne, niebezpieczne.

Ci sami, co po drugiej stronie Schodów.

Gaston bezgłośnie przełknął ślinę i zerknął na dygoczącego ze strachu, spoconego Adalberta, który szeptał modlitwy i co rusz kreślił znak krzyża. Gestem nakazał mu milczenie i uniósł się nieco, jakby chciał wyskoczyć zza naderwanych drzwi obory, za którymi obaj znaleźli kryjówkę.

„Charakternicy - szepnął mu Diabeł. -1 to pierwszej wody. Czeka was nie lada starcie”.

„Starcie? - parsknął w myślach de Baideaux. - Chyba nie myślisz, że mam zamiar wszczynać z nimi awan- » turę .

„Nie masz wyboru. Spójrz na studnię”.

Młodzieniec wychylił się lekko i ujrzał rdzawe promienie zachodzącego słońca migające w kałuży przy cembrowinie. Natychmiast zrozumiał.

„Bernard rozlał sporo wody - pomyślał z przestachem. - Od razu się domyśla, że ktoś jest we wsi, że ktoś się przed nimi chowa”.

Dokładnie w tym momencie jeden z Saracenów wykrzyknął coś głośno i pokłusował w stronę studni. Dwaj towarzysze podążyli za nim, osłaniając jego boki, pozostali zaś zawrócili konie, by kryć tyły. Z trzech stron otaczali schowanego za skrzydłem wrót obory Gastona, z czwartej była ściana.

Powiał wiatr. Targnął koronami nielicznych palm wokół wioski, wydał zielone szaty muzułmanów, trzasnął gdzieś okiennicą. Saraceni przy studni gadali z ożywieniem w swym charkotliwym, nieprzyjemnym języku, dwaj kryjący tyły milczeli jak zakłęci.

„Ruszaj - szepnął Diabeł. - Nie spodziewają się ataku z flanki! Zanim się zorientują, zgarniesz jednego, może nawet obu!”.

„Ale...”

„Dopadnij pierwszego, wbij sztych w plecy i biegnij dalej! Drugiego tnij w biodro, w łydkę, w cokolwiek!”.

„Słuchaj, ja...”

„Że co, że nie można atakować od tyłu? Że honor nie pozwala wbić wrogowi ostrza w dupę? - zaśmiał się pogardliwie Diabeł i natychmiast wrzasnął z furją, jakiej Gaston jeszcze nigdy nie słyszał: - Ruszaj!”

Był przekonany, że ryk Diabła dotarł również do umysłu Adalberta, bo ten spojrzał na niego przerażony, i do Vittoria, który chwilę później wypadł z półmroku przeciwległych drzwi. Odurzony, oszołomiony młodzieniec wyskoczył na ulicę, przypadł do najbliższego z Saracenów i z całej siły wbił mu miecz w plecy.

Strach zwielokrotnił jego siły. Poczul opór, gdy ostrze wgrzyzło się między ogniwa kolczugi pod szatą, ale wtedy napał jeszcze mocniej, jeszcze rozpaczliwiej.

Targnięty spazmem bólu muzułmanin wygiął się do tyłu, uniósł włócznię do ciosu na oślep, ale Gaston wyrwał już swój miecz, zatoczył łuk nad głową i rąbnął z całej siły w udo, a potem jeszcze raz. I odskoczył przerażony do granic rykiem rannego i wierzgnięciami jego konia. Kątem oka dostrzegł Vittoria, na skraju świadomości słyszał rzenie wierzchowca ciętego po pęcinach, gdzieś migotał zakrwawiony miecz, po policzkach spływały mu gorące krople, ale widział tylko półprzytomne, zaćmione bólem spojrzenie zaatakowanego przez siebie Saracena. Patrzył, jak słabnącymi dłońmi usiłuje opanować konia, jak wznosi miecz pijany od cierpienia. Patrzył i szlochał.

„Rusz się! - wrzeszczał Diabeł. - Atakuj!”.

Posłuchał. Jego ramiona nagle odzyskały siłę. Zrobił instynktowny unik przed opadającym niemrawo mieczem muzułmanina, zakręcił się w miejscu i rąbnął go przez plecy. Rumak pogalopował dalej uwolniony od ciężaru jeźdźca.

- Gastón! - wrzasnął Vittorio, zatapiając ostrze w karku rżącego przeraźliwie, usiłującego powstać konia. Sara-cen, z którym się zwał, leżał kilka kroków dalej z przerażoną tchawicą. Szerokie, barwne rękawy jego szat, teraz rozrzucone na ziemi, upodabniały go do zabitego ptaka.

- Gastón, ocknij się! Wałą na nas!

Ocknął się, odwrócił w stronę studni. I zmartwiał.

Pozostałych trzech Saracenów zawróciło już swe wierzchowce i gnało prosto na nich.

Poderwane pędem szaty łopotwały, ostre niczym szpony jastrzębi, włócznie mierzyły prosto w serca dwóch Franków, a ciemne, przymrużone oczy jeźdźców lśniły żądzą mordy.

Młodzieniec niespodziewanie zrozumiał, że ich szanse się wyczerpały. Czymże jest dwóch szermierzy, choćby i najlepszych, wobec trójki wojowników pustyni, którzy całe swe życie oddali walce, którzy widzieli już niejedną śmierć i niejedną zadali?

Widzieli wiele, to pewne. Natomiast żaden z nich nie był przygotowany na spotkanie z dobrym rycerzem Anzelmem z Ar-Ramli.

Tenże pojawił się nagle dopiero po walce. Gaston zrozumiał, że musiał zeskoczyć z dachu. Przeżalone konie uskoczyły w bok, a wtedy rycerz-odmieniec z szalonym rykiem wdarł się między nie. Jego klinga odbiła zachodzące słońce, a potem zmatowiała od krwi wydartej z uda pierwszego z Saracenów. Anzelm uskoczył przed opadającym ostrzem, w przysiadzie przerażał pęciny rumaka drugiego z jeźdźców i błyskawicznym pchnięciem wraził miecz w jego serce. Sapnął chrapliwie i runął ku trzeciemu z Saracenów, poszarzałemu z przerażenia. Ten zdołał w ostatniej chwili zawrócić konia i zmusić go do ucieczki. Niedaleko jednak ubiegł - przy studni zastąpił mu drogę Bernard, który zrzucił go z siodła dobrze wycelowanym uderzeniem lagi.

Anzelm zawył ponuro, splunął siarczyście i wolnym, zaskakująco wolnym krokiem podszedł do pierwszego ze swoich przeciwników. Muzułmanin zdążył już powstać i wparł się plecami o ścianę najbliższego domostwa, szepcząc modlitwy o ocalenie. Uniósł miecz ku frankijskiemu rycerzowi, ale jego rozbiegane, półprzytomne spojrzenie mówiło, że jego opór będzie symboliczny.

W istocie, Anzelm machnął tylko raz i sflaczałe ciało saraceńskiego wojownika osunęło się na ziemię. W chwilę później rysy twarzy Franka były już pogodne, a oczy straciły swój złowieszczy purpurowy blask.

Zarost na twarzy znów przypominał tylko nieogoloną brodę, a nie kosmyki sierści. Anzelm wbił miecz w ziemię i opadł na kolana. Drżącymi dłońmi wykonał znak krzyża.

- Pięknie - parsknął Vittorio, dobijając drugiego z rannych rumaków. - Nie mogłeś zaczekać jeszcze chwilę z tym swoim wielce przemyślanym atakiem? Gadali coś o jakimś Ismailu, który będzie zły, jeśli kogoś nie złapią...

- Nie mogłem - wykrztusił Gaston. - Diabeł mnie podkusił.

- Chwacko go załatwiłeś, nie powiem. - We wzroku Italczyka błysnęło coś na kształt uznania. - Jestem gotów ci nawet wybaczyć naiwność, która kazała ci tu szukać jedzenia.

- Znaleźliśmy jedzenie. - Młodzieniec wskazał na sakwy przy siodłach obu ubitych koni. Głos nadal mu drżał, więc odkaslnął kilkakrotnie. - W ten czy inny sposób, ale znaleźliśmy. Liczy się efekt, Vittorio.

- Niech cię szlag!

- Poczekaj z podziękowaniami. Zanim pojawili się tutaj ci Saraceni, zauważyłem coś między domostwami. Ktoś przebiegał, ktoś, kogo lepiej byłoby odnaleźć.

- Nie trzeba - niespodziewanie powiedział Adalbert.

Odwrócili się jak na komendę. Książd stał kilka kroków dalej, a jego pulchne dłonie spoczywały na chudziutkich ramionkach kilkuletniej, bosonogiej dziewczynki, zważywszy na ciemniejszą karnację i niemalże czarne włosy - Turczynki bądź Arabki. W jej ogromnych brązowych oczach połyskiwał przestraszony z zaciekawieniem.

- Tak czy owak, domostwa trzeba przetrząsnąć, i to przed zapadnięciem zmroku - zdecydował Gaston z westchnieniem ulgi. - Bernardzie, przeszukaj ciała tych Saracenów.

My z Vittorioem raz jeszcze obejrzymy wieś. Jemu - wskazał na klęczącego, zatopionego w modlitwie rycerza - dajmy na razie spokój. No, ruszajmy!

„Nie tak szybko - odezwał się głucho Diabeł. - Twój pierwszy przeciwnik jeszcze dycha. Idź go dobij”.

„Po co?”.

„Zakończ, co zacząłeś. Dopiero potem możesz nazywać się wojownikiem”.

Zapadał zmierzch, przynosząc chłód i wonne zapachy, ponagłając chóry cykad do jeszcze głośniejszego ćwierkania. Cienie stawały się coraz dłuższe, aż wreszcie znikły, a znużony, blady błękit nieba przeszedł w ciemniejący szybko granat. W izbie na piętrze opustoszałego dar panował półmrok, rozpraszany jedynie blaskiem ognia z paleniska, co rusz zasłanianego przez szerokie plecy Bernarda. Ogromny sługa podpierał właśnie paski mięsa znalezione w sakwach Saracenów, a jego ruchy były flegmatyczne, zupełnie jakby nie czuł na sobie głodnych spojrzeń siedzących pod ścianami towarzyszy.

Gaston jedyny nie czuł głodu. Stał przy oknie wychodzącym na drogę, którą przybył saraceński podjazd, i udawał, że usiłuje przeniknąć wzrokiem ciemności. W rzeczywistości nawet nie próbował. Przed oczyma wciąż miał sceny, o których wiedział, że zapamięta je do końca życia. Nadal czuł opór ostrza wgrzyzającego się w plecy zaskoczonego jeźdźca. Nadal widział jego ciało leżące w pyłe drogi. Wciąż słyszał chrząstki gardła pękające pod naporem miecza.

Widział też bitwę, nieubłaganą, niszczącą, co chwila w jego głowie grzmiały trąby, szczekał oręż, rżały konie, ale nic, nawet okropności straszliwego starcia pod Akką nie przerażały go tak bardzo, jak oczy dobijanego Sara-cena, przekrwione, gasnące.

„Nie wybaczę ci tego” - pomyślał.

„Dlaczego?” - zapytał z zaciekawieniem Diabeł.

„To... To było straszne. Kazałeś mi go dobić, parszywcu. Kazałeś mi go zamordować z zimną krwią. Nigdy tego nie zapomnę”.

„Wręcz przeciwnie, Gastonie. Zapomnisz o tym bardzo szybko. Gdy przyjdzie ci to zrobić raz jeszcze, sam się zdziwisz, jakie to łatwe”.

„Mówiłeś, bym nie nazywał cię diabłem. Czymże więc jesteś, skoro popychasz mnie do takich czynów?”

„Ludzie już dawno zdeklasowali diabły, jeśli chodzi o okrucieństwo. Ja po prostu staram się przygotować cię do życia w prawdziwym świecie, oduczyć niepotrzebnych skrupułów. Staram się wybić ci z głowy wszystkie te bzdury, których nakładł ci Adalbert”.

Młodzieniec zerknął przez ramię w kierunku otyłego księdza, który siedział pod ścianą i usiłował zabawić dziewczynkę jakąś szeptaną cicho opowieścią. Ta uśmiechała się tajemniczo i przez cały czas nie spuszczała wzroku z płomieni w palenisku.

„Przykazania boskie, tak?”

„Nie, opowieści o szlachetnych rycerzach. O honorze i prawości. O szlachetności. O ratowaniu dziewic i ubijaniu smoków. To wszystko bujdy, Gastonie. Niebezpieczne, wierutne bzdury”.

„Tak? - Młodzieniec zacisnął dłonie na parapecie. - Bzdury? Nie ma prawości i honoru? Nie ma szlachetnych rycerzy? A Balian, diable? Balian z Ibelinu? Nie został w Jerozolimie, by bronić jej przez muzułmanami? Nie walczył przez wiele dni mimo przewagi wroga? Nie ocalił najbiedniejszych przed zemstą Saracenów, nie nakłonił Salah ad-Dina, by ten pozwolił im się wykupić za grosze?”.

„Tak było, ale zapominasz o tym, że szlachetność jest domeną potężnych i walecznych. Gdyby Balian nie był Balianem, syryjskim baronem i słynnym rycerzem, Salah ad-Din nawet by go nie wysłuchał”.

„Sę w tym, że o tym pomyślał! Że walczył za Święte Miasto i za zwykłych ludzi!”

„Sę w tym, że ty nie jesteś Balianem. I jeśli chcesz do czegośkolwiek dojść, musisz nauczyć się podejmować słuszne decyzje, a to nierzadko oznacza odebranie komuś życia. Nawet jeśli jest to ranny i bezbronny .

„Nie widzę sensu w tym, co dzisiaj zrobiłem. Żadnego”.

„A ja tak. Dobijając tego rannego, stałeś się silniejszy”.

„Nienawidzę cię!”.

„Twoja sprawa. Bylebyś mnie słuchał”.

Zaszeleściły czyjeś kroki, tuż obok niego stanął Vit-torio. Zamrugał oczyma zaskoczony burzą emocji na obliczu Gastona, po czym odchrząknął i powiedział jak gdyby nigdy nic:

- Nie wiem, czy mądrze robimy, zatrzymując się tutaj na noc. De Lovance najprawdopodobniej dobrze zna przełęcz. Jeśli podróżuje nocą, nigdy go nie dogonimy.

- Dogonimy go. - Młody de Baideaux zacisnął usta. Na jego pobladłej twarzy zastygła dawna zaciętość, a w myślach podziękował towarzyszowi, że prostym, zwykłym pytaniem na nowo sprowadził go do rzeczywistości, którą, jakkolwiek by nie była, o wiele bardziej wolał od swych przemyśleń. - Jeśli nie teraz, to gdy będzie wracał z orszakiem Marii Komneny.

- Gastonie, obaj nie mamy pojęcia, co de Lovance zamierza i czy w ogóle, ale jeśli wszystko to nie jest intrygą hrabianki de Grenier i rzeczywiście chce się zwaćać z wrogiem, z pewnością zrobi to w górach, jak najdalej od wzgórze Turon i naszych wojsk.

- Może masz rację - westchnął de Baideaux. - Sądzę jednak, że dobrze uczyniliśmy. On też dzisiaj walczył, podobnie jak jego ludzie. Na pewno będzie chciał zaznać choć trochę wytchnienia. Co więcej, tutaj jesteśmy bezpieczni, a na otwartym terenie... Cóż, sam wiesz. Gdyby nie Anzelm...

Obaj zerknęli ku ponuremu odmieńcowi, który siedział pod ścianą w samej tylko koszuli i nogawicach, ponury i zacięty w swym milczeniu. Co rusz zaciskał pięści, jakby i on toczył wewnętrzne boje. Nawet nie spojrzął na miskę podpiekanego mięsa, którą postawił obok niego Bernard.

Gdzieś daleko w ciemnościach nocy zaśmiała się hiena, zaraz druga. Gaston i Vittorio spojrzeli po sobie z niepokojem.

- Cholerne życie - mruknął de Baideaux. - Chodź, trzeba nam z nim pogadać.

- Po co? Chce, to niech siedzi na uboczu.

- A nie ciekawi cię, dlaczego najpierw chciał mnie zabić, a potem zdecydował się z nami jechać i walczyć za nas? I kim - a właściwie czym - tak naprawdę jest?

Italczyk skinął głową. Obaj podeszli do milczącego rycerza i usiedli bezszelestnie po jego bokach. Adalbert, który właśnie z mlaskaniem pałaszował mięso, natychmiast zrozumiał powagę sytuacji. Przełknął ostatni kęs, obliznął palce, odstawił miskę i gestem równie wymownym, co zbytecznym, nakazał dziewczynce ciszę. Bernard zastygł w kacie nieruchomy niczym ogromna, przerażająca rzeźba.

- Wiem. - Anzelm uniósł spojrzenie i powoli, z niechęcią otaksował obu młodzieńców. - Jestem wam winien wyjaśnienie i to wyjaśnienie w miarę wyczerpujące, bo w przeciwnym razie koszmary nie pozwolą wam przy mnie zasnąć. A zatem posłuchajcie.

Nocą w krajach Lewantu każda opowieść, obojętnie czy przy ognisku nomadów, w przytulnej bliskości ścian karawanseraju, czy w odurzającym zapachami pałacowym ogrodzie, nabierała szczególnej wyrazistości i mocy, jednakże żadna z historii opowiedzianych tej nocy nie była tak przejmująca jak ta, którą snuł rycerz Anzelm z Ar-Ramli u stóp libańskich gór. Cichym, lekko chrapliwym głosem mówił o pokucie i cierpieniu, a słuchacze milczeli.

- Opowieść moja rozpoczyna się przed Wielkanocą Roku Pańskiego 1153, kiedy to pod Askalon, oblegany przez wojska króla Baldwina III oraz zakony rycerskie, przybyły ostatnie statki pielgrzymów z Europy. Na jednym z nich płynął mój ojciec, Wilhelm de Fidou, zwykły gołodupiec z Prowansji, którego jedynym dobytkiem był miecz, pas rycerski oraz niewyparzona gęba. Przybył, tak jak większość rycerstwa, głównie po to, by się nachapać, i z ogromnym niezadowoleniem powitał fakt, że po długim oblężeniu król Baldwin ostatecznie ułożył się z mieszkańcami miasta i pozwolił im opuścić jego mury wraz ze wszystkim, co mogli unieść. Wraz z kilkoma podobnymi sobie, również rozczarowanymi brakiem rzezi, która w ich odczuciu powinna zwieńczyć trud wojenny, zdecydował się naprawić błąd króla. Pod osłoną nocy on i jego towarzysze przebrani za Beduinów spadali na grupy uciekinierów, wyrzynali próbujących się bronić, rabowali ich dobytek i znikali. Po kilku napadach kompani mego ojca, zadowoleni ze zdobytych łupów, zaczęli opuszczać bandę, lecz jemu samemu nie

było dość. Z kilkoma zaledwie ludźmi wytrwale napadał i mordował, aż któregoś dnia miarka się przebrała.

Rycerz zamilkł na chwilę, pokiwał głową i podjął:

- Rodzina i słudzy ormiańskiego kupca, którego opadli niemalże pod murami Hebronu, stawiała zaciekły opór. Kilku zaskoczonych rabusiów odniosło rany, dwóch padło od bełtów z kusz, ale ostatecznie to ludzie mego ojca odnieśli zwycięstwo. Tenże, dysząc pragnieniem zemsty, nakazał skępować pozostałych przy życiu Ormian i zabijał ich własnoręcznie, jednego po drugim. Pozostawił przy życiu jedynie Tigranę, młodą dziewczynę, której miecz ciężko ranił dwóch z jego kamratów. Ci nalegali, by ukatrupił również i ją, ale ojciec się uparł. Czym dłużej tamci napierali, tym bardziej obstawał przy swoim, aż sam pochwycił za miecz i rozciągnął swych kompanów na piasku pustyni. Pozostał mu tylko jeden człowiek, surowy Flamandczyk o imieniu Rijkard, wierny i bezgranicznie lojalny. Lojalny do tego stopnia, że wydobyć z niego owych sekretów kosztowało mnie naprawdę sporo zachodu, tym bardziej że z chwilą zabicia towarzyszy z własnej bandy, ojciec zmienił się nie do poznania. W dniu, gdy zabił swych dawnych kamratów, narodziła się bowiem dzika, szalona miłość.

Tak, to już zaczęło Gastonowi przypominać te historie rycerskie, do jakich przywykł przy Adalbercie. Nie wątpił jednak, że opowieść Anzelma jeszcze go zaskoczy.

- Mówią, że uwielbienie do pięknej kobiety jest w stanie przegnać największe nawet zło z duszy ludzkiej. Jestem przekonany, że mój ojciec, choć z pewnością docenił piękno Tigrany, z początku pragnął jedynie uczynić z niej swą nałożnicę. Sądzę, że chciał ją po prostu poskromić i upokorzyć za to, że pomogła przetrzebić jego bandę. Z czasem jednak zaczął wobec niej mięknąć. Zaczął słuchać jej głosu, ustępować w coraz to nowych sprawach i ani się obejrzał, gdy kochał ją bezgranicznie. Pragnąc zapewnić jej godziwy byt, na nowo założył swój pas rycerski i udał się na służbę do Roberta de Sourdeval, który obdarzył go kilkoma splachetkami ziemi. Wystarczyło to dawnemu rabusiovi aż nadto. Z dumą oprowadził ukochaną po swoich nowych włościach, pokazał jej niewielką winnicę oraz gaik drzew cytrusowych. Z jeszcze większą dumą patrzył, jak jego wybranka zaczyna, z początku nieśmiało, gospodarzyć w swym nowym obejściu, z radością łapał pierwsze błyski zadowolenia w jej oczach, z wytęsknieniem czekał powrotu z każdej wyprawy wojennej. Stało się też tak, że wkrótce patrzył z uwielbieniem na jej pęczniący brzuch.

Rycerz zamilkł na chwilę, popatrzył w ogień, płomień odbił się w jego oczach i zgasł.

- Nigdy tak naprawdę nie poznałem swej matki. Fla-mandczyk Rijkard zwykł mówić, że była piękną dziewczyną o ogromnych czarnych oczach. Powiadał też, że rzadko się odzywała, że wołała wyrażać swe myśli spojrzeniami, gestami i uśmiechami. Jej uśmiechy zaś były tak tajemnicze i nieodgadnione, że bez wątpienia kryły coś więcej.

Mówiono mi, że moja matka zmarła krótko po moim narodzeniu, wiosną Roku Pańskiego 1157. Nie zachowałem o niej żadnych wspomnień. Myślę, że na swój sposób za nią tęskniłem, choć ojciec dołożył wszelkich starań, by moje dzieciństwo było szczęśliwe i beztrudne. W rzeczy samej, przeżyłem wtedy najpiękniejsze dni mego życia. Rijkard wprawiał mnie w jeździe konnej, słudzy ojca wprowadzali mnie w tajniki hodowania drzew i stawiania liter, a on sam uczył mnie władania mieczem i składania kopii. Najwięcej uwagi jednakże poświęcił wychowaniu mnie na wiernego chrześcijanina.

Kapelan spojrzał uważniej na Anzelma. Ten być może to dostrzegł, a może nie, choć zaraz odpowiedział na nieme pytanie duchownego:

- Tak wyglądało bowiem trzecie oblicze Wilhelma de Fidou. Po rabusiu i kochanku stał się dewotem, który łożył ogromne sumy na każdy możliwy klasztor i odwiedzał wraz ze mną wszystkie święte miejsca w Królestwie Jerozolimskim, klęczał i modlił się przed każdą relikwią. Spędzał długie godziny na rozmowach z mnichami i księżmi, zaś mnie zmuszał do regularnego czytania Pisma. Z czasem zacząłem tego nienawidzić, obawiałem się bowiem, że

ojciec chce mnie oddać do stanu duchownego. Później się przekonałem, że próżne to były obawy. Ojcu chodziło o coś innego.

Czy to spojrzenie ku niebu miało coś oznaczać? Czy Anzelm szukał wśród milczących gwiazd jeszcze innych słuchaczy niż tych, którzy siedzieli z nim przy ogniu?

- Tak czy owak, zdawać by się mogło, że nieba nad niewielkim gospodarstwem daleko za Ar-Ramlą nigdy nie skaziła najmniejsza nawet chmurka. Tak było do chwili, gdy któregoś dnia zabłądziłem po szczególnie długiej gonitwie za antylopą. Gdy próbowałem odnaleźć drogę do domu, opadło mi kilku beduińskich rabusiów. Nie wiem tak naprawdę, co się wtedy wydarzyło. Grunt, że przybyłem do rodzinnego domostwa zbryzgany krwią, półprzytomny, ale bez najmniejszego zadrapania. Ojciec na ten widok pobladł tak straszliwie, aż myślałem, że zemdleje. Wydawało mi się, że powodował nim po prostu lęk o mnie i chciałem go pocieszyć, ale wtedy w jego oczach pojawiły się łzy. Łzy rozpaczy. I tej nocy wyznał mi prawdę: moja matka nigdy go nie pokochała. Każdy jej uśmiech, każdy miły gest, każdy znak miłości był jedynie fasadą dla buzującej w jej sercu czarnej nienawiści, sztuczką mającą na celu uspienie czujności mego ojca. Myślę, że jej dusza umarła tego dnia pod Hebronem, gdy frankijscy rycerze wymordowali jej rodzinę. Jej ciało żyło jednakże nadal, lecz tylko po to, by dokonać zemsty, która zaiste okazała się straszliwa. Zostaliśmy przeklęci.

Gaston miał wrażenie, że gdy padły te słowa, Adalbert zerknął ku niemu, zamiast patrzeć na nieszczęsnego Anzelma z Ar-Ramli. Ale mogło mu się tylko wydawać.

- Powiedziała ojcu prawdę kilka dni po moim urodzeniu, gdy była już na tyle silna, aby powstać z łoża i móc ze wzgardą spojrzeć mu w oczy. Oznajmiła, że rozkochała go w sobie tylko po to, by splodzić mu potomka i mieć pewność, że klątwa, którą na niego rzuciła, przejdzie na kolejne pokolenie. Sama klątwa zaś okazała się straszliwa - za każdym razem, gdy kogoś z rodu de Fidou ogarnie gniew bądź wzburzenie, natychmiast przemieni się w niszczycielską bestię, pół wilka, pół człowieka, którego jedynym instynktem będzie szal zniszczenia, który nie powróci do zwykłej ludzkiej postaci, dopóki nie pozbawi kogoś życia. Chyba już teraz rozumiecie, dlaczego moja matka umarła tuż po moim urodzeniu? Nikt mu nie odpowiedział.

- Mój nieszczęsny ojciec, gdy tylko doszedł do siebie po zabójstwie zdradzieckiej ukochanej, zrobił jedyną rzecz, która przyszła mu do głowy. Otoczył mnie najtroskliwszą opieką, bym nigdy nie miał powodu wpaść w gniew, a sam poświęcił się służbie Bogu, mając nadzieję, że miłość ojcowska oraz Boże miłosierdzie z czasem załagodzą bądź zgola powstrzymają klątwę. Niestety, tak się nie stało. Nie zdołał mnie uchronić. Świadomość ta przygnębiła go tak bardzo, że jeszcze tej samej nocy przebił się własnym sztyletem. Czy to nie ironia losu? Człowiekowi, który przez ostatnie lata swego życia żył skromnie, w zgodzie z własnym sumieniem i przykazaniami bożymi, odmówiono pochówku w poświęconej ziemi. A i dla mnie skończyły się lata szczęśliwości. Poznawszy pełnię niszczycielskiego żywiołu, który wypełnił me serce za sprawą ormiańskiej czarownicy, nie potrafiłem już zająć się niczym. Gospodarstwo podupadło, słudzy rozpięchli się po świecie, ziemia zjałowiała. Krew Rijkarda wsiąkła w ziemię po tym, jak próbował mi przemówić do rozumu. Zbyt stanowczo, na swe nieszczęście. Przerażony opuściłem ojcowiznę i spróbowałem swych sił jako najemnik, lecz wkrótce po zaciągnięciu się do oddziału rozplątałem kompana, który oszukał mnie przy grze w kości. Postanowiłem wówczas odwrócić klątwę i ruszyłem na poszukiwania kogoś, kogokolwiek, kto wyznawałby się na ormiańskiej magii. Przewędrowałem pół świata, od Bizancjum aż do Damietty, ale niczego się nie dowiedziałem, a wszędzie pozostawiałem za sobą stygnące, rozszarpane ciała.

Młody de Baideaux pomyślał o niedawno usieczo-nych wrogach, których bynajmniej nie pochowali, a tylko wywlekli poza zabudowania wioski.

- Wreszcie zdecydowałem oddać się Bogu bez reszty. Jako brat Anzelm wstąpiłem do zakonu cystersów przeświadczony, że dzięki odosobnieniu stanę się mniej niebezpieczny dla

niewinnych ludzi, a być może Bóg wysłucha mych modlitw i wybaczy mi me grzechy. Cóż, już po kilku tygodniach zrozumiałem, że drażnią mnie ciasne, zamknięte pomieszczenia. Pośpiesznie opuściłem klasztor, zanim furia wezbrała na dobre. Podjąłem wówczas ostatnią decyzję - nie będę szukał odosobnienia ani sposobów na odwrócenie klątwy, ale wykorzystam ją jako mój oręż do walki z wrogami Grobu Świętego. Nie będę czekał, aż Bóg się nade mną zlituje, ale zapracuję sobie na jego łaskę, zwalczając muzułmanów. I tak przyłączyłem się do hufca Renalda de Chatillon, największego wroga Saracenów. U jego boku łupiłem egipskie miasta na brzegach Morza Czerwonego, wraz z nim szarżowałem na muzułmańskie karawany idące przez Zajordanię, na jego rozkaz mordowałem saraceńskich pielgrzymów.

Uczestniczyłem również w napaści na karawanę, w której podróżowała siostra Salah ad-Dina. Ba, sam ją schwytałem! Tak, tak. Możecie sobie powiedzieć, że to z winy starego zbója Renalda Salah ad-Din stracił wreszcie cierpliwość i ruszył na Królestwo Jerozolimskie, ale to ja targnąłem się na największą świętość. To ja osobiście obudziłem jego gniew.

Gaston przelotnie pomyślał, że choć wiele słyszał o klątwach - zapewne w większości wymyślonych przez zmyślnych dworskich śpiewaków - nigdy by nie pomyślał, iż klątwa może być narzędziem polityki. Zerknął na Vittoria - czy nie przemknęło mu przez głowę, że klątwa to też jakaś inwestycja? I wołał nie myśleć, co zaczęłaby układać w swym umyśle Vivienne de Grenier, gdyby siedziała tu wraz z nimi.

- Wiecie, co było potem. Hittin, upadek Jerozolimy, rozpacz świata chrześcijańskiego, koniec wszelkich nadziei. A ja, zamiast polec pod Hittinem jak tyłu prawych rycerzy, zostałem pojmany w niewolę i pognany na targ niewolników w Damaszku. Spytacie zapewne, dlaczego nie wpadłem w gniew i nie rozszarpałem swych saraceńskich strażników? Nie wiem. Pewnie dlatego, że pograżyłem się wówczas w rozpacz tak wielkiej, że ledwie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Byłem obojętny na głód i pragnienie, nie pamiętałem o honorze czy choćby godności ludzkiej, a jedyną radość sprawiały mi razy strażników. Tak było, dopóki w Damaszku nie ujrzałem frankijskiego rycerza, który targował się zaciekle z handlarzem, zerkając co rusz ku mnie. Zanim dotarło do mnie, że ów Frank chce mnie kupić, transakcja dobiegła końca. A ja... cóż, stałem się własnością rycerza Josce-lina de Royes, rycerza-gościa zakonu templariuszy.

Ta część opowieści wyraźnie największe wrażenie zrobiła na Italczyku. Vittorio zastygł wpatrzony w rycerza, niemal wstrzymując oddech.

- Ten nie rozmawiał ze mną długo. Oznajmił, że wie wszystko o mej klątwie i zna sposób, by ją cofnąć. Zanim jednak to zrobi, będę musiał wykonać dla zakonu kilka prac. Możecie się domyślić, jakich prac. Do czego można wykorzystać obłąkanego rycerza, który szaleje tak długo, póki nie położy swego przeciwnika trupem? Nie muszę mówić. I tak oto przyszło mi żyć. Nie rozmawiam z nikim, unikam przebywania w ludnych miejscach, by nie obudzić w sobie śmiertelnoścnośnego gniewu. Włóczę się po pustkowiach, walcząc z wrogami Krzyża, a raz na jakiś czas zjawia się wysłannik zakonu i przedstawia mi, kogo mam zabić. Ostatnim celem byłś ty, Gastonie de Baide-aux. - Anzelm spojrział smutno na młodzieńca. - I wierz mi, byłbym cię zabił, mimo że walczyliśmy razem u stóp Schodów Tyryjskich. Zabiłbym cię, gdyby nie ów rycerz z zieloną tarczą, który zatrzymał mego konia i szepnął mi do ucha: „Ten człowiek cię uwolni. Zarówno od twej klątwy, jak i templariuszy”. Dlatego będę ci towarzyszył i dla ciebie walczył. Bo poczułem nadzieję, po raz pierwszy od chwili śmierci mego ojca.

Gwiazdy nadal migotały na niebie, lecz ogień w palenisku powoli przygasał, rzucając rdzawe poblaski na twarze zasłuchanych towarzyszy. Nikt nie zadał żadnego pytania, wszyscy milczeli i kiwali głowami, rozpamiętując smutną opowieść. W końcu Vittorio powstał bez słowa, ujął miecz i stanął przy oknie, deklarując tym samym, że obejmie pierwszą wartę. Pozostali również bez słowa ułożyli się do snu.

Ostatnia położyła się wychudzona dziewczynka. Długo patrzyła na nieruchomą postać Anzelma z Ar-Ramli, a w jej szeroko rozwartych oczach zastygło pytanie:

„Dlaczego nie powiedziałeś im wszystkiego?”

Nad wzgórzem Turon również zapadała już noc, cicha i litościwa, ale jęki rannych wcale nie cichły, przypominając o straszliwej hekatombie ostatniej armii chrześcijańskiej na Wschodzie. Balian z Ibelinu zaniósł się długim kaszlem, a potem przetarł spotniałe czoło.

- Psia mać! - mruknął. - Nie położyły mnie wrogie miecze, to załatwi malaria. Psia mać, gore mi...

Nie zauważył nawet, że płachta zasłaniająca wejście do namiotu drgnęła, a do środka wślizgnął się jakiś człowiek. Baron odwrócił głowę i ujrzał Renalda z Sydonu, poważnego i bladego. Od chwili gdy ześlizgnął się z siodła, nie zdjął nawet kolczugi wciąż brudnej od błota i zakrzepłej krwi.

- Bracie, wyglądasz okropnie - powiedział głosem ochryplym od wydawania rozkazów, kręcąc z dezaprobatą głową. - Mam przedniego arabskiego medyka, przyślę go do ciebie...

- Medycy niech się lepiej zajmują tymi, którzy naprawdę potrzebują ich pomocy, Renaldzie - wyszeptał w odpowiedzi Balian, masując pulsujące bólem skronie. - Nieźle nam upuścili krwi ci skubańcy. Jakie ponieśliśmy straty?

- Jeszcze nie wiadomo, ale znaczne. Najwięcej padło Niemców, oberwało się też templariuszom.

- Durnie! Durnie, po trzykroć durnie. Ludwikowi się nie dziwię, jest tu nowy i nie zna taktyki Saracenów, ale dlaczego Robert de Sabie dał się nabrać na tak prosty fortel? Byłem pół mili dalej, a widziałem, że Salah ad-Din jedynie markuje odwrót, by odciągnąć zakonników i zająć ich od skrzydeł.

- Robert de Sabie padł.

- Padł? A niech to!

- Najprawdopodobniej, nikt nie znalazł jego zwłok. Być może dostał się do niewoli, ale jakoś w to nie wierzę.

- Jak Gwidon?

- Udaje chojraka, wygraża Salah ad-Dinowi, grozi zemstą, ale widać, że ledwie się trzyma. Armia - a raczej tym, co z niej zostało - faktycznie dowodzi Konrad.

- Dobre i to. Rozpaczliwie potrzebujemy posiłków.

- To prawda. Rozpaczliwie. Ponoć cesarz Fryderyk jest coraz bliżej. W nim tylko ratunek.

- Ponoć. Sądziłeś, że kiedyś doczekamy takich czasów, Renaldzie?

Marcin Mortka

- Nie. Nie sądziłem. Nikt nie sądził.

- Och, Mario... - westchnął cicho Balian i zakrył twarz dłońmi. Nie słyszał, jak Renald z Sydonu cichutko wyślizgnął się z namiotu.

Rozdział czternasty

w którym Gaston i jego towarzysze stawiają czoło starym wrogom, a gdy ich zmagania dotyczą szczytu ludzkich i nieludzkich możliwości, widzą gniew królewski - na szczęście wymierzony w kogoś innego

Obudził ich wiatr, złośliwy i natrętny, który przygnał gdzieś znad równin, trzaskając mocno nielicznymi okiennicami, budząc tu i ówdzie wątle wiry pyłu. Rozpędzone szare chmury podbarwione różem świtu sunęły ku morzu, zasłaniając niebo. Nikt się nie uśmiechał, nikt nie rzucił żartobliwego komentarza. Każdy z wędrowców zebrał swe rzeczy i pogryzając cienkie placki jęczmieńne, ruszył ku stajence, skąd Bernard wyprowadzał właśnie osiodłane konie. I wtedy wybuchła kolejna awantura, tradycyjnie już między Vittoriem i Adalbertem.

- Ty chyba nie mówisz poważnie, klecho! - wrzeszczał Italczyk. - Stroisz sobie z nas wszystkich żarty, prawda?

- To nie żarty! - zaciętrzewił się ksiądz. - Na świętego Jana, tylko łajdak bez krzty sumienia mógłby sobie kpić z takich spraw, a ja wbrew temu, co głosicie wszem i wobec, łajdakiem nie jestem!

- Nigdy nie nazwałem was łajdakiem, ojczulku! - zwięził oczy Vittorio. - Utrzymuję jeno, że jak na porządnego sługę Kościoła przystało, jesteście kłamcą, tchórzem i nędznym dusigroszem. Teraz jednakże, pośród waszych jakże znacznych przymiotów, na pierwsze miejsce wysuwa się głupota! I to skrajna głupota!

Gaston, który zmarudził najdłużej, zszedł na majdan w chwili, gdy purpurowy na twarzy Vittorio szedł w stronę księdza z zaciśniętymi pięściami, lecz ten, miast się cofnąć, z hardą twarzą zniósł wściekle spojrzenie Italczyka. Prawą dłonią ochraniał kryjącą się za jego plecami brązowooką dziewczynkę, która bynajmniej nie wyglądała na wystraszoną. Zerknęła na rozwścieczonego rycerza z ciekawością, a nawet rozbawieniem.

- Miłosierdzie nie jest głupotą! - wypalił urażony ksiądz.

- Owszem, jest! - parsknął Italczyk. - Pozwolisz, że ci przypomnę, Adalbercie? Ruszamy na Schody Tyryjskie, miejsce samo w sobie niebezpieczne, gdzie mamy odnaleźć jakiegoś cholernego renegata, któremu... O, wreszcie jesteś, Gastonie! Czy mógłbyś wytłumaczyć swemu cholernemu klesze, że czeka nas wyprawa w góry, a nie do przytułku dla sierot? Że zapewne będziemy walczyć, a co się z tym wiąże, zapewne i uciekać!

- Nie możemy jej tu zostawić, paniczu! - zaszlochał Adalbert, zwracając się w stronę Gastona. - Zginie tu, na równinach!

- A skąd ta pewność? - zapytał ostro Vittorio. - Pytales jej może? Odpowiedziała ci? Bo z tego, co sam widzę i słyszę, ta dziewczyna jest niemową! Słowem się, cholera, nie odezwała, odkąd ją znaleźliśmy! Może po prostu nie życzy sobie, by ją ktoś ratował, a już w szczególności opasły zbereźnik w...

- Jak można odrzucać towarzystwo ludzi miłosierdzia? - wybuchnął ksiądz. - Czekają tu tylko głód i poniewierka, a jeśli, nie daj Boże, natknie się na jakichś zbrojnych... O, święta Filomeno...

- Adalbercie, Vittorio ma rację. - Gaston zmusił się do przybrania łagodnego tonu. - Czekają nas wiele niebezpieczeństw i...

- Nie! - warknął duchowny z nieoczekiwaną zaciekłością. - Nie. Zabierzemy ją ze sobą. W przeciwnym razie wracam do obozowiska.

- A wracaj sobie - burknął Italczyk i podszedł do swego konia. - Wyśmienity pomysł, tak nawiasem mówiąc - rzucił już z siodła. - Coś mi mówi, że święta Filomena, o ile dobrze pamiętam, święta strzegąca czci niewieściej, w obozie pełnym upokorzonych rycerzy będzie jeszcze bardziej głucha niż gdziekolwiek indziej.

Gaston zamrugał powiekami, chcąc uwolnić się od ziarenek piasku, które wiatr wciskał w kąciaki oczu. Z niezdecydowaniem spoglądał to na Vittoria, który wzgardliwie zawrócił już konia ku masywowi Schodów, to na Adalberta, który również odwrócił się do niego plecami, lecz tylko po to, by pogłaskać dziewczynkę po przykurzonych, splątanych włosach. Wiatr co rusz ciskał garściami żwiru o ściany domów, gdzieś toczyły się oderwane gałęzie akacji.

- Weźmy ją - powiedział niespodziewanie Anzelm. Spoglądał na dziewczynkę dziwnym wzrokiem i przygryzał wargę, jakby powstrzymywał pytania cisnące mu się na usta. - Weźmy ją i tyle.

- Dlaczego? - wybuchnął z niecierpliwością de Ba-ideaux. - Po co? Jesteście, Anzelmie, doświadczonym rycerzem, wiecie, że...

- Po prostu ją weźmy - uciał rozmowę odmieniec i spojrzał nagle na młodego Pikardyjczyka. W jego przymrużonych, jasnopiwnych oczach czaiło się coś niesprecyzowanego. Obawa? Wahanie?

- Proszę - dodał po chwili milczenia. - Bardzo proszę.

Wiatr, na nizinach dokuczliwy i nieprzyjemny, dopiero podczas wspinaczki okazał swe prawdziwe, diabelskie oblicze. Zaciekłość, z jaką atakował skulonych, zgarbionych wędrowców, wydawała się niepojęta. Targał ich płaszczami, nagłymi uderzeniami próbował zepchnąć ze ścieżki, zrywał kaptury, by smagać twarze skalnymi okruszkami. Usiłował też przerazić konie, jakby jego mocą zaiste kierowała czyjaś mściwa wola. Nadlatywał z dzikim wizgiem znad spękanych, obłych skał, wypadł z wąskich szczelin, przemykał ze świstem nad traktem ani na chwilę nie przestając atakować znękanych pielgrzymów.

A ci parli niestrudzenie naprzód.

Pierwszy szedł teraz Anzelm, za co Gaston był mu nieskończenie wdzięczny. Rycerz-wilkołak naciągnął szczelnie kaptur, zeskoczył z siodła i prowadził swego niespokojnego, przestraszonego wiatrem wierzchowca za uzdę. Stał pewnie, rozważnie i co chwila odwracał się za siebie, by sprawdzić, czy nikt nie odstaje. Jak wszyscy mrużył mocno powieki, ale młodzieniec czasem dostrzegał błysk jego jasnopiwnych oczu.

„Czuwam!” - zdawały się mówić.

„To dobrze” - odpowiadał w myślach Gaston.

Sam bowiem nie był w stanie myśleć o niczym poza zrobieniem kolejnego kroku. Zdyszany, zlany potem szedł teraz jak w transie. Jego świat skurczył się do kamienistego podłoża, rzadko podnosił głowę, a i to tylko po to, by ją zaraz opuścić. Ziarenka piasku zgrzytały mu między zębami, rzemień uzdy opornego, niechętnego konia wgrzyzał się w dłoń, kamienie umykały spod nóg. Czasem docierały doń przekleństwa idącego za nim Vit-toria, czasein, choć rzadziej, słyszał również słowa Adalberta, o dziwo radosne i krzepiące. Resztę odgłosów porywał wiatr.

W końcu niestrudzony Anzelm zaczął odstawać od całej reszty. Niestrudzony nadal szedł naprzód, jakby urągając sile wiatru, a sylwetki rycerza i jego konia poczęły maleć i znikać przesłonięte tumanami podrywanego pyłu. Gaston potknął się raz i drugi, wreszcie znieruchomiał wsparty na łęku drżącego, niespokojnego konia.

Wtedy wichura na moment zelżała.

- Gaston! - usłyszał czyjś głos.

Odwrócił się z trudem.

Vittorio, zdyszany i brudny jak i on sam, przystanął kilka kroków dalej, ciężko dysząc. Jego koń targnął łbem przestraszony, Italczyk odruchowo nakrył dłonią jego chrapy i splunął siarczyście. W dole traktu widać było postać zgarbionego, podpierającego się kosturem Adalberta, który nadal zakrywał płaszczem dziewczynkę, a za nim Bernarda prowadzącego dwa konie. Dalej po równinie pędziły jasnoszare tumany pyłu poderwane wiatrem.

- To jakieś szaleństwo! - wykrzyknął Italczyk. - Ledwie da się iść w tej wichurze!

Dajmy temu spokój!

Młody de Baideaux odkaszlnął kilkakrotnie.

- Nie możemy! - wychrypiał najgłośniejszy, jak umiał, i przetarł przekrwione oczy.

- Ludzie Hugona daleko się dziś nie przedrą! Musimy znaleźć schronienie!

- Podejdźmy jeszcze kawałek!

- Po co? - wściekły Vittorio pochwycił go za skraj płaszcza. - Po co? Gaston, o co ci chodzi? O co chodzi wam wszystkim? Nie przeszliśmy nawet mili, a wszyscy konamy ze zmęczenia! W tej wichurze nie znajdziemy Hugona, a twój miłosierny przyjaciel zaraz zostanie przysypany piaskiem. Razem z tym nieszczęsnym dzieckiem, które zdecydował się ocalić!

Niezdecydowany młodzieniec spojrział w stronę księdza, który właśnie upadł na kolano i wstawał z trudem. Nawet z tej odległości widać było, że uśmiecha się przepraszająco do swej podopiecznej i nie przestaje zakrywać jej płaszczem. Potem de Baideaux odwrócił głowę w stronę Anzelma.

- Patrz! - wykrzyknął z ożywieniem. - Chyba coś się dzieje!

Rycerz-odmieniec, niecierpliwie odrzucając poły targanego wiatrem płaszcza, schodził pospiesznie w dół ogromnej skały, która wyrastała tuż nad traktem. Ledwie zeskoczył na ziemię, zaczął gorączkowo wymachiwać w stronę reszty.

Choć wydawało się to niemożliwe, na skraju skały, na którą uprzednio wszedł Anzelm, wiatr był jeszcze bardziej dokuczliwy. Wygrywał złowieszcze melodie na ostrych krawędziach, wbijał w oczy i usta wędrowców całe tabuny ziarenek piasku, a na płaskowyżu poniżej rozpętał spektakl roztańczonych chmur pyłu. Dopiero po dłuższej chwili Gaston zdołał wyodrębnić ciemny zarys ruin rzymskiego fortu wzniesionego w połowie drogi między ich skałą a kolejnym wzniesieniem. Wyteżył wzrok, wtedy dojrzał również drobne, ciemne sylwetki ludzi i koni.

Jakiś ostry kawałek żwiru smagnął go po policzku. Złorzeczając, wycofał się za obły kamień, gdzie przed momentem kucnął Vittorio, i aż sapnął z ulgą. Dzikie pogwizdywanie wichru nie ucichło, ale zelżała przynajmniej jego siła.

- Tam są jacyś ludzie - wychrypiał i splunął plwociną przemieszaną z piaskiem. - Być może to Hugo i jego jeźdźcy.

- Być może. - Italczyk ściągnął kaptur i rozrzucił włosy, które z powodu pyłu wydawały się siwe. - Żeby być pewnym, trzeba by podejść bliżej.

- To prawda.

- A powiedz mi, Gastonie, jak masz zamiar to zrobić? - Vittorio zmarszczył nagle brwi.

- Jak chcesz dołączyć do orszaku rycerza do Lovance, skoro ten bez wątpienia rozmawiał z tym tam, de Souhait, i nadal rozpamiętuje krzywdę, którą wyrządziłeś jego przyjacielowi? Jak chcesz wejść do tej samej kompanii, w której jest ten człowiek? Na pewno nie zaniecha zemsty. Już dawno chciałem ci zadać to pytanie, ale uznałem, że jest zbyt oczywiste. Postanowiłem więc czekać na Rozwiązanie, które obmyśliłeś, jak mniemam?

- Tak. - Młodzieniec uśmiechnął się blade. - Ty pójdziesz.

- Ja? A jak skojarzą mnie z tobą?

- Cóż, mam nadzieję, że się tak stanie. Opowiesz o mojej niechlubnej śmierci pod Akką, dorzucisz kilka bezeceństw na mój temat i wyrazisz chęć walki pod rozkazami jakże wspaniałego rycerza Hugona de Lovan-ce. Możesz napomknąć również i o tym, że prócz walki o Grób Święty interesuje cię również walka o złoto. Jestem pewien, że w twoich ustach zabrzmie to całkowicie naturalnie.

- A jak nie pójde?

- To przepadnie nam inwestycja. - Oczy Gastona zwięzły się nieco. - Bo Adalbert sam nie da sobie rady.

- Co? Chcesz tam posłać tego klechę? Chcesz wysłać tego spasionego tchórza razem ze mną?

-Tak.

- Niedoczekanie twoje, Gaston! Nie ma mowy, bym...

- Ciszej. Nie wydzieraj się. Posłuchaj lepiej, jaki mam plan...

Rozpędzone chmury gnały po niebie smagane i strzępione złośliwym wiatrem. Płaskowyż zakrywały rozpędzone tabuny pyłu, półprzejrzyste niczym duchy wskrzeszonych wojowników, masyw fortu to nikał, to znów się wyłaniał, ciemny i złowieszczy. Gaston wyteżył wzrok, ale nie widział już sylwetek Vittoria i Adalberta, którzy pochyleni i skuleni wyruszyli już jakiś czas temu. Znikli, zakrył ich wściekły żywioł.

Młodzieniec poczuł się osamotniony.

„Nie popełniłem błędu, prawda?” - zapytał w myślach.

Po cichu liczył, że diabeł odezwie się, że go wyszydzi lub zwymyśla. Jego komentarze, tak bardzo niegdyś znienawidzone, już dawno stały się codziennością, już od dawna de Baideaux słuchał ich z uwagą. Tymczasem diabeł milczał.

Gaston przygryzł wyschniętą wargę, pokręcił głową i zaczął schodzić ze skały. Ostrożnie wsuwał nogi w pęknięcia i rozpadliny, a gdy od ziemi dzieliło go jedynie kilka stóp, zeskoczył ciężko. Konie, przywiązane przez Bernarda do pnia wyschniętego, karłowatego drzewka, zarżały niespokojnie i zatupały kopytami, ale parobek,

34i Marcin Mortka

wyciągnięty tuż obok z pledem pod głową, nawet nie drgnął. Tu, w niemalże zacisznej niszy skalnej, jego donośnie chrapanie było lepiej słyszalne od gwizdu wiatru.

Młodzieniec uśmiechnął się na ten widok. Po tym, co zaszło w opuszczonej wiosce u stóp przełęczy, święcie wierzył w intuicję milczącego sługi i widok Bernarda pogrążonego w głębokim śnie bardzo go uspokoił. Spojrzał w drugą stronę i ulga rozplynęła się w jednej chwili.

Rycerz Anzelm rozmawiał z chudziutką dziewczynką.

Dopiero po chwili Gaston zrozumiał, że rozmowa nie była najlepszym określeniem, bowiem ani dziecko, ani Anzelm właściwie nie używali słów. Rycerz-odmie-niec siedzący po turecku pod ścianą i stojąca przed nim dziewczynka tylko patrzyli sobie w oczy, nie odzywając się ani razu, ale młodzieniec był pewien, że dochodzi między nimi do gwałtownej wymiany myśli. Przez twarz Anzelma co rusz przemykały bowiem skurcze cierpienia, a dziewczynka w pewnym momencie pogładziła jego nieogolony policzek gestem, w którym kryły się niezmiernie pokłady troski.

Nie miał pojęcia, jak długo stał i patrzył na tych dwoje. Niespodziewanie drgnęli równocześnie - dziewczynka cofnęła dłoń, Anzelm odwrócił się z niepokojem - i czar przysł.

- Nic nie widać - bąknął Gaston speszony, jakby zastał ich na czymś zdrożnym.

Odpowiedziała mu cisza. Rycerz kiwnął głową i przetarł dłonią kąciki przekrwionych oczu, jakby ocierając niesforną łzę. Wysoko nad nimi wył wściekle wiatr.

Coś drgnęło za plecami młodzieńca. Bernard siedział już na pościeli i mrugał oczyma, rozglądając się na boki.

Przez krótką chwilę Joscelin de Royes miał ogromną, rozpaczliwą wprost nadzieję, że mu się przywidziało. Mrugnął raz i drugi, przetarł zapiaszczone, szczypiące oczy, ale jeździec nie zniknął. Nadal siedział na ogromnym czarnym rumaku u wylotu opustoszałej uliczki obojętny na dzikie podmuchy wiatru i wbijał w rycerza wzrok mroczny i pożądlivy.

Szef wywiadu zakonu templariuszy poczuł, że krew w jego żyłach krąży coraz wolniej, wreszcie zamienia się w lód. Przerazenie zamieniło jego ciało w pozbawioną życia kłodę drewna, przegnało wszelkie rozsądne myśli, znieczuliło. To, że brat Galfryd od dłuższej chwili coś do niego mówi, dotarło do Joscelina po dłuższej chwili.

- Co? - spytał półprzytomnie, mrugając oczyma.

Galfryd był ogromnym jasnowłosym bratem zakonnym, jednym z tych, którzy w czasie bitwy strzegli proporca, a mimo to wyszedł nawet bez zadrapania. Teraz przełknął ślinę i powiedział:

- Chciałem zameldować, rycerzu Joscelinie, że... Że wioska jest pusta.

- Wioska - szepnął de Royes i jeszcze raz przetarł piekące oczy. Gdy ponownie uniósł wzrok, jeździec na czarnym koniu już nie było, co dodało mu nieco otuchy. Obrzucił wzrokiem majdan, na którym gromadzili się już przydzieleni mu rycerze zakonni oraz serwien-si, wszyscy z twarzami przesłoniętymi płótnem. Potem zerknął na opustoszałe domostwa ziejące czernią okien. Już pamiętał, gdzie jest i na czym polega jego misja.

- Tu i ówdzie natknęliśmy się na ślady walki - ciągnął Galfryd. Olbrzym udawał spokój i opanowanie, ale znać było, że czuje się niepewnie. - Znaleźliśmy też trupy jeszcze trzech Saracenów oraz dwóch koni. W tamtym domu ktoś nocował, jest świeży popiół w palenisku.

- Ilu ludzi? - zapytał krótko Joscelin.

- Trudno powiedzieć. Kilku, może trzech, może czterech. Większość śladów zasypał piasek, ale na pewno nie był to jeden człowiek. Nikt w pojedynkę nie położył pięciu konnych tureckich najemników w walce wręcz.

- De Baideaux podróżuje w towarzystwie księdza, parobka oraz italskiego renegata - powiedział de Roy-es. - To z pewnością on. Ruszamy.

- Panie, nie wiem, czy to najlepszy pomysł - zawahał się Galfryd. - W tej burzy nie odnajdziemy żadnych śladów, zwłaszcza w górach...

- Odnajdziemy.

Wzrok Joscelina pomknął ku kilku hienom, które z zapalem rozszarpywały wywleczone na drogę ciało sa-raceńskiego wojownika. Jakby w odpowiedzi dwie z nich odwróciły zakrwawione pyski i zachichotały dziko, łyskając białkami ślepi. Gość templariuszy uśmiechnął się ponuro. Nie musiał spoglądać za siebie, by wiedzieć, że rycerze z lękiem kreślą znak krzyża na piersiach, a poblady Galfryd odwraca spojrzenie, szepcząc pod nosem słowa modlitwy.

Uderzył konia piętami. Zwierzę prychnęło i rzuciło łbem zaniepokojone, ale rycerz-gość popędził je raz jeszcze. Koń postąpił niechętnie kilka kroków.

Hieny przerwały makabryczny posiłek. W stronę Joscelina spoglądało teraz siedem par żółtych ślepi, siedem okrwawionych pysków rozwarło się w demonicznym uśmiechu. I siedem łbów złożyło mu coś nader przypominającego ukłon, gdy rycerz uniósł dłoń i wskazał ciemniejący w oddali, przesłonięty tabunami pyłu masyw gór. Po chwili rozwłózione ludzkie szczątki i poplamione krwią błoto były jedynymi śladami po wata-sze trupojadów.

Przez upiorny świst wiatru przedarł się cichnący chichot.

- Odnajdziemy młodego de Baideaux - powtórzył cicho de Royes. - A im prędzej to nastąpi, tym szybciej powrócimy do obozowiska. Tylko o tym marzysz, prawda, bracie Galfrydzie?

- Jestem ubogim rycerzem zakonu - wyjąkał ten. - Powolny waszej woli, panie...

- Nie pieprz, Galfryd! - syknął Joscelin cicho, by jego słowa nie dotarły do nikogo więcej. - Przecież to jasne. Któżby chciał z własnej woli uganiać się po pustkowiach za rycerzem-sodomitą, któremu służą padlinożercy? A może marzysz o czymś jeszcze, co? Powiedz mi, o czym śnisz?

- Panie, ja...

Rycerz spojrział z wahaniem ku uliczce, w której przed chwilą ujrzał jeźdźca na czarnym koniu. Serce ścisnął mu lęk, gdy zobaczył go ponownie, lecz tym razem strach nie trwał długo. Miał bowiem przemożne uczucie, że czarnowłosa skinał lekko głową, jakby na zachętę. Potem znikł.

Wiatr wył dziko wśród zabudowań, tumany piachu przelatowały z szelestem, białe płaszcze z czerwonymi krzyżami łopotały. Joscelin de Royes uśmiechnął się.

- No, bracie Galfrydzie, o czym marzycie? - zapytał, zawracając konia. - Co jest dla was najcenniejsze?

W połowie drogi między skałą, z której obserwowali nieznanym, a rzymskim fortem, wyrastał ogromny, obły głaz. Szeroki i masywny u zwieńczenia, a nieco przewężony u nasady podobny był do gigantycznego, znieruchomiałego potwora morskiego, tym bardziej że jego cielsko do połowy zakrywały rozpędzone tumany pyłu. To właśnie miejsce Gaston wybrał na spotkanie z Vittoriem.

Droga okazała się istną męczarnią. Wyruszając, przyobiecał sobie w duchu, że zachowa największą ostrożność i zrobi wszystko, by nie przyciągnąć uwagi wartowników Hugona. Przestał jednak pamiętać o swych postanowieniach już po kilkunastu krokach, a po kilkudziesięciu myślał tylko o tym, by nie poddać się wiatrowi. Skulony, na pół oślepiiony tumanami pyłu brnął uparcie przed siebie, lecz skalny potwór wciąż był tak samo daleko, jakby tego właśnie dnia duchy gór postanowiły pokazać pełnię swej złośliwości. Młodzieńca

zalewał pot, w płucach mu rzeziło, oczy piekły, skała raz tonęła we łzach, to znów nikła pośród chmur piasku.

Ale szedł.

Szedł, choć każdy krok zdawał się być ostatnim, choć wiedział, że popełnił straszliwy błąd i najprawdopodobniej nie zdoła pokonać tej samej drogi z powrotem. Parł naprzód, bo coś mu mówiło, że nie powinien zaprzepaścić tak wielkiego wysiłku, że nie wolno mu zaniechać misji. Problem w tym, że nie pamiętał, na czym polegała.

Gdy w końcu padł na skalną ścianę, wypolerowaną przez setki lat walki z górskimi wichrami, zmęczenie niemalże odebrało mu zmysły. Leżałby tak, gdyby czyjaś dłoń nie szarpnęła go za ramię, nie odwróciła na plecy, nie przystawiła buklaka do ust. Łyknął ciepłej wody, kaszlnął raz i drugi, zamrugał oczyma, aż zapiekły.

- Gaston? - pytał jakiś znajomy głos. - Gastonie, żyjesz?

- Vittorio? - wychrypiał półprzytomnie i podparł się łokciem, próbując usiąść. Z każdym mrugnięciem owinięta płótnem twarz Italczyka była coraz wyraźniejsza, dostrzegał nawet troskę i niepokój w jego spojrzeniu.

- A Vittorio, Vittorio... - sapnął Italczyk i ujął buklak. Pociągnął kilka solidnych łyków i oparł się o skałę.

- Na litość boską, w życiu nie spotkałem tak silnego wiatru - westchnął de Baideaux. - Miałeś rację, niech mnie szlag trafi! Trzeba nam było przeczekać tę wichurę, trzeba nam było cierpliwości...

- Przestań! - Vittorio położył mu palec na spękanych ustach i odwrócił się. Za każdym poruszeniem z fałd kaptura spływały mu cieniutkie strużki ziarenek piasku. - To ty miałeś rację. To naprawdę ludzie Hugona de Lovance, a nam zostało niewiele czasu, by zapobiec prawdziwym kłopotom.

- Co się stało?

- Hugo oszalał, Gastonie. Całkiem oszalał.

Wiatr wył i pogwizdywał, świat falował wraz z tumanami piachu przypominającymi armię spłoszonych duchów. Nie widać było ani nieba nad nimi, ani skały, za którą kryli się Anzelm, Bernard i niema dziewczynka. Tylko zatroskaną twarz Italczyka.

- Parę godzin temu, zanim burza rozpuściła się na dobre, zatrzymał orszak Marii Komnenny. Oznajmił, że wśród ludzi małżonki barona Baliana znajdują się asa-syni, a potem, nie zważając na protesty, spędził wszystkich do tego tam fortu i powiązał jak barany.

Oczywiście, usiłował przy tym okazać Bizantyjce względy i wytłumaczyć przy okazji, że to dla jej dobra, ale okazał się mało przekonujący. Zwłaszcza że osobiście rozszczepił jednego z jej rycerzy.

- Boże... A Maria? Coś jej się stało?

- A skąd mam ci to wiedzieć?! - Vittorio ściągnął kaptur. Piach wżarł się głęboko w jego nieliczne zmarszczki, przedłużył je i zabarwił, przez co twarz młodego Italczyka przypominała oblicze wyschniętego starca. - Trzymają ją pod strażą w jednym z budynków, nie dopuszczają nikogo w pobliże. Wszyscy ludzie Hugona ciągiem pod bronią, a ten ciska się jak szalony, fort obiega, jeńców sprawdza, czy dobrze związani, nie śpi, nie je, nie pije, jeno bez ustanku wypatruje asasynów. Nie przestaje przy tym powtarzać, że ci małżonkę Balianową chcieli porwać, żeby zmusić barona do jakichś ustępstw.

„Bzdura! - zaprzeczył Diabeł tak nieoczekiwanie, że Gastonowi aż zakręciło się w głowie. - Asasyni nigdy nikogo nie porywają. Najpierw wysyłają emisariuszy, a jeśli ci zawiodą, to grożą. Albo zabijają od razu”.

Wiatr wył jak potępiona dusza. Tumany piasku gnały. Gaston raz jeszcze zwilżył usta wodą z buklaka i wychrypiał:

- A jak się tu dostałeś, skoro Hugonem owładnęło szaleństwo?

- Ludzi mu brakuje, tedy na warcie mnie postawił. -Vittorio uśmiechnął się ponuro. - Jeno mus mi zaraz wracać, zanim się kto zorientuje. Jeszcze gotowi mnie za asasy na wzięć.

- Wracaj tedy - oznajmił Gaston. - I daj Adalbertowi to.

W jego dłoni błysnął sztylet.

- A zatem upierasz się przy swoim? - zapytał Vitto-rio. - Chcesz, by ten tłusty dureń wymógł na Hugonie wizytę u Marii pod pretekstem spowiedzi, a potem przeciął jej więzy i uciekał? Gastonie, to rozpaczliwy, beznadziejny plan bez najmniejszych szans...

- A cóż to za plan, Gastonie?

Głos, choć przytłumiony i zniekształcony przez wyjący wiatr, był znajomy. Obaj młodzieńcy poderwali się, porywając za miecze. Człowiek, który wypowiedział owo pytanie, stał ledwie kilka kroków od nich. Wicher szarpał za ciemny szal zasłaniający usta przybysza, unosił postrzępione połę płaszcza, targał wściekle kosmykami włosów wystającymi spod hełmu, lecz ów rycerz zdawał się tego nie zauważać. Jego przymrużone, przekrwione oczy, jeszcze wczoraj błyszczące radością życia, przewiercały obu towarzyszy na wylot.

- Cóż to za plan? - powtórzył. Nie widzieli jego ust, lecz nie ulegało wątpliwości, że uśmiecha się kpiąco, nerwowo. - Nieważne, powiesz mi. O wszystkim mi opowiesz.

Wyczułem podstęp od razu, gdy ujrzałem twoich przyjaciół i jak widać, intuicja mnie nie zawiodła.

Postąpił krok bliżej. W ślad za nim z zawieruchy wyłoniły się kolejne postacie, zakutane, złowieszcze, uzbrojone w kusze albo nagie miecze. Wyglądały jak pustynne koszmary i zgoła w niczym nie przypominały młodych rycerzy, którzy zaledwie wczoraj gnali do boju pod Akką.

- Hugo, daj mi wyjaśnić - wychrypiął Gaston zaskoczony i przerażony. - Nie działaj jak szaleniec, przecież... Przecież jesteśmy po tej samej stronie.

Słyszając to, de Lovance zwęził oczy i postąpił jeszcze krok. Młody Pikardyjczyk zrozumiał nagle, że jego słowa nie przebijają się przez szaleństwo, które owładnęło jego rodaka. Co więcej, uświadomił sobie, iż wie, co ten zaraz powie.

- Chciałeś zabić Maurycego de Souhait.

- Hugo...

- Jak ostatni łajdak szpiegujesz dla asasynów i za to umrzesz! - wycodził de Lovance. - Jak ostatni tchórz napadłeś i okaleczyłeś de Souhait, i za to będziesz smażył się w piekle.

I uniósł miecz.

„Rób coś, durniu!” - wrzasnął Diabeł.

Wycie wichru opadło o oktawę, a wtedy przebił się przezeń złowieszczy chichot, do którego dołączyło po chwili kilka innych. Hugo zamarł i obejrzał się zaskoczony, również jego ludzie rzucali wokół niepewne spojrzenia. W piaszczystej ćmie śmignęły ciemne, przygarbione sylwetki drapieżników. Chichot rozległ się znacznie bliżej.

- Co to, na świętego... - zaczął de Lovance, lecz wtedy piskliwy, szyderyczy śmiech rozległ się tuż za nim. Odskoczył wystraszony.

Ogromna hiena o płowej, pociętej bliznami sierści stała w odległości zaledwie paru kroków. Jej kły ociekały śliną, a płonące, żółte ślepia patrzyły prosto na obłąkanego rycerza.

- To tylko hieny! - Hugo zaśmiał się z udawanym lekceważeniem i machnął mieczem, chcąc odpędzić padlinożercę, lecz ten nawet nie drgnął. Co więcej, tuż obok niego stanął drugi.

„Na co ty jeszcze czekasz?! - jęknął Diabeł niemalże z rozpaczą. - Zaatakuj go teraz, póki te bydlaki...”

- Gaston! - szepnął nagle Vittorio.

Pośród niesionych wichurą tumanów piachu zamajaczyły kolejne postacie, wysokie, barczyste, z nagimi mieczami. Nadchodziły w złowieszczym milczeniu, a miotające się w

burzy hieny z piskiem ustępowały im z drogi. Oczy prowadzącego czarnobrodego rycerza w brunatnej tunice, płonęły tym samym blaskiem co ślepiec padlinożerców, a jego oblicze wyrażało tyle samo emocji co hienie pyski.

- Templariusze - któryś z ludzi Hugona de Lovance rozpoznał wreszcie przybrudzone tuniki z czerwonym krzyżem.

„O Boże!” - pomyślał struchlały ze strachu Gaston.

Vittorio wypuścił ze świstem powietrze z płuc.

- No to z deszczu pod rynnę - szepnął. - To Joscelin de Royes, człowiek, który wyciągnął mnie z lochu. I Anzelma, jak się wczoraj okazało, też. Już ponas.

- Witajcie, bracia! - wykrzyknął de Lovance, odwracając się plecami do Gastona i Vittoria. - Zaiste, Bóg mi was zsyła! W wielkiej opresji się znaleźliśmy...

- Zawrzyj pysk! - warknął czarnobrody rycerz o płonących oczach. - I usuń mi się z drogi.

Płazem miecza odepchnął zaskoczonego Hugona i w ten oto sposób znalazł się dokładnie na wprost Gastona, który sparaliżowany przerażeniem zamarł wsparty na łokciu. Chciał uciec chociaż spojrzeniem, ale nie był w stanie. Widział więc, jak twarz przybysza rozjaśnia szeroki, ponury uśmiech bez śladu wesołości.

- Witaj, de Baideaux - powiedział dziwnie miękko templariusz, jakby nagle ogarnęła go obezwładniająca ulga. - O, mamy również Scozziego! Wspaniale, doprawdy wspaniale. A więc za jednym zamachem pochwyliłem całą trójkę.

Obejrzał się za siebie, a Gaston, chcąc nie chcąc, powiódł za jego wzrokiem. I dostrzegł ostatniego z templariuszy, ogromnego wprost męża o szerokich ramionach, który wlekł kogoś na łańcuchu. Szarpał go przy tym bez litości, przez co jeńcowi rzadko kiedy udawało się zrobić więcej niż dwa, trzy kroki. Gdy de Baideaux go ujrzał, więzień podnosił się właśnie z ziemi, a jego twarz, brudna i poraniona, przypominała bardziej maskę fenickiego demona aniżeli ludzkie oblicze. Mimo to młodzieniec rozpoznał go natychmiast.

Anzelm.

„Święci aniołowie! - pomyślał Gaston. - Dlaczego nie ma z nimi Bernarda? Czyżby... Czyżby...”

Nie dokończył strasznej myśli, bo oto rycerz w brunatnej tunice wyciągnął dłoń. Ogromna hiena natychmiast podsunęła swój wielki łeb, domagając się pieszczot.

- O czym mówiliście, dobry rycerzu de Lovance? - zapytał.

- W wielkiej opresji się znaleźliśmy, bracie - wyjął tamten przerażony widokiem padlinożercy oswojonego niby psiak.

- Zaiste, w wielkiej.

Palce przywódcy templariuszy, czochrające łeb hieny, nagle zamarły, a potem z całej siły odepchnęły zwierzę. Hiena odskoczyła z głuchym warknięciem, targnęła łbem, a potem zamarła, gdy dostrzegła dłoń Josceli-na wskazującą postać Hugona de Lovance. Oblizwała kły i skoczyła, aż piach strzelił spod łap.

Wrzask bólu wzbijał się ponad wycie wichru.

Oszołomiony Hugo poderwał miecz, by z całej siły spuścić go na grzbiet padlinożercy, wgrzyzającego mu się w łydkę, lecz nie zdążył: Miecz Joscelina zamigotał, z chrzęstem prując ogniwa kolczugi na piersi młodego rycerza.

- To zmowa! - zaszlochał de Lovance. Z rozpaczą szarpał nogą, usiłując wyrwać ją z pomiędzy szczęk nieubłaganego padlinożercy - To zmowa! Ratujcie Marię! Ratujcie królową! Ratujcie...

- Brać ich! - zakrzyknął straszliwym głosem Joscelin, zatapiając ostrze w gardle Hugona.

Ciemne, nieruchome postacie w białych tunikach naraz drgnęły, a wraz z nimi ożyli ludzie de Lovance, dotąd z niemą zgrozą patrzący na śmierć swego przywódcy. Kilku zdążyło się

odwrócić, niektórzy poderwali nawet kusze bądź miecze, ale na próżno. Nieubłagani templariusze parli naprzód niczym gliniane golem z żydowskich opowieści, cięli bez słowa, bez litości, bez skrupulów. Każdy cios rozciągał na ziemi buchające krwią ciało, każde uderzenie obciążało zakon ubogich rycerzy nowym grzechem. Ostatni z przybocznych Hugona rzucili się do panicznej, bezrozumnej ucieczki smagani uderzeniami złośliwego wiatru, ale za nimi pomknęły bełty morderczo celne.

Kilka uderzeń serca później dziki zaśpiew wiatru był jedynym słyszalnym odgłosem, a cienkie póki co warstewki nawiewanego piachu zazdrośnie pożerały ciemne kałuże krwi. Golemy w wydętych wiatrem płaszczach zastygły, ciemne, nieruchome twarze obróciły się do Josceli-na.

- Słyszeliście, co powiedział de Lovance? - wychrypiał czarnobrody rycerz i wskazał okrwawionym mieczem mający pośród burzy zarys rzymskiego fortu. - Tam jest Komnena! Pozabijaj wszystkich ludzi z jej orszaku, ale biada, jeśli jej choć włos z głowy spadnie!

Za chwilę kolejny podmuch pyłu przesłonił postacię biegnących. W cieniu ogromnej, przypominającej wieloryba skały pozostał jedynie Joscelin de Royes. Wicher wygrywał złowieszcze melodie na ostrych krawędziach skalnych.

- Czy to słuszne? - zawołał rosły templariusz i z lubością szarpnął łańcuch krępujący więźnia. Anzelm, który właśnie próbował wstać, zarył twarzą w piachu. - Nie lepiej ją ubić jak tamtych, panie? Jeśli się rozniesie, że nasz zakon przelewa chrześcijańską krew...

- Milcz, Galfryd! - warknął Joscelin i z furią kopnął hienę, która łapczywie przypadła do kałuży krwi wokół głowy Hugona de Lovance. Zwierzę odskoczyło na bok i zawarczało. - Milcz - powtórzył, wpatrując się w swego towarzysza płonącymi oczyma. Stał teraz bokiem do Gastona i Vittoria, ale nadal mierzył w ich kierunku mieczem. - Nie chcę dożyć dnia, kiedy będę potrzebować twej rady bądź pomocy.

W warkocie hieny pojawiła się nowa nuta, zwierzę raptownie odwróciło łeb i zjeżyło sierść. „Gaston. - szepnął błagalnie Diabeł - teraz albo ni-gdy!”.

Pewność siebie ogromnego templariusza wyparowała, smagnięty ognistym wzrokiem Joscelina spojrział w bok. Nie widział, że leżący bezwładnie Anzelm unosi powoli głowę, a jego twarz, pokrwawiona i brudna, zaczyna się przekształcać.

Młodzieniec przesunął dłoń po piasku.

- Przywiąż gdzieś lepiej tego zdrajcę - warknął ze wzdrganą Joscelin. - I zabierzmy się za tych dwóch...

Mówi się, że istnieje broń, którą stworzono tylko po to, by zadano nią owo jedno jedyne uderzenie, cios zdolny zmienić bieg wydarzeń i odwrócić czyjeś przeznaczenie. Bez wątplenia ów niewielki, ostry pugińał z damasceńskiej stali, który Gaston w niemal już niepamiętnych czasach wyrwał zza pasa nieprzytomnego turkopola, a przed chwilą wręczył Italczykowi, został wykuty tylko po to, by tego burzliwego dnia wysoko na Schodach Tyryjskich utkwiał w goleni Joscelina de Royes.

Wicher porwał wrzask ranionego rycerza i poniósł go wysoko.

- Dobra robota! - zawył ochryple Vittorio. - Łap!

W powietrzu błysnęła stal, Gaston pochwycił rzucony mu miecz i wywinął nim młyńca.

- Dokończ to! - wrzasnął Italczyk i z dzikim rykiem skoczył ku dwóm templariuszom w rozwianych płaszczach, którzy wychynęli z tumanów pyłu.

„Dokończ to!” - szepnął błagalnie Diabeł.

Gaston wyszczerzył zęby i wziął zamach. Serce biło mu wściekle, buzująca nienawiścią krew łomotała w żyłach, rozchwiane spojrzenie pochwyciło Joscelina zataczającego się, usiłującego wyrwać pugińał z rany.

Dostrzegł też jego oczy - przekrwione i przestraszone, zwykłe, ludzkie. Dostrzegł spazmy bólu na twarzy i wilgoć w kącikach oczu. Patrzył, jak de Royes pada na kolana i rękami śliskimi od krwi łapie za rękojeść i znów ją wypuszcza sparaliżowany cierpieniem.

Spodziewał się ciosu, lecz cios nie padał.

„Nie mogę...” - zaszlochał w myślach de Baideaux.

„Musisz! - wył Diabeł z rozpaczą. - To Joscelin de Royes! On ci nie popuści! Będzie cię ścigał choćby po kres świata!”

- Muszę - szepnął Gaston.

I napiął mięśnie.

Wtedy coś - dopiero później dostrzegł, że był to sporej wielkości głaz - walnęło go w klatkę piersiową i pozbawiło oddechu. Zatoczył się do tyłu zamroczony i byłby padł, gdyby nie chropowata ściana skalna. Dopiero po chwili skupił wzrok na tyle, by dostrzec ogromnego templariusza zwanego Galfrydem, który z lekkością poderwał kolejny głaz i wziął zamach. Diabeł coś wrzeszczał, ale Gaston ani drgnął sparaliżowany pokazem nieludzkiej wprost siły. Znów uratował go Anzelm.

Rycerz-odmieniec poderwał się z piachu z cichym warknięciem. Jego oblicze przypominało teraz krwawą maskę, jednakże przymrużone oczy lśniły niepowstrzymaną wprost furją, a ciało poruszało się szybciej od myśli. Ujął długi łańcuch, którym obwiązano jego szyję, zakreślił nim wyjący krąg i walnął w potylicę templariusza. Było to uderzenie, które mogłoby powalić jeźdźca wraz z koniem, lecz templariusz jedynie się zachwiał, upuścił głaz i spojrzał na oszołomionego, znieruchomiałego Anzelma. A potem z szybkością, której trudno było oczekiwać po takim kolosie, pochwycił przeciwnika za ramiona i poderwał w górę.

Nim Gaston zdołał skupić myśli, już pędził w ich kierunku, w biegu podrywając miecz Joscelina. Szybkim cięciem odrzucił na bok jakąś hienę, która usiłowała pochwycić go za kostkę, odbił się od głazu i w przelocie ciął Galfryda przez plecy. Olbrzym ryknął, zachwiał się, ale puścił swą ofiarę. Kątem oka młodzieniec dostrzegł, że Anzelm znów jest na nogach, ale potem świat przesłoniła mu szeroka pierś szarżującego, ryczącego z bólu Galfryda.

Ujął miecz.

„Czekaj... - szepnął Diabeł. - Jeszcze... Teraz! Uskok!”

Cios templariusza, zdolny przetrąbać kamień młyński na pół, przeciął powietrze. Gaston wykręcił piruet, aż załopotał mu płaszcz i z całej siły spuścił ostrze na hełm zakonnika. Anzelm doskoczył z boku i wbił mu sztylet pod łopatkę. Olbrzym zaryczał niczym raniony niedźwiedź, usiłował się odwrócić, ale młodzieniec, wolny tym razem od wahań i dylematów, wymierzył mu potężnego kopniaka. Galfryd zatoczył się, lecz padł na ziemię.

Przekłuli go wspólnie.

- Gdzie de Royes? - wychrypiał Anzelm niewyraźnie z powodu długich kłów, nachodzących na wargi.

Młodzieniec obejrzał się i zmartwił. Tam, gdzie przed chwilą leżał czarnobrody rycerz, nie było już nikogo. Wiatr wył jakby rozbawiony udręką wędrowców. A potem wręcz od niechcenia przygnał wołanie o pomoc.

- Gaston! Anzelm! - krzyczał Vittorio, który z narastającym trudem odpierał ataki dwu rycerzy zakonnych. Jeden z nich utykał, tunika drugiego również zbroczona była krwią, lecz obaj napierali bez litości, a ich tarcze bez trudu powstrzymywały desperackie ataki wysokiego Italczyka.

Ale na walkę z wojownikami o władniętymi przez siły powszechnie uznane za nieczyste gotowi nie byli. Bliższy odskoczył, uniósł tarczę, odbił nawet pierwszy cios rozwścieczonego Anzelma, jednak za wolno - krótki zamach i rycerz-wilkołak wbił mu miecz w pachwinę.

Drugi templariusz ustąpił przed zaciekłym kontratakiem Vittoria, lecz nie potrafił - bądź nie zdążył - uchronić się przed Gastonem, który przypadł z boku i ciął go po kolanie.

W chwilę później oba ciała leżały nieruchomo na piasku.

- Co teraz? - wysapał zdyszany Vittorio.
- Maria Komnena! - zawołał de Baideaux.

Biegli jak szaleni w stronę coraz bliższego fortu, a przez wyrwę we frontowej ścianie widzieli już walczących na dziedzińcu. Rozgrzani bojem parli przed siebie, nie zważając na wichurę, która niestrudzenie ciskała im w twarze garście piachu i usiłowała zbić z nóg nagłymi podmuchami. Nie patrzyli na mijane trupy, po których pełzały już wążutkie strumyki nawiewanego piasku, nie myśleli o tym, że kolczugom, tarczom i hełmom dwakroć liczniejszych templariuszy przeciwstawić mogą jedynie zaskoczenie oraz własną zajadłość. W chwili gdy Gaston wspiął się na rumowisko kamieni u stóp wyrwy, zrozumiał, że mieli po swej stronie jeszcze jeden atut.

Wysoka, szczupła kobieta stojąca pośrodku dziedzińca bez wątpienia była Marią Komneną. Wskazywały na to choćby bogate szaty, swego czasu staranny, teraz rozsmazany makijaż czy złote pierścienie połyskujące na jej palcach. Ale przede wszystkim o jej władzy i autorytecie świadczył krzyk, którego nie sposób było nie usłuchać, krzyk, który mógł wydobyć się tylko z gardła osoby wysoko urodzonej.

- Ani się ważcie, kurwie syny! - wrzeszczała królowa Maria, grożąc pięścią otaczającym ją templariuszom. - Ani się ważcie! Marny wasz los, doprawdy marny, jeśli ktoś choćby mnie dotknie!

Darla się zaś z takim przekonaniem, z taką mocą, że zalękniony ksiądz Adalbert, trwający u jej boku z trzymanym niezgrabnie mieczem, wydawał się mniejszy niż zwykle.

- Pierwszego, który podejdzie, wypatroszę jak wieprza! - krzyknęła Maria. - No, któryś ma ochotę poznać gniew bizantyjskiej królowej?

W brudnej dłoni małżonki barona Baliana błysnęła króciutki sztylet. Otaczający ją zakrwawieni, zdyszani templariusze oraz serwiensi patrzyli po sobie niezdecydowani i co rusz zerkali za siebie, ku wyrwie w ścianie fortu, w oczekiwaniu kogoś, kto wyda im rozkaz.

A Gaston zrozumiał, że zaraz dostrzegą kogoś, kogo nie powinni. Odwrócił się, porozumiał wzrokiem z Vit-toriem i Anzelmem, po czym jednym susem zeskoczyli na dziedziniec. W ciszy ruszyli do natarcia.

Maria Komnena z pewnością ich dostrzegła, ale nie zdradziła się niczym. Wpadli między templariuszy znienacka niczym drapieżne ptaki, rąbiąc na prawo i lewo, gasząc życie, siejąc deszczem czerwonych kropli krwi.

Anzelm przypadł do serwiensa z kuszą, przebił go mieczem, a nim spadająca kusza stuknęła o bruk dziedzińca, ciął już kolejnego. Vittorio wpadł barkiem na rycerza w hełmie garnckowym, przewrócił go, rąbnął dwukrotnie i pochwycił tarczę, w samą porę, by zasłonić się przed opadającym toporem któregoś z serwien-sów. Ten zdołał uderzyć tylko raz, bo zaraz ściał go Gaston.

Młodzieniec, wciąż gnany impetem skoku, zatrzymał się dopiero kilka kroków dalej.

„Za tobą!” - ostrzegł Diabeł.

Uskoczył przed spadającym ciosem, nawet się nie oglądając.

„Pchnij za siebie! W brzuch!”

Biegł naprzód, zostawiając za sobą bulgot krztuszącego się krwią przeciwnika, którego twarzy nawet nie widział. Pędził ku Marii, która krzyczała z uniesieniem i próbowała wyszarpnąć miecz z rąk protestującego Adalberta.

„Cios na prawą łopatkę!”

Uskoczył, machnął za siebie, niecelnie.

- Pani! - zawołał.

Maria znieruchomiała.

- Najświętsza Panagio Blachernitisso, kim wy... - zaczęła, ale młodzieniec nie pozwolił jej dokończyć.

- Nieważne! Musimy stąd uchodzić!

Bizantyjka kiwnęła głową, a Gaston, dziwiąc się swej
zuchwałości, pochwycił ją za rękę.

„Głowa!”

Nachylił się w ostatnim momencie, aż pęd powietrza rozciętego przez ostrze miecza owiał mu
twarz. Poderwał się, napiął mięśnie, lecz wtedy jego napastnik, młody człowiek w tunice
serwiensa, naraz zastygł i zwiotczał, by upaść u jego stóp. Z pleców sterczał mu belt.

- Gaston! - wrzeszczał Vittorio, odrzucając kuszę. -Pora na nas!

Maria natychmiast zrozumiała powagę sytuacji. Złapała mocniej dłoń Gastona, drugą
pochwyciła spotnia-łą rękę Adalberta i we trójkę runęli ku wyrwie w ścianie, gdzie szaleli
Vittorio i Anzelm odcinający się ostatnim przeciwnikom. Biegli z łopotem szat, porwani
własną odwagą, przeskakiwali nad ciałami i przysypanymi piaskiem resztkami ścian, a suchy
wiatr, już spokojniejszy, jakby z szacunkiem unosił długie, czarne włosy Marii Komneny.
Dotarli do rumowiska w chwili, gdy toczący pianę z ust, zakrwawiony Anzelm potężnym
kopnięciem strącił jakiegoś templariusza. Rycerz walnął hełmem o jakiś kamień i
zniechęcił się.

„Dobij!”

Gaston ciął w biegu, wrywając z gardła nieruchomego zakonnika strugę czarnej krwi. W tej
samej chwili poczuł, jak dłoń Marii sztywnieje.

- Na świętego Teodora Stratilatosa! - wrzasnęła małżonka Baliana.

W istocie, widok brodatego, brudnego Bernarda, który wychynął zza skały z rozwianym
włosem, ściskając okrwawiony kij, mógł przerazić nawet najodważniejszego. Olbrzymi
niemowa bełkotał coś pospiesznie, wskazując za siebie.

- To swój! - wykrzyknął de Baideaux z niezmierną ulgą. - Boże, ty żyjesz! Konie!
Bernard podprowadził konie!

Przebiegli obok Vittoria, który właśnie strącił z rumowiska jakiegoś szczególnie zaciekłego
serwiensa i natychmiast skoczył za nimi, osłaniając tyły. W dwa uderzenia serca później
dołączył do nich również Anzelm, którego oczy, choć nadal przekrwione, odzyskały już
normalny blask. Zdyszani biegli w ślad za ogromnym parobkiem, który pędził ku ledwie
widocznym w émie koniom, stojącym przy skale o kształcie wieloryba.

Wtedy Gaston dostrzegł, że Adalbert wrywa swą dłoń z ręki Marii Komneny i zatrzymuje
się niepomyślnie pościgu templariuszy. Na twarzy duchownego widać było autentyczny lęk.

- Dziewczynka! - wrzasnął. - Gdzie jest dziecko?

- Adalbercie, nie ma czasu! - zaczął de Baideaux. -Zaraz...

- Nie ruszam się stąd bez tej dziewczynki! - Czerwony na twarzy duchowny zrobił krok
w tył. - Na litość Boską, nie możemy jej tutaj zostawić...

- Zginiemy wszyscy, jeśli...

- Nie możemy jej tu zostawić!

Kapelan rodu de Baideaux nigdy wcześniej nie wrzasnął tak głośno, nigdy też jego oczy nie
zaślnęły takim zdecydowaniem. Gaston uświadomił sobie naraz, że patrzy na zupełnie
nieznanego sobie Adalberta. Zrozumiał też, że nie ma bladego pojęcia, jak z nim dalej
rozmawiać.

Z opresji wybawił młodzieńca Anzelm, który szarpnął go za ramię i bez słowa wskazał konie,
do których przypadł już zdyszany Bernard. Przy najbliższym z nich -tym, którego zwykle
dosiadał książd - majaczyła postać niemej dziewczynki. Wiatr porywał jej brudne szatki
i szarpał kapturem kryjącym twarzyczkę, ale Gaston nie miał wątpliwości, że mała patrzy
prosto na duchownego. I że uśmiecha się.

- Wielka jest łaska naszego Pana - sapnął Adalbert. -Chodu!

Rozdział piętnasty

w którym wędrowcy, na moment zatopieni w świetle baśni, szybko się z niego wynurzają, by wpaść prosto w brutalną rzeczywistość

Kolejna wściekła kłótnia wybuchła ledwie godzinę później, gdy grupka uciekinierów znalazła się w niewielkim wąwozie o stromych ścianach. Świst przemykającego nad ich głowami wiatru był tu o wiele mniej dokuczliwy i Gaston wykorzystał tę chwilę, by przedstawić towarzyszom swój plan. Vittorio, jak dotąd główny inicjator wszelkiego rodzaju awantur, wydał lekko wargi, ale powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Nic nie powiedział także Adalbert, którego całym światem było teraz siedzące przed nim dziecko. Pochylony w siodle, półprzytomny Anzelm nawet nie uniośł głowy.

Atak nastąpił ze strony Marii Komneny.

- Na Pankreatora, cóż to za brednie! - warknęła królowa, podjeżdżając bliżej. Jej twarz, nadal dumną i szlachetną mimo rozmazanego makijażu i grubej warstwy pyłu, wykrzywił grymas niechęci. Dłonie mocno zaciśnięte na wodzach drżały, jakby ze wszelkich sił starała w którym wędrowcy, na moment zatopieni w świetle baśni, szybko się z niego wynurzają, by wpaść prosto w brutalną rzeczywistość

olejna wściekła kłótnia wybuchła ledwie godzinę później, gdy grupka uciekinierów znalazła się w niewielkim wąwozie o stromych ścianach. Świst przemykającego nad ich głowami wiatru był tu o wiele mniej dokuczliwy i Gaston wykorzystał tę chwilę, by przedstawić towarzyszom swój plan. Vittorio, jak dotąd główny inicjator wszelkiego rodzaju awantur, wydał lekko wargi, ale powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Nic nie powiedział także Adalbert, którego całym światem było teraz siedzące przed nim dziecko. Pochylony w siodle, półprzytomny Anzelm nawet nie uniośł głowy.

Atak nastąpił ze strony Marii Komneny.

- Na Pankreatora, cóż to za brednie! - warknęła królowa, podjeżdżając bliżej. Jej twarz, nadal dumną i szlachetną mimo rozmazanego makijażu i grubej warstwy pyłu, wykrzywił grymas niechęci. Dłonie mocno zaciśnięte na wodzach drżały, jakby ze wszelkich sił starała się powstrzymać wybuch wściekłości. - Cóż to za brednie, rycerzu de Baideaux?

- On nawet nie jest pasowany - bąknął Vittorio niby do siebie, ale dobrze słyszonym głosem.

- A zatem, de Baideaux? - nalegała Maria. - Wytłumaczysz mi, dlaczego chcesz błądzić po górach w poszukiwaniu jakiegoś Dar il-Hasan zamiast udać się prosto pod Akkę do mego męża i jego ludzi?

- Bo... - Gaston rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu natchnienia. - Bo trakt na Akkę nie jest bezpieczny, moja pani - ciągnął ze wzrokiem utkwionym w rozkołysanym suchym krzaku, którego korzenie rozpaczliwie trzymały się kilku pęknięć w ścianie wąwozu. - Musimy przeczekać niebezpieczeństwo.

- Tak? A czymże jest owo niebezpieczeństwo, de Baideaux? Mój poprzedni zbawca obawiał się asasynów. Ba, obawiał się ich tak bardzo, że z tego strachu rozłupał łeb nieszczęsnemu de Foix! Razem z hełmem!

- Zagrożają nam templariusze.

- Nam czy wam? Przyznaj, de Baideaux, niezbyt ci się pali do powrotu pod Akkę, co? Boisz się, że zakonnicy postanowią pomścić tę krwawą łaźnię, jaką sprawiliście ich braciom? Bo jeśli tak, to ja nie mam zamiaru uczestniczyć w waszym sporze. Rozstaniemy się tu i teraz. Z tymi słowami ujęła mocniej wodze i z zaciętą miną kopnęła końskie boki. Zatrzymał ją cichy głos Gastona:

- Czy tego chcecie, czy nie, pani, jesteście już częścią owego sporu, czymkolwiek został on wywołany. Sam słyszałem, jak przywódca zakonników wołał, by wzięto was żywcem. Bóg jeden wie po co i dlaczego.

- Mój mąż... - głos Marii lekko zadrżał. - Mój mąż jest znacznym baronem! Uchroni nas przed zakonnikami!

- Skoro nie wahali się podnieść ręki na was, znaczy, że niezbyt go poważają - wtrącił nieoczekiwanie Vitto-rio. - Ci ludzie za nic mają...

- Dość! - wybuchła królowa. - Pankreatorze, dość mam już tego! Asasyni, templariusze, zaraz zaczniecie mnie straszyć Athanatoi albo gwardią wareską! Jeśli trakt rzeczywiście jest niebezpieczny, to chyba tylko dlatego, że co rusz spieszy mi z pomocą jakiś szaleniec. Ruszamy pod Akkę, natychmiast!

- Nie - powiedział stanowczo Gaston.

W wąwozie zapadła całkowita cisza przerywana jedynie prychnaniem zmęczonych koni oraz świstem wiatru ciętego przez skalne krawędzie. Maria Komnena odwróciła na moment spojrzenie.

- Coś ty powiedział, gołowąsie? - rzekła cicho zimnym, bardzo zimnym głosem. - Jak ty się do mnie odezwałeś?

- Jest wiele rzeczy, których w tym wszystkim nie rozumiem - odparł młodzieniec zaskoczony własnym opanowaniem. Koń pod nim zatańczył niespokojnie, jakby spłoszony grozą w głosie królowej. - Na przykład dlaczego Joscelinowi de Royes, przywódcy owych templariuszy, służą hieny. Tak się dziwnie złożyło, że Joscelin... Cóż, Joscelin przeżył.

- Przeżył? - ocknął się niespodziewanie Anzelm.

- Tak. Z mojej winy, jeśli chodzi o ścisłość - wycedził Gaston. - Nie wiem również, po co nastaje on na wasze życie, ale jestem niemalże pewien, że pošle te bydlaki pod Akkę z wieścią o walce w formie. A na trakcie będzie nas łatwo osaczyć. Musimy dotrzeć do Dar il-Hasan, tam... Tam będziemy bezpieczniejsi. Wierzcie mi pani, zależy mi na tym, byście ujrzeli męża. Nawet bardzo.

Wierzchowiec młodzieńca targnął łbem i prychnął, odpowiedział mu koń Vittoria, uderzając nerwowo kopytem o głaz. Pogwizdujący wicher przyniósł echo odległego chichotu i Gaston zrozumiał, że bynajmniej nie wzrok królowej budzi lęk rumaka. Uniósł wzrok - wydawało mu się, że wśród niesionych wiatrem tumanów piachu przemknęło kilka niewyraźnych czworonogich sylwetek.

Maria dostrzegła je również.

- Znasz drogę do tego Dar il-Hasan? - zapytała zdławionym głosem, unikając wzroku młodzieńca.

- Wiem, że jest na południowych zboczach. - Pikardyjczyk przygryzł wargę. - Trzeba będzie... Trzeba będzie zejść z traktu i przejść przez góry. Myślałem, że może ktoś z was... Vittorio uniósł oczy ku niebu zasłoniętemu przez rozpędzone tabuny coraz ciemniejszych chmur. Anzelm sapnął i pokręcił głową, a Maria znów zacisnęła pięści.

- A zatem wiele gadania na próżno - westchnęła ze wzgardą. - Jakie to typowe dla was, Franków! Pies trącał hieny. Jedziemy ku Akce!

- Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą - odezwał się niespodziewanie Adalbert. Pulchną, mięsistą dłonią gładził pozlepiane w strąki włosy dziewczynki, a okrągłą twarz rozjaśnił mu uśmiech.

Brudny paluszek jego podopiecznej, wciąż otulonej połą płaszczą, wskazywał na południe, tam gdzie między skruszałymi skałami wiodła w górę zbocza wąziutka, niewidoczna niemal ścieżyna.

- Mam uwierzyć, że to dziecko zna drogę do tego Dar il-Hasan? - uniósł brwi Vittorio. Gdzieś znów zachichotały hieny.

- No dobra - mruknął, opanowawszy dreszcz.

- Niewykluczone, że de Royes wysłał swoją sforę również naszym tropem. - Gaston usiłował mówić z niezachwianą pewnością siebie. - Na szczęście wiem, jak pokrzyżować mu szyki.

I nadal tym samym sztucznie spokojnym tonem przedstawił plan, który przed chwilą usłyszał od diabła

Zapadały z wolna ciemności.

Po twarzy Vittoria widać było, że teraz to on chętnie zacząłby wyrzekać na pomysły Gastona, ale powstrzymywały go resztki zdrowego rozsądku. Wypuszczenie wierzchowców luzem w kierunku Akki, choć przyszło im z trudnością, uwolniło wędrowców od wielu problemów.

Wiatr od dawna nie przynosił już chichotu padlinożerców, co oznaczało, że umykające konie odciągnęły ich uwagę. Nowy szlak wskazany przez tajemniczą podopieczną Adalberta okazał się stromą ścieżyną i tak wąską, że dwóch pieszych ledwo mogło iść obok siebie.

Przez zmęczenie, głód, pragnienie, a nade wszystko znużenie nieustającą wichurą Italczyk z trudem trzymał nerwy na wodzy.

Prowadziła teraz Maria Komnena. Nieustępliwa Bi-zantyjka niedbale związała włosy w warkocz i nadawała ostre tempo, jakby w ten sposób chciała się zemścić na młodym Franku, który postawił na swoim. Za nią kroczył pogrążony w czarnych myślach Anzelm, dalej Gaston, za Pikardyjczykiem posapujący, mnący przekleństwa Vittorio, a na końcu ślaniający się na nogach Adalbert podpierany przez niestrudzonego Bernarda. Mała dziewczynka szła tuż przed nimi, podskakując i uśmiechając się promiennie.

Tymczasem zapadały coraz gęstsze ciemności, a nieodległe łagodne szczyty gór przeobrażały się w cielska ożywających prastarych potworów. Upiorna symfonia wichru nabierała coraz wyższych tonów.

- Gaston! - warknął w końcu Italczyk.

Młodzieniec zatrzymał się i otarł pot z czoła.

- Co? - rzucił półprzymtomnie. - Dlaczego mnie zatrzymujesz?

- Bo chciałbym, żebyś się raz jeszcze zastanowił. Zapada noc, a my jesteśmy w samym środku gór bez jedzenia, niemalże bez wody, ciągnąc wściekłą babę, co gorsza, żonę najbardziej wpływowego barona królestwa. Nie sądzisz...

- O co ci, do cholery, chodzi? - warknął rozdrażniony de Baideaux. - Jeśli coś ci się nie podoba, to proszę bardzo, wracaj sobie na trakt do Akki. Pies trącał templariuszy, prawda?

- Gaston, mam złe przeczucia. Skąd wiesz, że idziemy w dobrym kierunku? Dlaczego zaufaliśmy temu dziecku?

- Nie wiem.

W istocie nie wiedział, lecz w przeciwieństwie do Vittoria przeczuwał, że to akurat błędem się nie okaże. W błyszczących tajemniczo oczach milczącej dziewczynki odkrył coś, co rozwiewało wszelkie wątpliwości, coś, co dodawało otuchy i jednocześnie nakłaniało do rozmyślań nad sobą. Te zaś nie prowadziły do optymistycznych wniosków.

- A nawet jeśli ta mała rzeczywiście ma rację, to skąd wiesz, czym naprawdę jest Dar il-Hasan? - ciągnął Ital-czyk. - Skąd wiesz, że znajdziemy tam pomoc?

- Nie wiem - powtórzył młodzieniec rad, że ciemności skrywają rumieniec wstydu.

- Uff, ulżyło mi! - warknął Vittorio. - Naprawdę. Bo byłem przekonany, że zaczniesz się zasłaniać prawością hrabianki de Grenier. A zatem po prostu nie wiesz, co nas tam czeka.

Dobre i to. Tak, o wiele lepsze niż stek bzdur z ust tej wywłoki. Nie potrzebujemy fałszywych...

- Jak dotąd nas nie oszukała! - przerwał mu gwałtownie Gaston. - Już zapomniałeś, że Hugona de Lo-vance w istocie szlag trafił? Że życie królowej Marii było w niebezpieczeństwie?

- Za sprawą miecza pewnego Joscelina de Royes. -Italczyk wyszczerzył zęby. -

Właśnie, powiedz mi, jak to się właściwie stało, że on przeżył, co? Już drugi raz nie dajesz rady utłuc leżącego. To zaczyna być groźne. Słuchaj, jeśli chcesz paru lekcji...

- Gaston, mam złe przeczucia. Skąd wiesz, że idziemy w dobrym kierunku? Dlaczego zaufaliśmy temu dziecku?

- Nie wiem.

W istocie nie wiedział, lecz w przeciwieństwie do Vittoria przeczuwał, że to akurat błędem się nie okaże. W błyszczących tajemniczo oczach milczącej dziewczynki odkrył coś, co rozwiewało wszelkie wątpliwości, coś, co dodawało otuchy i jednocześnie nakłaniało do rozmyślań nad sobą. Te zaś nie prowadziły do optymistycznych wniosków.

- A nawet jeśli ta mała rzeczywiście ma rację, to skąd wiesz, czym naprawdę jest Dar il-Hasan? - ciągnął Italczyk. - Skąd wiesz, że znajdziemy tam pomoc?

- Nie wiem - powtórzył młodzieniec rad, że ciemności skrywają rumieniec wstydu.

- Uff, ulżyło mi! - warknął Vittorio. - Naprawdę. Bo byłem przekonany, że zaczniesz się zasłaniać prawością hrabianki de Grenier. A zatem po prostu nie wiesz, co nas tam czeka. Dobrze i to. Tak, o wiele lepsze niż stek bzdur z ust tej wywołki. Nie potrzebujemy fałszywych...

- Jak dotąd nas nie oszukała! - przerwał mu gwałtownie Gaston. - Już zapomniałeś, że Hugona de Lo-vance w istocie szlag trafił? Że życie królowej Marii było w niebezpieczeństwie?

- Za sprawą miecza pewnego Joscelina de Royes. - Italczyk wyszczerzył zęby. - Właśnie, powiedz mi, jak to się właściwie stało, że on przeżył, co? Już drugi raz nie dajesz rady utłuc leżącego. To zaczyna być groźne. Słuchaj, jeśli chcesz paru lekcji...

- Zawrzyj pysk! - wycedził de Baideaux. - I popatrz.

Sunące nad szczytami chmury szybko ciemniały, a świat powlekła coraz głębsza szarość, ale od razu zauważyli, że Maria Komnena i Anzelm z Ar-Ramli znieruchomieli na skalnej grani jakby zdjęci przerażeniem. Potem odwrócili się równocześnie i gwałtownymi gestami zaczęli nawoływać resztę kompanii.

- Chodźmy - rzucił Gaston i ruszył przed siebie.

- Dar il-Hasan - powiedział cicho Anzelm i pokiwał lekko głową, jakby przytakiwał jakimś mrocznym wspomnieniom.

Na chwilę krótką jak sura Koranu wicher rozegnał kłębowisko chmur i przełęcz zalał drżący, srebrny blask księżyca. Najpierw ujrzeni bielony, częściowo zawalony mur z ciemniejącą paszczą bramy, a dalej kopulaste, połyskliwe dachy. Daleko za nimi wznosiła się wieżyca, ongiś dumna i wyniosła, teraz nadkruszona, a może ogryziona przez demony gór. Wszędzie jak okiem sięgnąć ciągnął się gładki piasek usypany w łukowate wydmy. Podchodził pod ściany budowli, niemalże otoczył niewielką cysternę, pochłaniał niewielkie wyschłe drzewka. Po kilku chwilach kobierzec chmur ponownie się zasklepił, ciemność zgęstniała, a podmuch wiatru poderwał wiry piasku.

- Oto i miejsce, gdzie będziemy bezpieczniejsi - suchym głosem oznajmiła Maria. - Trudno w to wątpić. Ludzie opuścili je setki lat temu.

I ruszyła szybkim krokiem ku bramie, a za nią Anzelm, Adalbert i podpierający go Bernard. Wielkooka, uśmiechnięta dziewczynka podierała znużonego duchownego z drugiej strony. Gdy przechodzili obok Gastona i Vittoria, nie omieszkała obrzucić ich tajemniczym uśmiechem.

- Na litość Boską, kim jest to dziecko? - szepnął de Baideaux.

- No właśnie, kim? - podchwycił Italczyk, lecz w jego głosie pojawiła się całkiem inna nuta. - Po mojemu to musiała mieć jakiś związek z tymi, co tu kiedyś mieszkali, a ci, jeśli nos mnie nie myli, z pewnością byli rozbójnikami. Spójrz tylko.

Młodzieniec odwrócił się i aż oniemiał. Kobierzec chmur na południe od nich wypuścił snop srebrnego światła, które tym razem opromieniło zbocza gór i wijący się między nimi trakt. Nieco dalej, tam gdzie trwało już królestwo mroku, migały zbiorowiska drobnych, ledwie dostrzegalnych światełek.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie droga z Tyru do Akki! - ciągnął Vittorio, kręcąc głową z uznaniem. - Zaś te światła to na pewno obozowisko naszej armii oraz samo miasto!

Przecież w pogodne dni stąd musi być widać morze! Ech, dobrze musiało powodzić się temu, kto tu osiadł.

- Czyżby? - mruknął z niechęcią Gaston i obrzucił wzrokiem opustoszałe, na poły przykryte piaskiem budowle. - To w takim razie dlaczego od lat nikt tu nie mieszka? Entuzjazm Italczyka zgasł w jednej chwili. W milczeniu ruszyli ku martwym zabudowaniom, ignorując zarówno ironiczne spojrzenia idącej przodem Marii Komneny, jak i wymuszone ożywienie wycieńczonego, ślaniającego się na nogach Adalberta, który opowiadał swej podopiecznej o łaskawości aniołów.

Starczyło jednak kilka kroków, by zapomnieli i o jednym, i o drugim.

Wiatr powiał łagodniej, a przebudzone przezeń wiry pyłu tańczyły wokół siódemki strudzonych wędrowców niczym dżiny z barwnych snów. Promyki księżycy wymykające się spomiędzy poszarpanych skrzydeł chmur srebrzyły to dachy, to ściany murów, a jednocześnie otuliła ich cisza, niezwykła i głęboka. Gdzieś uleciało zmęczenie, stąpali śmiało ku coraz bliższej bramie, nie dbali o to, że syпки piach pochłania ich stopy aż po kostki, bo oto przeznaczenie prowadziło ich prosto w sam środek baśni.

Szli naprzód. Gdzieś grała muzyka, tajemnicza i zmysłowa jak noce Lewantu, wiatr podsuwał odległe wspomnienia to ostrych przypraw, to upajających pachnideł, to zapachu wielbłądziej sierści.

Szli jak w transie porwani niewytłumaczalną atmosferą tego miejsca, toteż gdy Anzelm nagle uniośł dłoń i wskazał dwie przygarbione, niewyraźne sylwetki przykucnięte w cieniu muru, nikt nawet nie porwał za broń. Te zresztą uniosły się i chyłkiem czmychnęły w mrok niczym spłoszone bezpieczeństwa psy. Dostrzegli tylko łopoczące na wietrze łachmany.

Oraz ogromne, sinoniebieskie oczy bez źrenic.

- Widzicie, ojczulku? - Ciszę przerwał chrapliwy głos Yittoria. - Próżne były wasze lęki w Tyrze. Nie ma co się bać ghuli, bo one same biorą nogi za pas, ledwie duchowną sukienkę ujrzą.

Gaston potrząsnął głową jak przebudzony z głębokiego, magicznego snu i obrócił głowę. Adalbert nawet nie zwrócił uwagi na zjadliwość Italczyka, nadal szedł wsparty o ramię Bernarda, ale całą swą uwagę poświęcał dziecku. Jego oczy błyszczały z niewyspania, ale każdy ruch emanował tak wielką miłością, że młodzieniec skłonny był przyjąć słowa Vittoria na wiarę.

- Bać się zaiste nie ma co. Bo uciekły - rzekł zgryźliwie Anzelm, burząc resztki magicznego nastroju. - Zamiast gadać po próżnicy, warto by zobaczyć, co one tam żarły. Ofiarą ghuli, na poły przysypaną już piaskiem, okazał się drobny koń z frankijskim rzędem. Patrzył na milczących przybyszów szklistym, niewidzącym okiem, a jego rozszarpane, częściowo wyżarte gardło i podbrzusze lśniło świeżą, krzepnącą już krwią.

- Jeszcze żył, gdy go dopadły. - Odmieniec mimowolnie zniżył głos. - O, tu są ślady pazurów! Wgryzły się też w gardło, pewnie żeby go zatrzymać i dobić.

- Sporo wiecie o pogańskich padlinożercach, rycerzu - mruknęła pobladła Maria Komnena i poprawiła woalkę przesłaniającą twarz.

- W mojej, khm, sytuacji nieco łatwiej zrozumieć zwierzęta - odparł Anzelm i obrzucił mury wzrokiem. - Wiecie, co to wszystko oznacza?

- Że ktokolwiek tu przybył, nie miał sił przeprowadzić konia przez bramę - stwierdziła kwaśno Bizantyjka. - Jeśli więc to on miałby stanowić ową pomoc, dla której nas tu przywiodłeś, de Baideaux, to...

- Nie wiemy tego - przerwał jej Pikardyjczyk jeszcze bardziej obcesowo niż przedtem. - I nie dowiemy się, dopóki nie spenetrujemy całego Dar il-Hasan. Anzelmie, zechcesz zostać z królową oraz Adalbertem? Ja i Vittorio pójdziemy na zwiady.

- Jeśli się pomyliłeś i nie znajdziemy tu pomocy, ta przeklęta schizmatyczka rozszarpie cię zaraz na kawałki - szepnął Italczyk, gdy odeszli kilka kroków. - Jeśli zaś masz rację, zrobi to dopiero po dotarciu pod Akkę.

- Niewykluczone - mruknął Gaston. - Nie mam złudzeń co do wdzięczności koronowanych łbów.

Po chwili ogarnął ich półmrok bramy. Moc wiatru gwałtownie osłabła, a wtedy powróciła atmosfera magicznej zadumy. Obaj towarzysze dobyli mieczy i ostrożnie rozglądali się na boki, lecz ich uwagę przyciągało już nie tyle ukryte niebezpieczeństwo, co pamiątki dawnej chwały. Drewniane drzwi z inkrustowanym motywem roślinnym połyskującym bladym srebrem. Kolumnada z resztkami złocień. Łukowate łachy piachu odsłaniające zapomnianą marmurową posadzkę. Oczyma wyobraźni widzieli już srebrne półmiski z owocami, stosy poduszek, lamowane złotem turbany, rajskie ptaki rozkładające swe ogony. Wicher pogwizdywał tajemniczo pośród blanek, jakby potakując wyobrażeniom.

Szli powoli upojeni atmosferą Dar il-Hasan, zgoła niepomni nieznanego niebezpieczeństwa, aż Vittorio wskazał Gastonowi ślady w piachu prowadzące prosto na dziedziniec. Tam oparty o martwą fontannę siedział jakiś człowiek.

Rozpędzone chmury przesłoniły księżyc, widzieli tylko sylwetkę z głową opuszczoną nisko na piersi. Wyglądał jakby spał, ale mimo to zbliżyli się ostrożnie, tym bardziej że dojrzeliby białą tunikę z czerwonym krzyżem. Italczyk spojrzał pytająco na towarzysza i uniósł broń, ale ten powstrzymał go ruchem dłoni. Zauważył bowiem, że bok tuniki jest ciemny od krwi, a rycerz nie ma miecza w pochwie.

Po chwili dobiegły ich wyszeptywane z trudem słowa. Wiatr przycichł niemal zupełnie, jakby cały świat skupił się, by posłuchać umierającego templariusza:

- Zdradzeni, wszyscy zdradzeni, oddani na pastwę demonów... Nikt, nikt w zakonie nie stawi mu czoła, nie po tym, co się stało... Jesteśmy zgubieni...

Gaston znał ten głos.

- Mistrzu? - odezwał się.

Robert de Sabie uniósł z trudem głowę. Jego ogorzała, pobrużdżona twarz, jakże dumna i zacięta, brudna była od pyłu i zakrzepłej krwi, a oczy pijane od gorączki. Lecz najwyraźniej od razu rozpoznał młodzieńca, jego spękane usta rozciągnęły się nawet w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

- Gaston de Baideaux... - wychrypiał. - Czyżby... Czyżby anieli porwali mnie już z tego padolu?

- Nie, mistrzu. Ja żyję, choć sam się temu dziwię. Dołożyliście wszelkich starań, by...

- Nie ja, de Baideaux, nie ja. Juści, nastawałem na ciebie, ale z innych względów. -

Templariusz zakaszłał, a po zakrzepłym już strumyku krwi z kącika ust spłynęła świeża kropla. - Nigdy też nie chciałem wyrządzić ci krzywdy. To oni, zaślepieni, opętani, to wszystko oni...

- Jacy oni, mistrzu? O co chodzi? - Młodzieniec przysiadł obok rannego. •

- Jacy oni? - Robert chciał się roześmiać, ale nie był w stanie. Po serii coraz cichszych kaszlnięć zamknął oczy i przed długą, przerażającą długą chwilę nie mógł nawet unieść powiek. - Wszyscy ci, którzy mu ulegli. Joscelin de Royes. Rupert de Saint Jerome. I wielu, wielu innych. Setki braci. Cały zakon niechybnie, cały zakon. Tak, skoro się... skoro się za ciebie wzięli, to ci nie przepuszczą. Nie... Nie przepuszczą...

- Dlaczego? - spytał natarczywie Gaston. Patrzył w przekrwione, półprzytomne oczy templariusza i czuł, że krew w jego żyłach skuwa lód, a po plecach spływają kaskady dreszczy. - Cóż ja zawiniłem?

- Ty niczym, ale twój brat... Tak, Roger zawinił... -szeptał coraz ciszej mistrz. Jego dłoń dotknęła zakrwawionego boku i cofnęła się, gdy osłabłym ciałem wstrząsnął spazm bólu. - Nie mnie... Na litość boską, nie mnie, ale im... Im zawinił.

- Mistrzu, nic nie rozumiem! - błagał de Baideaux. Miał wrażenie, że znalazł się na wyciągnięcie ręki od największej tajemnicy swego życia, lecz ta wiała się i wyslizgiwała niczym żywe, niepokorne stworzenie.

- Gastonie, wybacz mi. - Robert de Sabie otworzył szerzej oczy i niespodziewanie spojrzął przytomniej. -Wybacz, ale musiałem spróbować. Nie wierzyłem, że nie wiesz nic o Rogerze, musiałem się upewnić... Stąd to uwięzienie, stąd dwaj fałszywi pokutnicy, stąd wreszcie poufałość rycerza Scozziego. Nigdy nie zamierzałem wyrządzić ci krzywdy, chodziło mi jedynie o odnalezienie drogi do Rogera.

- Dlaczego?

- Bo on zna sposób na odwrócenie tego wszystkiego - wyszeptał wielki mistrz. - Dlatego właśnie Rupert i Joscelin nigdy... Nigdy nie dadzą ci spokoju. Bo oni też wierzą, że ty poszukujesz Rogera. I... I boją się, że go odnajdziesz, stąd te zamachy. Tak, nie dadzą ci spokoju... Wszystko już zrozumiałem, wszystko...

- Kim był Roger? - zawołał z rozpaczą Pikardyjczyk.

- Kim był? - zaśmiał się chrapliwie Robert de Sabie. -Miejmy nadzieję, że on jeszcze żyje. Wierz mi, Gastonie, wszyscy go potrzebujemy.

Przełknął ślinę zmieszana z krwią, odetchnął głęboko kilka razy i otworzył usta, by dokończyć historię. Niestety, nie zdołał tego zrobić.

Zasłuchani, niemalże zahipnotyzowani rwaną opowieścią konającego templariusza nie usłyszeli stłumionego tętentu wielu kopyt oraz cichego rżenia koni. Dopiero gdy na zewnątrz krzyknęła głośno Maria Komnena, Vit-torio poderwał się i odwrócił z przerażeniem w oczach. W półmroku bramy zamajaczyły postacie w spiczastych hełmach.

- Turkowie! - zawołał Italczyk i szarpnął towarzysza za ramię.

Ten, zaskoczony i wzburzony słowami templariusza, potknął się i padł na kolano. W tej samej chwili jeden z biegnących napiął łuk i wypuścił strzałę, która śmignęła w powietrzu i z młaśnięciem ukaśiła w pierś wielkiego mistrza. Ten wyprężył się w przedśmiertnym spazmie i osunął na piasek.

- Nie! - wrzasnął zrozpaczony młodzieniec.

Przypadł do śmiertelnie ranionego templariusza, otoczył ramieniem jego szyję, próbował przemawiać, lecz na próżno. Robert de Sabie uśmiechnął się lekko, a na jego twarzy, nagle wypogodzonej pomimo zaschniętej krwi i brudu, zagościła ulga.

- Nie odchodźcie, panie! - błagał Gaston. - Pomóżcie mi, ja... Ja jestem w tym wszystkim zagubiony...

- Sara... - wyszeptał mistrz i uśmiechnął się raz jeszcze. A potem wydał ostatnie tchnienie.

- Gaston! - ryknął z przestachem Vittorio, dostrzegając błysk oręża.

Młodzieniec, jakby go nie słysząc, powoli, z przesadną wręcz troskliwością ułożył ciało Roberta de Sabie na piasku, a potem uniósł głowę. W jego oczach zatańczyła furia.

Tureccy najemnicy nadbiegali niemalże bezszelestnie, bez wrzasków czy przekleństw, lecz ich przymrużone oczy i wyszczerzone dziko zęby zapowiadały straszną śmierć. Zaśpiewały wznoszone ostrza, odchyliły się tarcze. Vittorio spojrział na towarzysza z wahaniem, lecz z desperacją skoczył naprzeciw wrogom. Sam jeden przeciwko wielu.

I zapewne nie spodziewał się, że nie przyjdzie mu w ogóle w tej walce wziąć udziału.

Gaston odepchnął go w biegu, odbił pierwszy cios najemnika, rąbnął sam, aż zadzwoniło, i rozpoczął szaleńczy taniec śmierci. Wdarł się między Turków niczym orzeł w środek stada jastrzębi, ciał, pchał, robił uniki i znowu atakował. Pierwszy z jego przeciwników cofnął się z rozrąbanym ramieniem, inny padł na piasek z przeciętym nosem, mozaikę na ścianie zbryzgał deszcz czarnych kropel. Trzeci przyjął szaleńczy atak na kałkan, cofnął tarczę w odpowiednim momencie, by osłabić impet ciosu, a potem sam rąbnął znad głowy. Gaston

sparował, lecz przez twarz przemknął mu spazm bólu. Kolejny cios zadał wolniej, a wtedy Turek za jego plecami uderzył młodzieńca w plecy.

Lamelkowa zbroja wytrzymała uderzenie, jednak Gaston zatoczył się, nie mogąc złapać oddechu, i padł na zryty piach.

- Nie! - wrzasnął Vittorio. Już chciał się poderwać, gdy tuż przy nim wyrósł kolejny wojownik z wzniesionym mieczem. Inne ostrza uniosły się nad młodzieńcem, który drapał piach, chciwie łapiąc powietrze.

Zastukały kopyta i ktoś krzyknął.

Turcy zastygli, z respektem patrząc na jeźdźca, który z pochyloną głową przemknął przez bramę i ostro osadził konia. Wdzięku i urody wspaniałego rumaka nie przyćmiewała nawet spocona, brudna sierść. Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku jeźdźcowi, który zeskoczył już z siodła i szedł w stronę obalonego Pikar-dyczyka. Jego korpus ciasno opinała pyszna kolczuga, ale szerokie, czarne rękawy zdobione złotymi tirazami łopotały przy każdym kroku, upodabniając przybysza do złowieszczonego drapieżnego ptaka. Saracen gniewnym ruchem ściągnął hełm, uwalniając długie loki równie ciemne jak szaty. Nagi, lekko wykrzywiony miecz w jego dłoniach zataczał niespokojne kręgi, jakby węszył krew.

- Znam tego giaura - wyszeptał po arabsku, uśmiechając się z okrucieństwem, które przeraziło Vittoria bardziej niż ostrze wiszące nad jego własną piersią. - To on... To on zwał mnie wówczas z siodła.

Uklęknął przy Gastonie, pochwycił go za zuchwę i brutalnie obrócił jego twarz ku sobie.

- Tak, to ty - wyszeptał. - To ty przedłużyłeś mą udękę. Będiesz długo umierać...

- Brać go - oznajmił, wstając. - A tamtemu poderznąć gardło.

Vittorio zamknął oczy. Wiatr pogwizdywał ze smutkiem, gdzieś parsknął wierzchowiec przybysza. Któryś z Turków mruknął coś w swej mowie, odpowiedział mu inny.

Cios nie padał.

- Efendi? - odezwał się z wahaniem najbliższy wojownik.

- Co znowu?

Vittorio rozchylił nieco powieki, a wtedy po raz trzeci otoczyła go baśń.

Powietrze zgęstniało, czas zwolnił. Brodaci tureccy żołdacy usuwali się na boki przed drobną dziewczynką z wielkimi, zaciekawionymi brązowymi oczyma, która szła w kierunku półprytomnego Gastona, ciągnąc za rękę Adalberta. Patrzyła na boki z naiwną, dziecięcą fascynacją, a srodzy wojownicy odwracali pobrużdżone twarze jakby zawstyżeni. Ich ostrza opadały wolno, z szacunkiem, a ona podeszła do wojownika stojącego nad Italczykiem i delikatnie odsunęła klingę jego miecza.

Następnie spojrzała prosto w oczy czarnowłosemu Saracenowi i uśmiechnęła się lekko, z niewysłoniętą miłością, tak jak wcześniej uśmiechała się do Anzelma i Adalberta. A wojownik odwrócił spojrzenie.

- Związać ich! - warknął. Błysnęła inkrustowana pochwa, gdy gwałtownym ruchem wsunął do niej miecz. -I dawać mi jastrzębia.

Wysoko nad zapomnianymi przez świat ruinami arabskiego pałacu, cierpliwie przysypywanymi przez kolejne ataki wichru, tam gdzie zwykłemu człowiekowi nigdy nie udało się dotrzeć, siedział wąsaty rycerz z zieloną tarczą. Swobodnie bujał nogami zwisającymi ze skalnej grani, lecz jego twarz była zasepiona i poważna. Co rusz nakręcał sumiaste wąsisko i kręcił wzrokiem z dezaprobatą, a spojrzenie jego siwych oczu zmierzało tam, gdzie ciemności i wietrzna kurzawa skrywały Dar il-Hasan.

- Niedobrze, niedobrze - mruzczał do siebie. - To nie tak miało być. Wplątałeś się w niezłą kabałę, chłopcze. Boże, dlaczego tak niewiele mogę uczynić?!

Bóg milczał, zresztą rycerz z zieloną tarczą bynajmniej nie oczekiwał odpowiedzi. Na moment wiatr osłabł, tumany pyłu opadły i dojrzał krąg wątych, rozedrganych pochodni. Był

przekonany, że słyszy wściekle przekleństwa w langue d'oc oraz po grecku i turecku. Znow pokręcił głową.

- A tak w ogóle to kim jest to dziecko? - zapytał sam siebie. - Boże miłosierny, coraz mniej z tego rozumiem. Doprawdy, powinienem dać sobie z tym spokój. Na cholere mi to było... Cóż, trza mi w droge, choć doprawdy nie wiem po co. Nie sądzę, by ci Saraceni mu darowali.

Nad jego głową śmignął jastrząb. Rozłożył skrzydła targany porywistym wiatrem, zakrzyczał i runął na południe.

- To był ostatni raz! - krzyczała Anna Giscolvi. - Ostatni raz, rozumiesz?

Odwrociła się ze łzami wściekłości od Vivienne de Grenier, lecz ta zachowała spokój, a nawet obojętność. Wzburzona, zapłakana Anna podsunęła posrebrzane naczynko z wodą pod dziób wymęczonego ptaka. Ten kilkakrotnie rozchylił dziób, jakby chciał wydać krzyk, aż w końcu upił nieco. Italka zaszlochała raz jeszcze, tym razem z ulgą.

Przez moment w namiocie panowała cisza przerywana jedynie nawoływaniem straży na zewnątrz. Muskane wiatrem płócienne ściany wybrzuszały się i zapadały niczym boki oddychającego potwora, płomyki świec tańczyły nerwowo. Jastrząb pił wodę. Vivienne stała nieruchomo i z chciwością wbijała wzrok to w plecy Anny, to w ptaka. Tylko zaciśnięte do białości dłonie wskazywały, że walczy z ogromnym napięciem.

- Mówi, że wszystko poszło zgodnie z planem - powiedziała w końcu Anna, nie odwracając się. Vivienne wydała z siebie bezgłośnie westchnienie.

- A zatem... - zaczęła z trudem. - A zatem to był ostatni raz, Anno. Nie będę potrzebować już twego ptaka. Niestety, nie dotyczy to ciebie. Wykonasz dla mnie ostatnią część zadania.

- Tak. - Dworka wyprostowała się i odrzuciła włosy na ramię. Jej głos lekko drżał. - Tak, zrobię, o co mnie prosisz. Tak jak się umawialiśmy. A potem dowiem się tego, co chcę wiedzieć.

- Tak, dowiesz się. Pchnę posłańca, gdy dotrę już na miejsce.

- I nie oszukasz mnie?

- Nie! - uśmiechnęła się Vivienne. - Nie po tym, cośmy razem przeszły.

- Nie szydź.

- No dobrze. Nie po tym, co pokazałaś jako czarodziejka.

- Dobrej nocy, Vivienne.

- Tobie również. Niech cię Bóg prowadzi.

- Mówiłam już, nie szydź.

Hrabianka z uśmiechem cicho opuściła namiot, ocierając się ramieniem o ogromnego Usamę czuwającego u progu. Gdyby została chwilę dłużej, dostrzegłaby jeszcze, jak obojętność na opuchniętej od płaczu twarzy towarzyszki w jednej chwili przeradza się w nienawiść.

- Zrobię to, o co mnie prosiłaś - szepnęła po italsku Anna. - A potem zrobię jeszcze coś...

Rozdział szesnasty

w którym Gaston najpierw walczy z wyrzutami sumienia, a próbuje zrozumieć podarunek od milczącej dziewczynki. w końcu świat mrocznieje, dosłownie i w przenośni

twarze Vivienne de Grenier otaczały go ze wszystkich stron. Niektóre opuchnięte od płaczu, inne poważne i surowe, rozmodlone, opromienione blaskiem świec, wykrzywione szyderstwem, oszpecone lubieżnym uśmiechem. Osaczały go zewsząd, wypadały z ciemności, przeszywały Gastona tysiącami wyrzutów sumienia.

„Dar il-Hasan - szeptały. - Tam znajdziecie pomoc... Tam znajdziecie pomoc...”

Wił się, szamotał, osłaniał ramionami głowę, ale ów natrętny szept ani na chwilę nie pozwalał o sobie zapomnieć.

- Boże... - wychrypiał młodzieniec.

Naraz uświadomił sobie, że ciemności ustępują, a twarze Vivienne rozplývają się, bledną. Dotarło do niego, że leży na piasku z ramionami skrępowanymi na plecach, a wokół rozbrzmiewają rozmowy w charkotliwej, nieznanym mu mowie. Gdzieś rżały konie, świstał wysoko wiatr.

Leżał z zaciśniętymi powiekami, obojętny na ostre drobinki żwiru kłusujące policzek. Modlił się z desperacją, by to wszystko było jedynie nocnym koszmarem. Lecz nie było wątpliwości. Wpadli w pułapkę bez wyjścia.

Zastawioną przez Vivienne de Grenier.

Pobudzony nagłym wybuchem gniewu podniósł głowę i zamrugął oczyma. Wciąż znajdowali się na dziedzińcu porzuconego pałacu, teraz zalanym chłodnym, błękitnoszarym światłem świtu, lecz na próżno byłoby szukać choćby śladów owej magicznej atmosfery z nocy - głównie przez kilkunastu tureckich najemników, którzy rozłożyli się tu obozem. Żołnierze zwijali swe plecy i sprawdzali ekwipunek, rozmawiając przy tym cicho, inni popijali polewkę z niewielkiego garnka i obrzucali niechętnymi spojrzeniami starca w bogatym turbanie besztającego kilku ich kamratów. Próbującego uklęknąć Gastona nikt nie zaszczylił ani jednym spojrzeniem.

Z wyjątkiem Vittoria.

Italczyk, skrępowany, brudny na twarzy, ze zmierzwionymi włosami, wbijał w towarzysza wzrok tak ciężki i mroczny, że momentalnie przeszły go ciarki.

- To wszystko wina tej... - zaczął szeptem, ale Vittorio nie pozwolił mu dokończyć.

- Gaston, w ręce tych psów wpadła żona barona z Ibelinu - wyszczał, pochylając się do przodu. - Bizantyjska królowa, kurwa jej mać. Nie wiem, czyja tak naprawdę to wina. Wiem natomiast, kogo świat o to oskarży. Doprawdy, w twoim interesie - ba, w interesie nas wszystkich - jest to, by ci Saraceni zarżnęli nas tu i teraz!

- Nie zarżną nas - odezwał się Anzelm, dziwnie obojętny. - Sprzedadzą na targu niewolników w Aleppo czy Himsie. To praktyczny naród, nie przejdzie obojętnie wobec szansy na zarobek.

- Och, co za ulga, szlag by to! - wybuchnął Vittorio. Na jego twarzy, pomimo brudu i zakrzepłej krwi, widać było śmiertelną błądź. - Będziemy zatem wystawieni na sprzedaż...

- A tak w ogóle to zawrzyj pysk, Scozzi. Nic nam po twoim szczekaniu. Po prostu się zamknij.

Poczerwieniały Bernard chrząknął i kolejny raz napiął mięśnie, ale nawet on nie był w stanie poluźnić, a co dopiero zerwać więzów.

Gaston wzniósł oczy, lecz ujrzał jedynie szczelną zaslonę chmur pędzonych słabszym już, lecz nadal nieugiętym wiatrem, zupełnie jakby i niebo nie chciało na niego patrzeć. Zerknął ku jednej ze ścian, gdzie pod zetłalym werselem z Koranu siedziała Maria Komnena z pobladałą twarzą i martwym spojrzeniem, otoczona przez dwóch czujnych wojów. Obrzucił spojrzeniem swych towarzyszy, a potem skierował oczy dalej, tam gdzie przy dogasającym ognisku siedział Adalbert. Ksiądz ugniatał coś w drewnianej miseczce, nie przestając przy tym mówić wesoło do cichutkiej dziewczynki. Nie odwrócił się ku niemu ani razu.

Młodzieniec poczuł, że rozpacz ponownie chwyta go za gardło i dusi, dławi. Przygryzł wargę, z całej siły broniąc się przed narastającym szlochem.

„Chyba tylko ty mi pozostałeś - westchnął w duchu. - Kusicielu. Szatanie”.

„Nie nazywaj mnie szatanem, bo nim nie jestem - rzekł Diabeł. - Co do kuszenia zaś, to się lepiej zastanów, czy coś złego ci z tego przyszło”.

„Gdyby nie ty, nigdy bym się tu nie znalazł! Nie leżałbym w pyle spętany jak wieprzek u stóp Saracenów, winny porwania żony Baliana! Gdyby nie ty i te twoje nieczne podszepty, gdyby nie nienawiść, którą sączysz mi do głowy...”

„Przestań wygadywać bzdury, Gaston! Podszepty? Nienawiść? Chodzi ci o to, że pokazuję ci, jak być twardym i bezwzględny? A nie zauważyłeś aby, że niczego tym świecie nie można inaczej? Że trzeba być równie twardym, przebiegłym i obrotnym jak reszta, i szybszym od każdego z osobna? Nie zauważyłeś, że nikt tu nie zwraca uwagi na naiwniaków, którzy gadają o honorze i z uporem godnym lepszej sprawy szukają granicy między dobrem a złem? Że Outremer pożera takich bezwiednie, a potem wypluwa, co niestrawne? Nie ma tu czerni i bieli, nie ma dobra i zła, Gastonie! Wbij sobie to wreszcie do łba! Są tu tylko zwycięzcy i przegrani, a ty, gdyby nie moja pomoc, dawno znalazłbyś się już wśród tych drugich”.

„Daj mi spokój - wyszeptał w myślach młodzieniec. -Nie chcę cię już słuchać”.

„Ale może lepiej zrobisz, jak posłuchasz, Gastonie, bo coś mi się wydaje, że ty nadal niczego nie rozumiesz. Weźmy na ten przykład tę wojnę. Kto tu ma rację, co? Kto stoi po słusznej stronie? Pewnie zakrzykniesz, że my, bo przecież walczyliśmy o Jerozolimę, gdzie żył, nauczał i wreszcie umarł Chrystus. Jesteśmy przecież obrońcami wiary, rycerzami Boga, a walczyliśmy z zalewem przebrzydłych niewiernych. Jasne, walczyliśmy. Ramię w ramię z templariuszami, których intencje zdążyłeś już poznać. Wraz z setkami ubogich rycerzy, jak Vittorio, którym zależy tylko na złocie. O miasta takie jak Tyr, gdzie pożądanie prześcignęło wszelkie pozostałe potrzeby. Pod sztandarami wodzów takich jak Gwidon czy Konrad, którzy ani na chwilę nie przestają spiskować przeciwko sobie. Błogosławieni przez duchownych takich jak patriarcha Herakliusz, który nie myśli o swej lubej tylko wtedy, gdy musi przeliczyć swe bogactwo. Doprawdy, w całym Ou-tremer nie masz ci takiego, który mógłby o sobie powiedzieć, że walczy tylko za wiarę”.

„Doprawdy?”

„Tak, Gastonie, wierz mi. A poza tym skąd się wam wzięło to przekonanie, że walka o wiarę jest tym, czego Bóg sobie życzy? Skąd przeświadczenie, że nasz Pan nienawidzi Saracenów tak bardzo, że z ulgą przypatrywał się rzezi Jerozolimy osiemdziesiąt lat temu? Skąd, do cholery, to wszechpotężne Deus le volt!, którego wypowiedzenie rozwiewa wszelkie rozterki moralne?”

- Daj mi już spokój, prosiłem cię - wyszeptał Gaston, bezwiednie rozcierając grudki piasku między palcami.

Starzec w turbanie nagle zamilkł i zamierzył się batogiem, ale nie uderzył. Spurpurowiały na twarzy ruszył w kierunku bramy. Szykujący się do wymarszu najemnicy odprowadzili go spojrzzeniami, w których wzgarda walczyła o lepsze z żądzą mordy. Dwóch z nich przesadnie długo odlewało się pod ścianą.

„Krzyżowcy, obrońcy wiary, doprowadzili sztukę okrucieństwa i hipokryzji do takiego poziomu, że diabły stały się nikomu niepotrzebnymi imitatorami. A teraz posłuchaj...”

- Przestań.

Coś zaczęło go dławić. Z początku wydawało się niepozorne, wręcz nieistotne, lecz nagle poczuł, że nie jest już w stanie słuchać słów Diabła, że coś przygniata go do ziemi, wydusza zeń życie. Niespodziewanie brzask pociemniał, zgęstniał. Naokoło widział Turków, nagle zaniepokojonych, rozgadanych, rozglądających się z przestachem. Powietrzem targnął jakiś ruch silniejszy od wiatru. Wydawało mu się, że dostrzega zarysy przemykającego kształtu, ogromnego i złowieszczonego. Przez moment patrzyła na niego jakąś demoniczną twarz, potem ktoś - coś? - śmignął za jego plecami.

Przerażony do granic, stłamszony, kulił się w pyle, próżnym, niepotrzebnym gestem osłaniając głowę, a złowieszczy kształt nadal krążył gdzieś obok, wysysając ze wszelkich barw światło świtu. Ktoś krzyczał.

Krzyczał?

Młodzieniec wyteżył słuch.

- Gaston de Baideaux! Gaston! Jeśli mnie słyszysz, powiedz beth!

Głos, bez wątpienia kobiecy, wydawał się dobiegać z niezwykle daleka, ale młody Pikardyjczyk był pewien, że nigdy go nie słyszał. Na moment zapomniał o strachu, napiął mięśnie i zacisnął mocno powieki.

- Beth - powtórzył.

Powietrzem targnął dziki spazm, jakby słowo z nieznanego języka smagnęło ów ciemny, nieokreślony kształt niczym bicz.

- Doskonale! - Głos stał się nieco wyraźniejszy. -Gastonie, nie dziw się niczemu, co nastąpi! Absolutnie niczemu! Nie reaguj na nic, po prostu czekaj. Gdy Ismail wyśle starca ku Akce, wypowiedz he, 'ayin, sade, gimel. Zapamiętasz?

- A co to znaczy?

- Nieważne. Po prostu powiedz to, a potem szykuj się do ucieczki. Zrozumiałeś?

Młodzieniec kiwnął głową, choć był przekonany, że tajemnicza kobieta i tak go nie widzi.

- I jeszcze jedno - dodała jakby po chwili wahania. -Proszę cię, miej oko na Vittoria. Przez króciutką chwilę wydawało mu się, że kątem oka dostrzega twarz swej rozmówczyni, trupioblada i pociętą krwawymi śladami, ale potem wszystko znikło równie nagle, jak się pojawiło. Dookoła widział Turków, oszołomionych i rozgadanych, starzec z batogiem ryczał i pluł ze złości, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Chudziutka dziewczynka wysunęła się spod ramienia tulącego ją Adalberta i mrugnęła do Gastona, a potem znów się schowała. Vittorio popatrywał dokoła, mrugając z niedowierzaniem.

- Co to było? - powtarzał zaskoczony. - Widzieliście to? Co to było?

W bramie zjawił się rozwścieczony emir. Wpadł między oszołomionych Turków, wrzeszcząc i bijąc ich pięściami. Czarne rękawy jego szaty aż łopotwały, ściągnięta gniewem twarz migiała w tłumie przypadających do koni najemników. Któryś przyprowadził mu rumaka, Saracen w mig znalazł się w siodle, a Gaston odniósł wrażenie, że pod maską gniewu emir próbuje tylko ukryć wielkie oszołomienie. Na dziedzińcu wrzało.

- Ruszamy w drogę - oznajmił Vittorio, zrywając się i tym samym odbierając strażnikowi okazję do poczęstowania go kopniakiem. Gaston i Anzelm czym prędzej poszli w ślady Italczyka, jedynie Bernard wstał powoli, jakby wiedział, że jego wygląd budzi przerażenie, nawet gdy jest skępowany.

- Ruszamy w drogę - powtórzył Genuńczyk, patrząc znacząco na młodzieńca. - Ciekawe, ku czemu.

Wicher znacznie osłabł, ale jego podmuchy nadal podnosiły kurzawę, a gęsta zasłona chmur nie przepuszczała blasku słonecznego. Ogromne, trwające od tysiącleci masywy skalne przybrały zimne, niesamowite oblicze, a co wyższe szczyty zdawały się pochylać nad głowami przejeżdżających wojowników niczym olbrzymy gotowe zmiażdżyć śmiałków kamiennymi ramionami. Sta-ry, wygodny trakt, który przemierzano bez przeszkód od wieków, tego poranka był zagubioną w skalnym labiryncie drogą donikąd.

Każdy bez wyjątku czuł się nieswojo. Tureccy najemnicy, wciąż wzburzeni dziwnym wydarzeniem o świcie, rozglądali się czujnie spięci i milczący. Ich oczy błyszczały nerwowo znad chust zasłaniających usta. Nikt się nie odezwał, nikt się nie zaśmiał, nawet Adalbert zamilkł.

„Wiesz, co to było?” - zapytał w myślach Gaston. Siedział w centrum oddziału na własnym koniu prowadzony przez poprzedzającego go jeźdźcę i otoczony przez dwóch innych.

„Ta manifestacja o świcie? Nic takiego. Dżin” - odparł Diabeł. Można by przysiąc, że wzruszył przy tym niewidzialnymi ramionami.

„Dżin to nic takiego?” - zdumiał się de Baideaux.

„A w każdym razie nic szczególnego. To istoty ze świata duchów zrodzone z czystego ognia bez dymu. Magowie fenicy i kapadoccy ponoć znali sposoby, by je więzić i zmuszać do posłuszeństwa, ale dżiny, jako istoty z natury wolne, nienawidzą wszelkiego przymusu i prędzej czy później wyrrywają się spod ludzkiej władzy. Jeśli czarodziej zatrzymał je na

służbie odpowiednio długo, z ochotą wyładowywały na nim swój gniew, przed którym nie było żadnej ucieczki. Paradoksalnie więc czym silniejszy mag, tym większa wściekłość dzina, a zatem mniejsza szansa na przeżycie. Nieopłacalny interes, zwłaszcza że w tym świecie wiele ważnych spraw można równie skutecznie załatwić garścią złota, kilkoma obietnicami czy w ostateczności kobiecym tyłkiem".

„W każdym razie owa kobieta ryzyka się nie bała. Któż to może być?"

„Nie wiem, Gastonie. Weź jednak jej słowa do serca i pomyśl nad sposobem ucieczki".

Młodzieniec przygryzł wargę i westchnął z bezsilnością. Myślał nad ucieczką od chwili wyruszenia z Dar il-Hasan i powoli dochodził do wniosku, że słowa tajemniczej nieznajomej są jedynie kiepskim żartem. Turcy dokładnie przeszukali ubrania jeńców i sprawnie ich skrepowali, a na czas wędrówki umieścili w centrum szyku. Po prawej i po lewej jechał kryty kolczugą jeździec w turbanie, z tarczą przytroczoną do pleców, uzbrojony w miecz, włócznię i przynajmniej jeden długi sztylet. Kolumnę zamykało kilku konnych łuczników. Gaston nie miał pojęcia, ile czasu zajmuje takiemu wyrwanie i napięcie łuku, ale sprawdzać nie miał zamiaru.

Tym bardziej że salwowanie się ucieczką samemu nie wchodziło w grę, a reszcie swych towarzyszy nie miał jak pomóc. Maria Komnena jechała z przodu, tuż za emirem w czarnej szacie, nieskrepowana, lecz otoczona wianuszkiem najbitniejszych wojowników. Adalbert wraz ze swą dziewczynką był gdzieś blisko Gastona zasłonięty plecami paru konnych, a Bernarda, Anzelma i Vittoria eskortowano gdzieś z tyłu.

„Miej oko na Vittoria - powtórzył w myślach. - Kim, u licha, jest ta kobieta?"

Któryś z wojowników zamykających kolumnę zakrzyknął nagle. Rozciągnięty oddział drgnął niczym oparzona żmija - Turcy pilnujący jeńców zacieśnili szyk, a pozostali jak jeden mąż wyszarpnęli łuki. Dziesiątki czujnych, bystrych oczu przeszukiwało teraz zakamarki skalne, dziesiątki dłoni odciagało ciężki bądź zaciskało się na rękojeściach mieczy.

Z tętentem kopyt przemknął emir, wznosząc tuman kurzu. Zmierzał w kierunku jezdnych z tylnej straży, których postacie zamajaczyły nad kimś leżącym na skalistym podłożu. Jeden z łuczników usiłował opanować rozhukanego rumaka.

Gaston poczuł, jak do głowy uderza mu gorąco.

„Może teraz?" - pomyślał i rozejrzał się nerwowo.

Być może zdradził go nazbyt szybki ruch, być może było to niespokojne lśnienie oczu, w każdym razie najbliższy z Turków niespodziewanie wyszarpnął sztylet i błyskawicznym, płynnym ruchem przytknął mu ostrze do gardła. Młodzieniec znieruchomiał. Z przerażeniem patrzył w ciemne, nieruchome oczy Saracena, obawiając się przełknąć ślinę, prosząc Boga, by koń nie wykonał nagłego ruchu i nie nadział go na sztylet. Żył z hukiem pompowały krew, po czole wędrowała kropla potu, tuż pod grdyką czuł pieczenie, jakby ostrze strażnika przegryzło się już przez skórę.

Nie miał pojęcia, jak długo tak trwali, nim rozległ się okrzyk starca w turbanie z brylantami i czar prysł. Turek schował sztylet, a spojrzenie z wrogiego przeszło w pogardliwe. Ruchem głowy wskazał więźniowi zagłębienie między skałami, gdzie prowadzono już Vittoria i Anzelma. Niektórzy z Turków zsiadli z koni i przepatrywali okolicę, inni pili z bukłaków i rozmawiali szeptem, nie odkładając broni.

Gaston z trudem zsunął się z siodła i drżąc z przejęcia, ruszył we wskazanym kierunku.

„O co chodzi?" - zapytał sam siebie w duchu. Obejrzał się na bladą kulę słońca usiłującego przebić kotarę chmur. Było stanowczo za wcześnie na popas.

Niespokojne spojrzenie obu towarzyszy powiedziało mu, że trapi ich ten sam problem.

- Co się dzieje? - spytał chrapliwym szeptem Vitto-rio. - Słuchaj, lepiej powiedz coś Bernardowi, bo ci poganie zaraz go...

Młodzieniec obrócił się na pięcie. Bernard, nadal siedząc na grzbiecie końskim, warczał gniewnie i potrząsał głową, a otaczający go Turcy zaczęli tracić cierpliwość. Któryś

wycelował włócznię w jego pierś, inny sięgał po bykowiec. Wciąż nie odważyli się jednak wymierzyć mu ciosu, a ogromny sługa parsknął i przewracał oczyma.

- Bernardzie! - zawołał Gaston, lecz w tym momencie dostrzegł, jak zza pleców tureckich najemników wyłania się chudziutka dziewczynka z zaciekawionymi oczyma, ciągnąc za rękę zdumionego nieco Adalberta. Gdy minęła wojowników otaczających Bernarda, ci niespodziewanie opuścili broń, a ona ruszyła prosto ku zagłębieniu, gdzie trzymano pozostałych trzech jeńców. Strażnicy bez słowa cofnęli się o krok, ostrza ich włóczni zatrzymały dopiero Adalberta, który z niepokojem pozwolił wreszcie dziecku wypuścić swą dłoń. Dziewczynka stanęła na wprost Gastona.

- Adalbercie! - rzekł zdławionym głosem młodzieniec, starając się nie zwracać uwagi na małą. - Adalbercie, dobrze cię pilnują?

- Dobrze. - Książdz nie patrzył na niego. - Sądziłem, że może spytacie, paniczu, czy dobrze mnie traktują, ale...

- Przestań, musimy stąd uciekać!

- Ja niczego nie muszę - Adalbert wciąż unikał jego spojrzenia. - Mam teraz własne sprawy na głowie.

- O czym ty bredzisz? - zapytał wstrząśnięty de Ba-ideaux. - Słuchaj, razem przez to przechodzimy i razem...

Ciepła dłoń dziewczynki dotknęła jego własnej i młodzieniec mimowolnie zerknął w dół. Natychmiast pochwyciło go sugestywne spojrzenie ogromnych, brązowych oczu okraszone zagadkowym uśmiechem. Naraz poczuł, że czas zaczyna biec wolniej, a świat traci na wyrazistości, odgłosy oddalają się. Potem zniemacka usłyszał deszcz.

Padło.

Mały Gaston wiercił się na posłaniu w poszukiwaniu ciepła, otulał się na różne sposoby wyliniałą skórą, ale wszystko na nic. Jak zwykle w deszczowe noce wilgoć wdzieriała się do wnętrza komnaty, przepajała siennik, docierała nawet do najsuchszych miejsc. Wiedział, że długo nie zdoła zasnąć, a potem czeka go seria wilgotnych, ponurych koszmarów. I tak aż do samego rana, kiedy to obudzi się zziębnięty, szcękając zębami.

Ludwik przetoczył się z boku na bok, aż łoże skrzypnęło, i zachrapał głośnie.

Chłopiec nigdy nie zrozumiał, jak to jest, że Ludwik może spać w takim ziąbie, lecz przecież on potrafił zasnąć w każdych warunkach. Potrafił też wepchnąć w siebie dowolną ilość jedzenia i dokuczyć młodszemu bratu przy każdej, dosłownie każdej okazji. Więcej talentów Gaston jak dotąd w nim nie odkrył.

Drzwi zadrgały pchnięte niewidzialnym przeciągiem. Gaston z nadzieją poderwał głowę, lecz i tym razem nikt nie wszedł, by sprawdzić, czy chłopcy już śpią, nikt nie nakreślił nad nimi znaku krzyża i nie odmówił krótkiej modlitwy, by przegnać czające się w mroku czarty.

Od chwili, gdy odeszła mama, nikt tego nie robił.

Gaston poczuł, że wilgotnieją mu oczy, a po chwili całym jego szczupłym ciałem targnął bezgłośny szloch. Skulony pod coraz zimniejszą skórą chlipał cicho, jak najciszej, bojąc się obudzić Ludwika. Płakał, a lęk, chłód i tęsknota rwały jego serce na kawałki.

Drzwi skrzypnęły. Jakby w odpowiedzi zaklekotały niedopasowane okiennice.

Gaston znieruchomiał i zerknął przez szparkę między skórą a siennikiem.

Jakiś mężczyzna szedł przez otuloną ciemnościami komnatę, starając się stapać jak najciszej. Skraj łoża zaskrzypiał jednak przeraźliwie, gdy na nim przysiadł. Nieznajomy rzucił szeptem słowo, które Gaston niejednokrotnie słyszał od koniuchów i żołnierzy starego barona, a potem zamilkł. Minęła dłuższa chwila, zanim znów zaczął szeptać:

- Gaston? Gaston? Cóż, pewnie śpisz, braciszku, choć szczerze ci powiem, że nie wiem, jak to możliwe w tym zimnie. Cóż, wiele się zmieniło od śmierci matki... Komnata, w której spaliśmy wówczas, była o wiele suchsza.

„Braciszku? Roger, ty tutaj?! Przecież mówiono, że uciekłeś?”.

- Wziąłbym cię ze sobą, Gaston, ale miejsce, do którego zmierzam, nie jest przeznaczone dla dzieci, zwłaszcza tak drobnych pędraczków jak ty - ciągnął najstarszy brat. - Dziwnie to zabrzmiało, ale tu będziesz bezpieczniejszy. Tu masz wszystko, czego ci trzeba. Zdolny z ciebie dzieciak, pewnie w mig pojmiesz wszystkie nauki i zostaniesz zacnym księdzem. Może będzie to jedyny dobry pomysł starego barona.

Jego głos niespodziewanie ochłodził i znów zamilkł na dłuższą chwilę.

- Bo za wszystkie pozostałe będzie się smażył w piekle - wyszeptał z tłumionym gniewem, aż przez ciało Gastona przeszło drżenie lęku. - Przyszedłem, żeby się z tobą pożegnać, braciszku, a także po to, by cię ostrzec. Nie ufaj ojcu i trzymaj się od niego z daleka. Rób wszystko, czego od ciebie chce, nie wchodź mu w drogę, ale skorzystaj z pierwszej okazji, by stąd odejść. I nigdy, nigdy nie wracaj! Nie wierz także tym, którzy będą ci mówili, że matka oszalała, a ja zdradziłem ród. To kłamstwo. Chętnie powiedziałbym ci więcej, ale jesteś tylko małym dzieckiem, nie zrozumiesz. Poza tym spieszę się. Mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia, a noc krótka. Bywaj, braciszku! Niech cię Bóg strzeże.

„A następnego dnia w kasztelu rozpętało się piekło - przypomniał sobie nagle de Baideaux. - Około południa znaleziono ojca nieprzytomnego. Gdy go wreszcie docucono, wpadł w straszną wściekłość. Nie potrafił powiedzieć, kto go napadł, ale był przekonany, że to Roger. Rozesłał ludzi po wszystkich gościńcach, powiadomił wszystkich sąsiadów, którzy chcieli jeszcze utrzymywać z nim kontakty, chyba nawet pchnął gońca ze skargą do księcia Pikardii, lecz wszystko na nic. Roger zniknął bez śladu. Razem, jak później wyszło na jaw, z najcenniejszymi klejnotami i mieczem rodowym ojca. Pamiętam to wszystko, mało wyraźnie, ale pamiętam. Dlaczego więc zapomniałem nocną wizytę brata?”

- Dlaczego sobie o niej teraz przypomniałem? - zapytał cicho dziewczynkę. Ta uśmiechnęła się raz jeszcze i puściła jego dłoń, a potem jak zwykłe dziecko odbiegła kilka kroków i uczepiła się dłoni Adalberta. Książd otoczył ją ramieniem i odprowadził.

- Nie pytaj. Ciesz się z tego - powiedział Anzelm. Patrzył na Gastona z bladym uśmiechem.

- Na miłość Boga, kim jest to dziecko?

- Nie wiem, nikt nie wie. Dość, że budzi respekt naszych niespodziewanych przewodników. Wiem natomiast, kim jest tamten człowiek.

Ruchem głowy wskazał dwóch Turków, którzy prowadzili Franka ze skudłonymi, ciemnymi włosami. Ten nagle potężnym szarpnięciem nieomal wyrwał się strażnikom, lecz wtedy trzeci Saracen zdzielił go drzewcem włóczni przez plecy. Jeniec wygiął się z rozdzierającym jękiem i resztę drogi do zagłębienia między skałami pokonał już bez protestów. Turcy cisnęli go na ziemię tuż obok Vittoria i odeszli. Ich towarzysze, którzy pilnowali jeńców, przypatrywali się ze wzgardą, jak nowy jeniec drapie ziemię palcami, zanosząc się suchym kaszlem.

Wzgarda w ich oczach była jednak niczym przy tej, z którą przyglądali się przybyszowi Anzelm, Vittorio oraz Gaston.

- Joscelin de Royes - przerwał ciszę Vittorio. - Pamiętacie mnie, bracie de Royes? Lochy pod Al-Aksą, Jerozolima. Ponad dwa lata temu.

- A mnie pamiętacie? - zapytał Anzelm. - Targ niewolników w Damaszku, krótko po Hittinie.

- Ja zadawać takich pytań nie będę, bo mnie pamiętacie na pewno - wycodził Gaston przez zęby. Widok brudnej, posiniaczonej twarzy dostojnika zakonu obudził w nim jednocześnie strach i wściekłość, które natychmiast przegnały wzburzenie wywołane wspomnieniem z dzieciństwa. - Miło mi ujrzeć waszą szkaradną gębę. Naprawdę miło, de Royes.

- Czyżby? - Opuchlizna zakrywała niemalże całe prawe oko szefa wywiadu templariuszy, jednak w lewym zaśniła pogarda. Zakrwawione, spuchnięte wargi ułożyły się w parodię szyderczego uśmiechu. - Czyżby, de Baideaux? A skąd ta radość? Gwar tryumfalnych pokrzykiwań obwieścił, że tureckim najemnikom udało się w końcu ściągnąć Bernarda z siodła. Buta olbrzymiego parobka natychmiast skruszała pod wpływem licznych kopniaków i ciosów drzewcem włóczni, więc osłaniając głowę, pognął ku reszcie jeńców, ścigany szyderczym rechotem Saracenów. Strażnicy rozstąpili się, parodiując ukłony, i pozwolili mu wbiec do niecki, gdzie trzymali resztę Franków. Dopiero wtedy odzyskał częściowo rezon, zabalgotał, odgarnął spocone kudły z czoła i nagle dostrzegł leżącego na ziemi Jo-scelina de Royes.

Potężny kopniak w bok niemalże oderwał gościa zakonu templariuszy od ziemi i przetoczył nim niczym szmacianą lalką. Upadł tuż pod nogi Vittoria, na co Ital-czyk uniósł się lekko i bez zastanowienia przywalił mu piętą w twarz, aż chrupnęło. Skulony de Royes parsknął krwią. Vittorio już był gotowy do kolejnego ciosu, ale wtedy wkroczyli Turkowie. Dwóch z nich uniosło włócznie, mierząc prosto w pierś Italczyka i krzycząc ostrzegawczo. Czepce kolcze pod ich brodami kołysały się jak stalowe podgardla.

- Dobrze, już dobrze. - Vittorio cofnął się posłusznie. - Już dobrze. Poczekam na bardziej sprzyjające okoliczności.

Bernard w pierwszym odruchu chciał dołączyć do Italczyka, lecz zasłonili go drzewcami strażnicy. Potem wycofali się, zerkając z szacunkiem na dziewczynkę, która siedziała niedaleko stąd i uśmiechała się do swych myśli.

- Być może stąd ta radość mego druha Gastona - podjął Vittorio. - Tak się jednak złożyło, że dzięki uprzejmości mego kudłatego towarzysza znalazłeś się, szmaciarzu, w moim zasięgu. Przepraszam, Gastonie. Obiecuję, że przy najbliższej okazji przytrzymam ci go i pozwolę prac po mordzie ile wlezie.

- Widzisz, Scozzi - de Royes splunął krwią - coś mi mówi, że nasza przygoda nie skończy się tutaj. Gdyby ci Turcy chcieli nas zabić, pewnie już by to zrobili, a to zwiększa moje szanse na ocalenie. Jeśli zaś do tego dojdzie, obiecuję ci, ty skurwysyński handla...

- Zawrzyj pysk! - przerwał mu Italczyk. - I nie otwieraj go bez pozwolenia. Bo skoro o ocaleniu mowa, to o ile się nie mylę, Saraceni nie zwykli odpuszczać psom zakonników, choćby najpodlejszym. Ba, wręcz przeciwnie! A coś mi się zdaje, że ci nieszczęśni mahometanie nie mają bladego pojęcia o tym, do jakiej ty bandy należysz. Cóż, łatwo można to nadrobić.

I zawołał coś po arabsku. Najbliższy ze strażników odwrócił się z zainteresowaniem.

- Nie... wyszeptał niespodziewanie de Royes. - Scozzi, nie rób tego.

- Dlaczego? - Twarz Italczyka rozjaśnił podły uśmiech. - No, podaj choćby jeden powód. Jakikolwiek poza tym, że lepiej, abym to ja ci łeb rozwalił, a nie jakiś turecki kozojeb.

- Mam... - Gość templariuszy zakrztusił się krwią. Mówił coraz bardziej niewyraźnie. - Mam informacje. Odpowiedzi.

- No, to brzmi lepiej. - Gaston pochylił się do przodu. - To opowiadaj, de Royes. Opowiadaj, póki czas.

Dlaczego na mnie nastajecie? Dlaczego wysłaliście Scoz-ziego, by mnie śledził? Dlaczego tuż po tym pchnęliście Anzelma, żeby mnie zabił? I po co wam wszystkim mój brat, którego nigdy na oczy nie widziałem?

- Szpiegowanie ciebie zlecił de Sabie. - Joscelin splunął krwią. - Do niego miej pretensje.

- Wiem. To akurat wiem. I to, co zabawne, od niego samego.

- Robert de Sabie zginął śmiercią bohatera pod Akką, de Baideaux - skrzywił się gość templariuszy. Jego zmasakrowana, zgoła nieprzypominająca ludzkiej twarzy przez ułamek sekundy przypominała oblicze demona. - Nie próbuj mnie oszukać.

- Zginał, tak? A widziałeś trupa?

Joscelin kaszlał i pluł krwią przez dłuższą chwilę, jakby chciał w ten sposób zamaskować oszołomienie, a gdy znów uniósł głowę, w jego oku błysnęło szyderstwo.

- A zatem uciąłeś sobie pogawędkę z naszym świętej pamięci wielkim mistrzem - wychrypiał. - I coś takiego jeszcze się od niego dowiedziałeś, de Baideaux?

- Wielu ciekawych spraw. Choćby tego, że próbował odnaleźć Rogera, dlatego właśnie na mojej drodze pojawił się Vittorio Scozzi.

Italczyk uśmiechnął się paskudnie i szurnał gwałtownie stopą. Joscelin odruchowo odskoczył, jego zdrowe oko błysnęło wrogo.

- Powiedział mi również, że ty wraz z bliżej mi nieznanym bratem Rupertem będziecie próbowali mi uniemożliwić spotkanie z Rogerem. Stąd też na mojej drodze pojawił się Anzelm, a wcześniej asasyn i hieny. A więc, de Royes? Kim jest mój brat? Dlaczego zniknął i dlaczego z takim uporem próbujecie mnie zabić?

Zapadła cisza przerywana pogwizdywaniem wiatru i rżeniem odległych koni. Chmury parły frontem na północ, ku ciemniejącym górcom, gdzieś pokrzykiwały drapieżne ptaki. Turcy stali nieruchomo niczym zjawy w targanych wiatrem szatach. Joscelin ciężko dyszał i raz po raz splotował krwią, a gdy się wreszcie odezwał, w jego głosie zadrżała niewysłowiona wprost nienawiść.

- Twój przeklęty brat - wychrypiał. - Twój przeklęty brat naraził zakon na hańbę i zagładę... Twój brat o mały włos przekreśliłby wszystko, co udało nam się osiągnąć, niemalże zaprzepaściłby szansę na zdobycie wielkiej potęgi! Do dziś zanoszę modlitwy dziękczynne do Pana, że ten raczył go zatrzymać.

- Nie bluźnij, templariuszu! - warknął Anzelm. - I odpowiedz na pytanie.

Gość zakonu potrząsnął głową, jakby nie dowierzał, że to się dzieje naprawdę. Spomiędzy pozlepianych potem w strąki włosów wypłynęła kropla krwi i ruszyła w dół, żłobiąc sobie drogę po brudnym czole.

- Roger bardzo nam zagroził - mówił coraz mniej wyraźnie, jakby tyrada całkiem wyczerpała jego siły. - I w przeciwieństwie do tego durnia de Sabie zrobię wszystko, by nikt nigdy go nie odnalazł. A pierwszym, najważniejszym krokiem będzie zabicie ciebie, de Baideaux.

- Co zrobił mój brat? - wyszeptał Gaston, wychylając się coraz bardziej.

- Zabiję cię, de Baideaux. Nie udało się to hienom, zawiódł również Anzelm, wymknąłeś się nam na przełęczy, ale wierz mi, komuś się to w końcu uda. Nie jesteś nieśmiertelny, a zakon jest potężniejszy niż myślisz...

- Co zrobił mój brat?! - wrzasnął młodzieniec niepomny na to, że zaalarmowani Turcy znów zwrócili się ku skrzepowanym Frankom.

- Zdradził zakon! - Joscelin zaśmiał się krwawiącymi dziąsłami. - Chciał nas osierocić, doprowadzić do naszej zguby! Ukradł pierścień, Bóg jeden raczy wiedzieć po co, i pognął jak szalenciec wraz z...

Naraz rycerz zacharczał, zakaszlał i splunął jeszcze raz. Gdy uniósł głowę, w jego zdrowym oku zamajaczyło coś czarnego, nieludzkiego.

- Wybrał to, co dla niego cenniejsze - wycharczał zmienionym głosem. Jego spojrzenie wbijało się w Ga-stona jak szpila, z każdym uderzeniem serca coraz głębiej i głębiej. - Popelniał jednakże błąd. Ty, Gastonie, będziesz miał szansę, by wszystko sobie przemyśleć. Może nie jest ci dane tak po prostu umrzeć. Może dokonasz właściwego wyboru i...

Vittorio przesunął się cicho i kopnął go w twarz, aż zadzwoniło. Głowa Joscelina podskoczyła niczym piłka i znieruchomiła, a wtedy bez skrupułów przyrznęła w nią Anzelm. De Royes zastygł w bezruchu. Za chwilę jednak z jego zakrwawionych ust wydobył się cichy jęk.

„Żyje sukinsyn!” - pomyślał de Baideaux.

Tureccy strażnicy dopadli jeńców, wrzeszcząc i wymachując włóczniami. Vittorio zebrał kilka soczystych kopniaków, Anzelm runął na ziemię powalony drzewcem, Gastonowi również się oberwało, lecz nawet tego nie zauważył. Wciąż miał przed oczyma narastającą ciemność w jedynym oku Joscelina, wciąż słyszał jego głos bulgoczący i niewyraźny, a mimo to powabny, kuszący. Otrząsnął się niczym pies po wyjściu z wody, a mimo to wrażenie nie znikło. Otrząsnął się po raz drugi, a wtedy ujrzał czarnowłosego emira, który zmierzał prosto ku więźniom. Wyraz jego twarzy znamionował najwyższe wzburzenie, obfite, czarne rękawy łopotały, gdy nerwowo poruszał rękami. Mijani Turcy podrywali się i patrzyli w ślad za nim zaniepokojeni.

Naraz zastąpił mu drogę starzec w bogatym turbanie. Emir krzyknął, potem spróbował go odepchnąć, lecz starzec uparcie coś tłumaczył, gestykulując przy tym żywo. W rękę czarnowłosego Saracena błysnął miecz, ale si-wobrody się nie ugiął. Jego pomarszczona dłoń wskazywała drobną dziewczynkę siedzącą u boku Adalberta kilka kroków dalej.

Stali naprzeciwko siebie, stary i młody, dwa żywioły zastygłe w pojedynku siły woli.

Kolczuga emira mieniła się bladym lśnieniem dławionego przez chmury słońca, migotały też brylanty w turbanie starca. Wiatr, naraz cichszy i spłoszony, ostrożnie muskał czarne kręcone kędziory młodszego z mężczyzn.

Dłoń starca nadal wskazywała dziewczynkę.

W końcu emir odwrócił spojrzenie i powoli wsunął miecz do szamerowanej złotem pochwy.

Stanowczo odsunął siwowłosego z drogi, po czym zbliżył się do jeńców. Z przeciągłym westchnieniem uklęknął przed Gastonem i wbił w niego spojrzenie.

Nim się odezwał, spojrzenie jego oczu - ciemnych, przymrużonych, przekrwionych z niewyspania - opowiedziało młodzieńcowi długą historię o Lewancie. Wyczytał w nich opowieść o honorze i dumie wojownika islamu, odczytał prawdę o cierpieniu człowieka kochającego i odrzuconego, dowiedział się wiele o uwielbieniu przywódcy i umiłowaniu Boga, poznał wreszcie pełnię trudów niekończących się walk i wędrówek po Palestynie. W oczach Saracena śpiewał muezin, huczał zatłoczony bazar, wiał gorący chamsin, ryczały wielbłądy i pokrzykiwali jeźdźcy na grzbiecie diuny. W jego oczach ciągnęła się pustynia. A gdy w końcu to zrobił - gdy przemówił - de Baide-aux zrozumiał, że czar Lewantu bywa zabójczy.

- Nazywam się Ismail ibn Abdul al-Karrach - powiedział cicho w chrapliwym langue d'oïl. - Walczyliśmy już raz, po drugiej stronie przełęczy. Straciłeś mnie wtedy z konia. Lecz nie wygrałeś.

Gaston przytaknął bezwiednie.

- Iblis zmylił me ruchy - ciągnął. - A przecież nikt z Al-Farandż nigdy mnie nie pokonał. Nikt nigdy nie pokonał Ismaila ibn Abdula! Nie wygrałeś ze mną, psie niewierny, a ja z chęcią rozwlekłbym twe flaki po piasku, by to podkreślić.

„Jak to jest, Diable - zapytał w myślach młodzieniec - że każdy człowiek, którego napotkam, chce odebrać mi życie?”.

Diabeł nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Ismail natomiast wręcz przeciwnie.

- Tylko temu dziecku zawdzięczasz swój żywot niewarty łachmanów zdartych z karku trędowatego! - Dłoń Saracena wystrzeliła w kierunku ojca Adalberta obejmującego swą podopieczną. - Tylko temu, że ono zechciało cię uchronić przed moim gniewem. Tylko temu, że jestem człkiem powolnym mej wierze i szanuję słowa przepowiedni! Lecz nie łudź się, psie. Kiedyś to dziecko przestanie się tobą interesować. Wiesz, co się wtedy wydarzy?

Z tymi słowami Ismail wstał i wyszczerzył bielutkie zęby.

- Nie wiesz. Ja sam też nie mam jeszcze pojęcia. Bo jeden Allah raczy wiedzieć, na ile sposobów zadam ci ból.

I wykrzyknął kilka rozkazów. W rękach stojących naokoło Turków pojawiły się worki, które natychmiast narzucono na głowy jeńców. Świat zniknął w dusznych, cuchnących

ciemnościach. Niewidzialni już strażnicy szarpnięciami poderwali ich na nogi, a całe obozowisko, poruszone wściekłymi rozkazami emira, buchnęło najrozmaitszymi odgłosami. Najemnicy pokrzykiwali, konie rżały i tupwały kopytami, poszczękiwał oręż, przebudzony wiatr pogwizdywał zuchwale. Maria Komnena klęła nie gorzej od dziesiętnika straży miejskiej.

- Słyszałeś?! - wykrzyknął prowadzony przodem Vittorio. - Wołał coś o Balianie!
- Co takiego?
- Nie wiem, za głośno się wydzierają. I o najszybszym koniu coś krzyczy! Może zmierza po...

Głuche uderzenie i jęk Vittoria zakończył rozmowę. Gaston uśmiechnął się w mroku worka, który zakrywał jego twarz.

„Dziękuję” - pomyślał. '

- He, 'ayin, sade, gimel - rzekł cicho.

Świat na moment znowu pomroczył, ale tego młodzieniec już nie widział pochłonięty walką o utrzymanie się na nogach. Trzy starożytne, potężne słowa uderzyły weń niczym wicher zniszczenia, odarty go ze zmysłów i przeszyły bólem. Zaciśnął zęby, szykując się do długiej, zaciętej walki, lecz złowroga emanacja nagle znikła, zabierając ze sobą wszystkie siły wysrane z Gastona.

Zachwiał się, potknął, nieczuły na srogie razy wlekących go Turków. Nie czuł, gdy przywiązywali go do konia, nie słyszał pełnego niepokoju wołania przyjaciół. Gdy najemnicy niespodziewanie ucichli, jakby na ich oczach działa się jakiś cud, de Baideaux odpływał już w niebyt.

Anna Giscolvi drgnęła jakby wyrwana z głębokiego snu. Siedzący na drążku jastrzęb zatrzepotał skrzydłami i rozdziawił zakrzywiony dziób, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Italka ujęła puchar z winem i łapczywie wychyliła go do dna, nie dbając o to, że czerwone krople ściekają jej po brodzie i dalej na adamaszkową suknię. Z brzękiem odstawiła naczynie.

- Wyruszył - powiedziała szeptem, jakby sama nie dowierzała temu, co się właśnie działo.

- Wyruszył - powtórzyła, wstając.

Odruchowo wygładziła fałdy sukni, a potem, pokonawszy opór trzęsących się dłoni, zamocowała woalkę na twarzy. W innych okolicznościach nawet nie pomyślałaby o chronieniu cery, ale tego dnia starczył jej krótki rzut oka w lustro, by wiedzieć, że tak pokazać się ludziom nie może. Być może nikt nie zwróciłby uwagi na ogromne żółcące się siniaki - pomimo wysokiej pozycji kobiet w Outremer, wielu mężów nadal rozstrzygało spory małżeńskie pięściami - ale szpecące policzki równoległe, wciąż lepkie od krwi szramy jak po pazurach kota z pewnością zwróciłyby uwagę ciekawskich.

Tym bardziej że przez prawy policzek biegło ich aż osiem.

- To wszystko nic - szeptała. - Naprawdę nic. Grunt, że zrobiłam wszystko, co do mnie należało. Wszystko, czego chciała Vivienne w zamian za tajemnicę. Wszystko, czego wymaga zemsta.

Jakby w odpowiedzi zapiekły szramy na policzkach, przypominając jej o straszliwej, niemalże przegranej bitwie, którą stoczyła w nocy. Zaciśnęła powieki, odpychając napływające koszmary, a potem odłożyła barwicz-kę do ust.

- Chyba zatęskniłam za światłem słonecznym -szepnęła do ptaka układającego pieczołowicie pióra na skrzydle. - Poza tym ci, z którymi muszę się teraz zobaczyć, raczej nie dbają o wdzięki kobiece. Usamo, szykuj nas do drogi.

Ogromny mameluk, do tej pory skryty w półmroku namiotu, drgnął nagle niczym ożywiony magią posąg, a Anna wyszła prosto w gwar obozowiska.

Z nadejściem wieczoru żywioły zdawały się wytracać swą siłę. Złowrogi chamsin, który przez większość dnia targał płachtami namiotów i toczył chmury pyłu po równinie

oddzielającej wzgórze Turon od murów Akki, teraz ledwie dmuchał. Słońce również straciło siły po całodziennym walce z chmurami i jego blady krąg umykał ku horyzontowi. Przepojony szarym światłem świat zamarł w niemalże absolutnej ciszy.

Kerim ibn Muhammad również milczał. Bogaty strój ormiańskiego kupca oraz wielki krzyż na piersi, które miały uchronić go przed gniewem napotkanych Franków, bynajmniej nie maskowały drapieżnej natury. Zdradzały ją stanowczość, z jaką ściągał wodze, duma, z jaką gładził swą długą, siwą brodę, oraz wyniosłość, z którą mierzył smukłą postać Anny. Każdy, kto przebywał choć kilka miesięcy w Outremer, rozpoznałby w nim człowieka z niezniszczalnym charakterem, weterana niezliczonych bojów, męża bezwzględnie oddanego swej religii oraz swym zasadom.

- As-salam alejkum. Niech Allah opromienia wasze ścieżki, czcigodny Kerimie synu Muhammada - wypowiedziała Italka płynnie po arabsku.

- Wa alejkum as-salam - warknął starzec, obnażając poźółkłe, częściowo spróchniałe zęby. Odwrócił na moment spojrzenie jakby urażony, że zagadnęła go kobieta, mimo że to właśnie z nią miał się spotkać. - Mój pan kazał rzec, że człowiek, który zna szukane przez ciebie słowo, mieszka w Askalonie. Jest - a raczej był - złotnikiem.

Anna słuchała nieporuszona, lecz z bijącym mocno sercem.

- Poznasz go po tym, że ukochał sobie gwiazdy - dodał Kerim ibn Muhammad i skrzywił się złośliwie.

- Tylko tyle? - spytała Italka, choć dobrze znała odpowiedź.

Starzec splunął i wściekle kopnął rumaka piętami, a ten wystrzelił naprzód, aż grudki piasku przysnęły spod kopyt. Anna przez moment przyglądała się, jak mknie ku majaczącemu w oddali obozowisku frankijskiemu, a potem spojrzała na Usamę. I uśmiechnęła się.

- A zatem do Askalonu - powiedziała.

Mameluk jak zwykle nie odezwał się ani słowem. Za to siedzący na drążku jastrząb zatrzepotał skrzydłami i krzyknął ostro.

Balian z Ibelinu rozkaszał się po raz kolejny.

Był człowiekiem w sile wieku, a to oznaczało, że zaznał w życiu wiele niewygód. Odniósł wiele mniej lub bardziej poważnych ran, nieraz cierpiał głód i pragnienie, przeżył katastrofę statku oraz złamanie kości po upadku z konia, raz dopadła go nawet arnaldia - ciężka gorączka połączona z wypadaniem włosów i złazaniem paznokci - ale teraz miał wrażenie, że przez żadne z owych przeżyć nie zaznał tylu cierpień co przez zwykłe przeziębienie.

Wyglądało na to, że zacięta bitwa, do której stanął już w nie najlepszym zdrowiu, wyczerpała resztę jego sił. Zsiadłszy z konia, ledwie dowlókl się do namiotu, gdzie upadł na łożo jak stał i już tam pozostał. Dręczony gorączką trwał w osobliwym stanie ni snu, ni jawy, ni koszmaru.

Usiłował skupić się na przebiegu oblężenia, ale bez skutku. Relacji swego przyjaciela

Renalda z Sydonu słuchał z obowiązku, marząc, by wyszedł i nie dręczył go więcej.

Odwiedziny Konrada Montferratu i Gwidona de Lusignan zniósł z jeszcze większym trudem, tym bardziej że obaj poza niekończącymi się banałami nie potrafili - bądź nie chcieli - powiedzieć mu nic konkretnego.

Po raz pierwszy w swym życiu baron Balian z Ibeli-nu stracił zainteresowanie wszystkim i wszystkimi. Tak mu się przynajmniej wydawało, zanim do namiotu nie wpadł ożywiony Amalryk de Puigney.

- Baronie! - wykrzyknął, nie dbając o etykietę. - Wasza małżonka została porwana przez asasynów!

Balian poczuł, że jego serce zwalnia, jakby nagle miało stanąć na zawsze. Wolno uniósł się na łokciu i przetarł dłonią łzawiące oczy.

- De Puigney - rzekł słabym głosem, siłąc się na spokój - po pierwsze, asasyni nigdy nie porywają, a po drugie, Maria jest bezpieczna w Tyrze. Jakże więc...

- Pani Maria Komnena wyruszyła z Tyru jakiś tydzień temu posłuszna waszym listom, baronie!
 - Listom? - Balian w jednej chwili stracił resztki sztucznego opanowania. Poderwał się gwałtownie, odrzuciwszy kryjące go skóry. - Jakim listom, do ciężkiej cholery? Nie pisałem żadnych listów!
 - Tak czy owak trafiła do niewoli! - Amalryk odwrócił spojrzenie. - Przybył pewien nizaryta w ormiańskim stroju, ma dla was wiadomość od przywódcy porywaczy.
 - Dawaj go tutaj - szepnął baron.
- Amalryk uklonił się i wycofał w ciszy, a Balian, półnagi, w przepoconej koszuli, skrył twarz w dłoniach i za-szlochał.

Rozdział siedemnasty

w którym dochodzi do czynów wielkich

Jeszcze nim Gaston całkiem odzyskał świadomość, poczuł mdłości jak podczas silnej fali na Morzu Śródziemnym. Nim się zorientował, że siedzi na końskim grzbiecie, nim przypomniał sobie o tarapatach, w jakie wpakował towarzyszy, i o worku na głowie, niespodziewanie przemówił diabeł.

„Obudź się - szepnął. - Czujesz?”

I wtedy młodzieńca przeszył niesamowity, nieznamy mu do tej pory dreszcz, którego nie umiałby wytłumaczyć ani zimnem, ani lękiem, ani jakimkolwiek znanym sobie uczuciem. Dreszcz znamionujący coś wielkiego. Przeszkodę, którą tylko on będzie mógł pokonać. Supeł, którego nie rozwiąże nikt inny.

Wyprostował się, nie wiedział po co, po prostu czuł, że tak wypada.

„Czujesz to, prawda? - bardziej stwierdził, niż zapytał Diabeł. - Tak, jestem pewien”.

„Zaraz się coś wydarzy...”

„Już się dzieje”.

„Pomożesz mi?”

„Już ci pomogłem”.

Konie szły niespiesznie, ale i nierównym krokiem, płótno worka kleiło się do spoconej twarzy. Gaston nagle uświadomił sobie, że zaraz spadnie z siodła. Przeszył go lęk, z całej siły ścisnął boki wierzchowca kolanami, chroniąc się przed upadkiem. A wtedy tknęła go nowa myśl.

„Moje pęta wokół kostek są luźne!”

„Tak. A na lewo, tuż obok ciebie jedzie teraz Adalbert”.

„Ale...”

„Zaufaj mi”.

Zacisnął powieki, przesunął się nieco w siodle. Podciągnął kolano, by zyskać lepsze oparcie, powoli pochwycił lęk, pochylił się, napiął mięśnie.

I skoczył.

Przez przerażająco długą chwilę wisiał w powietrzu przeświadczony, że źle wyliczył skok, że runie pod końskie kopyta. Wtedy uderzył barkiem w czyjeś pulchne udo, a czyjeś równie pulchne dłonie pochwyciły go za ramię.

- Jezusie Nazareński! - wrzasnął przenikliwie Adalbert.

Gaston słyszał jednakże wrzaski swego towarzysza tyle razy, że był pewien - teraz wcale go nie zaskoczył. Także gdy razem spadali, nie miał wątpliwości - klecha nie leciał na oślep, wiedział, co robi. Rąbnęli o rozpedzoną ziemię, przetoczyli się, świat zawirował, eksplodował bólem, ale Gaston wiedział już, że to część czegoś.

Potem, gdy sznur na jego nadgarstkach pękł błyskawicznie przecięty jakimś ostrym narzędziem, zrozumiał, o co chodzi.

- Na pomoc! - darł się Adalbert, przechodząc samego siebie w odgrywaniu skrajnego przerażenia. - Święty Józefie, święta Genowefo, ratujcie mnie przed tym szaleńcem! Jedno szarpnięcie starczyło, by rozluźnić sznury mocujące worek, drugie ukazało młodzieńcowi świat, szary i ponury, ale jak dla niego oślepiająco jasny. Dwa mrugnięcia okiem później widział już rozległą, jałową równinę zlewającą się gdzieś dalej z równie jałowym niebem oraz Adalberta, umykającego przed siebie w pociesznych podskokach. I zaskoczonych Turków, osadzających swe konie.

Tyle mu wystarczyło.

Gaston poderwał z ziemi kamień, wymierzył w głowę najbliższego jeźdźca i cisnął z całej siły. W innych okolicznościach nic by to dało. Kamień chybiłby, otarłby się o hełm i pomknął dalej lub co najwyżej odbiłby się z brzękiem, "rozwścieczając trafionego i rozbawiając jego kamratów. Lecz w mięśniach składającego się do rzutu młodzieńca nadal przemykało wspomnienie owego cudownego dreszczu, który zapowiadał wielką chwilę. Kamień zafurkotał w powietrzu. Młasnęło.

Turecki najemnik wypuścił wodze, włócznię i z rozdzierającym jękiem złapał się za zalaną krwią twarz. Przemknął obok Gastona i pogalopował w dal, lecz de Baideaux już o nim nie pamiętał. Jego całym światem była teraz upuszczona włócznia.

Pochwyił ją w ostatniej chwili, uskakując przed mieczem kolejnego z Turków, machnął, aż zahuczało, i wykonał unik, sam nie wiedząc kiedy. Opadający miecz następnego z przeciwników przeciął powietrze, koń zarżał przenikliwie uderzony drzewcem po pięci-nach i runął w tumanach kurzu, przygniatając wrzeszczącego jeźdźca. Coraz to kolejni Saraceni szarżowali na Gastona, a on, powolny odruchom, których istnienia nie był dotąd świadom, rozpoczął straszliwy taniec śmierci.

Przydały się teraz te potwornie długie lekcje walki kijem, których udzielał mu Bernard na wonnych, wilgotnych łąkach wokół rodzinnego kasztelu. Otoczony szczelnymi młyńcami wdarł się między nacierających jeźdźców, by rąbać ludzi i konie, pchać, kłuć, obalać.

Półprzytomny, upojony walką, tańczył w rytm rozpedzonego tętna. To unikał opadających ostrzy, to odbijał je z gracją, nie przestając samemu rozdawać uderzeń z pasją i siłą, której nigdy by się po sobie nie spodziewał. Zaskoczeni Turcy atakowali od tyłu, z boku, ale Gaston, w porę ostrzeżony przez czujnego diabła, zawsze zdążył się zastawić, zawsze zdołał odbić cios. W końcu ktoś, kogo nie widział, rzucił z furją kilka rozkazów, saraceńskie rumaki zwróciły się ku niemu pierściami.

„Uważaj, będą napierać!” - zawołał Diabeł.

- Uważam! - wycedził Gaston i zerwał się do biegu.

Pędził jak szalony prosto w otwartą przestrzeń, odsłaniając swe bezbronne plecy. Czuł już przesywające go spojrzenia rozwścieczonych Turków, czuł drgania ziemi bitej przez kopyta zbliżających się koni, ale wiedział, że dobiegnie, wiedział, że zdąży. Odrzucił włócznię. Cel był coraz bliżej, jeszcze kilkadziesiąt kroków. Oczami wyobraźni widział już najemników pochylających się w siodłach, ostrza włóczni mierzące prosto między jego łopatki. Jeszcze kilkanaście kroków, kilka...

I udało się.

Kolejny Saracen, którego trafił kamieniem, klęczał z pochyloną głową, przyciskając zakrwawione dłonie do zmasakrowanego oczodołu. O lepszej sytuacji Gaston nie mógł nawet marzyć. Bez namysłu kopnął go prosto w ranę i błyskawicznie, ignorując rozdzierający wrzask, wyłuskał miecz Turka. I odwrócił się ku jego szarżującym towarzyszom.

„Nachyl się!”.

Ostrze włóczni przeszło powietrze o szerokość dłoni od ramienia młodzieńca, zdążyło jedynie rąbnąć po drzewcu. Koń z grzotem kopyt pomknął dalej, a Gaston rzucił się prosto ku kolejnym nadciągającym, prosto na ich miecze i włócznie.

Przedzierał się przez ich ruchliwy, śmiertcionośny gąszcz z gracją oszalałego derwisza, a Saraceni napierali z coraz większą wściekłością. Bez względu na to, ile wysiłku wkładali w kolejne cięcia i sztychy, skóry roztańczonego Franka nie ozdobiła najmniejsza nawet ranka. Posłuszny szybkim podpowiedziom diabła unikał wszelkich ciosów, nawet tych wymierzonych w jego plecy, a uskakiwał w taki sposób, że atakujący przeszkadzali sobie nawzajem. Parł naprzód nietknięty, z twarzą lśniącą od potu, zostawiając za sobą rżące, wpadające na siebie konie i coraz bardziej rozjuszonych jeźdźców. Niektórzy z nich cofali się już przerażeni szatańskim popisem sprawności gaura, inni rozsądnie sięgali po łuki. Nagle tuż przed nim wyrósł Ismail na szalejącym rumaku. Błysnął miecz w jego dłoni, opadł, Gaston uskoczył w bok i czmychnął, w ostatniej chwili unikając kopyt jego konia. Kątem oka dostrzegł, iż emir zawraca wierzchowca, znów uskoczył w bok.

I wtem zrozumiał, że się przebił. Znalazł się w miejscu, w którym znaleźć się pragnął.
- Anzelm! - ryknął.

Uwaga strażników otaczających jeńców z workami na głowach pochłonięta była walką. Żaden z nich nie ośmielił się złamać rozkazu swego emira i nie ruszył się z miejsca, ale ich ciemne, złowrogie spojrzenia cały czas śledziły miotającego się Franka. Żaden nie zauważył, kiedy mięśnie jednego z więźniów napięły się, kiedy pękły krępując go więzy, kiedy koń, na którym posadzono spętanego rycerza, targa z przerażeniem łbem.

A potem wypadki potoczyły się jeszcze szybciej.

Pod szare niebiosa wystrzelił przerażający ryk, a konie gwałtownie skoczyły na boki, jakby między ich kopytami spod ziemi wypełzły setki węży. Niektórzy z jeźdźców całkiem zaskoczeni nie zdołali ich opanować i tym Allah sprzyjał. Pozostali bowiem, którzy okiełznali swe wierzchowce i zawrócili je, stanęli twarzą w twarz z potworem.

Zrywając worek z głowy, Anzelm rozorał pazurzastą łapą swe policzki i wilcze oblicze rycerza, jakby nie dość straszliwe, załała krew. Jego koń wił się i skakał oszalały wprost ze strachu, ale odmieniec zgniół jego boki kolanami, odwrócił rumaka ku swym dotychczasowym strażnikom i zakreślił nad głową wyrwanym sznurem. Najbliższy z jeźdźców wrył wierzchowca w ziemię, a jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Ułamek sekundy później świszczący sznur niczym żywe stworzenie oplótł ramię Saracena, a straszliwa siła niemalże wyrwała go z siodła.

„Skok w prawo!” - szepnął Diabeł.

Gaston oprzytomniał i odskoczył ścigany podmuchem powietrza rozciętego przez miecz Ismaila. Emir przemknął dalej, a młodzieniec z zaciętą twarzą rzucił się w największą ciżbę przeklinających, przerażonych Turków i rżących, roztańczonego wierzchowców. Gdzieś mignął mu worek nadal zakrywający głowę spętanego Joscelina de Royes, obracający się gwałtownie, gdy templariusz usiłował cokolwiek spod niego zobaczyć. Kopyta biły w ziemię, łyskały przekrwione ślepią, otoczone chmurami swych grzyw łby końskie uciekały na boki, próbując się wyrwać spod władzy jeźdźców, a de Baide-aux parł przed siebie, odbijając przypadkowe ciosy. Jego mięśnie nadal cudownie mrowiły.

I być może dlatego, gdy przypadł wreszcie do rumaka, na którym trzymano Vittoria, nie zawahał się ani chwili.

Szerokim, zamaszystym ciosem odbił drzewce włóczni strażnika, a potem przysiadł i ciął po raz drugi. Klinga aż zagwizdała, a sztych z niebywałą, nieludzką wprost precyzją przeciął sznur, którym przywiązano Italczyka do siodła. Jego towarzysz targnął się, zsunął, spadł w pył, a Gaston powtórzył sztukę po raz drugi, tym razem rozcinając mu więzy na nadgarstkach. Vittorio skoczył na równe nogi, zerwał worek ze spoczonej twarzy i pochwycił porzuconą włócznię.

- W to mi graj! - zawołał zachwycony.

- Bierz Bernarda! - rzucił Gaston, już biegnąc. - Ja oswobodzę królową!

Przeznaczenie ryczało. Krew huczała mu w żyłach, mięśnie mrowiły.

- Anzelm! - ryknął do odmieńca, który właśnie ściągał z siodła jakiegoś wrzeszczącego wniebogłosy Turka. Odwrócił się, z niedowierzaniem, jakby ludzki głos z trudem torował sobie drogę przez tumany wilkołaczego obłądu, ale po chwili już biegł za Gastonem, za nimi pędził Vittorio i uwolniony przed sekundą Bernard. Słońce błyskało na ostrzach mieczy, tureccy najemnicy cofali się, ustępowali. Ktoś gdzieś wyrzaskiwał komendy, zdzierając sobie płuca.

„Oto następuje cud! - przemknęło przez głowę młodemu de Baideaux. - Cały hufiec pierzcha przed czwórką szermierzy... Jak podczas pierwszej krucjaty...”

„Uważaj, Gaston!” - wrzasnął Diabeł.

W ostatniej chwili dostrzegł opadające ostrze, odbił, uskoczył w bok. Jeździec, który na niego natarł, wygiął się w siodle cięty w biegu przez Vittoria, inny nie opanował rumaka wystraszonego obliczem Anzelma. Zahuczało powietrze rozcinane drzewcem włóczni, kolejny z nacierających po prostu zniknął zmieciony przez Bernarda. Droga do Marii Komneny stała otworem.

„Gaston, cholera, rozejrzyj się! - zawył z rozpaczą Diabeł. - Rozejrzyj się, ty marny głupcze...”

- Anzelm, na bok! - krzyknął młodzieniec. - Nie spłosz konia królowej!

Jego miecz błysnął raz jeszcze, przecięte więzy opadły na ziemię. Bizantyjka wściekłym gestem zerwała worek z głowy i natychmiast złapała za wodze, opanowując drobiącego nerwowo wierzchowca. Zamrugła oczyma oślepią blaskiem słońca i wtedy dostrzegła to, czego de Baideaux jeszcze nie widział.

- Uff - westchnęła z rezygnacją. - Gratulacje, chłopcze. Najważniejsze to mieć plan.

„No właśnie”.

Gaston odwrócił się powoli i zamarł, podobnie jak chwilę wcześniej Vittorio. Anzelm stał kilka kroków dalej, sapiąc chrapliwie i targając głową, jakby resztki zdrowego rozsądku toczyły w jego sercu zaciętą bitwę z przepelniającym go szałem. Bernard wsparł się na włóczni i opuścił ciężki, kudłaty łeb.

Tureccy najemnicy otaczali ich szczelnym kręgiem. Drobne, lekkie łuki, które od tyłu lat z powodzeniem dziesiątkowały oddziały krzyżowców, zamarły w ich dłoniach niczym naturalne przedłużenie kończyn, jedynie cięciwy skrzypiały cichutko. Wiatr chłodził spocone twarze czterech chrześcijańskich wojowników, z każdym tchnieniem odbierając im resztki nadziei.

Niespodziewanie ciszę przerwało ciche klaskanie.

Emir Ismail, jedyny, który nie pochwycił za łuk, splótł ręce na piersi. Ku lekkiemu zdziwieniu Gastona w jego towarzystwie nie było wiecznie wściekłego starca w turbanie z brylantami, którego nauczył się już obawiać. Ponadto coś mu mówiło, że tylko dzięki jego nieobecności w ogóle jeszcze żyją.

U boku Ismaila był natomiast ktoś inny, szczupły człowiek o twarzy zakrytej kapturem, kogo emir najwyraźniej darzył wielkim zaufaniem. Pochylił się ku niemu, szepnął coś z okrutnym uśmiechem, a potem znów zerknął na czwórkę wyczerpanych Franków. W jego orlich oczach błysnęła drwina.

- Wspaniale, Al-Farandż! - zawołał. - Wasz Bóg, którego miłosierdzie jest znane wszystkim ludom świata, obdarzył was jeszcze jedną łaską. I zapewne gdyby wcześniej zechciał również obdarzyć was rozumem, byłibyście już daleko stąd. Ale tak nie jest.

Opuście broń.

Gaston odrzucił miecz i pokazał puste dłonie.

- Słyszeliście, co mówił - wychrypiął. '

Vittorio wbił sztych w ziemię i zrobił krok w tył, Bernard trącił włócznią, która przewróciła się z brzęknięciem. Jedynie Anzelm łypnął na niego przekrwionymi oczyma i szybko,

niemalże niedostrzegalnie pokręcił głową. Oddychał coraz szybciej, coraz bardziej chrapliwie.

- Rzuć miecz! - krzyknął młodzieniec, a jego sercem nagle targnęła kolejna fala lęku. Odmieniec uniósł broń, jakby rzeczywiście zamierzał cisnąć ją pod nogi Turków, lecz nagle zmienił zdanie. Przycisnął klingę do piersi i zrobił krok w tył, warcząc niczym dzikie zwierzę.

- Nie dam rady - wychrypiał ledwie zrozumiałym głosem. - Nie powstrzymam...

- Rzuć broń, niewierny psie! - ryknął Ismail i uderzył piętami konia. Przestraszone zwierzę kładło po sobie uszy, wzbraniało się, drobiło w miejscu, ale ruszyło powolne woli swego jeźdźca. Ten z długim, przeciągłym młaśnięciem wysunął klingę z pochwy.

- No? - odezwał się z okrutnym uśmiechem. - Odrzucisz miecz, pomioście Ibisa? Czy może pragniesz, bym złamał święte proroctwo i przelał twą krew?

Kpiący, wyniosły ton i wzrok ciemny, aż skrzący z nienawiści, wyraźnie mówiły, że emir marzy tylko o tym, by zostać sprowokowanym. Gaston zaryzykował ukradkowy rzut oka na dziewczynkę - poważna i blada stała kilkanaście kroków dalej u boku nieodłącznego Adalberta - a gdy znów spojrział na Anzelma, ten potrząsał głową, jakby szła zaczynał go rozsadzać.

- Anzelm - szepnął z rosnącym przerażeniem de Ba-ideaux. - Anzelm, rzuć broń...

Odmieniec tylko warknął głośniejsz i uniósł głowę. Smagnął emira wściekłym spojrzeniem przekrwionych, oszalałych oczu, jego dłonie drżały, jakby ciało toczyła zabójcza gorączka. Gdzieś skrzypnęła mocniej napinana cięciwa, koń Ismaila zadrobił nerwowo. Emir uśmiechał się paskudnie.

- Widzicie go?! - zawołał odwrócony ku swym ludziom, a zwłaszcza owemu szczupłemu towarzyszkowi o twarzy skrytej w kapturze. - Widzicie go, wściekłego... I zamarł.

Gerard de Reinee uniósł głowę znad rozwianej końskiej grzywy i wyraźnie ujrzał, jak spośród szarych, nieprzyjaznych chmur na niebie wyłania się gorejący krzyż. Kiedy indziej opowiedziałby towarzyszom o swoim odkryciu, wezwałby ich do wspólnej modlitwy, postu i medytacji, ale utracił już na to ochotę. Ostatnie tygodnie nauczyły go, że dla wielu krzyżowców cuda - prawdziwe cuda - to jedynie jarmarczne sztuczki, a w rękach duchownych stają się polityczną bronią. Nie miał już zamiaru dzielić się nimi z kimś innym, a zwłaszcza z kimś, kto odarłby je ze świętości. Nawet z wszystkimi tymi, którzy galopowali teraz za nim. Nie znał tych ludzi, nie próbował nawet poznać. Nie pytał o imiona, choć niektórzy bardzo się starali, by je poznał, by wysłuchał ich historii. Nie chciał, odwracał wzrok, milczał. Zbyt dobrze wiedział, jak kruchym żywiołem jest pobożność w zderzeniu z pokusami Lewantu. Nie wierzył w szczerą i czystą rycerzy, którzy chcieli mu towarzyszyć, nie chciał w nią uwierzyć. Dość miał rozczarowań.

Ci jednak zostawali, a co więcej, wciąż pojawiali się nowi, niezrażeni jego milczeniem, spragnieni... No właśnie! Gerard de Reinee nie miał pojęcia, co tak naprawdę ich przyciągało, dlaczego upatrywali w nim swego przywódcy. Wiedział jednakże, komu należało to zawdzięczać.

„Dzięki Ci, Panie! - szeptał w myślach. - Dzięki Ci za to, że raczyłeś przydać mi towarzysza, bez którego nie przeżyłbym pewnie bitwy u stóp Schodów Ty-ryjskich. Dzięki Ci za to, że obdarowałeś mnie swymi łaskami i pozwoliłeś ciągnąć walkę w Twym imieniu, przeciwko Twym nieprzyjaciołom! Dzięki Ci, Panie, że uwolniłeś mnie od grzechu pychy i wyniosłości! Dzięki...”

Obrócił się na moment, by spojrzeć w twarze towarzyszy, twarze młode, ale poważne, zacięte, promieniejące uniesieniem. Twarze ludzi desperacko szukających sensu, desperacko poszukujących Boga w krainie, po której chadzał niegdyś Jego syn. Twarze ludzi ubogich,

niezadko nieposiadających nic prócz ojcowego miecza, przeszywanicy i starego konia. Twarze jego ludzi.

Kopyta końskie śmigały w powietrzu, niemalże nie tykając ziemi. Wzniesione włócznie przeszywały wiatr. Gerard de Reinee uśmiechnął się blade.

- I dzięki Ci za Annę Giscolvi, kimkolwiek ona jest -szepnął, nie spuszczać wzroku z coraz bliższego, znieruchomiałego oddziału Saracenów.

Przez moment wszystko wskazywało na to, że emir Is-mail ibn Abdul al-Karrach stracił głowę. Z niedowierzaniem wpatrywał się w rosnącą chmurę pyłu, całkiem zapomniawszy o chrapliwie oddychającym odmieńcu oraz jego towarzyszach, nadal uzbrojonych i otaczających Marię Komnenę. Potem smagnął wzrokiem swego zakaptu-rzonego towarzysza, również zahipnotyzowanego niespodziewanym widokiem, i stanął w strzemionach, by wykrzyknąć pierwsze rozkazy.

- Deus le volt! - zagrzmiąło od nadciągającego hufca.

Nieruchomy krąg konnych łuczników nagle rozsypał się posłuszny rozkazom emira.

Niektórzy zawrócili wierzchowce i skoczyli w ślad za dowódcą, który wrzeszczał coś do swego towarzysza i wskazywał mieczem nadciągających jeźdźców. Pozostali napięli mocniej łuki.

- Będą strzelać! - ryknął przerażony Vittorio i odwrócił się gotów do ucieczki.

I wtedy czas spowolnił, jakby garstka złośliwych pół-bożków wysoko w szarych niebiosach chciała się napawać egzekucją kilku zapomnianych krzyżowców. Łuki drgnęły niczym bezlitosne drapieżniki zwabione nagłym ruchem zwierzyny i ku Italczykowi pomknęły strzały. Pierwsza wyszarpnęła krwawą szramę na jego policzku, druga przeszła rękaw, dopiero trzecia wbiła się w jego ramię.

- Vittorio! - wrzasnął Gaston, widząc, jak pada.

Kątem oka dostrzegł Anzelma, który wreszcie uwolnił swą furję i skoczył do wściekłego ataku, gdzieś krzychał Adalbert uwieszony uzdy wierzgającego konia. Załomotały kopyta rumaka Marii. Ismail wrzeszczał, coraz

bliżsi Frankowie zagrzmieli raz jeszcze, świstały strza-ty

„Opanuj się! - ryknął Diabeł tak głośno, że Gaston aż się zatoczył. - Nic mu nie jest, a Maria ucieka!”

I wtedy nadciągający Frankowie starli się z naprędce zorganizowanym hufcem tureckim wiedzionym przez samego emira. Powietrzem wstrząsnął potworny łomot stali wzmocniony rzeniem koni i okrzykami walczących.

Nie wiadomo, jakby potoczyły się losy Gastona, Vittorio i Marii, gdyby emir Ismail był zimno kalkulującym dowódcą, a nie dumnym wojownikiem pustyni. Nie wiadomo kiedy zrozumiał, że gdyby stłamsił swą dumę, bez trudu umknąłby starym, dychawicznym szkapom tej garści niewiernych i doprowadził swą misję do końca. W każdym razie na zmianę decyzji było już za późno. Porwany szaleem bitwy ciął i rąbał, wdzierając się na czele swych ludzi głęboko między Al-Farandż.

A Gaston uświadomił sobie, że oto otrzymał ostatnią szansę, bo od wolności dzieliło ich tylko kilku Turków, których emir pozostawił, by wykończyli więźniów strzałami z łuków.

Poderwał jakiś porzucony miecz i skoczył ku Anzelmowi, który nie bacząc na strzały sterczące z jego barków i piersi, miotał się wśród strażników jak rozszalałe zwierzę osaczone przez charty. Zakrwawiony, straszliwy co rusz doskakiwał do innego, jego miecz śmigał jak stalowe żądło, a Saraceni, z trudem panując nad przerażonymi końmi, odgryzali się nieporadnie. Jeden z nich na próżno usiłował nałożyć strzałę na cięciwę, aż w końcu z twarzą wykrzywioną strachem i wściekłością zawrócił wierzchowca.

Wtedy na jego drodze wyrósł Adalbert.

Ponieważ tłustego kapłana niewiernych upodobała sobie dziewczynka z proroctwa, wojownicy Ismaila czuli do niego respekt. Poza tym zdawał się nieszkodliwy, mogli więc traktować go jak powietrze.

Teraz, gdy w ręku spoconego duchownego błysnął krótki toporek, oczy łuczniaka rozszerzyły się nagle. Nic więcej zrobić nie zdołał, gdyż Adalbert ze zwinnością, o jaką nikt by go nie podejrzewał, przypadł nagle do boku Saracena i rąbnął z całej siły.

Pijany bólem Turek ściągnął wodze, wyrwał miecz, zamierzył się, ale wtedy koniec kija Bernarda wybił mu powietrze z płuc. Przechylił się w siodle prosto ku Gasto-nowi.

Młodzieniec pchnął go bez litości, a potem ściągnął z siodła.

- Niech cię Bóg błogosławi, Adalbercie! - wykrzyknął chrapliwie już z końskiego grzbietu. - Naprzód!

I skoczył ku Anzelmowi z sadzącym ogromne susy Bernardem u boku. Dotychczas rozszalałego rycerza otaczało sześciu przeciwników, teraz zostało zaledwie trzech - czwarty leżał nieruchomo z rozrzuconymi szeroko ramionami, dwóch pozostałych uciekało w dal. Bernard zakręcił drzewcem włóczni, zmiatając jednego ze strażników z siodła, a potem obrócił swą broń i pchnął kolejnego z taką furją, że ostrze wyszło mu między łopatkami. Szarżujący Gaston ciął mocno z ramienia i rozplątał bark ostatniemu, który z jękiem padł na ziemię.

Młodzieniec potoczył dookoła dzikim spojrzeniem. Najemnicy emira ścierali się zaciekle z nowo przybyłym hufcem frankijskim, żaden z walczących nawet nie spojrzał w ich kierunku. Tu i ówdzie widział uciekających, gdzieś daleko mknął jakiś drobny oddziałek turecki, również oddalając się od pola bitwy, gdzieś umykało dwóch łuczników nadal eskortujących pojmanego templariusza, Vittorio siedział na jakimś trupie i złorzecząc, usiłował wyrwać sobie strzałę z ramienia. Adalbert spoglądał tępo na ciało ranionego przez siebie nieprzyjaciela.

A Maria Komnena?

Tylko jeden jeździec pędził jak na zatracenie ku Akce. Długi warkocz pyłu wzniecony końskimi kopytami przesłonił całkiem jego sylwetkę, lecz de Baideaux nie miał wątpliwości. To musiała być małżonka barona z Ibelinu. Serce zabiło mu mocniej.

Wierzchowiec niespodziewanie zarżał i wierzgnął, nieomal zrzucając go z siodła. Gaston mimowolnie ściągnął wodze, a wtedy ujrzał przekrwione oczy Anzelma i jego wzniesiony miecz.

- Anzelm, to ja! - wrzasnął.

Ostrze odmieńca opadło. Próbował się zasłonić, lecz nie spodziewał się, że rycerz włoży w cios tyle siły. Miecz Gastona wypadł mu z ręki, ramię zesztyniało, a roz-orana łydka eksplodowała bólem. Koń wierzgnął ponownie, ratując go przed kolejnym cięciem.

- Anzelm! - wykrzyknął odurzony bólem młodzieniec, z coraz większym trudem utrzymując się w siodle.

Widział tylko wyszczerzone kły odmieńca, płonące zaczerwienione oczy i porośnięte futrem oblicze z koszmarów. Gdzieś w otaczającej go mgłę zamajaczył Bernard, ogromny, ale powolny, bardzo powolny. Anzelm obrócił się na pięcie, rozrąbał drzewce jego włóczni, potem ciął raz jeszcze. Gaston zacisnął powieki i przypomniał sobie słowa, które nie tak dawno usłyszał w pewnej opustoszałej wiosce:

„Za każdym razem, gdy kogoś z rodu de Fidou ogarnie gniew bądź wzburzenie, natychmiast przemieni się w niszczycielską bestię, którego jedynym instynktem będzie szalał zniszczenia. Nie powróci do zwykłej ludzkiej postaci, dopóki nie pozbawi kogoś życia”.

- Boże... - wyszeptał.

Rozejrzał się pospiesznie tknięty ostatnią, wątłą nadzieją. Ledwie co widział zamglonymi oczyma, ale zdołał dostrzec jakiegoś Saracena, który oszołomiony upadkiem usiłował się podnieść. Mięśnie na nowo zamrowiły, serce waliło. W jednej chwili de Baideaux ześlizgnął

się z siodła i ignorując ból buchający przy każdym kroku, przyskoczył do Turka. Odkopnął jego miecz, pochwycił go za szatę i z całej siły pchnął ku Anzelmowi, który przygniatał leżącego na plecach, broniącego się ze wszystkich sił Bernarda i usiłował zacisnąć mu dłonie na gardle. Z wykrzywionych ust wilkołaka ściekała krew przemieszana ze śliną.

Oszołomiony Saracen wpadł na Anzelma, rycerz przetoczył się po ziemi i poderwał błyskawicznie z błyszczącym pazurem sztyletu w dłoni. Turek próbował uciekać, ale odmieniec nie dał mu szans. Pchnął raz a celnie, długie ostrze przebiło chroniącą gardło kolczugę i wyszło z drugiej strony. Jednym szarpnięciem rycerz wyswobodził broń i znów targnął głową, jakby jego umysł zaląła nowa fala myśli.

- Anzelmie! - wrzasnął Gaston.

Ujrzał, jak rycerz zaciska pięści, jak podnosi głowę i znów nią targa, próbując uwolnić się od szaleństwa. Splątane, rzadkie włosy przesłoniły mu twarz, ale gdy je odgarnął, była to już ponad wszelką wątpliwość twarz ludzka, choć nadal zniekształcona grymasem furii i wściekłości. Podniósł się, zatoczył, złapał dłońmi za skronie, znów padł na kolana.

- Boże... - jęknął rozdzierająco. - Boże, dopomóż mi... j

Dopomogła mu pięść Bernarda, która niemalże przewróciła rycerza na ziemię. Anzelm złapał się za policzek, zamrugał oczyma - wreszcie jasnopiwnymi, a zdyszany, zakrwawiony olbrzym zabulgotał gniewnie i rozmasował dłoń. Potem wykrzywił twarz w swoim najobrzydliwszym grymasie, który dla Gastona był piękniejszy od anielskiego uśmiechu.

- Łapcie konie! - wrzasnął. - Łapcie konie, uciekajmy stąd!

Wciąż niespokojne wierzchowce próbowały się wyrwać, ale Bernard, już opanowany, sprawnie złapał najbliższego i doprowadził do swego pana. Młodzieniec podziękował skinieniem, po czym złapał za lęk, wskoczył w siodło i mocno ściągnął wodze.

- Vittorio! - zawołał, usiłując przekrzyczeć zgiełk toczącego się nieopodal starcia. Koń pod nim ciskał się i miotał. - Vittorio, Adalbert, uciekamy stąd!

- Naprawdę? - krzyknął Italczyk, podjeżdżając bliżej. Był pobladły, lewą rękę przyciskał do ciała, ale oczy lśniły tą samą przekorą co zwykle. - Naprawdę nie masz ochoty zostać i walczyć w imię Pana?

Gaston obejrzał się. Walczących spowijały tumany kurzu, spośród których co rusz wybiegał koń bez jeźdźca i nie był w stanie ocenić, która ze stron osiąga przewagę, ale niespodziewanie ogarnęły go złe przecucia. Spojrzał na malejący warkocz pyłu wznieconego przez rumaka Marii Komneny i spostrzegł, że przybliża się ku niemu drugi, większy, ani chybi spod kopyt wielu koni. Natychmiast przypomniał sobie o niewielkim oddziałku tureckim, który spostrzegł przed chwilą.

- Nie, Vittorio - rzucił. - Innym razem. W imię Pana powalczę sobie kiedy indziej, już na spokojnie. Teraz zajmujemy się przywracaniem porządku w królestwie.

Anzelm de Fidou wrzasnął przeraźliwie wpychany przez Bernarda na konia, a potem jeszcze raz, gdy pachołek bez skrupułów wyrwał mu strzałę z pleców. Śmiertelnie blady, słaniając się w siodle, wjechał między konie Gastona a Italczyka. Bernard dosiadł rumaka ostatni.

- Utrzymaś się w siodle, Anzelmie? - spytał de Ba-ideaux.

Odmieniec kiwnął głową i splunął krwią. W tej samej chwili Vittorio szarpnął Gastona za rękaw i coś mu pokazał.

Adalbert, już bez broni, stał nieruchomo i tulił do siebie dziecko. W niczym nie przypominał nieporadnego, ulegającego własnym słabościom zastrachanego klechy, z którym młodzieniec przybył do Ziemi Świętej. Po raz pierwszy wyglądał naprawdę dumnie. Wiatr unosił połę jego płaszcza i gładził twarz spokojną i zdecydowaną, niemalże szlachetną. Przymrużone lekko oczy i tajemniczy uśmiech duchownego mówiły, że podjął decyzję i nikt nie jest w stanie go od niej odwieść.

Jakby na potwierdzenie tych domysłów uniósł dłoń i pomachał przyjaciółom na pożegnanie. Dziewczynka uśmiechnęła się, a wtedy ogromne, ciemnobrązowe oczy Adalberta zabłyśły jeszcze jaśniej.

Gaston przełknął ślinę i spuścił na moment spojrzenie, a potem walnął konia piętami. Pędził z trójką dzielnych towarzyszy ku Akce, ku umykającej królowej bizantyjskiej, ku kolejnej walce. Wiatr suszył jego łzy.

Za jego plecami wrzaski nacierających Saracenów przybierały na sile.

- Wiesz, że cię zabiję?

Kerim uśmiechnął się lekko. Słowa barona z Ibelinu były pierwszymi, jakie padły od chwili opuszczenia obozu pod murami Akki i w skrytości ducha nie spodziewał się, że usłyszy cokolwiek innego. Przez chwilę patrzył na krzyżowca - na jego wyblakłe, lśniące gorączką oczy, na pożółkłą skórę i drżące dłonie niczym szpony zaciśnięte na wodzach - i po raz kolejny nie mógł się powstrzymać od ukłucia podziwu. Balian z trudem siedział w siodle, a mimo to nie wyrzekł ani jednego słowa skargi. Jego nienawistne spojrzenie nadal pełzało po plecach Kerima niczym żywe stworzenie, pasożyt szukający miejsca, by wgrzyźć się w ciało i przeniknąć do żywego mięsa.

- Wiem, że będziecie próbowali, sahib - powiedział uprzejmie. - Zdziwiłbym się, gdybyście zaniechali pomsty. Obawiam się jednak, że będziecie musieli swą zemstę odłożyć na przyszłość.

- Niech cię to nie uspokaja, Kerim - warknął z wysiłkiem Balian i przymknął oczy, odpędzając kolejną falę słabości. - Ciebie oraz twego pana, kimkolwiek by nie był.

- Wielkie jest wasze męstwo, sahib, a miecz wasz słynie aż po kres ziem zamieszkanych przez wiernych. - Starzec uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Niemniej pana mego nie sięgniecie. Ani wy, ani ktokolwiek z żyjących.

- Zaliiby był nim sam Iblis? - prychnął Amalryk de Puigney, jeden z czterech rycerzy towarzyszących baronowi. Mówił po arabsku słabo, ale zrozumiale. - Albo sułtan dżinów? Uśmiech Kerima przygasł nieco.

- Pan mój jest człowiekiem - odparł oschle. - Człowiekiem świętym. Ani Iblis, ani dżiny nie mają doń przystępu. Zdarza mu się jednak wpaść w gniew, a wtedy bez litości karze tych, którzy kalają jego imię.

- Czy można nazwać świętym człowieka, który porywa niewinne kobiety i żąda za nie złota? - szepnął Balian, otwierając oczy.

- Mylicie, sahib, mego pana z tym, kto akurat wydaje mi rozkazy - zachnął się starzec z niezadowolaniem. - Mylicie...

I zagryzł wargę niespodziewanie rozzłoszczony.

- Cóż takiego myłę? - zapytał z wysiłkiem Balian.

- Nieważne - uciął Kerim. - Nieważne, sahib.

Drobne ptaszki uwijające się wśród kolczastych gałęzi akacji zamierały na widok piątki frankijskich jeźdźców prowadzonych przez starca w turbanie wysadzanej brylantami. Ciche i niewidoczne wpatrywały się w przejeżdżających swymi drobnymi oczkami. Poblądłe słońce pociągnęło niebo długimi, zimnymi pasmami jasnej szarości. Pięciu rycerzy wydawało się zagubionych w obcej, nieprzyjaznej krainie rodem prosto z niepokojącego snu.

- Dowiem się, kto wam wydał rozkazy - rzekł Balian. Mówił cichym, ledwie słyszalnym, ale groźnym głosem. - Dowiem się, a potem poruszę niebo i ziemię, by go odnaleźć. Do samego Salah ad-Dina udam się, zebrząc o pomoc, jeśli będzie trzeba.

- Cały świat sławi imię sułtana - powiedział Kerim. - Cały świat wychwala jego dobroć i sprawiedliwość. Tak, sahib, Salah ad-Din to człowiek wielkiego serca i pomógłby wam bez chwili wahania, ale nie w tej sytuacji. Sprawdźcie to sami, upewnijcie się. Imię emira, który wydaje mi polecenia, to Ismail ibn Abdul al-Karrach.

Balian odniósł wrażenie, że starzec zawahał się nieco, zanim wypowiedział to imię.

- Ismail ibn Abdul al-Karrach - powtórzył z wysiłkiem baron. - Nigdy o nim nie słyszałem.

Kerim wzruszył ramionami.

- Ale zabiję go - ciągnął rycerz. - Zaraz po tym, jak zarżnę ciebie. Bo nie wiem, kim jest wasz pan, ale nie zdoła uchronić was przed gniewem frankijskiego rycerza, któremu porwaliście małżonkę.

- Sławi się wasz honor na równi z waszym męstwem, sahib - odparł Kerim. - Jednakże nie się nie mówi o waszej mądrości. Teraz już wiem dlaczego. Przyspieszmy. Emir Ismail dotrze do El-Warakh przed zmierzchem, by dokonać wymiany.

I popędził konia, nie zwracając uwagi na Franków.

Słońce wyzwoliło się z duszących okowów chmur, zalało równinę zimnym, nieprzyjaznym blaskiem. Cztery zdobywcze konie, pogodzone wreszcie z losem, niosły swych nowych jeźdźców w ślad za umykającą Bizantyjką. Gnały z wyciągniętymi szyjami, dobywając ostatnich sił, lecz ich nowi panowie nie rozumieli tego poświęcenia, poganiali je bez litości. Ich oczy, przymrużone, zaciekle, bez ustanku odnajdowały wśród tumanów kurzu ów jeden, jedyny purikcik, a potem z lękiem umykały w bok, by zbadać odległość od wrogiego oddziału.

Dwa orszaki, frankijski i turecki, kontynuowały swój morderczy wyścig.

Pochylony nad końską grzywą, upojony pędem Gaston miał ochotę wrzeszczeć z uniesienia. Raz po raz przeszywały go dreszcze, serce biło jak oszalałe, z kącików oczu wiatr wyrывał łzy. Znow czuł ową niezwykłą siłę, czuł, że jedynie złośliwa śmierć powstrzyma go przed wypełnieniem zadania, lecz nie obawiał się jej, nie tym razem. Jego świat sprowadzał się teraz jedynie do uciekającej Marii Komneny, coraz bliższych jeźdźców tureckich oraz trójki towarzyszy.

Zerknął przez ramię - Vittorio pędził tuż za nim. Nadal był blady, nadal przyciskał do piersi zranione ramię, lecz coś w jego oczach mówiło, że gdy dojdzie do starcia, nie będzie pamiętał o bólu. Podobnie Anzelm, siny, spocony, z błyszczącymi oczyma, lecz wyzwolony. Bernard śmiał się bezgłośnie i błyskał zębami niczym oszalały stepowy półbożek.

Pędzili obojętni na ból i zmęczenie. Pędzili niesieni wiarą we własną siłę, pędzili niczym rycerze króla Bald-wina, niczym bohaterowie z dworskich pieśni. Gnali przeświadczeni o boskim wstawiennictwie. Tak było, dopóki przez tętent kopyt i świst wiatru nie przedarł się krzyk Diabła:

„Przyjrzyj się Turkom!”.

Gaston zerknął w bok. Oddziałek Saracenów był coraz bliżej, a prowadzący go jeździec - ów zakapturzo-ny człowiek, do którego zwracał się Ismail - kierował go prosto na umykającą Marię. Z tym że jego kaptur już znikł zerwany wiatrem. Nad kłębam kurzu płynęła struga rdzawych włosów.

Vivienne de Grenier?

Uniesienie, świętość, niezwykłość chwili - wszystko to zetlało, uciekło zepchnięte niepohamowaną wściekłością. Turecki koń zarżał z bólem, gdy Gaston szarpnął brutalnie za wodze, ale już po chwili galopował prosto na Saracenów. Wzniesiony miecz odbił blady blask słońca, z pyska konia ściekały krwawe płyty piany. W kącikach zmrużonych oczu młodzieńca znow czaiły się łzy, tym razem rozpacz.

„To przez ciebie to wszystko! Przez ciebie!” - powtarzał, choć nie miał pojęcia, jak uzasadnić to oskarżenie.

Gnał do szaleńczego ataku, a trzech towarzysze nie odstępowali go ani o krok.

Turcy pędzili w ślad za umykającą bizantyjską królową, nacierających Franków dostrzegli dopiero w ostatniej chwili. Dopiero wtedy bzyknęły strzały, jedna otarła się nawet o pogięty hełm Vittoria, lecz nic, żadna siła na tym świecie nie mogła ugasić ognia w ich sercach.

Galopująca rudowłosa piękność machnęła dłonią, dwóch najemników niechętnie oddzieliło się od od-działku. Pierwszy zanurkował pod opadającym mieczem Gastona, celnie pchnął Anzelma, który w porę sparował, lecz nie zdążył uniknąć końca kija Bernarda. Zleciał z siodła z twarzą zalaną krwią, zniknął w tumanach kurzu za końskimi zadami. Drugi natarł z włócznią na Vittoria, lecz bez przekonania, ślamazarnie. Italczyk zdołał uniknąć ciosu, niecelnie odpowiedział swoim, lecz Turek stracił ochotę do kontrataku. Został gdzieś z tyłu, a pozostali nadal uciekali.

Nad głęwami Franków świsnęły kolejne strzały, tym razem nieliczne. Vivienne - Vivienne? - znów krzyknęła, machnęła dłonią. Jej przerzedzony orszak niemalże w jednej chwili zmienił kierunek, jakby stracił zainteresowanie Marią Komneną. Gaston zacisnął zęby i potrząsnął głową, uwalniając niesforne łzy.

„Nie zmylisz mnie po raz kolejny - pomyślał z tępą rozpaczą. - Nie wyprowadzisz mnie już w pole. Nie dam się po raz kolejny. Złapię cię i...”

I wtedy dobiegł go czyjś krzyk niemalże zagłuszony łomotem kopyt i szumem wiatru. Obejrzał się przez ramię. Vittorio, blady jak ściana, wskazywał coś rannym ramieniem i krzyczał.

Młodzieniec powiódł spojrzeniem za jego gestem i zmartwił.

Tumany kurzu nadal płynęły z wiatrem. Czarna figurka konia uciekającej Bizantyjki znikła, dopiero po chwili Gaston dostrzegł ją ponownie, tym razem znieruchomiałą, leżącą na ziemi.

„Padł jej koń!” - uświadomił sobie z przerażeniem.

Znów ktoś krzyknął, tym razem Anzelm. Rycerz-od-mieniec wskazywał zakrwawionym palcem za siebie, tam gdzie na horyzoncie wyrosła kolejna chmura pyłu. Gaston zacisnął powieki. Nie widział, czyje rumaki podniosły tyle kurzu, ale domyślał się. A ryzykować nie mógł.

„Jestem tak blisko... - pomyślał. - Nie może być... Tak blisko...”

„Tak blisko czego? - zapytał Diabeł. - Idiotycznej, całkowicie niepraktycznej zemsty na głupiej podwice -o ile to rzeczywiście ona - czy może czynu, który zdejmie z ciebie winę?”

Gaston zgrzytnął zębami, aż zaboląło. Ponownie szarpnął wodze, lecz otępiełe z wycieńczenia zwierzę nawet nie zareagowało.

Al-Warakh przypominało szkielet nieznanego z imienia pielgrzyma, który uległ piaskom pustyni na dawno zapomnianym trakcie. Skorupy dawno opustoszałych chatynek sterczały wśród wydm niczym poźółkłe żebra obojętne na palące słońce czy stworzenia szukające wśród nich cienia. I tak jak martwy pielgrzym pamiętany jest jedynie przez kurczącą się garstkę starych towarzyszy i znajomków, tak Al-Warakh istniało w pamięci jedynie niewielu najbardziej doświadczonych weteranów Ziemi Świętej.

Należeli do nich Balian z Ibelinu oraz Amalryk de Puigney.

- Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam tuam - szeptał baron, patrząc przed siebie niewi-dzącymi oczyma. Słowa psalmu kołły niepokój oraz tłumiły nienawiść do Kerima, która wprost rozsadzała jego serce, ale bynajmniej nie przeganiały niecierpliwości.

Co rusz zerkał ku łagodnym garbom wzgórz ongiś odgradzających Al-Warakh od reszty świata. Czekał na kłęby pyłu zwiastujące rychłe pojawienie się oczekiwanych jeźdźców.

I Marii.

Wzgórza były niestety martwe. Stalowoszare w blasku zimnego, białego słońca niczym mur, za którym skryła się wszelka nadzieja, wśród których nikła ledwie widoczna ścieżka do poprzedniego życia. Balian ocierał czoło drżącymi dłońmi i zaciskał powieki, tłumiąc kolejne dreszcze.

Zauważył to w pewnym momencie Kerim. Starzec przyglądał brodę i uśmiechnął się życzliwie.

- Nie lękajcie się, sahib - powiedział. - Ten, który wydaje mi rozkazy, jest człowiekiem wielkiego honoru i...

- Zawrzyj pysk! - warknął Amalryk de Puigney i natarł na niego wierzchowcem. Były to jedyne słowa, jakie padły w obumarłej wiosce. Czekali cierpliwie, nieruchomo, niewzruszeni niczym otaczające ich wydmy. Siedzieli prosto na grzbietach swych koni, mrużąc oczy przed dokuczliwymi ziarenkami piasku niesionymi przez wiatr, aż któryś z nich, zapewne jeden z młodszych rycerzy, zakrzyknął głośno:

- Są! Jada!

Kerim uśmiechnął się z tryumfem i znów przyglądał brodę, zerkając spode łba na ożywionego Baliana. Coś w spojrzeniu barona Ibelinu nakazało mu jednakże odwrócić się z powrotem ku zboczom wzgórz, a wtedy starzec zeszywniał.

- Allah Akbar... - wyszeptał.

Wśród jeźdźców, którzy niespodziewanie wyrosli na szczycie wzgórza, bez wątpienia znajdowała się Maria Komnena, na co wskazywał chociażby czarny warkocz falujący w rytm jazdy. Niewielki oddziałek natychmiast puścił się cwałem w kierunku wioski, ale nim zniknął w gęstym welonie kurzawy, sędziwy Saracen zdążył dostrzec kilka charakterystycznych hełmów normañskich. Przybysze byli Frankami.

Zrobiło mu się ciemno przed oczyma.

- To Gaston de Baideaux! - wykrzyknął zdumiony Amalryk.

Pchnięty nagłym strachem Kerim ściągnął wodze, zmusił konia, by cofnął się o krok. Amalryk wyrósł przy nim jak złowrogi cień. Błysnął sztylet w jego ręku, lecz cios nie padł, rycerz czekał na rozkaz barona. Ten uniósł właśnie głowę i skierował ją ku niebu, jakby chcąc podziękować Wszechmogącemu za cud. Lecz z jego ust wydarły się słowa w niczym nieprzypominające modlitwy.

- Odwróć tę broń, de Puigney. Z tym człowiekiem trzeba będzie porozmawiać. I to długo.

Amalryk uśmiechnął się dziko. Obrócił sztylet w dłoni, uniósł go do ciosu rękojęścią. Rozległ się okrutny trzask i nieprzytomny Kerim ciężko spadł z siodła.

TloztDziAŁ osieMNAsry

w którym pojawiają się wątpliwości i tęsknota, drwina oraz bezwzględność, czyli wszystko to, co mieszka w sercu przeciętnego krzyżowca. nauki gastona zaś dobiegają wreszcie końca ad obozowiskiem wojsk krzyżowych nieopodal

murów Akki rozciągał się świt, lepki, niechętny, tu i ówdzie przebarwiony zimnym różem, widowym znakiem, że lato ustąpiło wreszcie jesieni w walce o prymat nad polami bitew. Wśród nasiąkłych wilgocią namiotów kręciły się niewyraźne sylwetki o szarych, zmęczonych twarzach, tu i ówdzie rozniecano ogniska przy akompaniamencie soczystych przekleństw. Chorągwie kleiły się do drzewców. Ktoś ziewnął głośno, gdzieś szczekał pies, gdzieś zagrała chrapliwie trąba.

W żołądku Gastona de Baideaux burczało jak nigdy dotąd.

Chłopak owinał się płaszczem, tłumiąc kolejną falę dreszczy i wstał z klęczek z głośnym syknięciem. W opowieściach Adalberta noc postu, która poprzedzała ceremonię pasowania na rycerza, zawsze była głębokim duchowym przeżyciem. Ani jedna nie wspominała o tym, że już po pierwszej godzinie kolana zaczynają sztywnieć, ciało przenika ziab, a nawet najgorliwsze słowa modlitwy tracą swą żarliwość. Z początku poczuł oburzenie, gdy klęczący obok niego Vittorio zaczął mruzczyć coś pod nosem, a potem demonstracyjnie ziewać, ale po chwili zrozumiał swego towarzysza aż za dobrze. No i wokół krzyża nadal nie było kwiatów. Bez słowa wyslizgnęli się więc chyłkiem z przeznaczonego im namiotu, Italczyk poszedł spać, a Gaston rozpoczął bezcelową, niekończącą się wędrówkę po obozie.

Stłumienie wyrzutów sumienia przyszło mu z zaskakującą łatwością. Po tym, co przeszedł przez ostatnie tygodnie, po prostu za nic w świecie nie skupiłby się na modlitwie. Włóczył się bez celu zziębnięty od nocnej rosy, skostniały od podmuchów zimnego wiatru, a w jego głowie przesuwały się twarze, rozbrzmiewały głosy, raz jeszcze toczyły się wydarzenia. Jakoś

wcale nie zdziwiło młodzieńca, że wędrowka przywiodła go w końcu w okolice namiotu Vivienne de Grenier, cichego teraz i ciemnego niczym gniazdo uspiomych demonów.

- Kim jesteś? - zapytał bezgłośnie szepem. - I czy to naprawdę ciebie tam ujrzałem, wśród Turków?

Wiedział, że nigdy nie zapomni chwili, gdy baron z Ibelinu, wpółżywy, zżerany przez chorobę, ześlizgnął się z konia i pobiegł ku małżonce, ściągnął ją z siodła, zdusił w swych ramionach, szlochając i zapewniając o swej miłości. Gaston patrzył na niego jak oczarowany, przynajmniej do chwili, gdy zaczerwienione, szkliste oczy Baliana odnalazły go wreszcie, by zapytać: „Co to wszystko ma znaczyć?”.

Opowiedział najlepiej jak umiał. Nie pominął żadnego szczegółu.

Wtedy, gdy w pośpiechu wracali pod Akkę, oglądając się co rusz, czy nie ścigają ich ludzie Ismaila, de Baideaux widział, że baron wierzy w jego słowa. Krzywił się, gdy Gaston mówił o Hugonie opuszczającym nocą namiot Vivienne, z nieruchomą, pobladłą twarzą słuchał o tajnej misji, którą ta powierzyła młodzieńcowi, a gdy ten doznał do ataku Hugona de Lovance, mięśnie twarzy barona zaczęły niebezpiecznie drgać. Bez słowa odnalazł wówczas dłoń jadącej obok niego małżonki i ścisnął ją mocno, a ta odwzajemniła gest, umykając spojrzeniem w bok. Reszty opowieści wysłuchał w ponurym milczeniu.

- Nie rozumiem trzech rzeczy - odezwał się znużonym głosem, gdy na horyzoncie wyrosły już zębate mury obleganej twierdzy i orszak zwolnił, by dać nieco wytchnienia wycieńczonym koniom. - Po pierwsze, nie rozumiem, cóż tak naprawdę przyświecało de Grenier, jeśli to rzeczywiście ona za tym stoi.

Gaston już otwierał usta, by żarliwie zaprotestować, ale uciszyło go podniesienie dłoni barona.

- Po drugie, co ją łączy z tym całym Ismailem i w jaki sposób niespodziewanie znalazła się wśród jego ludzi - ciągnął.

- Coś ją łączy, to pewne - stwierdziła Maria Kom-nena. Mówiła ochryplym głosem kogoś, kto od wielu dni podróżuje konno po pylistych traktach. - Z tego, co oboje wiemy o Vivienne de Grenier, mój mężu, nie tak dawno została wykupiona z saraceńskiej niewoli. Oboje też wiemy, że jak na osobę, której zwraca się wolność,

Rozdział osiemnasty 44

protestowała długo i przekonująco. I głośno. Najemnicy Ismaila, którym przyszło mnie strzec, aż nader często psioczyli na swój los, w tym również na szalonego przywódcę, który kazał im napadać zbrojne orszaki niewiernych w poszukiwaniu jakiejś kobiety.

- A trzecią rzeczą, której nie rozumiem, są owe listy, któreś rzekomo, małżonko, otrzymała ode mnie, a które nakłoniły cię do wyjazdu z Tyru - wyrzekł nadspodziewanie mocno Balian i obrzucił Marię surowym wzrokiem człowieka, który domaga się wyjaśnień. W oczach Gastona z towarzysza podróży, męża, któremu przywiódł uratowaną małżonkę, w jednej chwili stał się na powrót baronem z Ibelinu, człowiekiem, który decydował o następach tronu Jerozolimy i bronił jej murów. Młodzieniec skłonił głowę i oddalił się niezmiernie rad, że wątpliwości barona nie dotyczą jego postawy.

Tak było jeszcze przez jakąś godzinę, może dwie, przynajmniej do chwili, gdy minęli umocnienia wokół wzgórza Turon i ruszyli ku namiotom Baliana. Wtedy to aż zaniemówił ze zdumienia i przez resztę dnia bardzo przypominał niemego Bernarda.

W tłumie rycerzy i dworzan, których przyciągnął nieoczekiwany powrót barona, mignęły mu złocistoru-de włosy de Grenier.

Balian z Ibelinu nie wezwał go już na rozmowę najprawdopodobniej zaprzątnięty kłótniami z Marią, które wisiały w powietrzu od chwili, gdy zadał jej pytanie o listy. Czwórką towarzyszy zajął się natomiast Amalryk de Puigney, który pełnił u Baliana rolę seneszała. Przydzielił im namiot, nowe szaty i służących do pomocy, Anzelmowi przysłał medyka, a Gastonowi i Yittoriowi oznajmił, że wolą barona jest następnego dnia pasować ich na rycerzy.

- Co takiego? - spytał de Baideaux, gdy Amalryk odszedł, na koniec surowo zabroniwszy im obu włóczyć się wokół obozu templariuszy. - Pasować nas na rycerzy? Nas? Czyli ciebie też?

- Cóż... - Italczyk oblizał wargę i uciekł spojrzeniem w bok, a potem połamami płaszcza przykrył swój pas. - Wiesz, w tym świecie rycerz ma większe możliwości niż człowiek niepasowany... Wierz mi, istnieją podłejsze inwestycje niż pas rycerski.

- Swego czasu w Tyrze wielce się uniosłeś, gdy...

- Uraziłeś moją godność. Ja go nie ukradłem, tylko kupiłem. Zresztą dość tanio.

- Jasne. Czuj się więc rozgrzeszony - mruknął Gaston z udawanym niesmakiem.

W rzeczy samej zgorszony raczej nie był, nie po tym wszystkim, przez co przeszli. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak tylko skwapliwie wypełnić przykazania Amalryka, lecz wkrótce nadeszła noc, a wraz z nią znużenie modlitwą i narastający mętlik w głowie. Ogłupiały od sprzecznych myśli de Baideaux nie pamiętał już o templariuszach. Siedział na zapomnianej kłodzie i wbijał wzrok w ciemną bryłę namiotu Vivienne - tego samego namiotu, w którym przeżywał chwile niezdrowego uniesienia i strasznego rozczarowania - i marzył o tym, by mrok nocy przyniósł mu jakieś rozwiązania.

- Kim jesteś? - pytał niesłyszalnym szeptem. - Kim jesteś i czego pragniesz? Jakimi mocami władasz? Czy to ciebie widziałem podczas ucieczki przed ludźmi Is-maila? A jeśli tak, to jakim cudem znalazłaś się z po-

Rozdział osiemnasty 44

wrotem w obozie? Jakie diabły ci służą i ile dusz jeszcze zgubisz?

Wstawał świt. Obłoczek pary wokół ust Gastona rzedniał, jego myśli, coraz to cięższe, umykały z wolna, traciły swą wyrazistość. Młodzieniec skrył twarz w dłoniach.

- I dlaczego nie mogę o tobie zapomnieć? - dodał.

Katarzyna de Fourier, nieświadoma wszystkich tych myśli, które krążyły wokół namiotu niczym bezcielesne nietoperze, niewiele zmrużyła oka tej nocy. Gra, którą zaproponowała jej Vivienne, wydawała się nieszkodliwą igraszką, z której mogła wyciągnąć dla siebie mnóstwo korzyści. W końcu nieczęsto jedna dama dworu odstępowała drugiej wszystko, co tylko posiadała, a de Grenier posiadała naprawdę wiele. Co więcej, wedle jej zapewnień, zabawa nie powinna mieć żadnych niebezpiecznych konsekwencji.

- Nie martw się, Katarzyno - mówiła, kładąc dłonie na jej ramionach i wpatrując się w oczy towarzyszki z troską i ciepłem. - Nie martw się niczym. Nie ma rzeczy dla mnie ważniejszych niż twoje bezpieczeństwo, moja droga.

Uśmiechnęła się wtedy w odpowiedzi i ujęła ręce Vivienne w geście przyjaźni. Wierzyła jej. Wierzyła jej aż do wczorajszego popołudnia, gdy do obozu na wzgórzu Turon niespodziewanie wjechał baron z Ibelinu w towarzystwie małżonki i garstki zdrożonych rycerzy. Spojrzenie, którym wówczas obrzucił hrabiankę - skrajnie zaskoczone, ale i nieprzyjazne - uświadomiło Katarzynie, że intryga Vivienne sięgnęła znacznie dalej, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać. I że bezpieczeństwo współpracownicy bynajmniej nie było dla niej niczym istotnym.

Leżała przez większość nocy z otwartymi oczyma, targana zimnymi lękami, a świt sączący się przez szpary w namiocie nie przyniósł żadnych rozwiązań. Nie miała wyboru, musiała kontynuować grę, w którą wplątała ją Vivienne, i liczyć na to, że doświadczenie w intrygach dworskich oraz magia tej wiedzy Gisolvi pomoże Katarzynie zmylić barona z Ibelinu czy kogokolwiek innego, kto miałby ochotę wypytywać o hrabiankę.

Pokrzepiona swym postanowieniem kocim ruchem zerwała się z łoża, pochwyciła za szczotkę i zaczęła rozczesywać swe nowe, rude włosy.

- No, proszę.

Słowa te, choć ciche, natychmiast rozpędziły gorzkie myśli Gastona. Młodzieniec poderwał się i błyskawicznie odwrócił głowę. I z głośnym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc.

W bladym, brudnym świetle świtu stał Maurycy de Souhait. Jego poszarzała skóra twarzy oraz jedyne oko, wyblakłe, nieledwie rybie, przydawały mu wyglądu upiора myszkującego wśród grobów. Nieregularne utykanie oraz świszczący, głośny oddech czyniły go jeszcze bardziej nierealnym, lecz tym razem przestrach Gastona trwał tylko chwilę.

Rozdział osiemnasty 45

- De Souhait - powiedział z obojętnością. - Na litość boską, znowu ty.

- No, proszę - powtórzył okaleczony rycerz i oparł się na mieczu. Świszczący oddech był coraz wyższy, syczący. - Po tym wszystkim wciąż masz czelność pokazywać się wśród ludzi, de Baideaux?

- A co takiego się wydarzyło, de Souhait? - spytał skrzywiony Gaston. - Idź stąd. Idźże w pokoju, szaleńcze!

- Szaleńcze? - W jedynym oku Maurycyego nagle zamigotał obłęd. - Jeślim rzeczywiście szaleńcem, to za twoją sprawą! Za twoją sprawą stałem się pokraką, przez ciebie jestem wygnańcem i nędzarzem! Kazesz mi odejść, tak? Niedoczekanie twoje, de Baideaux.

Niedoczekanie! Twój kres nastanie tu i teraz, ty kurwi synu, ty...

Nie dokończył.

Gaston zrozumiał bowiem, że nadszedł czas ostatecznej rozprawy. Pamiętał jednakże słowa diabła, wierzył mu, że za nic nie sprostą de Souhait w walce orężnej. Co więcej, ubrany był jedynie w nogawice i cienkie białe gieszło, a za jedyną broń miał krótki nóż za pasem. Jego prawdziwą bronią musiała więc stać się determinacja.

Błyskawicznie wyrwany nóż zawirował w powietrzu, odbił się rękojęścią od szerokiej piersi Maurycyego, nie czyniąc mu żadnej szkody. Nie tego zresztą spodziewał się Gaston, wystarczyło mu, że zaskoczony rycerz na mgnienie oka spuścił go z oczu. Owa chwila starczyła aż nadto.

Młody de Baideaux włożył w ten jeden cios wszystkie swe siły. Skamieniałe nagle kłykcie wgrzyły się z chrzęstem w kość policzkową de Souhait, odrzucając upiornego rycerza w tył. Ten zatoczył się, bluzgając krwią z ust, uniósł nawet miecz, ale Gaston nie ustępował.

Przypadł do niego, z rozmachem kopnął w pachwinę, a potem, gdy de Souhait pochylił się z głuchym jękiem, rąbnął go łokciem w plecy, a potem jeszcze raz, póki jego przeciwnik nie upadł. Wtedy nastąpił obunóż na jego nadgarstek, wyłuskał ze zdrewniałych palców miecz i bez wahania wbił go w nasadę karku.

Maurycy de Souhait zadrgał niczym węgorz przeбитý włócznią, znieruchomiał. Gaston zaś podniósł się i odetchnął głęboko. Wtedy dopiero sobie uświadomił, że jego serce ani razu nie uderzyło żywiej. Jego kolana nie drżały, oddech miał spokojny, myśli czyste i wyraźne. Zabił swego prześladowcę całkowicie beznamyślnie.

Wyrwał miecz i odrzucił go ze wzgardą w błoto, przestąpił nad trupem, jakby to była spróchniała kłoda, a potem ruszył przed siebie obojętny na ciszę, która zapadła wokół niego. Serwiensi wypelzający ze swych niskich namiotów, pachołkowie rozniecający ogień, jakiś służący taszczyący wiadra z wodą, rycerz modlący się przed przypominającym krzyż jalcem - wszyscy zamarli oszołomieni nagłym, niespodziewanym mordem. Gaston szedł wolnym krokiem w kierunku obozu barona z Ibelinu, nie oglądając się na boki. Ostrożność drzemała w kąciku jego serca, prychając przez sen.

„Brawo” - odezwał się Diabeł.

„O, dawno się nie odzywałeś”.

„Bo już nie muszę, Gastonie”.

„Już nie musisz - powtórzył w myślach chłopak. - W rzeczy samej, diable. Nie musisz. Stałem się bowiem takim, jak sobie tego życzyłeś, nieprawdaż? Czy może jeszcze nie? Czy może jeszcze jestem nie dość cyniczny? A może za mało bezwzględny bądź okrutny?”.

„Czyżbyś miał do mnie pretensje?”.

„Nie, skądże - parsknął w myślach. - Powiniennem ci przecież dziękować. W końcu dopiąłeś swego, zamieniłeś naiwnego, głupiego marzyciela w człowieka pozbawionego serca”.

„To prawda, dopiąłem swego. Zamieniłem naiwnego, głupiego marzyciela w człowieka świadomego niebezpieczeństw i umiejącego sobie z nimi radzić. Zło... Wciąż nazywasz mnie diabłem, a czy ja kiedykolwiek pchnąłem cię do czynu prawdziwie niegodziwego? Nie, Gastonie. Wszystko, co ci pokazałem, wszystko, do czego cię przywiodłem, miało cię jedynie zahartować, nauczyć radzenia sobie z przeciwnościami losu. Nie odwoździłem cię od szlachetności, a jedynie od naiwności, nie uczyłem cię niegodziwości, a jedynie bezwzględności. Możesz być, kim chcesz, Gastonie. Możesz być człowiekiem szlachetnym, honorowym i dobrym niczym sam święty Piotr, możesz wierzyć w anioły stąpające po ziemi i modląc się, czekać, aż twój miecz oplotą kwiaty, ale musisz najpierw nauczyć się, jak przeżyć. A wiesz już doskonale, że te krainy są Ziemią Świętą tylko z nazwy”.

„Muszę?” - zapytał nagle Gaston.

„Tak, musisz. Zapomniałeś już o asasynach? O hienach? O Joscelinie de Royes?”.

Dobry rycerz Joscelin de Royes, gość zakonu templariuszy, jęknął cicho i spróbował raz jeszcze zmienić pozycję.

Sznury wrzynały się jednakże tak głęboko w jego nadgarstki, ramiona i łydki, że miast poprawy przyniosło to tylko kolejną falę przenikliwego, oszałamiającego bólu. Po ucieczce tego gówniarza de Baideaux oraz Marii Komneny był ostatnim jeńcem frankijskim w niewoli emira Ismaila i wyglądało na to, że tureccy najemnicy prędzej uduszą go więzami, niż i jemu pozwolą zbiec.

Joscelin zacisnął zęby, wyczekując nieskończenie odległej chwili, gdy ból wreszcie wytraci swą moc. Nocny wietrzyk gładził jego spocone czoło, ale nawet tego nie czuł. Obraz obozowiska tureckich najemników - trzy niewielkie ogniska otoczone ciemnymi konturami posilających się mężczyzn, namiot Ismaila, dalej grupki skrępowanych koni - rozmywał się, bladł, dygotał w rytm konwulsji.

I nagle ból ustał.

Ułga była tak niespodziewana, tak gwałtowna, że szef wywiadu zakonu przez dłuższą chwilę leżał na boku i łapał powietrze niczym ryba wyrzucona z toni. Minęło sporo czasu, nim uświadomił sobie, że coś takiego nie miało prawa się wydarzyć. Tknięty złym przecuciem podniósł wzrok, a wtedy go ujrzał.

Czarnowłosa mężczyzna o smagłej cerze i ciemnych, niemalże czarnych oczach kucnął nieopodal. Żaden z Saracenów nie zwrócił na niego uwagi, co bynajmniej Joscelina nie zdziwiło. Przeraził go natomiast uśmiech przybysza, szyderczy, zimny niczym oddech śmierci.

- Panie - wykrztusił, czując, jak paniczny strach rozlewa się po jego ciele i zamraża myśli.

Tamten milczał. Joscelin miał ochotę skulić się, nakryć głowę ramionami i szlochać niczym zagubione dziecko, szlochać, aż stanie się to, co stać się miało. To, na co sobie zasłużył.

- Zawiodłeś - usłyszał w końcu przerażająco spokojny głos.

- Zawiodłem - wybełkotał rozdygotany rycerz, wtulając twarz w ostry żwir. - Ukarz mnie, panie, ukarż mnie...

- Ukarzę cię, a jakże. - Uśmiech niematerialnego przybysza poszerzył się. - Ale nie tak, jak to sobie wyobrazasz, śmierdzący tchórz. Nie ześlę na ciebie śmierci, choćby i najokrutniejszej. To byłoby nadmierną łagodnością... Czy ty wiesz, do czego dopuściłeś? Jego głos niespodziewanie nabrał mocy, ciął teraz powietrze niczym poderwany bicz.

- Gaston de Baideaux to zagrożenie! - syczał. Jo-scelin zacisnął powieki, ale szósty zmysł mówił mu, że przybysz nie kucnął już, a wisiał nad nim niczym rozwścieczony dżin, niczym nocna burza gotowa ciskać piorunami. - Zarówno dla ciebie, jak i dla mnie, de Royes! Z każdym dniem staje się roztropniejszy, ostrożniejszy, a przez to i niebezpieczniejszy! Wyślizguje ci się niczym węgorz...

- Paniewnie zawiodę was już więcej...

- Milcz! - wrzasnął czarnowłosy, aż niebo pękło. Mimo to żaden z Saracenów siedzących wokół ognisk nawet nie drgnął. - Nie obchodzi mnie już, jak i czy w ogóle dopadniesz kiedyś de Baideaux. To twoja sprawa, albowiem ja już wysłałem za nim kogoś innego, kogoś o wiele bardziej skutecznego niż ty, żaloszny kundelku. Ciebie natomiast obłożyłem właśnie klątwą.

Joscelin poczuł, jak jego ciało przeszywa dreszcz obrzydzenia. Powieki miał zaciśnięte, ale czuł, że przybysz nachyla się właśnie nad nim i szepcze mu prosto do ucha:

- Jeden dzień życia zabierze ci tak naprawdę tydzień. Tydzień zaś zabierze ci prawie dwa miesiące. Każdy miesiąc... Cóż, policz sobie. Na tym będzie polegać twa kara. Jesteś zbyt wielkim nędznikiem, by samemu targnąć się na własne życie, tak więc za kilka lat umrzesz: ze starości. Zdechniesz jak najparszywszy kundel, de Royes.

- Nie, panie, błagam... - Templariusz wiał się i wbijał twarz w ostry żwir. - Nie, daj mi szansę...

- Znaczysz dla mnie tyle, co kurz na grobowcach pierwszych królów Judei, de Royes. - Szept oddalał się. - Jeśli chcesz owej szansy, to proszę. Zabij Gastona de Ba-ideaux, a może wstrzymam klątwę. Może.

Czyjaś ciężka dłoń opadła na jego ramię. Wyrwany z zadumy Gaston aż podskoczył i szarpnął z całej siły, o mały włos nie przewracając się na błotnistą drogę.

- Ejże! - zawołał równie zaskoczony Vittorio. - Znowu cię co opętało?

- Uff! - Młodzieniec ze świstem wypuścił powietrze z płuc i pokręcił głową z niedowierzaniem. - Aleś mi stracha napędził. Niech cię szlag, Scozzi. Po trzykroć, niech cię szlag!

- Po jaką cholere włączysz się sam po obozowisku? - indagował Italczyk, popatrując dookoła z niepokojem.

Nie pamiętasz, co nam rzekł Amalryk de Puigney? Że grozi nam niebezpieczeństwo?

- Pamiętam. I rozumiem, że postanowiłeś mnie odnaleźć, by choć w dniu pasowania zrobić coś szlachetnego?

- Bredzisz od rzeczy - burknął Vittorio. - Po prostu nie mogłem zasnąć. Wiesz, jest jedna rzecz, która nie daje mi spać.

- Jedna? Cholera, Vittorio, chętnie bym się zamienił...

- Spójrz.

Italczyk wyciągnął ramię ku kilku lichym, niedbale rozpiętym namiotom, które rozstawiono w rzędzie nieopodal obozowiska hrabiego Dreux. Mimo widocznego ubóstwa panował wśród nich porządek lepszy niż u templariuszy albo i szpitalników. Brak było rozrzuconych garnków bądź resztek jedzenia, wokół których uwijałyby się teraz wygłodniałe psy, brak było zapomnianych derek, roztraskanych dzbanów czy stert śmieci i nieczystości. Różowy blask świtu pełzał po ramionach skromnego krzyża wznoszącego się nad tyczkami namiotów, ale nie było w pobliżu ani jednego człowieka, który by przed nim uklęknął.

Obozowisko wyglądało na całkowicie wyludnione.

- Pytałem w kilku miejscach - mówił Vittorio zdławionym głosem. - Dobry rycerz Gerard de Reinee wyjechał w pośpiechu jakieś dwa dni temu, kierując się ku Schodom. Nie wzywał swych stronników, ponoć nie odezwał się ani słowem, ale pojechali za nim wszyscy. Nie wrócił jak dotąd żaden.

Gaston pokiwał głową i przymknął oczy, by ukryć blask zdumienia, lecz następne pytanie zaskoczyło go jeszcze bardziej.

- Nie czujesz pustki, de Baideaux?

- Pustki? - wyjąkał młodzieniec.

- Pamiętaj, co widzieliśmy przed bitwą? Ludzie milkli na jego widok, każdy czuł, że ten człowiek doznał prawdziwej łaski Bożej. Nawet mnie odechciało się kpin na jego temat. No i cóż, zniknął. I pewnie już nie wróci.

- Nie wróci?

- Nie. - Italczyk spojrział ze smutkiem na towarzysza. - Bo to on, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego, przyszedł nam z odsieczą, gdy otoczyli nas ci łucznicy.

Bolało jak cholera, ale na pobladłej, wychudzonej twarzy Gerarda de Reinee nadal widniał uśmiech. Stary rycerz zaznał w życiu wiele cierpienia - zarówno jego ciało, jak i dusza zostały wielokrotnie ranione - lecz nigdy dotąd ból nie zwiastował czegoś nowego, czegoś wytęsknione-go. Splunął z wysiłkiem krwią, rozmazał dłonią to, co zostało na wardze, a potem odwrócił się ku swemu towarzyszowi.

- A jeśli się pomyliłem? - zapytał chrapliwym głosem.

- Pomyliłeś się? - odpowiedział pytaniem wąsaty rycerz z zieloną tarczą, który siedział na ziemi i ujmował pomarszczoną dłoń konającego. Jego brązowe oczy jaśniały niezmierną miłością. - Kiedy? W czym?

- No wiesz - zawahał się Gerard. - Cała ta zabawa z Deus le volt!... Skąd właściwie ta pewność, że Bogu podoba się to, że gromimy Saracenów, że palimy ich miasta, mordujemy im niewiasty i dzieci? A jeśli jest inaczej?

- Nigdy nie słyszałem, byś wykrzykiwał Deus le volt!, przyjacielu - uśmiechnął się smutno wąsacz. - Wręcz przeciwnie.

- Ale dałem popalić niewiernym. W imię Boże.

- Dałeś im popalić. W imię Boże, to prawda. Lecz nikogo nie zamordowałeś, Gerardzie. Nie spaliłeś me-dresy pełnej dzieci. Walczyłeś i zabijałeś, ale wypełniałeś część Jego planu.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- A co z tymi, co polegli? - wychrypiął stary rycerz. - Co z tymi, którzy mi zawierzyli, a znaleźli jedynie śmierć?

- Dzięki tobie walczyli o to, o co walczyć chcieli. I umarli bez grzechu.

- To dobrze - szepnął Gerard de Reinee, śmiertelnie pobladły, jakby rozmowa wyczerpała resztkę jego sił. - To dobrze - powtórzył zamierającym głosem.

I to były jego ostatnie słowa.

Róż świtu odbił się od wielkiej łązy, która spłynęła po policzku rycerza z zieloną tarczą i wsiąkła w gąszcz wąsów. Ogromna, spracowana dłoń zasunęła powieki Gerarda de Reinee, a potem ułożyła jego głowę wśród traw równiny, na której odnalazł swój kres, walcząc o to, co najbardziej umiłował. Potem wąsaty rycerz wstał i rozejrzał się po opromienionym rosą pobojuwisku, nad którym rządy objęła już śmierć, jednakowoż czule tuląca zarówno sztywniejące ciała Franków, jak i Turków.

- Boże miłosierny - wyszeptał - dlaczego Twa wola tak często objawia się na polach bitew, wśród śmierci i zniszczenia?

A potem pochylił się i ujął miecz Gerarda de Reinee, stary, wyszczerbiony, pokryty zakrzepłą krwią.

I opleciony czerwonymi różami.

Balian z Ibelinu sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Co rusz przygryzał wargę, zamyślał się, z opóźnieniem włączał do chóru męskich głosów powtarzających za kapłanem słowa modlitwy. Jego oczy nadal błyszczały gorączką, ale Gaston miał niemalże pewność, że nie choroba jest przyczyną tego stanu.

„Dała ci się we znaki, co? - pomyślał ze złośliwością. - Nie znam się na kobietach, ale Maria Komnena nie wygląda mi na taką, której można by bez konsekwencji zarzucić głupotę. Zwłaszcza w towarzystwie niepasowa-nego gołowasa”.

Balian niespodziewanie smagnął młodzieńca wzrokiem, jakby czytał mu w myślach, i Gaston pochylił głowę, udając pełne skupienie. Klęczeli wraz z Vittoriem Scozzim na gołej ziemi, w największym namiocie barona, otoczeni zaproszonymi na ceremonię rycerzami. Ich pyszne kolczugi mieniły się w blasku świec niczym żmijowe skóry, oczy spoglądały na pasowanych z powagą, a głosy potężnym chórem wspomagały psalm śpiewany przez kapelana Kolana piekły, zdrewniałe mięśnie paliły, w żołądku burczało. Stojący obok Baliana Gotfryd de Lusignan, najmłodszy brat królewski, tenże sam, który z takim zacięciem bronił obozowiska podczas kontrnatarcia Sa-lah ad-Dina, znów stłumił ziewnięcie. Renald z Sydonu z pasją drapał się po pośladku. Balian wypatrywał czegoś w płomieniu świecy, poruszał ustami, ale nie śpiewał.

Gaston pokręcił lekko głową. W atmosferze wyczuwało się jakąś fałszywą nutę, jakieś znużenie, jakby ceremonia pasowania na rycerza, rzekomo najświętsza zaraz po chrzcie, w gruncie rzeczy była jedynie czczym rytuałem. W żołądku zaburczało mu głośno jakby na potwierdzenie tego domysłu.

„Przykro mi, Adalbercie - pomyślał. - Twoje opowieści kłamały. Pasują mnie na rycerza, a jakoś nie słyszę chórów anielskich. Tylko własny bebecch”.

I znów pochylił głowę. W istocie było mu przykro.

Zacisnął powieki i wyobraził sobie Adalberta śpiewającego psalm zamiast kapelana barona. Oczyma wyobraźni ujrzał jego puciołowatą twarz, rumieniec sięgający uszu i wiecznie spocone, kręcące się włosy, widział łzy szczęścia i wzruszenia umykające z kącików przymrużonych oczu, słyszał modlitwy wymawiane trzęsącym się głosem. A potem rozchylił powieki i poczuł wielki, żarłoczny smutek.

„Jesteś tylko tchórzliwym tłusciochem - pomyślał. - Jesteś lepem na grzechy i pękatym workiem kłamstw, ale... Ale przykro mi, że cię tu nie ma. Może gdybyś tu był, pasowanie naprawdę byłoby chwilą najświętszą po chrzcie...”

Adalbert podrobił placek jęczmienny i podsunął dziewczynce z szerokim uśmiechem. Ta odmówiła, kręcąc głową, i wskazała brudnym paluszkiem niemalże pusty bu-kłaczek z wodą. Kapelan pochwycił go ze zrećnością przeczącą jego tuszy, podał podopiecznej i patrzył, jak pije. Ledwie odłożyła bukłak, a już czekał z ciepłą derką gotów zasłonić małą przed zimnem jesiennej syryjskiej nocy.

- Otul się, dziecko - szepnął, gładząc ją po główce. - Otul się, a ja dorzucę coś do ognia.

Przygasa, a noc zapowiada się chłodna.

Chrystu starczyło jedynie na ów wąty płomień, który z trudem ogrzewał ich stopy i Adalbert z obawą rozejrzał się po obozowisku. Dwa pozostałe ogniska, przy których siedzieli tureccy najemnicy, płonęły znacznie żywiej, co oznaczało, że zapasy Saracenów są większe. Mógł spróbować wyprosić u nich kilka szczap - zazwyczaj dawali. Turcy doskonale pamiętali rolę, jaką odegrał podczas ucieczki Gastona i pozostałych, ale dopóki opiekował się niemą dziewczynką, dopóty darzyli go wymuszonym respektem.

Cóż, ich kopniaki stały się mocniejsze, pogardliwe splunięcia celniejsze, ale nauczył się godzić z upokorzeniami, o ile przynosiły skutek i wracał z chrustem. Czym jest bowiem własna godność wobec zadania, którego się podjął? Czy święci męczennicy myśleli w ogóle o swej godności, gdy oddawali życie za wiarę? Czy myślał o niej Chrystus?

Adalbert podrobił placek jęczmienny i podsunął dziewczynce z szerokim uśmiechem. Ta odmówiła, kręcąc głową, i wskazała brudnym paluszkiem niemalże pusty bu-kłaczek z wodą. Kapelan pochwycił go ze zrećnością przeczącą jego tuszy, podał podopiecznej i patrzył, jak pije. Ledwie odłożyła bukłak, a już czekał z ciepłą derką gotów zasłonić małą przed zimnem jesiennej syryjskiej nocy.

- Otul się, dziecko - szepnął, gładząc ją po główce. - Otul się, a ja dorzucę coś do ognia.

Przygasa, a noc zapowiada się chłodna.

Chrystu starczyło jedynie na ów wąty płomień, który z trudem ogrzewał ich stopy i Adalbert z obawą rozejrzał się po obozowisku. Dwa pozostałe ogniska, przy których siedzieli tureccy najemnicy, płonęły znacznie żywiej, co oznaczało, że zapasy Saracenów są większe. Mógł spróbować wyprosić u nich kilka szczap - zazwyczaj dawali. Turcy doskonale pamiętali rolę, jaką odegrał podczas ucieczki Gastona i pozostałych, ale dopóki opiekował się niemą dziewczynką, dopóty darzyli go wymuszonym respektem.

Cóż, ich kopniaki stały się mocniejsze, pogardliwe splunięcia celniejsze, ale nauczył się godzić z upokorzeniami, o ile przynosiły skutek i wracał z chrustem. Czym jest bowiem własna godność wobec zadania, którego się podjął? Czy święci męczennicy myśleli w ogóle o swej godności, gdy oddawali życie za wiarę? Czy myślał o niej Chrystus?

Adalbert nie był co prawda misjonarzem, do śmierci również niezbyt się kwapił, ale ból i upokorzenia znosił z pokorą. Gorzej, że tym razem, chcąc dotrzeć do najbliższego ogniska, musiałby najpierw minąć Josceli-na de Royes, a potem namiot emira Ismaila. Rycerz był skrępowany niczym wieprzek na targu, z namiotu nikt nie wyszedł od zapadnięcia zmroku, lecz zarówno templariusz, jak i emir budzili w sercu duchownego wielki strach. A tego znosić jeszcze się nie nauczył.

Wstał z wahaniem i roztarł dłonie lepkie od potu. Chciał się uśmiechnąć uspokajająco i machnąć beztrząsco na pożegnanie, ale wtedy dziewczynka pochwyciła go za nadgarstek i pociągnęła lekko w dół.

- Co takiego? - spytał cicho Adalbert. - Nie chcesz, bym przyniósł chrustu?
Zaprzeczyła.

- A nie boisz się, że zmarzniemy?

Wzruszenie chudziutkich ramion.

Adalbert odetchnął ze skrywaną ulgą i opadł na derkę, na której siedzieli. Pogładził dziewczynkę po włosach.

- Na ciernie z korony Chrystusowej, kim ty jesteś? - zapytał. - Dlaczego nie chciałaś uciekać, gdy była okazja? Dlaczego wolałaś zostać z tymi Saracenami, choć ów Ismail to okrutnik, a ta kobieta...

Wzdrygnął się. Gdzieś daleko pod gwiazdami zaszczekały hieny. Chuda dłoń dziecka nakryła jego własną, duchowny znów się uśmiechnął.

- Nieważne - sapnął. - To wszystko nieważne. Liczy się ta chwila, ta chwila jest najważniejsza. Czy mogę... -

4 Marcin Mortka

zawahał się. - Czy mogę cię prosić, byś mi jeszcze raz pokazała, co u niej? Co u nich?

Dziewczynka kiwnęła głową.

Ceremonia zbliżała się do tej najważniejszej chwili. Stojący dookoła rycerze wstrzymali oddechy, niektórzy uśmiechnęli się, a ich oczy zaszyły mgłą, jakby wspominali własne pasowanie. Balian z Ibelinu wreszcie opanował mętlik myśli i patrzył na obu klęczących młodzieńców z serdeczną, niemalże ojcowską powagą. Stał przed nimi, z namaszczeniem ściągając rękawicę i wałną Vit-toria w gębę, aż się poniosło.

- Przyjmij ten policzek z godnością i bacz, by był ostatnim - oznajmił, a potem stanął przed Gastonem. Młodzieniec zamknął oczy.

I słusznie, bo ów rytualny policzek, nieodłączny element ceremonii pasowania na rycerza, najwyraźniej stanowił dla barona niepowtarzalną okazję rozładowania całego napięcia, jakie powstało za sprawą Gastona. Rąbnął z taką siłą, że chłopak aż się zakołysał, a usta wypełnił mu słony smak krwi.

- Przyjmij ten policzek z godnością i bacz, by był ostatnim - w dobiegających z dala słowach pobrzmiwała skryta satysfakcja. Gaston otworzył oczy i dojrzał, że Amalryk de Puigney podaje baronowi miecze i pasy rycerskie.

Burczenie w brzuchu, ból mięśni, sarkazm - wszystko nagle znikło zalane niespodziewaną, spontaniczną, zawahał się. - Czy mogę cię prosić, byś mi jeszcze raz pokazała, co u niej? Co u nich? Dziewczynka kiwnęła głową.

Ceremonia zbliżała się do tej najważniejszej chwili. Stojący dookoła rycerze wstrzymali oddechy, niektórzy uśmiechnęli się, a ich oczy zaszyły mgłą, jakby wspominali własne pasowanie. Balian z Ibelinu wreszcie opanował mętlik myśli i patrzył na obu klęczących młodzieńców z serdeczną, niemalże ojcowską powagą. Stanął przed nimi, z namaszczeniem ściągnął rękawicę i walnął Vit-toria w gębę, aż się poniosło.

- Przyjmij ten policzek z godnością i bacz, by był ostatnim - oznajmił, a potem stanął przed Gastonem. Młodzieniec zamknął oczy.

I słusznie, bo ów rytualny policzek, nieodłączny element ceremonii pasowania na rycerza, najwyraźniej stanowił dla barona niepowtarzalną okazję rozładowania całego napięcia, jakie powstało za sprawą Gastona. Rąbnął z taką siłą, że chłopak aż się zakołysał, a usta wypełnił mu słony smak krwi.

- Przyjmij ten policzek z godnością i bacz, by był ostatnim - w dobiegających z dala słowach pobrzmiwała skryta satysfakcja. Gaston otworzył oczy i dojrzał, że Amalryk de Puigney podaje baronowi miecze i pasy rycerskie.

Burczenie w brzuchu, ból mięśni, sarkazm - wszystko nagle znikło zalane niespodziewaną, spontaniczną, srebrzystą radością. Z niedowierzaniem patrzył, jak Ba-lian dotyka klingą miecza ramienia Vittoria i wręcza mu broń wraz z pasem. Gdy chłodne ostrze pocałowało również i jego ramię, serce Gastona o mało nie wyskoczyło z piersi, a oczy zdradziecko zwilgotniały. Przycisnął do piersi dary i aż się skulił uderzony falą radosnych gratulacji.

„Przyjmij i moje - szepnął Diabeł, niespodziewanie smutny. - Powodzenia, Gastonie”.

„Jak to powodzenia? - młodzieniec otrząsnął się z oszołomienia. - Co to ma znaczyć?”.

„Nie istnieje już nic, czego mógłbym cię nauczyć. Pora, byś ujął przeznaczenie we własne ręce”.

„Poczekaj! Poczekaj. Dlaczego powiedziałeś, że muszę nauczyć się, jak przeżyć? Dlaczego nauczyłeś mnie tego wszystkiego? Dlaczego ściągnąłeś mnie do Ziemi Świętej?”

„Nie mogę ci tego powiedzieć”.

„A skąd mam się tego dowiedzieć?”

„Posłuchaj serca. Wybierz taką ścieżkę, która wyda ci się najbliższa, i po prostu rusz na poszukiwania. I nie zapominaj o miłości”.

„O miłości?”

„Tak. Mówiłem ci już, że nie jestem Diabłem. A teraz bywaj!”

Oszołomiony Gaston uświadomił sobie, że właśnie tonie w objęciach Renalda z Sydonu. Zmusił się do uśmiechu, odpowiedział uściskiem, ale ostatnie słowa diabła pulsowały echem w jego głowie.

„Nie zapomnij o miłości...”

Dłoń Ismaila, twarda i silna, przesuwiała się wśród zło-cistorudych loków Vivienne de Grenier z delikatnością ptaka muskającego dziobem swe pióra. Długie, smukłe palce to nawijały kosmyki, to prześlizgiwały się po drobnych wypukłościach kręgów szyi, by wreszcie spłynąć niczym krople deszczu w dół nagich alabastrowych pleców siedzącej kobiety. Vivienne nawet nie drgnęła.

- O czym myślisz, o bogini utkana z blasku świtu? -zapytał cichym, chrapliwym nieco głosem, unosząc się na łokciu.

- O wszystkim tym, co tobie nie przyjdzie nawet do głowy - odparła twardo.

Urażony emir cofnął dłoń i odrzucił przykrywającą go skórę. W jego ciemnych oczach zalśnił gniew.

- A cóż takiego nie przyjdzie mi nawet do głowy? -warknął.

Vivienne odwróciła się gwałtownie, jej włosy śmignęły w powietrzu niczym ruda błyskawica.

- Spójrz na siebie! - syknęła całkiem nieskrępowana swą nagością. - Prężysz się w łóżu dumny niczym lew, który właśnie zaspokoił swoją odnalezioną lwicę, i wymyślasz bzdurne komplementy, a tymczasem wszystkie plany wzięły w łeb! Wszystkie co do jednego! Nie masz ani tej przeklętej Bizantyjki, ani okupu za nią, a zamiast zemścić się na Balianie i wzbogacić jego kosztem, straciłeś tylko większość swych ludzi. Co więcej, jak dotąd ani śladu Kerima! Módl się, Ismail, by ten cholerny parwienusz z Ibelinu po prostu rozłupał mu łeb. Bo jeśli wzięł go na spytki, to niebawem będzie po nas.

- Bredzisz! - parsknął z pogardą emir i upił sorbetu, lecz dłoń trzymająca puchar zdrząła lekko. - Przeceniasz tego giaura!

- Nie. - Oczy Vivienne zwięzły się. - Nie przeceniam. To sprytny, zacięty człowiek i zacznym żałować, że z nim zadarliśmy.

- A ja zaczynam żałować, że pozwoliłem ci gadać - skrzywił się Ismail i odstawił puchar. - Balian ibn Barzan to wielki wojownik, ale i najwięksi nie ustrzegą się zemsty, gdy tylko ośmielą się z nami zdrzeć. Niech sobie przesłuchuje Kerima, niech pozna prawdę, niech wyciągnie wnioski. Wątpię, by okazał się głupcem i wypowiedział nam wojnę. No, a teraz...

Przez oblicze Turka przemknął uśmiech, a jego dłoń musnęła pierś Vivienne.

- A teraz wygłodniały lew raz jeszcze zarczy nad ciałem swej odnalezioniej... - zaczął, lecz hrabianka odepchnęła jego dłoń.

- On nie jest głupcem! - warknęła. - To zajadły skurwysyn, który niebo i ziemię poruszy, by odnaleźć tego, co porwał mu żonę! Cała wasza potęga to za mało, by go zatrzymać, Ismail! Nawet to wasze durne prorocstwo, nawet odnalezienie tej cuchnącej smarkuli...

Przerwał jej siarczasty policzek, który odrzucił Vi-vienne na posłanie.

- Niebawem będziemy- w Masjafie - powiedział chrapliwie Ismail, unosząc się nad skuloną, szlochającą kochanką. - Tam starsi dowiedzą się o Balianie ibn Barzanie i podejmą co do niego decyzję. Tam zostanę uczczony jako ten, który przywrócił nadzieję wszystkim Ismaelitom, a na dodatek pojmał w niewolę tego szakala Joscelina de Royes, którego wpływy znane są aż w dalekim Damaszku. Tam wreszcie przyjmiesz naszą wiarę i zostaniesz mi zaślubiona. Tak będzie wyglądać nasza przyszłość. Nie ma w niej miejsca na żadnego giaura ani też na lęk, gniew lub nieposłuszeństwo. A wygłodniały lew będzie ryczał z dumą, obojętnie czy się to odnalezioniej lwicy spodoba, czy też nie.

I gwałtownie, przemocą rozsunął jej uda.

Wyszli na świeże powietrze już pasowani i dumni. Kudłaty Bernard ocierał kułakami zaczerwienione oczy, poblądły, wsparty na ramieniu służącego Anzelm machał do nich z uśmiechem. Balian śmiał się gromko i opowiadał coś Renaldowi, Gotfryd de Lusignan kiwał z uznaniem głową niczym rycerz weteran, choć liczył sobie ledwie kilka lat więcej od obu młodzieńców. Bóg rozsunął na moment stalowoszare chmury i opromienił nowych rycerzy słońcem.

Gaston raz jeszcze się rozejrzył w próżnej nadziei, że wypatrzy gdzieś puciołowate oblicze Adalberta.

„Nic to - powiedział do siebie w duchu. - Nic to. Nie jestem już sam”.

Pochwyił dłoń Vittoria.

- Pora ująć przeznaczenie we własne ręce! - szepnął mu do ucha.

- Co takiego? - Oczy Italczyka, choć skrzące radością, błysnęły czujnie.

- Zobaczysz. Wkrótce zobaczysz. W każdym razie szykuj się do drogi, przyjacielu.

Koniec tomu pierwszego

Marcin Mortka Ragnarok 1940, t. 2

Vikingowie, jak przed wiekami, znów lądują na angielskim wybrzeżu. Znów sieją śmierć i pożogę.

Jeremy Baldwin - dociekliwy dziennikarz, a zarazem wrażliwy artysta malarz - wbrew własnej woli został agentem wywiadu. Sądząc, że nic nie mogło bardziej zrujnować mu życia, bardzo się pomylił...

Właśnie wybucha wojna, na którą nikt nie był przygotowany.

Nieunikniony konflikt pogańskiego żywiołu Normanów i chrześcijańskiego Zachodu wstrząsa Europą, przerastając nawet koszmar tak niedawno zakończonej wojny światowej. Ale tym razem chodzi nie tylko o nowy podział świata. Przeciwnik musi zostać całkowicie zniszczony.

Oreż i podstęp, ludzie i ich bogowie - zbliża się finał operacji „Ragnarok”...

978-83-60505-82.-3

fabryka słów

Jakub Ćwiek Kłamca 3. Ochłap sztandaru

Powrót Lokiego, pierwszego cyngla skrzydlatych.

Gdy Lucyfer daje swym zastępom sygnał do rozpoczęcia Apokalipsy, anioły mają na to prostą szpiegowską receptę - załatwić Antychrysta. To nic, że kwili jeszcze w swym dzieciennym łóżeczku. Przykład starego, dobrego króla Heroda nie odszedł przecież w zapomnienie - historia wciąż jest najlepszą nauczycielką życia. Dla Lokiego, pierwszego cyngla skrzydlatych, taka misja to małe piwo. Ot, drobna robótka przed zaległym urlopem. Tyle że przez te podstępne elfy Antychryst zniknął, a w łóżeczku leży pokraczny odmieniec. Urlop szlag trafił, i to gdy Czterej Jeźdźcy Apokalipsy właśnie ruszają...

Niosą WOJNĘ aniołów i demonów, w której giną... jak zwykle niewinni. ZARAZA ogarnia Paryż, w Ameryce szaleje GŁÓD. ŚMIERĆ czyha na każdym kroku, a komórka Kłamcy tym razem nie odpowiada.

978-83-7574-014-1

fabryka słów

copyright © by Marcin Mortka, lublin 2008 copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., lublin 2008

wydanie I

ISBN 978-83-7574-030-1

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

redakcja serii Eryk Górski, Robert Łakuta projekt okładki Paweł Zaręba grafika na okładce Daniel Rudnicki redakcja Marcin Wroński redakcja merytoryczna Ewa Leśniewska korekta Wiktor Serafin, Renata Supryn skład Dariusz Haponiuk

sprzedaż internetowa empik.com

zamówienia hurtowe Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o. 05-850 Ożarów

Mazowiecki, ul. Poznańska 91 tel./fax: (22) 721-30-00 www.olesiejuk.pl, e-mail:

hurt@olesiejuk.pl

wydawca

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

www.fabryka.pl fabryka slow

biuro@fabryka.pl

druk i oprawa OPOLgraf S.a. www.opolgraf.com.pl